

ROBERT J.

SZMIDT



ZGASIĆ
SŁOŃCE

SZPONY SMOKA

EQN
imaginatio

**ZGASIĆ
SŁOŃCE**



ROBERT J.
SZMIDT

**ZGASIĆ
SŁOŃCE**
SZPONY SMOKA

KRAKÓW 2020

1905

CZĘŚĆ PIERWSZA

Nalot



ROZDZIAŁ 1

– Tej nocy, moi panowie, będziemy tworzyć historię. Spiszemy ją na kartach dziejów własną krwią!

Wiceadmirał Makarow uśmiechał się, gdy wypowiadał te słowa. Szczyrzył lekko poźólkę od tytoniu zęby, zacierając jednocześnie wielkie dłonie, jakby perspektywa zbliżającej się bitwy była dla niego czymś radosnym, a nawet wzniosłym. Czymś, czego wypatrywał z niecierpliwością dziecka czekającego na otwarcie bożonarodzeniowych prezentów. Pozostali oficerowie, ku przerażeniu Andrzeja Horodyńskiego, wyglądali na równie ucieszonych. Klepali się po ramionach, unosili kciuki gestem zapożyczonym od cesarów, jakby tam w dole, za ławą stalowoszarych chmur, nie czekał ich los gorszy od przestąpienia wrót piekieł.

Stojący na tyłach mostka Horodyński przyglądał się tej scenie w niemym osłupieniu. Zadrżał, gdy ściany chroniące centralną część sterówki Pietropawłowska, najnowocześniejszego pancernika carskiej floty, zaczęły się gwałtownie kurczyć. Grube płyty nitowanej stali zbliżały się z każdym, następującym coraz szybciej jedno po drugim, uderzeniem serca. Ściskane ich naporem powietrze gęstniało w zastraszającym tempie. Młody kadet otworzył szerzej usta, próbując zaczerpnąć tchu, lecz nic to nie dało.

Dusił się.

Zrobił więc jedyną rzecz, jaką podpowiadał mu zdrowy rozsądek. Obróciwszy się na pięcie, chwycił oburącz dźwignię blokującą tarczę wjazdu. Zdecydowanym ruchem odsunął stalową płytę i wypadł na zewnątrz, prosto w objęcia chłodu i mroku.

Nocne niebo także napierało ze wszystkich stron, ale dzięki kobiercowi gwiazd wydawało się przestronniejsze, a płuca same wypełniały się powietrzem gnany przez silny wiatr.

Wciągając je łąpczywie, Horodyński dotarł na sam koniec sterburtowego skrzydła mostka. Tam dopiero przystanął. Złapał obudowę repetytora busoli i pochyliwszy się, mocno zacisnął powieki. Czas uporać się ze strachem. Przegnać go, zanim któryś z przełożonych zauważy oznaki paniki. Chłopak zrobił głęboki wdech, potem drugi i kolejny, jak radził mu bosman wieki temu, jeszcze na Nowej Ziemi podczas pierwszych szkoleń.

– Andriusza?

Horodyński drgnął, gdy zza jego pleców dobiegł łatwo rozpoznawalny głos dowódcy. Wyprostował się błyskawicznie, wyprężył w postawie zasadniczej, mimo że wypierany kolejnymi haustami chłodnego powietrza strach zaczął wracać. Zasalutował odruchowo, jak wpajano mu od wcielenia do carskiej floty, choć ręka drżała zauważalnie.

– Melduję się na rozkaz, panie... – Wyuczona formułka nie zdołała się wydostać ze ściśniętego gardła, usłyszał tylko nieartykułowany bełkot, co jeszcze bardziej go zdeprymowało.

Spoglądający z góry Stiepan Osipowicz Makarow, stary wiarus, który przelatał we flocie milion wiorst[1]*, i to zanim stojącego przed nim chłopaka wypchnęło łono matki, minę miał ponurą. W jego niebieskich jak wody rozświetlonego słońcem oceanu oczach nie dało się już dostrzec nawet śladu niedawnego rozbawienia. Uniesienie i radość zniknęły bez śladu. Zastąpił je... strach?

Horodyński z trudem przełknął gromadzącą się w ustach gęstą ślinę.

– Bać się ludzka rzecz, Andriusza – powiedział zadziwiająco łagodnym tonem zaprawiony w bojach oficer, kładąc wielką niczym bochen chleba dłoń na ramieniu kadeta. Ten zadziwiająco delikatny dotyk okazał się lekiem na całe zło. Stłumił drzenie ciała, uciszył rozkołatanę serce, ukoił duszę. – Problem w tym, chłopcze, że jestem komandirem, a co za tym idzie, nie mogę okazać nawet cienia słabości, zwłaszcza na oczach ludzi, którzy pode mną służą. To, że się uśmiecham, kiedy mówię o czekającej nas walce, nie oznacza

jednak, że nie odczuwam lęku ani że cieszę się na myśl o śmierci, która zbierze dzisiaj obfite żniwo. Oj, zbierze. Czeka nas bitwa, jakiej świat dotąd nie widział. – Obrócił milczącego kadeta twarzą do dziobu pancernika i objął ramieniem, jak ojciec albo starszy brat. – Za niespełna godzinę staniesz się naocznym świadkiem wydarzeń, które ludzie będą sławili za sto, a kto wie czy nie za tysiąc lat, tak jak my wspominamy dzisiaj bohaterów bitwy pod Maratonem, zagładę Wielkiej Armady czy ostateczny upadek Napoleona pod Waterloo. Przejdziemy do historii, Andriusza, zapiszemy się złotymi zgłoskami w kronikach przyszłych pokoleń, ale ten zaszczyt ma swoją cenę. Bardzo wysoką cenę. Setki moich marynarzy i oficerów nie ujrzą kolejnego wschodu słońca. Może ja dzisiaj zginę, może ty. Nikt tego nie wie prócz Boga, który jak powiadają, też już nie żyje... – Wiceadmirał zawiesił głos, spuścił głowę, jakby się modlił, po czym dodał: – Tak było od zarania dziejów i tak zawsze będzie. Musimy się z tym pogodzić, chłopcze.

Zamilkł ponownie, tym razem już na dobre. Potoczył wzrokiem po nieboskłonie, po miriadach gwiazd przesłanianych tu i ówdzie przez ciemniejsze od mroku cienie. Dziesiątki ich sunęły wokół. Były większe i mniejsze, ale nieodmiennie czarniejsze od smoły. Ciche, zabójcze.

Horodyński także przyglądał się otaczającej go flocie sprzymierzonych mocarstw. Teraz, pośrodku nocy, przy całkowitym zaciemnieniu i braku księżyca, nie mógł dostrzec niczego prócz zarysów, lecz wystarczyło przymknąć powieki, by przywołać wygląd majestatycznych okrętów, zapamiętany do najdrobniejszych szczegółów podczas trzytygodniowego rejsu i liczonego kolejnymi bezsennymi nocami okresu wyczekiwania, gdzieś tam pomiędzy dwoma bezbrzeżnymi, zda się, przestworami – nieba i oceanu.

Wyrwany z dzieciństwa edyktem cara, wcielony siłą do rosyjskiej marynarki wojennej Andrzej został wywieziony na daleką północ carstwa, aż do Archangielska, portu, o którym nigdy wcześniej nie słyszał. Tam razem z tysiącami innych poborowych przeszedł

wstępne szkolenie. Tam też napatrzył się zza pomalowanych mrozem szyb na smukłe niszczyciele i fregaty, na pękate transportowce i masywne krążowniki, które całymi eskadrami albo dywizjonami wzbijały się w pokryte stalowymi chmurami niebo, by walczyć na frontach wielkiej wojny.

Zanim trafił w kamasze, słyszał o odległym konflikcie imperiów przy okazji toczonych półgłosem rozmów dorosłych. Zdarzyło mu się też wyczytać to i owo w podniszczonych gazetach zostawianych przez letników wypoczywających w willi Pod Berłem, tej samej, w której – oczywiście po szkole – pomagał matce.

Wojna, choć wciąż daleka od sennego Ojcowa, upomniała się jednak i o niego. Wykrwawione armie sojuszników potrzebowały nieustannego wsparcia – nawet ze strony ciemieżonych narodów. I tak, żegnany szlochem matki młody Horodyński wkroczył w Olkusz po chybotliwym trapie na pokład niewielkiego frachtowca, którym przybyli carscy urzędnicy. Oszołomiony nagłym powołaniem nie zastanawiał się ani przez moment, czy będzie musiał zabijać, czy sam zostanie zabity. Marzył tylko o jednym: żeby ujrzeć na własne oczy, z bliska, prawdziwe okręty wojenne.

Po trzech miesiącach intensywnego szkolenia dane mu było stanąć na pokładzie jednego z owych latających gigantów. Był pewien, że nigdy nie zapomni dreszczu emocji, jaki towarzyszył pierwszemu startowi niszczyciela, na którym odbywał praktykę. Stał wtedy – podobnie jak dzisiaj – na skrzydle mostka obok wydających rozkazy oficerów. Przesuwał posłusznie dźwignie telegrafu maszynowego, nawet na moment nie spuszczał z oczu doków wielkiej bazy, okalającego je miasta, skalisto-lodowych pustkowi i ciągnącego się aż po zamglony horyzont posępnego przestworu arktycznego morza.

Nie przydzielono mu zbyt wielu obowiązków, ale szkolił się na sygnalistę, a że miał doskonałą pamięć i smykałkę do języków, bardzo szybko się wyróżnił z tłumu rekrutów. Na egzaminie końcowym prześcignął nawet rodowitych Rosjan, w tym paru potomków arystokratycznych rodów. Nie zrobił tego jednak, by

przypodobać się zaborcy. Matka wpoila mu pasem i słowem, że zawsze należy dążyć do doskonałości, ponieważ tylko ci, którzy staną na szczycie, mogą odmienić swój los. Nawet jeśli pochodzą ze zniewolonych mniejszości. Carstwo nie dawało okazji do wybicia się ponad przeciętność, zwłaszcza na dalekiej prowincji, gdzie bieda piszcziała tak głośno, że zagłuszała każdy lament. Miał też drugi powód, kto wie czy nie ważniejszy. Powodzenie tej misji mogło przynieść sporo zmian, także dla startej z mapy ojczyzny, Polski. Oficerowie stawiali sprawę jasno. Przegrana w tej wojnie oznaczała niewolę po stokroć gorszą od obecnego stanu.

Dlatego właśnie wszyscy wypruwali sobie żyły bez względu na kolor skóry czy kształt oczu. Pochodzenie – przynajmniej na pierwszych etapach służby – nie miało większego znaczenia. Byłeś dobry w tym, co robisz, otrzymywałeś pochwały. Partaczyłeś robotę, ponosiłeś surową karę. Horodyński starał się więc, jak mógł, z myślą o tym, by zostać prymusem, i dopiął swego. Trafił na pokład Pietropawłowska, pod skrzydła leciwego dowódcy Trzeciej Floty, wybitnego oficera i jeszcze lepszego stratega – wiceadmirała Makarowa, któremu powierzono dowodzenie carskim kontyngentem tworzonej w sekrecie armady.

Pół roku po zamustrowaniu na pokład flagowego pancernika Andrzej trafił na Nową Ziemię, skuty lodem archipelag leżący tak daleko na północy, że za nim były już tylko niekończące się lody Arktyki. Tam też wszystkie europejskie potęgi, nie wyłączając Korony Brytyjskiej, posyłały skrycie co drugi z nowo budowanych okrętów, przygotowując się w najściślejszej tajemnicy do uderzenia, które mogło i powinno odmienić losy świata.

Dwadzieścia cztery pancerniki, osiemdziesiąt krążowników, z czego dwanaście ciężkich i czterdzieści osiem bombardujących, do tego ponad sto pięćdziesiąt mniejszych jednostek eskorty. Takie wielkie siły wyruszyły jesienią 1905 roku na Daleki Wschód. Trasa wiodła wzdłuż skutych wieczną zmarzliną północnych wybrzeży Rosji.

Dotarłszy nad Morze Czukockie i wykonawszy zwrot o osiemdziesiąt siedem stopni na sterburkę, armada przeleciała nad Kamczatką i ominęła szerokim łukiem broniący się wciąż bohatersko Sachalin, następnie zaś – po pokonaniu kolejnych trzystu mil – weszła w dryf, by z dala od wścibskich oczu czekać na odpowiednią pogodę.

Nie trwało to długo, ponieważ pora roku sprzyjała potężnym sztormom i nawałnicom. Trzeciego dnia postoju wysłani na południe zwiadowcy wypatrzyli front atmosferyczny. Godzinę później połączone siły, wzmocnione amerykańskim kontyngentem, który był mniej liczny, niż się spodziewano, ale za to zdecydowanie nowocześniejszy i potężniejszy, ruszyły dalej, by po szesnastu godzinach lotu uformować szyk bojowy tuż nad i odrobinę za czołem nawałnicy.

Na skrzydłach wichru, na falach chmur, setki skrytych przed oczami wroga okrętów wojennych parły w kierunku jakże bliskiego już wybrzeża Japonii, aby najwięksi władcy Europy mogli spisać krwią tysięcy poległych nowy rozdział w opasłej księdze historii i odmienić losy tej wojny, a kto wie czy jej nie zakończyć.

– Panie admirale!

Głos lejtnanta Borysowa wyrwał z głębokiego zamyślenia dowódcę i stojącego obok kadeta.

– Melduj – rzucił zwięźle Makarow, nie odrywając wzroku od kłębiących się w dole chmur podświetlanych często gęsto błyskawicami.

– Mamy pierwsze potwierdzenie! – Trzeci oficer Pietropawłowska podszedł bliżej, by nie musieć przekrzykiwać wiatru i pomruku przetaczających się w dole piorunów. – Washington sygnalizuje, że wróg zareagował zgodnie z naszymi oczekiwaniami.

– Świetnie!

Wiceadmirał pociągnął Horodyńskiego za sobą. Ich miejsce było teraz w osłoniętej sterowni, tam gdzie zostaną wydane ostatnie rozkazy. Andrzej przekraczał wysoki próg wjazdu z obawą, lecz

ściany zdążyły już wrócić na miejsce i choć opancerzone pomieszczenie wciąż wydawało mu się odrobinę za ciasne, nie przytłaczało już i nie dusiło jak jeszcze przed chwilą. Echa burzy zastąpił gwar wielu głosów. Pochyleni nad mapą oficerowie odbierali z rąk gońców kolejne depesze. Telegrafy wystukiwały bezustannie nerwowy rytm. Dyżurni sygnaliści posyłali w noc szybkie serie błysków, a mrok nie pozostawał im dłużny. W tym rozgardiaszu tylko dwie osoby pozostawały niewzruszone. Wiceadmirał, obserwujący podwładnych spod nasuniętego głęboko na czoło daszka służbowej czapki, i stojący krok za nim kadet.

– Wieści z Permu! – Rozemocjonowany Borysow przesunął w dłoniach pasek z odebraną wiadomością. – Pan Ognia widziany nad Nytwą i Osą, stop. O dwudziestej drugiej siedemnaście zaatakował zgrupowanie Wasylewa, stop. – Depesza trafiła do rąk czekającego gońca, a porucznik natychmiast sięgnął po następną. – O dwudziestej drugiej dwadzieścia trzy Pan Lodu zaatakował Siedemnastą Dywizję Mechów generała Paula von Hindenburga, powstrzymując natarcie korpusu brytyjsko-niemieckiego na kierunku sarapulskim, stop.

Wiceadmirał pochylił się nad stołem operacyjnym. Jego palec spoczął na błękitnej linii oznaczającej rzekę, której nazwa była Andrzejowi równie obca jak te, które padły przed chwilą z ust trzeciego oficera. Kraj zaborcy był wielki, ogromny, słońce potrzebowało całego dnia, by dotrzeć z jednego krańca na drugi.

– Mamy potwierdzenie kontaktu z czterema smokami. – Borysow stanął obok dowódcy, zasłaniając mapę. – Pan Moru jest obecnie gdzieś pomiędzy Permem a Jekaterynburgiem, a Pana Błyskawic dostrzeżono przed kwadransiem nad Saratowem.

Makarow potaknął, nic nie mówiąc.

– Poruczniku! – Marynarz siedzący przy ostatnim telegrafie uniósł rękę z długim na ponad dwie stopy paskiem odebranej wiadomości.

Borysow poczekał na milczące zezwolenie przełożonego, po czym potruchtał na drugi koniec mostka.

– General major Aleksiejew melduje, że twierdza Łuk Samary jest atakowana przez Pana Wszystkich Żywiołów! Wiadomość nadano pięć minut temu! – zawołał triumfalnie. – Dowódcy pozostałych odcinków linii Romanowów potwierdzają obecność piątego smoka!

Telegrafy nadal stukotały jak szalone, lecz porucznik sięgnął tym razem po kartkę podaną przez zdyszanego sygnalistę.

– USAS Washington do wszystkich kontyngentów zjednoczonej floty... – Borysow musiał zamilknąć na moment, by przełknąć ślinę. – Rozpocząć operację Zgasić Słońce według planu operacyjnego numer dwa. Wykonać natychmiast! Niech Bóg będzie z nami...

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane znacznie mniej stanowczym tonem.

– Panowie! – Jedno słowo wiceadmirala wystarczyło, by na mostku momentalnie zapanowała cisza. – Los zdaje się nam sprzyjać. Wróg połknął haczyk. Jedyna siła, która byłaby w stanie powstrzymać tę flotę, znajduje się tysiąc mil stąd i właśnie pustoszy nasze święte ziemie. Nie zawiedzmy bohaterów, którzy zapłacą najwyższą cenę, abyśmy mogli zadać śmiertelny cios Imperium Wschodzącego Słońca. Za cara i Matuszkę Rosję!

– Za cara i Matuszkę Rosję! – Oficerowie i marynarze wznieśli zgodny okrzyk, od którego zadrżały szyby.

Horodyński nie był wyjątkiem, choć z jego ust wydobyły się nieco inne słowa. W tej wojnie został zmuszony do stanięcia po stronie zaborcy, ale służył mu gorliwie tylko z jednego powodu: wspólny wróg był po stokroć gorszy od carskiego buta.

– Do wszystkich okrętów: formować szyk alfa! Wykonać natychmiast! – Makarow odżył, w końcu był w swoim żywiole. Rozkazy opuszczały jego usta z szybkością kul miotanych przez wielolufowego gatlinga. – Obsadzić wszystkie stanowiska bojowe. Ładować działa. Odryglować luki bombowe.

– Raport pogodowy, panie admirale. – Oficer podający dowódcy notatkę miał zadziwiająco markotną minę.

Makarow czym prędzej przeczytał słowa skreślone ręką sygnalisty.

– Psia mać – zaklął, mnąc kartkę lewą dłonią. Raz jeszcze przyjrzał się uważnie mapie. Zmierzył coś cyrklem, zapisał kilka liczb w brulionie. Na koniec stanął, złożywszy ręce na piersi, i podkreślił w zamyśleniu sumiastego wąsa. – Jeśli utrzymamy obecną prędkość, wyjdziemy przed czoło frontu pogodowego sześć wiorst przed Kręgiem Śmierci. Jeśli zwolnimy, pozostaniemy zbyt długo w strefie rażenia.

Tokio było otoczone licznymi bastionami, które powstały dekadę wcześniej, by chronić stolicę i pałac cesarski przed możliwym atakiem smoków, i od tamtej pory podlegały ciągłej rozbudowie. Wznoszono kolejne kazamaty. Starsze działa wymieniano na nowe, większe, donośniejsze i bardziej szybkostrzelne. Wywiad szacował, że na liczący dziewięć wiorst średnicy krąg otaczający centralne dzielnice miasta i znajdujący się w samym ich sercu pałac cesarski składa się obecnie co najmniej dziesięć tysięcy armat. Wielu oficerów uważało jednak, że dane te mogą być zaniżone.

Zachodnie mocarstwa i Ameryka straciły bowiem większość działających na ich korzyść szpiegów. Kempeitai nie tylko oczyściła wyspy z ludzi innych narodowości i wyznań, ale też skutecznie uciszyła każdego, kto mógł sprzyjać interesom gaijinów.

Od strony zatoki, czyli z kierunku, z którego nadlatywała flota, dostępu do miasta broniły bastiony zarówno w porcie, jak i na sztucznie usypanej zaledwie dekadę wcześniej wyspie Tsukishima. Kolejne żelbetonowe umocnienia wrzynały się w morze klasycznej drewnianej zabudowy, górując nad nią niczym średniowieczne mury europejskich zamczysk. Krąg Śmierci, jak nazywano tę linię obrony, był jednak sto razy mniej groźny niż broń, którą boski *tennō* posłał dzień wcześniej na front zachodni.

– To nie jest nasz największy problem, admirale – odezwał się nie mniej strapiony porucznik Borysow. – Burza słabnie z każdą chwilą,

z moich wyliczeń wynika, że stracimy osłonę chmur, zanim awangarda floty pokona Zatokę Tokijską.

– Wiatr zmienia kierunek! – Goniec przyniósł kolejną hiobową wieść.

Kartka z nią trafiła natychmiast w ręce Makarowa. Wiceadmirał znów pochylił się nad mapą. Odczytując informacje, dokonywał stosownych pomiarów. Wynik, ku zaskoczeniu obserwatorów, chyba go usatysfakcjonował. Gdy prostował plecy, na jego twarzy pojawił się zgaszony kilka minut wcześniej uśmiech.

– Pisz, Andriusza. – Odwrócił się do Horodyńskiego. – Do wielce szanownego admirała Robleya D. Evansa. Po przeanalizowaniu raportów pogodowych sugerujemy zmianę szyku alfa na gamma i przeprowadzenie uderzenia według planu operacyjnego numer siedem.

Horodyński skreślił słowa najszybciej, jak umiał, zapisując je w kajecie wyuczonymi skrótami, po czym wydarł kartkę i przekazał ją czekającemu obok o dwa lata starszemu Kazachowi, który pełnił funkcję łącznika sygnalistów.

– Nie za późno na wprowadzenie tak daleko idących zmian? – zdumiał się Borysow.

– Spójrz. – Wiceadmirał pochylił się nad mapą raz jeszcze. – Jeśli nie zmienimy kursu, stracimy osłonę najdalej za dziesięć minut. Wróg dostrzeże nas, zanim dotrzemy na odległość, z jakiej zbombardowanie bastionów będzie możliwe...

Andrzej przyglądał się prawej dłoni Makarowa, wskazującej kolejne cele i kierunki. Zazdrościł dowódcy wielkiego talentu, który pozwalał zauważać w lot wiele z pozoru nieistotnych zależności, o jakich on sam nigdy by nie pomyślał. Stiepan Osipowicz był nie tylko wojskowym, ale też znanym konstruktorem i badaczem. Miał na koncie prawie pięćdziesiąt prac naukowych, lecz młody kadet zazdrościł mu najbardziej opłynięcia świata.

– Jeśli zmienimy kurs, pozostaniemy za zasłoną chmur, ale przez najbliższy kwadrans będziemy lecieli wzdłuż południowo-

wschodniej linii obrony – zauważył porucznik, który także był nie w ciemną bity.

– Owszem – przyznał ze stoickim spokojem Makarow. – I właśnie dlatego zasugerowałem zmianę szyku.

Przesunięte modele okrętów utworzyły zupełnie nowy obraz floty. Krążowniki bombardujące, najgroźniejsza broń zjednoczonych sił, zostały przeniesione na lewe skrzydło, a na prawe, najbliższe Kręgowi Śmierci, skierowano gros niszczycieli. Plany tej operacji zakładały wiele wariantów i rozwiązań. Najtęższe głowy koalicji opracowywały je całymi tygodniami, do ostatniej chwili nanosząc większe bądź mniejsze poprawki. Ktoś, niewykluczone, że sam Makarow, przewidział, iż wiatry mogą się zmienić po dotarciu burzy nad ląd – było to przecież częste zjawisko, znane nie tylko w tym rejonie świata – i zaproponował, by do maksimum wykorzystać naturalną osłonę żywiołu. Dzięki temu okręty mogły dostać się niezauważenie w pobliże bastionów obrony, a może nawet za nie. Było to genialne posunięcie, a przynajmniej na takie wyglądało z perspektywy młodego kadeta.

Po uformowaniu szyku gamma niszczyciele wykonają ostry zwrot na sterburtę i rozpoczną zmasowane bombardowanie znajdujących się dokładnie pod nimi bastionów, niszcząc je całkowicie, zanim obsady atakowanych baterii zdążą dotrzeć na stanowiska bojowe.

– Washington znowu nadaje! – zameldował sygnalista dyżurujący przy reflektorze na bakburcie. – Do wszystkich kontyngentów zjednoczonej floty: zmiana szyku alfa na gamma. Wykonać natychmiast! Zmiana planu operacyjnego jeden na siedem!

Makarow zacisnął pięści.

– Idziemy – rzucił do Horodyńskiego.

Andrzej uchylił właz, przepuścił wychodzących na skrzydła mostka oficerów, po czym sam potruczał na otwarte stanowisko dowodzenia. Tysiąc stóp nad chmurami było chłodno, nawet bardzo chłodno, ale kłębiący się pod stępką Pietropawłowska żywioł nie miał szans nękać przyczajonych nad nim ludzi. Jego niszczycielska

siła skierowana była bowiem w dół, na uśpione miasto i nieświadomych zagrożenia obrońców.

– Maski! – zawołał bosman Rustaweli, człowiek o włosach tak czarnych i lśniących, jakby wyryto je w bryle obsydianu.

– Są maski! – odpowiadali kolejno kadeci.

– Rękawice i peleryny azbestowe!

– Są rękawice i peleryny azbestowe!

– Paraszuty?

– Są paraszuty!

– Uprząż ratunkowa!

– Jest uprząż ratunkowa!

– Przypiąć się do lin zabezpieczających! Dwie stopy luzu! – Bosman zakończył pośpieszny przegląd, by złożyć raport porucznikowi.

Andrzej wykonywał polecenia jak automat. Karabińczyk szczęknął krótko, zamykając się na stalowej ćwierćcalówce, która biegła od krańca skrzydła aż do wjazdu sterówki. Okręt powietrzny, nawet tak wielki jak pancernik, nie jest bowiem obiektem magicznym, lecz wytworem zaawansowanej techniki i jako taki podlega prawom fizyki, a także zjawiskom atmosferycznym, takim jak prądy zstępujące czy wstępujące, które niejednego pilota aeroplanu kosztowały utratę zdrowia, a czasem wręcz życia. Nagłe zwroty wypełnionego caworytem stalowego potwora, nierzadkie podczas bitwy, oraz wstrząsy towarzyszące bezpośrednim trafieniom również potrafiły zebrać krwawe żniwo, jeśli człowiek nie był odpowiednio asekurowany.

Horodyński pilnie słuchał wykładów chorążego Niestierowa, weterana dwu kampanii podniebnych, którego drewniana noga była czytelniejszą przestrogą od wtłaczanych kadetom do głów przepisów bezpieczeństwa. Naoczne przekonanie się, co czeka osobę niestosującą się do zasad, uczy pokory i posłuszeństwa szybciej niż sto nudnych, choćby i najbardziej obrazowych pogadanek.

– Stanowisko dowodzenia gotowe do podjęcia działań bojowych! – zameldował Rustaweli, salutując, po czym oddalił się, by przeprowadzić inspekcję drugiego skrzydła.

Makarow wychylił się mocniej za boczną osłonę, aby zlustrować pokrywę chmur. Niewiele jednak zobaczył, ponieważ skłębionego żywiołu nie rozświetlały już błyskawice. Burza faktycznie przycichła, teraz ziemię rosił już tylko charakterystyczny dla tej szerokości geograficznej rześisty deszcz. To jednak powinno wystarczyć, by ukryć obecność największej floty, jaką widział rodzący się dopiero dwudziesty wiek.

– Opuścić gondolę! – rozkazał Makarow, prostując plecy.

– Jest opuścić gondolę.

Lot nad nawałnicą pozwalał ukryć się przed wzrokiem wroga, ale krył też tego ostatniego przed oczami atakujących. Pokrywa chmur była wciąż tak gruba i gęsta, że w dole nie dało się dostrzec żadnego światełka, a przecież metropolia tej wielkości co Tokio, jedna z największych, jeśli nawet nie największa na świecie, powinna lśnić jasno niczym blask księżycy odbijający się na powierzchni spokojnego morza. Daleko za sterburtą, tam gdzie kończył się welon obłoków, widać było jaśniejące tu i ówdzie połączenie nieba, będące dowodem bliskości uspiętego celu.

Horodyński zliczał w głowie upływające sekundy. Gondola obserwacyjna, zwykła trzyarszynowa kula z miedzi i stali, zaopatrzona w szesnaście idealnie okrągłych bulajów i zawieszona na stusążniowej linii, opadała przez pokrywę chmur, dopóki siedzący w jej wnętrzu obserwator nie dostrzegł ziemi. Zazwyczaj trzeba było do tego kilku sekund, lecz tym razem cisza przedłużała się w nieskończoność.

– Kontakt wzrokowy! – zameldował w końcu porucznik, stojący przy stanowisku zewnętrznego telegrafu. Maszyna wypluwała z siebie pasek papieru pokryty ciągiem kropek i kresek. – Bastiony...

Wzięty przez zaskoczenie Borysow zamilkł w pół słowa, gdy pokrywę chmur przebiła raca. Kolumna czerwonego dymu

pomknęła wysoko między gwiazdy i tam doszło do niewielkiej eksplozji, która zalała krwistym blaskiem sunące w ciasnym szyku okręty. Wszyscy przyglądali się jej z otwartymi ustami, nawet admirał, ale trwało to tylko ułamki sekundy. Każdy, kto brał choć raz udział w nalocie, wiedział, jakiemu celowi służy taka raca. Wystrzeliwujący ją oficer mierzy czas potrzebny do zniknięcia ognika w chmurach, by obliczyć, na jaki pułap nastawiać zapalniki pocisków.

– Alarm!

Krzyki oficerów utonęły w zawodzeniu włączanych pośpiesznie syren i biciu w dzwony. Dalsze ukrywanie się nie miało sensu. Wróg wiedział o obecności floty, właśnie przygotowywał się do odparcia ataku. Za piętnaście, dwadzieścia sekund...

Niebo na sterburcie zapłonęło, nim Andrzej zdołał uchwycić się relingu. Baterie Kręgu Śmierci z wyspy Tsukishima oddały pierwszą, doskonale skoordynowaną salwę. Setki, a może nawet więcej niż tysiąc pocisków odłamkowych przebiło naraz warstwę chmur, eksplodując z ogłuszającym hukiem pomiędzy smukłymi kadłubami niszczycieli i korwet.

– Co u licha?! – wychrypiał wiceadmirał, prostując nogi w kolanach.

Ten atak nastąpił za szybko. Japończycy potrzebowali czasu na obsadzenie dział, na ustawienie zapalników, na wymierzenie... Horodyński także to rozumiał, gdy spoglądał, wciąż nie wstając, znad krawędzi osłony mostka. Pierwsza salwa, jak to zwykle bywa, poszła za wysoko. Gros pocisków eksplodowało od pięćdziesięciu do stu sążni nad pokładami okrętów. Marna to była pociecha, zwłaszcza dla ludzi okupujących nadbudówki i odsłonięte stanowiska obrony. Wróg, licząc się z niewielką celnością, użył bowiem szrapneli, które rozrywały się na zadanej wysokości, rozsiewając wokół chmury zabójczych odłamków, by te niszczyły wszystko, co stanie na ich drodze. Masakrowany nimi metal jęczał przeraźliwie. Zabijani i ranieni ludzie skowycieli, ale ich krzyki były

zbyt słabe, by przedrzeć się przez odrażającą kakofonię bitewnego zgiełku.

Ostrzeliwane okręty odpowiadały ogniem. Ich baterie podburtowe posłały ku niewidocznej ziemi deszcz pocisków. Z dziesiątek wyrzutni posypały się bomby beczkowe. Ożyły zespolone gatlingi.

– W czortu matieri! – wymamrotał wiceadmirał, obserwując narastający chaos.

Atak wroga nastąpił w najgorszym z możliwych momentów, gdy flota rozpoczynała zmianę formacji, wchodząc równocześnie na nowy kurs. Wymagało to zerwania ciasnego szyku, który umożliwiał koncentrację ognia i wzajemne osłanianie się okrętów biorących udział w akcji.

Kolejna salwa, tym razem lepiej wymierzona. Z dołu nadleciał grad stuściomilimetrowych pocisków przeciwpancernych, zbyt słabych, by przebić poszycie pancernika, lecz wystarczająco potężnych, by zagrozić znacznie mniejszym jednostkom eskorty. W cel trafił co dwudziesty, ale i to wystarczyło, aby kilka niszczycieli zostało rozerwanych na strzępy, a dalszy tuzin wypadł z i tak już złamanego szyku.

Horodyński przyglądał się temu wszystkiemu w niemym przerażeniu. Na jego oczach odległa o zaledwie pół wiorsty korweta, wciąż oświetlana upiornym blaskiem flary, rozděła się jak ta śmieszna rybka, którą widział raz w iluzjonie. Trafiony w magazyn amunicji okręt zniknął w kuli oślepiającego ognia, który najpierw wydobył się strumieniami przez każdy luk i bulaj, a potem rozsądził płyty poszycia. Huk, który temu towarzyszył, był tak głośny, jakby piorun uderzył w sam środek mostka. Fala uderzeniowa przetoczyła się przez sąsiednie, bliźniacze jednostki, przechylając je o prawie trzydzieści stopni. Żyroskopy zadziały jednak, jak powinny, i zepchnięte z kursu okręty wyprostowały się powoli, po czym znów otworzyły ogień.

Uderzenie, które przyjął kilkanaście sekund później Pietropawłowski, było o wiele słabsze, lecz pancernik i tak się zakołysał, jakby trafił na poprzeczną falę. W tym czasie przełamana, płonąca wciąż korweta rozpadła się na dwie nierówne części. Dziób z rozbebeszonym śródokręciem unosił się powoli ku rozgwieżdżonemu niebu, a rufa, na której było znacznie mniej cavorytu, błyskawicznie traciła wysokość. Wystarczyło kilka sekund, by połknęło ją kłębowisko chmur.

Wtedy Andrzej przeniósł wzrok na dryfującą część wraku, z której nieustannie wysypywały się mikroskopijne punkciki. Część z nich zawisała pod szarymi płachtami parasutów, ale zdecydowana większość pomknęła ku chmurom i kryjącej się pod nimi ziemi. Obserwujący tę scenę kadet miał świadomość, że nie wszystkie te kropki są wyposażeniem wysypującym się z przepołowionego okrętu. Marynarze i oficerowie pełniący służbę w zamkniętych pomieszczeniach lub obsługujący kotły nie nosili przecież krępujących ruchy parasutów.

Następna salwa, jeszcze potężniejsza, została wymierzona w sam środek formacji. Teraz do walki włączyły się również bastiony otaczające pałac Shiba i przecinające znajdującą się za nim dzielnicę o tej samej nazwie. Tamtejsze nabrzeżne baterie składały się głównie z małokalibrowych automatycznych działek, które wypluwały pociski sześć razy szybciej niż ich odpowiedniki z wyspy broniącej portu. Z kolei leżące nieco dalej w głębi lądu forty przystosowano do znacznie cięższej artylerii. Pietropawłowski przekonał się o tym moment później, gdy w jego podburcia trafiły dwa dwustutrzydziestomilimetrowe pociski.

Podniebny gigant wierzgnął, zwalając wszystkich z nóg. Podrzućeni w powietrze marynarze, którzy z jakichś powodów nie mieli skróconych lin albo nie zdążyli złapać się poręczy, gruchnęli z łomotem na stalowe płyty. Szczęściarze wylądowali na płaskim pokładzie. Ci, co mieli pecha, trafili na osłony mostka bądź powypadali na zewnątrz.

Kadet Fiedotow, chłopak, który służył na flagowcu od trzech lat, należał do pechowców. Nie skrócił linki w porę, gdyż potrzebował większej swobody, by podejść do stojącego obok dowódcy porucznika, celem podania mu najświeższego meldunku.

Eksplozja wyrzuciła go na pięć sążni w górę i cisnęła prosto na pancerną osłonę. Spadł na nią plecami, łamiąc sobie kręgosłup tuż nad krzyżem. Klęczący kawałek dalej Andrzej zapomniał o bólu w poobijanych kolanach, słysząc głośnie chrupnięcie, z którym kręgi kolegi poddały się sile uderzenia. Skowyt rannego trwał krótko, ciało zmiecione drugą eksplozją zniknęło z pola widzenia oniemiałego Horodyńskiego.

Rustaweli, klnąc jak szewc, przepiął się na odcinek stalówki pozwalający mu wyrzeć za osłonę.

– Już po nim – rzucił krótko przez ramię, do nikogo właściwie, po czym wyszarpnął z pochwy wielki nóż i kilkoma zdecydowanymi pociągnięciami odciął martwego albo dogorywającego wciąż chłopaka.

W czasie bitwy nie było czasu na okazywanie poległym szacunku. Ciało Fiedotowa obciążało przecież linkę bezpieczeństwa, naprężając ją do granic wytrzymałości, a co za tym idzie, stanowiło potencjalne zagrożenie dla pozostałych marynarzy pełniących służbę na tym skrzydle mostka.

– Co z gondolą? – Wiceadmirał chwycił obiema rękami oszołomionego Borysowa.

Potrząśnięty oficer odzyskał zmysły i otarłszy twarz z zimnego potu, pochylił się nad tubą rury głosowej. Szarpnął kilkakrotnie za przymocowany obok niej sznurek, uważnie nasłuchując. Kolejna salwa ominęła szczęśliwie flagowiec Makarowa, ale aż cztery pociski dużego kalibru uderzyły w lecący za nim, tyle że prawie sto sążni wyżej, amerykański pancernik. Andrzej przyglądał się z otwartymi ustami, jak na szarym poszyciu rozkwitają ogniste kule. Liczący prawie tysiąc stóp długości gigant zadrżał – tak, to było właściwe słowo. Washington nie wierzgnął, jak sześciokrotnie lżejszy od niego

Pietropawłowski. Jego kadłub nie został też mocniej uszkodzony, aczkolwiek z jednym wyjątkiem: trzeci z kolei pocisk trafił w środkową podburtową wieżę artyleryjską bakburty, wyłączając ją całkowicie z akcji. Długie na dwanaście sążni armatnie lufy zwisały bezwładnie, jak palce u martwej dłoni, kołysząc się przy każdym ruchu targanego siłą eksplozji giganta.

– Co z gondolą?! – powtórzył rozjuszony wiceadmirał.

– Nikt nie odpowiada. – Borysow, który także zadarł głowę, szybko opuścił wzrok i wyjrzał za osłonę. – Dym na bakburcie – zameldował. – Dokładnie na wysokości stacji gondoli.

– Musimy mieć lepszy ogłąd sytuacji! – Oczy Makarowa zapłonęły. – Jeśli teraz wyjdziemy poza front burzowy, będą strzelać do nas jak do kaczek.

Kulący się między nimi Andrzej rozumiał, o czym mówi dowódca. Ustalenie pozycji bastionów pozwoliłoby na koncentrację ognia i uciszenie choć części tych piekielnych dział, lecz było to możliwe wyłącznie w sytuacji, gdyby ktoś zszedł pod pokrywę chmur, by – korzystając z oprzyrządowania gondoli – podać namiary na punkty obrony przeciwlotniczej.

Jedno spojrzenie w oczy Makarowa powiedziało chłopakowi wszystko. Fiedotow zginął, a trzeci z przypisanych do tego skrzydła kadetów zwijał się właśnie z bólu, obejmując dłońmi złamaną nogę. Tylko on mógł wykonać niewypowiedziany jeszcze rozkaz.

– Gnaj, Andriusza, na dół. Wiesz, tam, gdzie jest stacja gondoli, i przekaz temu, kto tam teraz dowodzi, że musi posłać tylu obserwatorów, ilu tylko zdoła.

– Tak toczno – mruknął Horodyński, odrywając się od pancерnej płyty.

Musiał się dostać na główny pokład, potem jedną z zejściówek dotrzeć do najniższej sekcji kadłuba, tam, gdzie mieściła się stacja gondoli obserwacyjnych, przekazać rozkazy komu trzeba i wrócić na górę...

Kolejna salwa przeszła przez linię, w której leciały pancerniki. Pietropawłowski nie zaliczył wprawdzie bezpośredniego trafienia, ale jeden z pocisków rykoszetował od jego burty, jakieś trzydzieści sążni za nadbudówką i wieńczącym ją mostkiem, po czym pomknął w górę z przerażającym świstem. Ułamek sekundy później doszło do detonacji zapalnika i świat wokół raz jeszcze zamienił się w piekło.

Wybuch nastąpił za daleko, by rozerwać płuca i wypalić oczy stojącym na mostku marynarzom, lecz jego skutki i tak okazały się fatalne. Odłamek przebił się przez wysoką prawie na półtora sążnia pancerną osłonę, ścinając z nóg stojących w pobliżu ludzi. Owionięty palącym podmuchem Andrzej padł jak długi, prosto na porucznika. Był tak oszołomiony, że potrzebował dłuższej – jak mu się zdawało – chwili, by zrozumieć, czym jest lepka, ciepła ciecz, która pokrywa jego twarz i głowę. Otworzył usta do krzyku, lecz tak go trwożyła myśl o odniesionej ranie, że z zaciśniętej krtani dobył się tylko zduszony jęk.

– Nic ci nie jest, chłopcze? – Makarow także był zbryzgany czarną w blasku racy posoką.

Szarpnięty przez znacznie roślejszego dowódcę kadet został wbrew własnej woli postawiony na nogi. Nadal oszołomiony spojrzał po sobie, uniósł dłonie, poruszył głowę. Naciągnięte mięśnie bolały jak szlag, ale poza tym...

Obrócił się. Trzeci oficer leżał tam, gdzie padł. Na jego młodzieńczej twarzy wciąż dało się zauważyć wyraz zaskoczenia, z jakim skonał, przebity na wylot ułamkiem rozerwanej osłony. Szeroki na dłoń kawał metalu sterczał mu z jego cal poniżej lśniącego guzika kieszeni.

Bosman Rustaweli już przy nim klękał. Nie zbadał pulsu, jak robiono to w przypadku rannych, lecz od razu zamknął niewidzące oczy przełożonego.

– Sterburtowe stanowisko dowodzenia jest nieruszone. – Wskazał na przeciwny koniec mostka, gdzie stali pierwszy i drugi oficer flagowca.

– Telegraf działa? – warknął Makarow, przyklękając, ponieważ zbliżał się moment odpalenia kolejnej salwy.

Japończycy byli precyzyjniejsi od szwajcarskich zegarków.

– Działa – odpowiedział bosman, sprawdzwszy szybko urządzenie. – Busola też.

– Co z rurą głosową?

– Wygląda na nietkniętą – stwierdził z ociąganiem Rustaweli.

– W takim razie zostajemy – zdecydował admirał, gdy kolejny tysięczny grom przetoczył się po smolistym niebie, szczęśliwie omijając Pietropawłowska. – Pędź na dół, synu. – Makarow pochylił się, spojrzawszy z bliska w oczy Horodyńskiego. – W tobie nasza ostatnia nadzieja.

Andrzej zerwał się na równe nogi. Perspektywa zanurkowania pod pokład pancernika, między stalowe grodzie, nagle wydała mu się niezwykle kusząca. Dotarł do rury, którą wzorem strażaków mógłby się opuścić na śródkręcie, lecz zanim zdołał ją chwycić, jakaś niewidzialna siła pociągnęła go w tył.

– Czekaj!

Rustaweli trzymał go za kołnierz jak dzieciaka przyłapanego na kradzieży jabłek.

– Co wy...! – sapnął zaskoczony kadet, ale jego słowa utonęły w kolejnym huku, po którym wielki pancernik zadrżał niczym ranione zwierzę.

– Zjedziesz natychmiast po salwie, rozumiesz? – Żyłasty Gruzin zepchnął go z siebie. – Musisz wczekać, durak, inaczej zlecisz na pysk i kark skrećisz albo nogę.

– Tak jest – wymamrotał Andrzej.

Bosman wstał z zakrwawionego pokładu i nie prostując pleców, pobiegł w kierunku stanowiska dowodzenia. Przystanął tylko na moment, tuż przed kolejną lawiną ognia, by dać kadetowi znak.

Nie zdążył. Tym razem wróg użył ponownie pocisków odłamkowych. Setki ich eksplodowały równocześnie jakies pięćdziesiąt sążni nad kominami lecących w sąsiedniej linii

krążowników. Dziesięć razy mniej czarnych obłoków rozkwitło nad pancernikami, ale wystarczył jeden kawał rozgrzanego żelaza, by człowiek, który przed ćwiercią minuty ocalił życie młodego Polaka, został ścięty, jakby trafił pod gilotynę. Gorzej nawet, wirujący odłamek pozbawił go górnej części tułowia, pozostawiając tylko oderwane przedramiona i nogi, które ugięły się wolno, jakby uchodziło z nich powietrze, i padły na stalowe płyty, rozbryzgując wokół wnętrzości i krew.

Ośłupiały Andrzej zerknął na skulonego admirała. Zobaczył, że dowódca kiwa głową, przesyłając niemą, lecz czytelną prośbę. Sięgnął więc do rury, ale natychmiast cofnął ręce, ponieważ ostatnie słowa Rustawelego wciąż rozbrzmiewały mu w głowie. I ta okazja przepadła, ponieważ zbyt długo zwlekał z podjęciem decyzji. Przyjdzie mu teraz poczekać na następną salwę, ale czy zdoła ją przetrwać?

Los okazał się dla niego łaskawy. Ryk setek eksplozji był wystarczająco daleki, by Horodyński nie musiał obawiać się śmierci. Chwycił zatem rurę i krzyżując nogi, śmignął w dół.

Wiedział, jak zjeżdżać, ponieważ uczono go tego od samego początku szkolenia, a w dodatku niemal paniczny strach dodawał sił i wyostrzał zmysły, dzięki czemu nie przegapił żadnej z lamp sygnalizacyjnych. Po siedmiu odliczanych w głowie sekundach zacisnął mocniej nogi i wylądował na deskach środkowego pokładu nadbudówki, między dwoma stanowiskami gatlingów. Dopadł do najbliższej z osłon, czekając na kolejną salwę. Ta była znów bliższa, ale odłamki szczęśliwie poszły górą.

Od strony mostka nie dobiegły jednak żadne krzyki, konstrukcja także najwyraźniej nie została mocno naruszona. Horodyński zebrał się w sobie i pognął za załom pobliskiej nadbudówki. Po trzech krokach zatrzymał się jak wryty. Pomalowaną szarą farbą, pochyłą ścianę pokrywała krew, a wąskie przejście zagradzały poskręcane zwłoki.

Fiedotow, to musiał być on!

Andrzej nie poznał go po twarzy, ponieważ głowa kadeta była potwornie zmasakrowana, lecz zawinięta wokół złamanej w trzech miejscach nogi linka oraz miejsce spoczynku idealnie pasowały do nieszczęsnej ofiary pierwszej salwy.

Horodyński przełknął gęstniejącą w gardle ślinę. Dopiero ryk pobliskich eksplozji wyrwał go z niebezpiecznego stuporu. Przeżegnawszy się żarliwie, dopadł do kolejnej rury i zniknął w nieprzeniknionym mroku szybu ewakuacyjnego. Tym razem zjeżdżał nieco dłużej, pokonując całe czternaście sążni, które go dzieliły od głównego pokładu. Na dole nie czekał, po twardym lądowaniu pokuśtykał w kierunku najbliższej zejściówki, cały czas odliczając sekundy przybliżające go do następnej nawałnicy ognia i stali. Na sekundę przed atakiem – i potencjalnym trafieniem – znów przypadł do poręczy i chwycił ją mocno obiema dłońmi, przywierając policzkiem do zimnej ściany metalu.

Pietropawłowski zadrzał jak człowiek cierpiący na febrę. Na szczęście pancernik nie padł ofiarą ostrzału ciężkiej artylerii. Od jego wzmocnionego poszycia odbił się grad mniejszych pocisków, które nie miały szans na przebicie pancerza. To mogło oznaczać, że okręt wyszedł z zasięgu najcięższych baterii. „Dobra nasza”, pomyślał Andrzej, ruszając dalej. Zeskakiwał po kilka stopni naraz, odbijając się barkiem od ścian, by jak najszybciej dotrzeć do celu. Musiał jednak przeczekać jeszcze sześć salw, zanim znalazł się na najniższym z klaustrofobicznie ciasnych pokładów, między zężami, przy przedziale obserwacyjnym.

Zrozumiał, że coś jest nie tak, nim zdążył dobiec do ostatniego wjazdu. Ściany korytarza na tym odcinku były powyginane, jakby zrobiono je nie z grubej na pół cala stali, lecz z najzwyklejszego kartonu. Zza uchylonego stalowego skrzydła sączyły się strużki sinego dymu.

Horodyński przykucnął, oburącz łapiąc za drewniany uchwyt. Dobrze zrobił, ponieważ Pietropawłowski znów został trafiony potężniejszym pociskiem, najprawdopodobniej w któryś

z przedziałów dziobowych. Wielki okręt stanął dęba, jakby sztormował przez stustopową falę, po czym opadł ciężko, przechylając się równie mocno w dół. Trzeba było jeszcze kilku lżejszych wahnień, zanim żyroskopy stabilizatorów zdołały powstrzymać ten chocholi taniec. Miotany po całym korytarzu kadet w końcu poleciał prosto na właz. Wyrznął plecami o pokrętko zamka, ale miał więcej szczęścia od Fiedotowa. Złożony w tornistrze paraszut uchronił go przed bolesnym losem kolegi. Guz na głowie i rozorany łokieć były wyłącznymi pamiątkami tego zderzenia.

Gdy pancernik odzyskał stabilność, Andrzej odchylił z trudem właz i wcisnął się do dyspozytorni gondoli. Pomny niedawnego wypadku zaczepił karabińczyk o jedną z wciąż napiętych linek i przywarłszy do relingu, omiół wzrokiem kompletnie zniszczony przedział. W poszyciu dna po przeciwnej stronie ziała ogromna dziura, poskręcane pancerne blachy rozchylały się jak płatki wielkiego, nieforemnego kwiatu, otaczając szeroki na osiem stóp otwór, w którym kłębiły się podświetlane ogniem chmury. Po sterburtowych gondolach nie pozostał nawet ślad, cztery centralne natomiast spoczywały wciąż w swoich leżach, z tym że żadna nie nadawała się do użytku. Miedziane korpusy były mocno powgniatane, a bulaje, wytopione z grubego na kilka cali hartowanego szkła, poszły w drobny mak.

Z dwu aerosfer bakburty ostała się tylko jedna, ta, przy której przycupnął struchlały kadet. Drugie leże było puste, a zwisająca nad nim poskręcana linka kołysała się swobodnie, niczym nieobciążona.

– A ty tu czego szukasz?! – przez wycie wiatru przedarł się piskliwy, choć na pewno nie kobiecy głos.

Horodyński zadarł głowę. Ze sterowni nad nim wyglądał młody mężczyzna o wielkich oczach i osmalonej twarzy. Insignia przy jego kołnierzu wskazywały, że jest chorążym.

– Admirał mnie przysyła...! – odkrzyknął Andrzej, ale kolejna salwa nie pozwoliła mu dokończyć. Na jego szczęście, strzelający na oślep Japończycy przenieśli ogień dalej. – Macie opuścić kolejną

gondolę! Natychmiast! – dodał, widząc, że operator wyciągu nie reaguje.

– Zamelduj, że to niemożliwe! – padła w końcu odpowiedź.

– Musicie! – nie ustępował kadet, świadom, jak ważne jest to zadanie.

– Ślepyś, główniarzu?! – wydarł się bliski paniki chorąży. – Nie widzisz, co z nami zrobili?!

– Widzę, że macie jeszcze jedną sprawną gondolę! – Andrzej wskazał aerosferę, do której przywarł, by przeczekać kolejną salwę.

– A owszem, mamy – operator zarechotał dziko, gdy piekielny huk przycichł na tyle, by dało się go usłyszeć – tylko ludzie nam się skończyli, a bez nich gondola to nic więcej niż kawał złomu.

– A ty?

– Co ja? – Chorąży posłał mu wściekłe spojrzenie. – Ja ostatni zostałem! Sam siebie przecież nie opuszczę!

Horodyński przyjrzał się zdewastowanemu przedziałowi. Na powyginanej stali sporo było plam oleju, ale też krwi. Tu i ówdzie dostrzegł różowo-czarne strzępy, które wyglądały jak...

– Wszyscy zginęli? – zapytał, bojąc się nawet pomyśleć, jak na tę wieść zareaguje Makarow.

– Wszyscy. Nawet Dima się urwał. – Operator wskazał puste leże.

– Trzeba o tym zameldować – zadecydował Andrzej, rozglądając się po dyspozytorni.

Tuba rury głosowej znajdowała się na ścianie pod sterownią. Horodyński musiał przeczekać jeszcze jedną salwę, na szczęście także niecelną, zanim udało mu się wypiąć karabińczyk i dotrzeć do urządzenia. Sprawdził opisy przy drutach, po czym szarpnął za rączkę jednego z nich – raz, drugi, trzeci. Kolejne bezpośrednie trafienie rzuciło nim o ścianę, ale to musiał być mniejszy kaliber, ponieważ okręt nie wierzgnął tak mocno jak poprzednio.

– Tu mostek, meldujcie! – Ulżyło mu, gdy usłyszał zdławiony odległością głos dowódcy.

Wiceadmirał żył i trwał na posterunku.

– Dotarłem na miejsce – rzucił zwężle Andrzej.
– Andriusza? Jak wygląda sytuacja?
– Dyspozytornia gondoli została dokumentnie zniszczona. Bezpośrednie trafienie. Zginęli wszyscy prócz operatora wyciągu.
– Job twoju... – Makarow zaklął, ale dalszy ciąg tej wiązanki utonął w ryku eksplozji.
– Admirale?! – Wystraszony Horodyński przywarł uchem do tuby.
– Co z gondolami? – zapytał dowódca, kaszląc, jakby się dymu nałykał. – Ocalała jakaś?
– Jedna.
– Sprawna jest?
Andrzej odchylił się, spojrział w górę. Wskazując leże przy wejściu, powtórzył słowa admirała:
– Sprawna jest?
– Da! – odwarknął chorąży.
– Tak – przekazał na mostek Andrzej.
Chwilę zajęło, nim dowódca zareagował. Po mniej celnym ostrzale wroga Makarow odezwał się znowu.
– Wiem, że proszę o wiele... – Andrzej struchlał – ale w tobie, synku, ostatnia nadzieja.
– Ja...
– Wiesz, jak obsługiwać dalmierz?
– Tak, ale...
– Wykonać! – Po tym rozkazie, który zmroził kadeta od stóp do głów, padło jeszcze jedno zdanie, wypowiedziane znacznie łagodniejszym tonem. – Nie zawieź mnie, chłopcze.
Ociągając się, Horodyński wrócił pod leże gondoli. Tak, na szkoleniu uczono go, jak obsługuje się dalmierz, lecz nigdy tego nie robił w warunkach bojowych. U licha, nie wiedział nawet, jak wejść do tej piekielnej aerosfery.
– Kazali ci zejść? – domyślił się operator.
Andrzej przytaknął.

– Jak mus, to mus. – Chorąży pokręcił z niedowierzaniem głową. – Wsiadaj.

– Ale jak?

– Na szczycie gondoli jest pokrętło, widzisz je? – zawołał chorąży, wskazując ręką pomalowane w żółto-czarne pasy kółko.

– Tak.

– Kręć do oporu, a gdy kryza odskoczy, odciągnij pokrywę wjazdu.

Horodyński wykonał to polecenie i następne. Zdjął też paraszut, ponieważ nawet młodzieniec tak drobnej budowy nie zmieściłby się w ciasnym włązie z wielkim tornistrem na ramionach. Po kolejnym wstrząsie opuścił pokrywę, opadł ciężko na fotel i zapiął uprząż. Przeczekał niecelną salwę i szybko sięgnął do pokrętła, by uszczelnić gondolę. Był gotowy – przynajmniej z technicznego punktu widzenia, zdrowy rozsądek bowiem podpowiadał mu, by rzucić wszystko w diabły, zapomnieć o wojnie, smokach i całej reszcie. Wystarczyło przecież wyjść z tej miedzianej pułapki, założyć paraszut i skoczyć. Choćby przez otwór wyrwany w dnie pancernika. Przebije się przez zasłonę chmur...

Jeszcze sekunda i zrobiłby to, nie bacząc na gniew przełożonych. Już sięgał dłonią do klamry, żeby uwolnić się z pasów trzymających go w fotelu, lecz operator nie zwlekał.

Zaczep uległ zwolnieniu i gondola wysunęła się z lejowatego leża. Andrzeja zatchnęło, w jednej sekundzie miał wokół siebie metalowe ściany, w drugiej sunął przez rozgwieżdżone nocne niebo, a w trzeciej przestrzeń poszarzała, zacisnęła się wokół aerosfery, jakby świat przestał istnieć. Zasłona chmur była bardzo gruba, opadanie trwało więc całą wieczność, przynajmniej z punktu widzenia siedzącego w gondoli człowieka. Gdyby nie ból w urażonym łokciu, Horodyński mógłby pomyśleć, że to wszystko majaki, że zabłąkany pocisk odesłał go w niebyt, za Fiedotowem, bosmanem Rustawelim i porucznikiem Borysowem.

Nagle, bez ostrzeżenia, nieprzenikniona czerń ustąpiła morzu światła. Żółte i białe ogniki ciągnęły się hen, po horyzont, a gdy

Andrzej przeniósł wzrok na bulaje w dolnej części aerosfery, dostrzegł siedliska pożarów wznieconych ostrzałem z okrętów zjednoczonej floty. Dziesiątki nowych eksplozji rozjaśniały mrok co sekundę, ale żadna nie sięgnęła właściwego celu. Bastiony Kręgu Śmierci znajdowały się dużo dalej.

Dalej...

Do Horodyńskiego dotarło, że nadal jest opuszczany. Rozejrzał się panicznie po kokpicie gondoli. Trudno było przeoczyć wielki czerwony przycisk. Nie poczuł mocnego szarpnięcia, którego podświadomie się spodziewał. Mechanizm hamujący spowolnił opadanie, aby aerosfera nie rozkołysała się nadto, uniemożliwiając obserwatorowi szybkie pomiary.

Ukryte w kazamatach działa zionęły ogniem. Płomienie wydobyły się z setek luf równocześnie. Widząc to, kadet skulił się odruchowo, zasłaniając rękami oczy, lecz niosące śmierć i zniszczenie pociski tym razem poszybowały w odleglejsze partie ołowianych chmur. Zyskał piętnaście sekund na skupienie myśli i wzięcie namiaru. Ustawił pośpiesznie przyrząd, notując wartości uzyskane przy obu największych wychyleniach gondoli, po czym wyliczył średnią i zapisawszy ciąg cyfr w przytwierdzonym do pulpitu brulionie, sięgnął do klucza telegrafu.

Podając współrzędne, nie wiedział, czy informacje docierają do kogokolwiek, ale jego niepewność nie trwała długo. Zanim skończył wystukiwać czwarty meldunek, dostrzegł w dole istotne zmiany. Okręty przenosiły ogień, już nie strzelały na chybił trafił. Coraz więcej ognistych kul pojawiało się wokół bastionów i na nich samych.

– Tak! – zacisnęła pięść w geście triumfu, naśladowując Makarowa, gdy zobaczył na ziemi znacznie jaśniejszy rozbłysk.

Któryś pocisk musiał trafić w magazyn amunicji. Andrzej zameldował o tym fakcie temu, kto siedział po drugiej stronie drutów. Moment później z nieba posypał się grad ciemnych przedmiotów. Leciały ku ziemi długimi, przerywanymi liniami.

Zdziwił go ten widok, lecz po paru sekundach zrozumiał, że patrzy na bomby beczkowe, wystrzeliwane z pokładów niszczycieli.

Ziemię zdobiły już nie pojedyncze kwiaty eksplozji, ale całe ich rzędy. Dziesiątki wielkich bomb spadały tuż obok siebie, tworząc tunele zniszczeń, wewnątrz których nikt i nic nie mogło ocaleć. W dół poszły też pierwsze torpedy parowe, najpotężniejsza broń, jaką dysponowały mniejsze jednostki floty. Długie cygara, malejące w oczach z każdym uderzeniem serca, ciągnęły za sobą pióropusze gęstego dymu. Zamiast spadać łagodnym łukiem, parły prosto na wskazany cel, nierzadko pod bardzo ostrym kątem.

Andrzej z szeroko otwartymi ustami przyglądał się dziełu zniszczenia, którego był współautorem. Wisząc pięćset albo i tysiąc sążni nad ziemią, widział wszystko jak na dłoni: baterie obronne, które przyniosły tyle zniszczeń okrętowi flagowemu; rozjaśnione ulicznymi latarniami kwartały mieszkalne; czarne kontury zatoki i światła pozycyjne płynących przez nią statków. W oddali dostrzegł także wielką ciemną plamę w morzu światła. Tam właśnie znajdował się główny cel zjednoczonej floty. Tokio miało zginąć razem ze swoim panem. Człowiekiem, a raczej potworem, który postanowił najpierw podbić, a potem zniewolić cały świat.

Zatopiony w myślach Horodyński dostrzegł nagle jeszcze coś. Z ziemi wystrzeliły w niebo dziesiątki kolumn ostrego, białego światła. Poruszały się szybko, przecinając ciemności, jakby czegoś szukały. Muskały zasłonę chmur, z której przestał już padać deszcz. Na razie szperały daleko od gondoli, lecz z każdą chwilą ich przybywało.

Reflektory przeciwlotnicze! Obrońcy się zorientowali, że wróg skorzystał z podpowiedzi obserwatorów i szykuje się na kolejną fazę ataku, którą będzie nalot na leżący pięć wiorst dalej pałac cesarski i okalające go centralne dzielnice miasta.

„Czas wracać”, uznał Andrzej w duchu i pociągnął za rączkę sygnalizatora. Artylerzyści otrzymali dokładne współrzędne,

wiceadmirał zyskał pełne rozeznanie w sytuacji. Dalsze wiszenie pod chmurami mogło skończyć się dla kadeta tragicznie.

Chorąży, którego nazwiska nawet nie poznał, na dany znak włączył wciągarkę, lecz pracowała przeraźliwie wolno, wybierając stalową linę z prędkością sennego chłopa czerpiącego wodę ze studni. Horodyński zaklął w myślach, powtarzając słowa podchwyczone od rozwścieczonego Makarowa. Zostawił paraszut w przedziale obserwacyjnym, nawet go nie zabezpieczając. Nie dość, że pozbawił się szans na ratunek z tej pułapki, to jeszcze po powrocie będzie skazany na łaskę losu. Jeśli Pietropawłowski podzieli los nieszczęsnej korwety i dziesiątek innych okrętów, które zostały do tej pory zniszczone...

Wzdrygnął się na tę myśl.

Reflektory przeczesywały chmury już tylko sto sążni od niego, a miedziana kula unosiła się coraz wolniej. Nie patrzył w dół, nie obserwował konwulsyjnych ruchów świetlistych promieni. Zadarł głowę, skupiając wzrok na szarej kipieli. Nie umiał jednak ocenić, jaka odległość dzieli go od względnego bezpieczeństwa.

Bezpieczeństwa?

Czy okręt trafiany raz po raz przez eksplodujące pociski jest wiele bezpieczniejszy od wystawionej na widok mikroskopijnej bańki z metalu i szkła? Horodyński szczerze w to wątpił, ale i tak nie potrafił oderwać wzroku od chmur. Raz tylko zerknął na płonące miasto, gdy wydało mu się, że część światła w oddali przesłonił jakiś cień. Zaskoczony rozejrzał się wokół, lecz w powietrzu prócz aerosfery nie było nic. Sekundę później zrozumiał, że musiało to być pasemko pary, jedno z tych, które sunęły tuż pod powierzchnią potarganych chmur.

Z wielką ulgą zanurzył się w ciasnej szarości, ale właśnie wtedy Pietropawłowski został ponownie trafiony, i to potężnie. Gondola podskoczyła jak szarpnięte ręką dziecka jojo, po czym opadła o kilka sążni. Gdyby nie uprząż, Andrzej zostałby rozsmarowany na kanciastych przyrządach. Modląc się w duchu, czekał na

ustabilizowanie aerosfery, a gdy zaczęła się leniwie kołysać, zauważył coś, co wcześniej umykało jego uwadze.

Nie posuwał się już do góry! Tkwił uwięziony pośród chmur, między niewidocznym okrętem i równie niedostrzegalną ziemią. W miejscu, skąd nie mógł zobaczyć nic, nawet nadciągającej z którejkolwiek strony śmierci. Siedział przez dłuższą chwilę nieruchomy, zdjęty strachem. Nie poddał się jednak panice, choć był tego bliski. Musiał coś wymyślić, i to szybko, jeśli nie chciał zginąć.

Co o takich sytuacjach mówiono na szkoleniu? Jakie rozwiązania podsuwano? Był zbyt zdenerwowany, by jasno rozumować, lecz gdy spoczął wzrokiem na pokrętle zamykającym kokpit, jego umysł nagle zaskoczył. Obserwator nie mógł poruszyć ciężkiej gondoli siłą własnych mięśni, a liny, rozszczipionej pięć stóp nad włazem i przyśrubowanej w trzech miejscach do powierzchni aerosfery, nie dałoby się zwinąć od spodu.

Jedynym wyjściem było zatem opuszczenie zacisznego wnętrza kuli i wspięcie się na okręt. To albo cierpliwe czekanie, aż ktoś naprawi wciągarkę. Na drugie raczej nie mógł liczyć, niemniej wchodzenie po linie bez żadnego zabezpieczenia...

Od przedziału obserwacyjnego nie dzieliło go już wiele, pojął to, gdy zauważył, że kołysanie gondoli szybko wygasa. Jaka odległość dzieliła go od okrętu? Dwadzieścia stóp, trzydzieści? Chyba nie więcej, ale nawet taka wysokość wydawała się nie do pokonania, zwłaszcza że ostrzał nadal nie słabł. Jedno bezpośrednie trafienie w kadłub pancernika... Horodyński skulił się na myśl o locie ku odległej ziemi.

Co robić?!

Wyciągnął drżącą dłoń, chwycił pokrętło i... na tym poprzestał. Gondolą zatrzęsło tak mocno, że mało brakowało, by zwymiotował. Los dawał mu jednoznacznie do zrozumienia, że wspinaczka to nie najmądrzejszy pomysł. Skulił się więc w fotelu, nie mając bladego pojęcia co dalej. Jak mógłby dać komuś z załogi znać, że tkwi tutaj samotny, uwięziony?...

Telegraf!

Wystukał alfabetem Morse'a wezwanie o pomoc. Tylko ta forma kontaktu z pancernikiem przychodziła mu na myśl. Chwilę wcześniej ktoś przecież odebrał namiary, istniała więc szansa, że...

Kolejny wstrząs, jeszcze mocniejszy. Andrzej przeżegnał się trwożliwie. Ile bezpośrednich trafień wytrzyma flagowiec Makarowa? Cavoryt nie pozwoli mu spaść, wręcz przeciwnie, jeśli pociski oderwą wystarczająco dużo stali, którą obudowano komory wypełnione metalem trzystukrotnie lżejszym od powietrza, wrak wejdzie w dryf wertykalny i uniesie się wysoko w niebo, aż na skraj atmosfery, gdzie powietrze jest tak rzadkie, że nie da się nim oddychać, i o wiele zimniejsze niż w Arktyce. Tam zginą ci, którzy przetrwają wcześniejszą katastrofę i nie ewakuują się w porę. Los ten spotkał tysiące marynarzy i oficerów w ciągu trzydziestu lat dzielących bitwę, w której brał udział, od zbudowania pierwszej latającej jednostki bojowej.

Andrzej przestał zwracać uwagę na powtarzające się szarpnięcia, a miotnęło nim z dziesięć razy, zanim poczuł, że nastąpiła jakaś zmiana. Spojrzał w górę z nadzieją, lecz gondola w tym samym momencie zaczęła spadać. Tak, spadać – nie było to już kontrolowane opuszczanie, ale swobodny lot, jakby lina się urwała.

Horodyński najpierw zakwilił, a potem, gdy już wypadł spomiędzy chmur, skulił się instynktownie, nie chcąc widzieć, co go czeka. Kolejne szarpnięcie, ostre, po którym gondola zatańczyła dziko, nie jak jojo, lecz raczej jak kręcona przez znudzone dziecko zabawka. Tym razem Andrzej nie zdołał się powstrzymać, nadtrawione resztki zjedzonego trzy godziny wcześniej skromnego posiłku zapaskudziły panel oprzyrządowania i część bulajów.

Po wstrząsach zaczęło się kołysanie, także znacznie silniejsze od tego, którego doświadczył przedtem. Miał takie wrażenie, jakby posadzono go na gigantycznej... karuzeli? To nie były zwykłe wychylenia, w ich trakcie bowiem gondola zataczała nieregularne

kręgi. Czuł to wyraźnie. Właśnie ten ruch wzmagał odruch wymiotny.

Horodyński otworzył oczy. Tak, błędnie go nie mylił. Gdy spojrzął w dół, spostrzegł, że miasto i znajdująca się w jego centrum czarna dziura są teraz nie – jak wcześniej – po prawej, lecz dokładnie na wprost. Pietropawłowski wykonał zwrot na sterburtę. To oznaczało jedno. Rozpoczynała się decydująca faza nalotu. Nawet strach nie zdołał stłumić ciekawości rodzącej się w młodym kadecie. Andrzej obrzucił wzrokiem znajdującą się pod jego stopami panoramę. Przedmieścia Tokio płonęły. Jedna trzecia bastionów chroniących stolicę od strony zatoki legła w gruzach, ale baterie tych, które ocalały, wciąż zdolne były do zadawania podniebnemu wrogowi potwornych strat. Tysiąc luf wypluwało co ćwierć minuty taką ilość stali i dynamitu, że wystarczyłoby ich na stoczenie największej bitwy minionego stulecia.

Polak przyglądał się temu wszystkiemu z otępieniem, którego nie mógł zrozumieć. Odnosił przy tym wrażenie, że w jego głowie znajdują się obecnie dwie jaźnie: jedna bierna, przyglądająca się wszystkiemu z rezygnacją, i druga, aktywna, krzycząca, że trzeba coś zrobić, ratować życie. Trwał w takim zawieszeniu przez kolejne dziesięć salw – teraz czas płynął odmierzany ich rytmem – a potem...

To szarpnięcie było inne, lecz też znajome. Poczuł, że porusza się nie tylko na boki, ale i w górę. Zadarł głowę, niestety za szczytowym bulajem widział wyłącznie linię niewiele się różniącą kolorem od szarej skłębionej waty. Co nie oznaczało, że gondola nie sunie ku pancernikowi. Unosiła się równie wolno jak poprzednio, ale za to bez ustanku. Jeszcze chwila i Horodyńskiego znów otoczyły chmury, a moment później...

Nie wściekł się, nie wyklinał na wszystko i wszystkich, kiedy aerosfera zatrzymała się ponownie, zanim dotarła do celu. Taki jest właśnie los – drań, który daje i odbiera, szczególnie wtedy, gdy cieszysz się przedwcześnie. Krzywiąc się z odrazą, Andrzej spojrzął jeszcze raz w górę. Wszechobecna szarość, w której zniknęła lina, nie

była już jednolita. Tu i ówdzie dostrzegał ciemniejsze plamy, jakby... Nagle, na moment tylko, opary ustąpiły, odsłaniając znajdujący się na wyciągnięcie ręki lejowaty wylot tunelu prowadzącego do przedziału obserwacyjnego.

Dolna krawędź ażurowej konstrukcji zaczynała się nie dalej niż dwa sążnie od miejsca, w którym linę rozdzielono na trzy cieńsze pasma. Mógłby dotrzeć do niej w mniej niż piętnaście sekund, gdyby tylko dobrze wyliczył moment. Mógłby, ale... czy zdoła się utrzymać, jeśli trafiony okręt wierzgnie jak wcześniej? Zadając sobie to pytanie, zwrócił uwagę na fakt, który umykał mu od dłuższej chwili. Ostrzał ustał. Nie, nie ustał, trwał, lecz Japończycy skoncentrowali teraz ogień na innej części formacji. Ława niszczycieli musiała wyjść już przed chmury, a wróg wolał atakować widoczne cele, zamiast posyłać pociski na ślepo.

Horodyński rozpiął uprząż, szybkim ruchem odryglował właz. Podciągnął się na szczyt gondoli, stanął na niej niepewnie, walcząc z porywami wiatru, po czym wszedł na obejmę, która zabezpieczała miejsce rozszczepienia liny, i zaczął się wspinać ku majaczącemu nad głową kadłubowi pancernika. Strach i nadzieja dodawały mu siłę, ale że nie miał ich tyle, ile dorośli mężczyźni, palenie w płucach i ból w ramionach bardzo szybko zgasiły młodzieńczy zapał.

Zwisł na linie mniej więcej w połowie dystansu dzielącego atmosferę od leża. Każde uniesienie rąk sprawiało agonálny ból, ale musiał coś zrobić, nie mógł przecież wisieć tutaj, aż odpocznie. Pietropawłowski za minutę albo dwie także opuści kryjówkę, a jego potężny kadłub z pewnością skupi na sobie uwagę większości artylerzystów.

Już pierwsze trafienie oznaczałoby pewną śmierć dla tego, kto bliski omdlenia wisi nad przepaścią.

Szczęście nie opuszczało jednak Andrzeja. Najwyraźniej wiceadmirał wydał rozkaz zmiany kursu, gdyż bezwładność towarzysząca temu manewrowi zakołysała gondolą. Nie na tyle mocno, by zrzucić trzymającego się kurczowo liny kadeta, ale

wystarczająco, by mógł dosięgnąć kratownicy leja. Miał tylko jedną szansę i nie zmarnował jej. Zaciskając mocniej nogi, wyciągnął prawą rękę i wsunął ją aż po łokieć między polerowane rury. Złapał się tak mocno, że nawet szarpnięcie oddalającej się szybko liny nie posłało go w mglistą czeluść.

Nie czekał, przesunął się w bok, ledwie znalazł oparcie dla stopy – byle zejść z drogi rozchwianej gondoli. Lina po wykonaniu pełnego wahnięcia uderzyła z dźwięcznym klanguem o metal niespełna arszyn od wiszącego kadeta, który już nabierał tchu, by kontynuować wspinaczkę.

Zerkając nerwowo przez ramię, przesuwał się od czasu do czasu na boki, by nie zostać strąconym, lecz już pięć sążni wyżej przestał się obawiać. Zwisająca z wyciągarki lina, choć wciąż rozkołysana, już go nawet nie muskała. Podciągnął się na ostatni pierścień kratownicy, po czym zawisł na nim, dysząc ciężko. Jeszcze jeden zryw i opadł bezwładnie na śliski pokład.

– Ty... żyjesz?! – Chorąży wychylił się ze sterowni. – Mołodiec! A już myślałem, że i po tobie. – Wyszczrzył zęby, ale zaraz się skrzywił. Długa rana na okopconym policzku musiała nieludzko piec.

– Gdzie mój paraszut? – Horodyński rozejrzał się po przedziale.

Nie zamierzał przebywać w dennej części kadłuba dłużej, niż to konieczne. Zaraz zacznie się celniejszy ostrzał, a wtedy lepiej znaleźć się kilka pokładów wyżej.

– Diabli go wzięli, jak całą resztę. – Operator machnął ręką z rezygnacją.

Andrzej nie słuchał jego dalszych narzekań. Zasalutował, jak należało, po czym nie oglądając się nawet, pognał w kierunku włazu i znajdującej się za nim zejściówki. Droga powrotna zajęła mu więcej czasu, mimo że nie musiał przystawać co piętnaście sekund, by nie dać się zmieść kolejnej salwie. Był potwornie znużony, pot zalewał mu oczy, a umęczone płuca pozwijały się w trąbki – takie przynajmniej odnosił wrażenie przy każdym głębszym oddechu.

Zdołał jednak dotrzeć na główny pokład, a potem wyżej, do miejsca, w którym leżał Fiedotow.

Tam musiał przystanąć – nie tylko po to, by odsapnąć. Nieżyjący kadet miał przy sobie pełne wyposażenie, w tym nienaruszony tornister z paraszutom. Marynarze z pobliskiego stanowiska obrony przyglądali mu się z odrazą, kiedy przewracał martwego chłopaka. Myśleli pewnie, że jest jednym z tych, którzy okradają zwłoki poległych, ale odwrócili wzrok, gdy zobaczyli, że zostawia kieszenie martwego kolegi w spokoju, zadowolając się brakującym sprzętem.

ROZDZIAŁ 2

Horodyński dotarł na mostek na chwilę przed tym, nim Japończycy dostrzegli Pietropawłowska. Ku jego wielkiej uldze, Makarow trwał niewzruszenie na posterunku. Gdy zdyszany kadet otwierał wąż, siwobrody dowódca wydawał właśnie kolejne rozkazy, pochylając się nad tubą rury głosowej. Nie był jednak sam. Poległego Borysowa zastąpił drugi oficer, a Rustawelego inny bosman, którego Andrzej znał tylko z wyglądu.

Zaaferowany wiceadmirał nie od razu spostrzegł wracającego chłopaka, ale gdy odwracał się, by powiedzieć coś porucznikowi Aksjonowowi, na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, który szybko ustąpił szerokiemu, szczeremu uśmiechowi.

– Ty żyjesz, Andriusza! – Makarow udał, że nie zauważył zaschniętych wymiocin na bluzie witanego wylewnie kadeta. – Jeśli wyjdziemy cało z tej piekielnej batalii, osobiście zarekomenduję cię do odznaczenia! – zagrzmiął, po czym pokręcił z niedowierzaniem głową. – Dokonałeś niemożliwego, chłopcze. Niemożliwego.

Horodyński wyprężył się jak struna. Milczał, ponieważ nie chciał, by czar tej chwili prysnął z powodu głupiej lub trywialnej odpowiedzi. Dowódca nie mógł poświęcić mu więcej czasu. Operacja Zgasić Słońce wkraczała właśnie w decydującą fazę.

Nowy plan nalotu zakładał, że lecące na czele formacji eskadry niszczycieli zwiążą walką jak największą część bastionów Kręgu Śmierci, by ustawione w drugiej linii pancerniki mogły wykorzystać powstały chaos i zadać obrońcom miasta druzgocące uderzenie, otwierając tym samym szeroki na kilka wiorst wyłom, którym dywizjony krążowników bombardujących przedostaną się nad centralne dzielnice i wciśnięty między nie kompleks pałacu cesarskiego.

Zjednoczona flota zdołała wykonać rozkaz pomimo ciężkiego ostrzału i sformowała nowy szyk bojowy, tracąc podczas tego

manewru dwadzieścia cztery jednostki, w tym trzy krążowniki i jeden z brytyjskich pancerników, który najpierw został staranowany przez rozerwany eksplozją kotłów francuski okręt liniowy, a potem sam nadział się burtą na flagowiec Kaisera. SMLS Posen, chluba Himmelflotte, był zbyt wielki, żeby wykonać szybki unik, choć trzeba przyznać, że grossadmiral von Tirpitz zachował zimną krew i zdołał ocalić własną jednostkę od niechybnej zguby.

Pozbawiony płetw sterowych HMAS Audacious skręcił bowiem ostro na sterburtę, pakując się prosto pod dziób cięższej o dziesięć tysięcy ton jednostki, ale Niemcom udało się odbić w górę, choć nie na tyle, by całkowicie uniknąć kolizji.

Posen wyszedł z tego zderzenia z pokiereszowanym dnem na odcinku niemal stu stóp. Stracił też cztery z ośmiu baterii podburtowych, ale to było nic w porównaniu ze szkodami, które ponieśli Brytyjczycy. Poprzeczny napór niemieckiego olbrzyma wywrócił Audaciousa do góry stępką, przypieczętowując zagładę dumnej jednostki. Kotły parowe eksplodowały bowiem jeden po drugim, unicestwiając ten wspaniały okręt i w okamgnieniu zabijając niemal całą załogę.

Pięćdziesiąt osiem okrętów z ponad trzystu, w tym głównie jednostki eskorty. Bardzo niska cena za przedarcie się nad stolicę znienawidzonego wroga, ale wszyscy, którzy wciąż żyli, zdawali sobie sprawę, że to tylko przygrywka czy też raczej początek koszmaru. Niemal sto dalszych niszczycieli i krążowników zostało uszkodzonych, zanim zmieniająca kierunek flota wyszła przed czoło frontu burzowego.

Horodyński, daleki od myślenia o tak wzniosłych sprawach, zajął miejsce zastępującego go kadeta, który jak się okazało, wcale nie miał mu tego za złe. Przebywanie na otwartej przestrzeni w trakcie tak zaciętej bitwy większości marynarzy wydawało się czystym szaleństwem, lecz wiceadmirał nie dbał o to, co myślą podwładni. Ważniejsze było jego osobiste doświadczenie, wyniesione z kilkunastu podobnych starć, mówiące, że śmierć zbiera obfite

źniwo zarówno spośród tych, którzy kryją się w – ich zdaniem bezpiecznych – kazamatach, jak i spośród marynarzy obsługujących otwarte stanowiska bojowe.

Jeśli tkwiłeś pomiędzy stalowymi ścianami, byłeś chroniony przed odłamkami i pociskami, ale gdy okręt otrzymywał śmiertelne trafienie, ginąłeś razem z nim, ponieważ nie miałeś najmniejszych szans na opuszczenie płonącego i niekiedy obracającego się w niekontrolowany sposób wraku. Przebywanie na pokładach niesło wiele innych zagrożeń, to fakt, lecz gwarantowało także cię szansy na skorzystanie z parasuta. A to warte było zdaniem Makarowa podjęcia każdego ryzyka.

Horodyński nie miał jednak czasu na roztrząsanie tego typu kwestii. Pietropawłowski wychodził właśnie poza ławę chmur. Przeczesujące niebo szperacze natychmiast omiotły jego poharatane dno i burty, posyłając roztańczone cienie na wszystkie nadbudówki.

– Przygotować się na bezpośredni ostrzał!

Rozkaz przetoczył się stukrotnym echem przez wszystkie pokłady. Andrzej, słysząc go, zerknął na zwisający luźno karabińczyk. Zaklął pod nosem na własne niedbalstwo i drżącą dłonią przypiął się do najbliższej linki.

Za osłoną mostka nie kłębiły się już ołowiane obłoki. W dole widział to samo miasto, na które napatrzył się z aerosfery. Teraz jednak miał je przed sobą całe, niepodzielone na kręgi ograniczone przez bulaje.

Korzystając z ostatnich chwil względnego spokoju, wychylił się mocniej, by – podobnie jak uczynił to wiceadmirał – rzucić okiem na nabrzeżne dzielnice. Większość terenów leżących za bastionami Kręgu Śmierci stała już w ogniu, co nie zaskoczyło nikogo, ponieważ wszyscy wiedzieli, że japońskie domy są budowane niemal wyłącznie z drewna i stoją gęsto upakowane przy wąskich uliczkach. Mimo to ludzie czuli się nieswojo, spoglądając z wysokości niemal dwu wiorst na rozpętane przez siebie ogniste piekło.

Prawie połowa bastionów znajdujących się na południowy zachód od centrum Tokio została zniszczona, ale to przecież tylko ósma część artylerii, dzięki której Japończycy bronili dostępu do swoich najświętszych miejsc. Odleglejsze bastiony szykowały się właśnie do otwarcia ognia, jeśli nie zaraz, to w najbliższych minutach, gdy atakujące okręty wleczą w ich zasięg.

Na odprawach poprzedzających misję Horodyński słuchał uważnie tego, co mówiono. Wróg rozmieścił baterie tak, by wszystkie mogły sięgnąć najeźdźcy, zanim ten zagrozi pałacowi. Jeszcze wiorsta, może jej połowa, dzieliła czoło formacji od miejsca, w którym awangarda zjednoczonej floty trafi na zmasowany ogień sześciu albo nawet ośmiu tysięcy dział, do tej pory niebiorących udziału w walce. Już sama ich liczba mogła przyprawić człowieka o mdłości, a co dopiero świadomość, że stoi się w kałuży nie do końca zaschniętej krwi towarzyszy broni, którzy polegli na tym mostku zaledwie kwadrans wcześniej.

Andrzej nie miał zegarka. Nie stać go było na takie precjoza, a chronometr wiszący nad wejściem do sterówki uległ zniszczeniu w trakcie ostrzału. Kadetowi wydawało się jednak, że od rozpoczęcia starcia nie minęło wiele czasu, choć oczywiście mógł się mylić. Uwięziony w gondoli odnosił wrażenie, że mija wieczność. Zarazem to, że cięższe okręty wciąż wychodziły z frontu burzowego, sugerowało, iż od początku bitwy upłynęło zaledwie kilka minut.

Skonfundowany Horodyński wzdrygnął się bezwiednie, gdy wokół zaczęły eksplodować pociski.

– Przechył ogniowy osiem stopni na sterburte! – wykrzyczał w tubę rury głosowej Makarow.

Pietropawłowsk nie był pierwszym okrętem, który powtórzył efektowny manewr przypisywany sir Robertowi Harrisowi. Jeśli wierzyć źródłom, wykonano go w roku 1898 podczas bitwy powietrznej o Malte. Ostrzeliwany z atakowanej twierdzy brytyjski pancernik HMAS Revenge stracił niemal całą artylerię podburtową, co mogłoby sugerować, że nieustraszony podniebny łowca stanie się

za moment bezbronną ofiarą. Pomysłowy kontradmirał nie stracił jednak głowy i polecił sternikom, by wymusili na okręcie przechył na bakburtę sięgający aż dwudziestu stopni – była to granica bezpiecznego wychyłu dla kotłów drugiej generacji – po czym otworzył ogień do naziemnych bastionów z dział pokładowych, co pozwoliło mu na równoczesne zaangażowanie wszystkich czterech armat kalibru trzysta czterdzieści trzy milimetry i połowy z dziesięciu stopięćdziesiątekdwójek, nie wspominając o odpaleniu torped, wtedy jeszcze nie dysponujących napędem umożliwiającym pokonanie liczonych w milach odległości, ale i tak siejących ogromne spustoszenie w umocnieniach.

Taktyka ta okazała się na tyle skuteczna, że weszła do podręczników sztuki wojennej i choć nie stosowano jej często – zwłaszcza teraz, gdy nowoczesne okręty zaczęto budować według znacznie śmielszych i efektywniejszych projektów – to Andrzej mógłby wymienić z pamięci co najmniej pięć przykładów efektywnego jej użycia.

Makarow nie szarżował. Gdyby wymagała tego sytuacja, mógłby nakazać przechył rzędu trzydziestu stopni, ale na szczęście nie musiał tego robić. Jego celem były bowiem trzy bastiony biegnące przez znajdującą się w pewnej odległości dzielnicę Azabu. Okręt, posłuszny sternicom kierunkowym, położył się łagodnie na bakburcie, po czym odpłacił pięknym za nadobne najbliższemu z długiego ciągu dwunastu niemal identycznych fortów. Kazamaty w dole także rozbłysły dziesiątkami ogników odpalanej salwy, lecz zanim blask zdołał przygasnąć, w tym samym miejscu rozkwitły znacznie większe pióropusze ognia.

Trzystupięćmilimetrowe działa rozniosły w strzępy baterię pośrodku bastionu. Stopięćdziesiątkidwójki spotęgowały chaos, ale to nie wystarczyło do uciszenia obrońców. Piętnaście sekund później w niebo pomknęło ponad sto pocisków, z których trzecia część przeznaczona była dla majestatycznego carskiego pancernika.

Japońscy celowniczości mieli na szczęście problem ze starannym wymierzeniem w ledwie widoczny cień na niebie, dzięki czemu tylko cztery pociski trafiły w okręt. Jeden rozniósł w drzazgi tylny maszt antenowy, dwa inne weszły w burtę, nie czyniąc większych szkód wewnątrz kadłuba, a czwarty uderzył w dziobową podburtową wieżę artyleryjską. Amunicja tego kalibru nie była w stanie przebić grubego pancerza, jakim chroniono komorę artyleryjską, lecz niestety impet wybuchu zdołał wyrwać lufę z leża.

Wiceadmirał obserwował tę scenę oparty o boczną osłonę mostka. Andrzej przywarł do ściany metalu tuż obok niego, ponieważ było to w tej chwili jedyne miejsce po tej stronie stanowiska dowodzenia, które pozwalało utrzymać się na nogach. Porucznik Aksjonow wycofał się wcześniej aż pod nadbudówkę, gdzie przycupnął na zejściówce za załomem ściany. Okupujący przeciwległy kraniec mostka pierwszy oficer i towarzyszący mu kadeci musieli skorzystać z linek zabezpieczających, na których zawisli bezradnie, czekając na wyrównanie poziomu. Cała trójka przypominała w tym momencie alpinistów odpoczywających na skalnej ścianie przed kolejnym atakiem na stromy szczyt.

Wsparcie ciężkiej artylerii kilkunastu pancerników, których dowódcy postanowili skopiować manewr carskiego flagowca, przyniosło szybkie i spodziewane rezultaty. Trzy z ostrzeliwanych bastionów zostały obrócone w perzynę, dwa dalsze prowadziły wciąż ostrzał, ale ich baterie zostały mocno przetrzebione. To jednak uspokoiło sytuację tylko na chwilę, z każdym pokonanym sążniem bowiem okręty zbliżały się do kolejnego piekielnego kręgu.

Niebo przed lecącymi w pierwszej linii niszczycielami zakotłowało się nagle, jakby na wprost zjednoczonej floty uformował się nowy front burzowy. Kłęby dymu rozkwitały na rozgwieżdżonym firmamencie tysiącami, a płonące w ich wnętrzu ognie gorzały jaśniej od błyskawic. Do walki włączyła się już ponad połowa bastionów. Pięć tysięcy luf albo i więcej. Takiej koncentracji ognia nie sposób przetrwać, o czym przekonali się w ciągu następnej

minuty marynarze z ponad trzydziestu jednostek, które zostały unicestwione. Kolejne smukłe kadłuby znikwały w ogromnych kulach ognia; niszczyciele i korwety rozpadały się na miliony fragmentów, jakby nie zrobiono ich ze stali, lecz z kruchego szkła.

– Równać! – zawołał Makarow po trzeciej salwie burtowej, dając jednocześnie umówiony znak ręką.

– Jest równać! – Aksjonow powtórzył komendę czekającemu przy tubie rury głosowej kadetowi i pancernik zaczął powoli wracać do pionu.

Dowódca zerknął przez ramię w stronę największego z amerykańskich pancerników, który wciąż jeszcze nie wynurzył się z chmur.

– Pora już – mruknął. – Na co jeszcze czekacie? Nu, dawaj...

Właz sterówki uchylił się na moment, po czym został z hukiem zatrzaśnięty. Stojący nieopodal kadet odwrócił się i podbiegł do porucznika, a ten natychmiast potruchtał na skrzydło mostka, przytrzymując ręką dyndającą u boku szablę.

– USAS Washington nadaje, admirale! – zameldował, salutując. – Do wszystkich jednostek: rozpocząć fazę drugą! – odczytał odebraną wiadomość.

– Wreszcie. – Makarow odwrócił się twarzą do dziobu.

Dowództwo zjednoczonej floty nie musiało tym razem zachowywać ciszy radiowej, tak więc rozkazy zostały przesłane telegraficznie. Ława ostrzeliwanych niszczycieli rozdzieliła się, tworząc dwa przypominające ramiona podkowy zgrupowania, które sunęły w kierunku dalej położonych części Kręgu Śmierci. Lecące za nimi krążowniki i pancerniki sformowały natomiast trzy zespoły uderzeniowe. Te na flankach, składające się z ośmiu pancerników i dziesięciu krążowników każdy, przyśpieszyły, by wpasować się w wolną przestrzeń między eskadrami jednostek eskorty. Pozostałe czternaście pancerników i dwanaście niewiele od nich mniejszych ciężkich krążowników ruszyło szeroką ławą prosto nad centrum Tokio. Ich śladem sunęły w zwartym szyku cztery eskadry

krażowników bombardujących, wypełnionych setkami ton najbardziej śmiertelnej broni, jaką dysponowali alianci. Bomby zapalające, przy których ogień grecki wydawał się ulotny niczym płomyk świecy. Beczki gazów bojowych wypalających oczy, płuca, a nawet skórę. Pojemniki z truciznami, które zamieniają żyzną ziemię w dole w jałową pustynię.

Dowództwo zjednoczonych sił postarało się, by walczący zjadle obrońcy nie mieli szans na powstrzymanie armady. Bastiony ulokowane na przeciwległych krańcach Tokio będą musiały skupić ogień na niemal trzydziestu ustawionych w jednej linii podniebnych gigantach, których działa, zważywszy na przewagę wysokości, miały znacznie większy zasięg, a do tego niewyobrażalną moc rażenia, czego dały właśnie pokaz, gdy formacja puściła zsynchronizowaną salwę, przechylając się o sześć stopni, tyle że na dziób.

Ogień z prawie setki trzystupięćdziesięciosześcimilimetrowych dział i dwa razy liczniejszych luf o połowę mniejszego kalibru wzniosł na lądzie ścianę płomieni, tworząc linię zniszczeń ciągnącą się przez ponad dwie wiorsty. Nawet Horodyński mruknął z podziwem, widząc, że w morzu światła powstaje wielki, ognisty wyłom. Ostrzał nie sięgnął wprawdzie przeciwległego krańca Kręgu Śmierci, ale pociski upadły najwyżej trzysta sążni od ostatniej linii umocnień.

– Za dwie, trzy minuty uciszymy drani! – Makarow zatarł ręce, gdy Pietropawłowsk wyrównał i znów można było stanąć o własnych siłach.

Sytuacja na flankach nie była jednak różowa. Pomimo wsparcia ze strony potężniejszych jednostek nie udało się uciszyć większości bastionów, jak zakładał plan. Dlatego dowódcy zespołów uderzeniowych rozkazali postawić zasłonę dymną. W kierunku ziemi, od zawietrznej, poleciały setki wielkich jak automobile bomb, które po upadku zaczęły wydzielać gęsty, gryzący dym. Dzięki temu celność opierających się dzielnie Japończyków powinna osłabnąć. Czym innym bowiem jest branie okrętów wroga na muszkę, a czym

innym strzelanie na oślep, czego najlepszym dowodem była długa, lecz średnio skuteczna kanonada na pierwszym etapie nalotu. W ciągu paru minut starcia poza chmurami obrońcom Tokio udało się zniszczyć dwa razy więcej jednostek zjednoczonej floty niż wcześniej w kwadrans, a bilans ten nie był wcale zamknięty.

Kolejne trzy niszczyciele i dwie korwety przestały istnieć, zanim bomby dymne zdążyły spaść na ziemię. Cztery następne okręty wypadły z szyku, doznawszy uszkodzeń sterów bądź wirników. Jeden z pancerników wspierających prawą flankę, włoski Conte di Cavour, noszący miano arystokraty często mylnie branego za wynalazcę cavorytu – a zarazem okręt, który otrzymał najwięcej przypadkowych trafień, zanim flota opuściła front burzowy – stracił właśnie trzeci z czterech wirników, co zmusiło go do zmniejszenia prędkości lotu i opuszczenia miejsca w samym środku formacji. Ta wymuszona rejterada narobiła sporo bałaganu, ponieważ kilkanaście innych jednostek musiało przerwać walkę i pośpiesznie zmienić kurs, aby uniknąć kolizji z okaleczonym gigantem. Był to też początek końca włoskiej floty.

Artylerzyści z przetrzebionych wcześniej bastionów nie próżnowali, szczególnie że wielki i w dodatku nieruchawy cel aż się prosił o ostrzelanie. Jak zliczono to później, w śródkręcie Cavoura trafiły jeszcze dwadzieścia cztery pociski różnego kalibru. Niemal tuzin kolejnych zmasakrowało część dziobową, a siedem przebiło rufę. Pancernik odpowiadał ogniem, dopóki nie stracił ostatniej baterii podburtowej, lecz nawet wtedy jego dowódca nie zaprzestał walki. Z tylko jednym sprawnym wirnikiem próbował wykonać przechył ogniowy i to właśnie okazało się gwoździem do trumny. Pozbawiony kontroli okręt stanął do góry dnem, po czym na skutek dalszego ostrzału przełamał się na trzy części, z których jedna, największa, a zarazem zawierająca najmniej cavorytu, spadła na miasto, a dwie pozostałe poszybowały wolno w niebo, obracając się w sposób niekontrolowany.

Tak zjednoczona flota utraciła drugi – i niestety nie ostatni – pancernik.

休憩

Wiceadmirał jednym sztywnym salutem pożegnał okręt, który miał okazję wizytować zaledwie trzy dni wcześniej. Pora nie sprzyjała rozpamiętywaniu, gdyż pancerniki lecące w środku formacji przygotowywały się właśnie do oddania drugiej salwy. Tym razem dobrze wymierzony grad kilkusetkilogramowych pocisków uderzył idealnie w cel. Cztery ciemne podłużne plamy na tle morza światła pokryły się mrowiem eksplozji, po czym w niebo strzeliły jęzory płomieni o wiele potężniejszych, niż można by się spodziewać po takim ostrzale.

– Trafiliśmy w magazyny amunicji! – ucieszył się Aksjonow, klepiąc Andrzeja po ramieniu. – To ich wyłączy z akcji na dobre!

Makarow skinął tylko głową, a następnie schylił się i przywarł twarzą do okularu peryskopu.

– Kurs trzysta pięćdziesiąt sześć stopni! – rozkazał, nie przerywając obserwacji.

Nie czas świętować, skoro w dole czeka jeszcze kilkadziesiąt najeżonych śmiertcionośną bronią umocnień, których załogi na razie nie mogły się odgryźć zbyt odległemu wrogowi, ale za minutę czy dwie dadzą mu popalić.

„Tyle że wtedy będzie już za późno”, pomyślał z satysfakcją Horodyński, ciesząc się, że plan zatwierdzony dzień wcześniej przez sześciu admirałów okazał się strzałem w dziesiątkę. I że on sam stoi na pokładzie jednego z okrętów, które nie dały się pokonać, i ogląda to wszystko na własne oczy, więcej nawet – należy do ludzi, którzy tego dnia tworzą historię. Poczł dumę, że jego poświęcenie umożliwiło dowódcy podjęcie dobrych decyzji. Może ktoś kiedyś uzna, że krótki meldunek nadany z gondoli był przełomowym momentem bitwy, punktem zwrotnym, który pozwolił aliantom na odniesienie miażdżącego zwycięstwa. W takim przypadku nie

skończy się tylko na obiecany odznaczeniu. „Stanę się kimś tak znanym jak... jak Gavroche!”, wyobraził sobie młody kadet.

Nie zdążył się uśmiechnąć do tej pokrzepiającej myśli. Tracony przez wiceadmirała zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie linka zabezpieczająca.

– Suka bładź! – Stary dowódca wypowiedział przekleństwo z taką pasją, jakiej Andrzej jeszcze w jego głosie nie słyszał.

Makarow stanął przy tylnej osłonie mostka, złapał reling obiema dłońmi i pochylił się mocniej, jakby próbował przebić wzrokiem ciemności. Od przedświtów dzieliły ich tylko minuty, lecz horyzont na wschodzie zasnuty był gęstymi chmurami, które pochłaniały cały blask szykującego się do wstania słońca. Horodyński spojrział w tym samym kierunku, nie rozumiejąc, co tak zbulwersowało wiceadmirała. W atramentowym mroku z trudem dostrzegał zarysy pomalowanych na czarno, pękatych kadłubów. Gdyby nie wiedział, że pół wiorsty za rufą Pietropawłowska leci niemal pięćdziesiąt bombowców, mógłby przysiąc, że tylko chmury przesłaniają gwiazdy.

O to właśnie chodziło. Wróg do samego końca miał się koncentrować na walczących jednostkach, ignorując prawdziwe zagrożenie, które kryło się w lukach tych czterdziestu ośmiu podniebnych gigantów.

Nagle, w oddali, lecz na pewno nad chmurami, pojawiła się dziwna błyskawica. Przeszyła niebo w poziomie, co samo w sobie nie było niczym niezwykłym, aczkolwiek budową różniła się od każdego piorunu, jaki w swoim życiu widział Andrzej. Odnosił wrażenie, że spogląda na grubą wiązkę piorunów, które uderzają równocześnie. Z kilkunastu świetlistych linii strzelały wokół rozwidlające się, jakby żywe odnogi. Bijący od nich blask był tak rażący, że na ułamki sekund rozjaśnił każdy z czterdziestu ośmiu bombowców i zamykającą szyk formację eskorty, składającą się głównie z amerykańskich krążowników oraz z dwóch największych pancerników.

Horodyński nie miał pojęcia, co może być źródłem niesamowitych wylądowań, przypominających jeden z fascynujących wytworów pana Tesli. Wcześniej widział podobny spektakl na kronice filmowej, przedstawiającej człowieka siedzącego w dziwnej ażurowej klatce pośrodku morza błyskawic. Dotąd pozostawał pod wrażeniem tego widowiska, w które żaden z jego kolegów nie chciał uwierzyć, wszyscy bowiem znali starego Koćmę, pasterza w 1897 roku rażonego piorunem. Ze skutkiem śmiertelnym oczywiście.

Zanim to wspomnienie zdążyło przemknąć przed oczami zdumionego kadeta, nieco bardziej po prawej pojawił się strumień płynnego ognia, który omiótł kadłub jednego z amerykańskich pancerników.

W tym samym momencie ariergarda otworzyła ogień, ujawniając swoje pozycje. Strzelały także krążowniki bombardujące, ale nie w dół, jak by się można spodziewać, lecz w niebo. Gatlingi posyłały między gwiazdy długie smugi pocisków zapalających, grzmiąły szybkostrzelne działa małego kalibru, służące zazwyczaj do zwalczania aeroplanów.

– Uderzyli na nas od tyłu? – zdziwił się Aksjonow, który także do nich dołączył. – To by tłumaczyło, dlaczego nie zauważyliśmy startujących okrętów...

Teraz, gdy porucznik o tym wspomniał, Andrzej uświadomił sobie beczynność japońskich okrętów, na którą nikt wcześniej nie zwrócił uwagi.

– To nie ich flota – mruknął Makarow.

– Nie mają przecież tylu aeroplanów – zaproponował Aksjonow. – Poza tym tylko szalenie mógłby polecieć w taką pogodę. Albo samobójca.

Zamilkł raptownie, zdawszy sobie sprawę, że nacja, której stolicę atakują, słynie z rytualnego odbierania sobie życia.

– Patrzcie! – Wiceadmirał wskazał palcem ciemności, w których coś się poruszało.

Coś ciemnego, wielkiego, zbyt szybkiego jak na chmury.

– Smoki! – wrzasnął Horodyński, gdy blask kolejnej wiązki błyskawic podświetlił nie tylko strzelające okręty, ale też obłe cielsko z długim ogonem, które śmignęło w dół, prosto w chmury.

– Nie może być! – Aksjonow spojrział na dowódcę. – Przecież...

– Oszukali nas, dranie! Zwiedli jak dzieci! – Makarow dopadł do tuby rury głosowej. – Nadawajcie! „Do wszystkich jednostek: smoki atakują ariergardę. Pietropawłowski potwierdza kontakt wzrokowy”.

– Jak to możliwe? – Porucznik zbladł jak ściana. – Przed godziną widziano je tysiąc mil stąd! A wróg zauważył nas niespełna dwadzieścia minut temu. Nawet te bestie nie byłyby w stanie wrócić tak szybko.

Wiceadmirał gładził w zamyśleniu zmierzwioną brodę.

– Kolejne obserwacje dzieliło od kilku do parunastu minut – odezwał się w końcu. – Nigdzie nie doszło do symultanicznego ataku. Nad frontem jest tylko jeden smok!

– Jak to jeden?! – obruszył się porucznik. – Obserwatorzy meldowali o atakach Pana Ognia, Lodu, Moru i Błyskawic!

– Pan Wszystkich Żywiołów dysponuje mocami każdego z nich, nie rozumiesz?

Aksjonow, sądząc po minie, nie zrozumiał tej zdawkowej uwagi, lecz kadetowi powiedziała ona wszystko. Władca Państwa Środka i Reszty Świata, zwany też Panem Wszystkich Żywiołów, mógł pozorować ataki pozostałych smoków, albowiem umiał razić swoich wrogów chmurami morowego powietrza, mrozić ich na kość, palić na popiół i porażać na śmierć. Wystarczyło, że nad każdym odcinkiem frontu użył tylko jednej z tych mocy, a potem wszystkich naraz, by koalicjanci uwierzyli, że ich natarcie powstrzymują wszystkie bestie. Tymczasem cztery z nich czaiły się w mroku, czekając, aż zjednoczona flota zostanie nadwerężona ogniem obrony przeciwlotniczej, by niespodziewanym atakiem od tyłu zmienić losy tej bitwy.

Coraz więcej krążowników bombardujących otwierało ogień, przesywając gradem pocisków niebo i chmury. Smoki nie

pozostawały dłużne, przy każdym przelocie między pancernymi olbrzymami wypluwały z paszczy strumienie ognia, lodu, moru i energii. Ich celem były okręty, które miały czelność zagrozić ponadmilionowej metropolii i całemu rodowi cesarskiemu.

– Do wszystkich jednostek zespołu uderzeniowego numer dwa: zredukować do pół naprzód. – Po krótkim zastanowieniu Makarow wydał kolejne rozkazy: – Stanowiska bojowe na śródkręciu i rufie: przygotować się do otwarcia ognia! Strzelać bez rozkazu do każdego namierzonego... celu! – zawahał się przy ostatnim słowie.

– Jeśli to smoki... – Porucznik cofnął się od osłony, sięgając po chlebakw którym był azbestowy koc, rękawice i maska.

– Racja – przytaknął admirał, po czym znów pochylił się nad tubą.

– Do wszystkich jednostek: założyć stroje ognioodporne i maski przeciwgazowe! Zabezpieczyć stanowiska bojowe!

Andrzej spojrział w dół, na niższe poziomy nadbudówek pancernika. Większość marynarzy nie zwlekała, czekając, aż padnie rozkaz. Każdy, kto dostrzegł na niebie ślady obecności smoków, sięgał po zestawy ochronne. Rozkładano też stalowe osłony i uszczelniano każdy otwór, którym do wnętrza wieżyczek mogły się dostać zabójcze opary albo strumienie ognia. Żadne z zabezpieczeń nie było jednak w stanie ocalić tych, których za cel obiorą monstrualne, przedwieczne bestie. Ludzie mieli tego świadomość, lecz wszyscy trzymali się nadziei, że atak okaże się niecelny lub przejdzie bokiem, gdyż tylko w takim przypadku dało się zachować życie.

Horodyński także rozpiął sprzączkę chlebaka. Zarzucił cieniutką, srebrzącą się opończę na ramiona, założył na głowę czapkę z takiego samego materiału i nasunął na dłonie i przeguby miękkie rękawice. Na koniec sięgnął po maskę z wyprawionej skóry, ozdobioną dwoma kolistymi szklami, przez które mógł obserwować otoczenie. Umieścił ją jednak na czole, wzorem otaczających go bardziej doświadczonych oficerów. W razie potrzeby osłoni twarz w mniej niż sekundę.

Dowodzone przez rosyjskiego wiceadmirała pancerniki i krążowniki centralnego zgrupowania zwolniły, zgodnie z wydanym rozkazem, lecz dystans dzielący je od formacji bombowców wciąż był duży. Zmniejszenie prędkości przelotowej ułatwiło zadanie japońskim kanonierom, przez co pancerne kolosy drżały nieustannie od kolejnych bezpośrednich trafień. Narażenie ich było jednak konieczne, ponieważ w tej sytuacji nadrzędnym celem floty stało się ocalenie jak największej liczby krążowników bombardujących.

Niestety obrońcy też o tym wiedzieli.

– Ktoś zdradził – syknął rozzłoszczony tą myślą porucznik.

– Niekoniecznie – odburknął Makarow, przyglądając się pandemonium, które panowało za rufą Pietropawłowska.

Smoki atakowały pojedynczo, uderzając z dołu, spomiędzy chmur. Bombowce leciały niżej niż walczące okręty, niekiedy tylko pięćdziesiąt sążni od mas skłębionej pary, tak więc obserwator dostrzegał wroga zaledwie ułamki sekund przed śmiertcionym atakiem. Jedynym momentem, w którym obrońcy mogli się odgryźć nękającym ich monstrem, było te kilka sekund potrzebne olbrzymom, by zawrócić i zniknąć ponownie w ołowianym welonie. Lawiny ognia i stali pruły więc niebo prawie bez przerwy, lecz tylko ułamek tej nawałnicy nie chybiał celu.

Pociski mniejszego kalibru odbijały się jednak od łuskowatych ciał, krzesząc widowiskowe iskry, ale już trafienie z przeciwlotniczej pięćdziesiątki wstrząsało smokiem, wytrącając go rytmu i uniemożliwiając mu owionięcie kolejnej ofiary strumieniem zabójczego żywiołu. Czy bestia ponosiła przy tym jakiś uszczerbek, nie sposób było powiedzieć, lecz marynarze obserwujący te zmagania kwitowali każde odparcie smoka gromkimi okrzykami.

Takie sukcesy należały jednak do rzadkości. W ciągu kilku minut, które minęły od zauważenia nowego wroga do połączenia obu zgrupowań, zjednoczona flota straciła osiem krążowników bombardujących, a dalsze siedem stanęło w ogniu. Na szczęście

kapitanowie ginących jednostek nie byli w ciemną białą; skoro nie mogli doprowadzić do zagłady centralnych dzielnic, uwalniali przenoszone ładunki nad przedmieściami i zatoką. W dół poleciały tysiące zrzuconych równocześnie bomb i pojemników.

Horodyński zapomniał na moment o piekle, które rozgorzało ponad chmurami. Wychylił się przez sięgającą mu prawie do szyi osłonę mostka i spojrzął na rozciągające się po horyzont miasto. A raczej na morze płomieni, w jakie zamieniały się całe dzielnice i kwartały. Wiatr sprzyjał atakującym, zatem zdecydowana część zawieszonych pod paraszutami bomb poszybowała dalej na północ, aż za płonące, ale wciąż walczące bastiony Kręgu Śmierci.

Tysiące erupcji miniaturowych wulkanów rozpętało piekło na ziemi, niszcząc wszystko na powierzchni wielu ośmin[2]. To, czego nie wypalił ogień, zabijały trucizny. Zmieszane z dymem chmury śmiertelnościanego gazu niosły się gęstymi tumanami dalej, zasnuwając coraz to nowe połacie terenu.

– Dobra nasza – sapnął Aksjonow, lustrując skutki bombardowania. – Jeśli wytrzymamy jeszcze kilka minut, kolejne rzuty sięgną pałacu.

– Jeśli wytrzymamy. – Ton wiceadmirała był tak posępny, że porucznik i kadet natychmiast przenieśli wzrok za rufę.

Sześć następnych krążowników opuściło sztyk. Cztery poszły ostro w górę, zaraz po uwolnieniu ładunków, a dwa na połę wypalone wyróciły się do góry dnem.

– Nie! – zawołał Aksjonow, zagryzając do krwi pięść.

Tak wielki przechył oznaczał, że węgle z paleniska zasypią przewody, a para z kotłów... Admirał pociągnął za sobą kadeta i pierwszego oficera. Skulili się razem za pancerną osłoną.

W tym samym momencie na niebie za Pietropawłowskiem rozbłysły równocześnie dwa słońca. Blask bijący od tych eksplozji był tak jasny, że oślepił każdego, kto spoglądał w tamtym kierunku. Fala uderzeniowa wstrząsnęła wszystkimi okrętami w promieniu wiorsty, a lawina płonących szczątków omiotła co najmniej dziesięć

dalszych krążowników bombardujących. To była prawdziwa hekatomba. Alianci stracili już połowę jednostek, które mieli chronić, a właściwa bitwa dopiero się zaczynała.

– Patrzcie! – Bosman zastępujący Rustawelego wskazał gdzieś w dół. – Tam!

Wychylili się za osłonę. Na tle morza płomieni pikował smok. Dłuższy od krążownika, ze skrzydłami o powierzchni większej niż wszystkie żagle najpotężniejszego liniowego galeonu i ze smukłym ogonem, który sięgnąłby końca niejednego moskiewskiego prospektu. Tak przynajmniej bestia jawiła się obserwującym ją ludziom, gdy opadała ku ziemi cała pokryta ogniem.

– Musiał przelatywać blisko którejś z eksplodujących jednostek! – zawołał podekscytowany Aksjonow.

Oszołomiony smok uderzył w ziemię. Przekoziołkował dziko, ryjąc w płonących ruinach szeroką wyrwę, ciągnącą się przez czterysta albo i więcej sążni.

– Uraaa! – Zewsząd dobiegały radosne wrzaski, które jednak szybko ucichły, gdy ludzie zobaczyli, że bestia nie zginęła. Smok wstał, rozłożył ponownie skrzydła i uderzając nimi raptownie, wzbił się w powietrze. Wydał przy tym przeciągły, mrozący krew w żyłach skrzek.

Zdarzenie to odebrało wolę walki setkom marynarzy, ale na szczęście dla zjednoczonej floty większość walczących nic nie widziała. Bitwa wchodziła właśnie w decydującą fazę i załogi skupiały całą uwagę na Kręgu Śmierci.

– Za mną! – Makarow ruszył dziarskim krokiem ku sterówce.

Horodyński pobiegł za nim, porucznik został na swoim miejscu kilka sekund dłużej, obserwując wzbijającego się w powietrze smoka.

– Łączcie z Washingtonem – poleciał admirał, gdy tylko bosman otworzył przed nim właz. – Szybko!

Goniec podał mu mikrofon.

– Tu Evans. – Głos dowódcy zjednoczonej floty brzmiał obco i bardzo mechanicznie. Makarow przeszedł od razu do sedna:

– Admirale, proszę wydać dowódcom krążowników bombardujących rozkaz zrzuć siedemdziesięciu procent ładunku.

– Oszalał pan? – zapytał po kilkusekundowym milczeniu Amerykanin.

– Admirale, nie zamierzam sabotować misji, ale smoki rozniosą bombowce, zanim te zbliżą się do pałacu – wyjaśnił pośpiesznie dowódca rosyjskiego kontyngentu. – To praktycznie niezniszczalne bestie, i inteligentne, jak pan zapewne zauważył. Pozwólmy im myśleć, że spanikowaliśmy. Tylko w ten sposób ocalimy resztę bombowców.

Evans w lot zrozumiał, o co chodzi jego koledze.

– Sądzi pan, że skupią się na nas?

– Na to liczę – przytaknął Makarow.

– Siedemdziesiąt procent ładunku, czy to aby nie za dużo? – zapytał jeszcze Amerykanin, ale już po tym, jak wydał serię szybkich rozkazów. W tym przypadku czas był droższy wszystkich pieniędzy świata. Podczas tej krótkiej rozmowy smoki zniszczyły cztery następne krążowniki bombardujące.

– Taki zrzut powinien zmylić wroga – zapewnił go Stiepan Osipowicz.

Flota podniebna USA była bardzo nowoczesna i kto wie czy nie najpotężniejsza na świecie, lecz jej dowódcom i marynarzom brakowało doświadczenia, które europejscy koledzy, a do niedawna rywale, zdobywali na niekończących się wojnach trawiących kolonie i Stary Kontynent.

– Załatwione – rzucił Evans. Nim się rozłączył, dodał jeszcze: – Módlmy się, by pański podstęp poskutkował.

– Szkoda tylko, że nie mamy do kogo się modlić – wymamrotał Makarow, wracając na otwarte stanowisko dowodzenia.

Krążowniki bombardujące pozbyły się znacznej części ładunku. Ku ziemi pomknęły niezliczone tysiące bomb – paraszutów w dole było tyle, że przesłoniły większość pożarów. Zmasowanego bombardowania dokonało dziewiętnaście okrętów. Uwolnione od wielkiego ciężaru poszły o pięćdziesiąt sążni w górę, wspomagając wznoszenie wirnikami, aby iluzja była pełniejsza.

W tym samym momencie przerzedzona formacja krążowników bombardujących wyszła poza ławę chmur, ale na ziemi nie było już nikogo, kto mógłby się z nimi mierzyć. Najbliższe walczące wciąż bastiony znajdowały się na wschodnich i zachodnich krańcach Tokio, lecz ich załogi miały wystarczająco dużo roboty z nacierającymi formacjami niszczycieli i ze wspomagającymi je zespołami uderzeniowymi, by przejmować się jednostkami, które nie mogły wyrządzić więcej szkód.

– Gdzie są te cholery?!

Poirytowany Makarow rozglądał się uważnie. Każda sekunda przybliżała aliantów do sukcesu, ale bestie wciąż mogły pokrzyżować im szyki. Dopóki kwestia smoków nie zostanie definitywnie wyjaśniona, nie będzie można się skupić na pozostałych aspektach toczonej bitwy.

– Tam! – Bosman jak zwykle nie zawiódł.

Pan Lodu wynurzył się z chmur tuż za ariergardą, mgnienie oka później dwa kolejne smoki zaatakowały amerykańską eskadrę. Struga ognia gorącego jak roztopione żelazo omiotła tylne nadbudówki krążownika pancernopokładowego Columbia, uciszając zamontowane tam działa i stanowiska zespolonych gatlingów. Seria wybuchów wstrząsnęła okrętem, gdy płynny ogień wlał się do luków i dotarł do zgromadzonej tam amunicji. Dziesiątki pocisków niewielkiego kalibru eksplodowały równocześnie z siłą, która posłała wysoko w niebo całą nadbudówkę i doprowadziła do rozerwania górnej części kadłuba. Uszkodzona jednostka nabrała mocnego przechyłu na dziób, którego wirniki nie były w stanie skompensować.

W tym samym czasie Pan Błyskawic posłał strumień piorunów w górną część przedniej nadbudówki, gdzie mieściło się stanowisko dowodzenia. Każdy, kto stanął na drodze silniejszej od gromu energii, zamieniał się w popiół, a wiele osób przebywających w przedziałach poniżej uległo porażeniu.

Kilka sekund wystarczyło, by wyłączyć z akcji okręt wojenny, który dwa lata wcześniej rozgromił w pojedynkę eskadrę niszczycieli i kanonierek Imperium Wschodzącego Słońca.

– Udało się! – Patrząc na zagładę bratniej jednostki, Makarow zacisnął dłonie w pięści.

Nie było z czego się cieszyć, śmierć ponieśli bowiem liczni marynarze i oficerowie, lecz ich poświęcenie stanowiło widomy dowód, że wróg dał się nabrać. Smoki ruszyły do ataku na eskortę, na deser zostawiając sobie okręty pozbawione zabójczego ładunku.

Wiceadmirał spojrział w dół. Morze ognia wznieconego bombardowaniem objęło już niemal pół miasta. Płomienie trawiły kwartały odległe zaledwie o pięćset sążni od granic mrocznej plamy, wewnątrz której znajdował się pałac cesarski.

Pięćset sążni... „Co najwyżej dwie minuty”, obliczył w myślach Horodyński. „Tyle trzeba, by krążowniki bombardujące dotarły do miejsca, z którego zrzucą resztę ładunku na pałac, niszcząc go doszczętnie i zabijając każdego, kto przebywa w jego murach”. Kadeta dziwiło, że boski *tennō* nie opuścił zaatakowanej stolicy, ale porucznik Borysow wyjaśnił mu po odprawie, że Japończycy są niezwykle przywiązani do tradycji i wolą śmierć niż hańbę, a ucieczka przed najeźdźcą okryłaby ród władcy infamią tak wielką, że wszyscy członkowie rodziny cesarskiej musieliby popełnić rytualne seppuku.

Czym był rzeczony rytuał, Andrzej nie mógł sobie nawet wyobrazić, ale uwierzył trzeciemu oficerowi na słowo. Wiedział, co to honor z racji tego, że należał do nieistniejącego – jego zdaniem chwilowo – narodu, który również stawiał tę cnotę ponad wszystko i ze względu na to nieraz zdążył popełnić własną wersję masowego

rytualnego samobójstwa, stając do przegranej z góry walki i wytracając całe pokolenia.

– Uwaga! – ryknął bosman, przykucając.

Dowódca i towarzyszący mu kadet przypadli do osłony, pośpiesznie naciągając maski. Smok przemknął między Pietropawłowskiem a nowiuteńkim Kniaziem Suworowem. Podmuch wywołany ruchem jego skrzydeł był tak mocny, że stojący na mostku porucznik Aksjonow został wyrzucony wysoko w powietrze. Jego krzyk cichł z wolna w oddali, aczkolwiek Horodyński dostrzegł na niebie szarą płachtę otwieranego paraszuta.

– Żyje! – zawołał z uśmiechem do dowódcy, lecz admirał pokręcił tylko głową.

W dole, gdzie okiem sięgnąć, szalało ogniste piekło. Żaden człowiek, który by w nim wylądował, nie przetrwałby sekundy, a śmierć w płomieniach to jeden z najbardziej okrutnych końców żywota, jakie mógł sobie wyobrazić marynarz podniebnej floty.

Bosman przeżegnał się trwożliwie. Ręka Andrzejowi drgnęła, lecz powstrzymał się przed bogobojnym gestem, widząc, że Makarow nie okazuje słabości. Tymczasem Pan Moru przemknął nad ostrzeliwującym się Kniaziem Suworowem, by przypuścić atak na dwa dalsze okręty. Wypuścił z paszczy zielonkawy dym, równie toksyczny jak trucizny zrzucone przez koalicjantów na Tokio, spowijając gęstą chmurą śródkręcia jednostek, nad którymi przelatywał.

Atak był skuteczny. Smugi pocisków zapalających, posyłane z dziesiątek luf, przecinały teraz niebo wyłącznie nad dziobami i rufami obu pancerników. Stanowiska bojowe na śródkręciach zamilkły, jakby nie pozostał tam nikt żywy.

Sekundę później para smoków uderzyła z dołu. Najpierw Pan Ognia zawisł na dwa uderzenia skrzydeł pomiędzy zaatakowanymi okrętami, by zalać Borodino strugami płynnej lawy, a gdy zniknął ponownie z oczu obserwatorów, jego miejsce zajął Pan Błyskawic.

Wiązki gromów miotane z przepastnej paszczy przesunęły się od dziobu po rufę Sławy.

Ten atak trwał nie dłużej niż pięć sekund, lecz to wystarczyło, by wyłączyć z walki dwa nowoczesne okręty, chluby carskiej floty, które opuściły stocznię zaledwie rok wcześniej. Ich błyskawiczna zagłada zmroziła krew w żyłach obserwującym to starcie ludziom. Nadbudówki Borodino, trawione półpłynnym ogniem, rozpuszczały się jak złom ciśnięty do wnętrza pieca martenowskiego. Stopiona stal ściekała po burtach wielkimi kroplami, które następnie spadały na ziemię niczym upiorne bomby zapalające. Sława z kolei przypominała okręt widmo – pozornie nieuszkodzona, choć z wielu luków wydobywał się wciąż sinozielony dym, sunęła przed siebie, odbijając bardzo wolno na sterburtę.

Makarow wychylił się i spojrzał w dół.

– Pół minuty nam trzeba – ocenił.

„Trzydzieści sekund. Niby niewiele, ale ile jeszcze okrętów zostanie zniszczonych przez te bestie, zanim zrozumieją, że zawiodły? Czy jest szansa, że wtedy odpuszczą?”, zastanawiał się Horodyński, spoglądając lękliwie na morze płomieni trawiące miasto. Nie dbał jednak o to, co dzieje się na ziemi, szukał wzrokiem ciemnych kształtów zwiastujących ponowny atak smoków. Bestie działały sprytnie, nie uderzały dwukrotnie na tę samą formację, by nie dać ludziom szansy na skoncentrowanie ognia. Wbrew powszechnej opinii nie były nieśmiertelne. Człowiek dysponujący odpowiednią technologią mógł je zranić, czego dowodziła historia generała Shimy, o ile można ją było traktować poważnie.

Niedawny upadek Pana Lodu i jego późniejsza rejterada z pola bitwy zdawały się potwierdzać, że w opowieściach kryje się ziarno prawdy...

Horodyński rozejrzał się wokół, wypatrując charakterystycznych strug zmrożonego powietrza, ale nie dostrzegł ich ani na prawej, ani na lewej flance. Pan Moru dokonał w tym czasie dwóch kolejnych ataków, Pan Błyskawic trzech, a najniebezpieczniejszy ze smoków,

ten, co rzygał płynnym ogniem, uderzył na okręty koalicji aż pięciokrotnie, nigdzie jednak nie dało się zauważyć dobrze widocznego w mroku lodowego tchnienia, pod którego wpływem najgrubsze poszycie kurczyło się tak mocno, że łączące je nity pękały całymi setkami.

Eliminacja jednego wroga – zapewne chwilowa zresztą – niewiele dała aliantom. Satysfakcję szybko zastąpił nawrót przygnębienia. Ostrzeliwujące się nieustannie okręty były bowiem dziesiątkowane przez trzy pozostałe bestie, które wzmogły wysiłki, jakby chciały odegrać się za ranionego towarzysza.

Zanim padł wyczekiwany rozkaz, Brytyjczycy stracili kolejny pancernik. Francuzi dwa. Przedostatnia włoska jednostka także płonęła jak pochodnia, wypadając coraz bardziej z szyku. Tylko Niemcom i Austro-Węgrom upiekło się w tej fazie bitwy, może dlatego, że ich okręty leciały w samym środku pancерnej formacji, którą smoki nękały od flank.

– Odpalić bomby beczkowe z wyrzutni dziobowych! – krzyknął Makarow, zerknąwszy na podziurawiony mocno rękaw wiatrowskazu.

– Jest odpalić bomby beczkowe z wyrzutni dziobowych – powtórzył kadet, salutując, po czym przekazał rozkaz rurą głosową.

Pięciopudowe[3] stalowe pojemniki, pociągnięte śnieżną bielą, by lepiej było je widać w mroku, poszybowały łagodnym łukiem ku odległej ziemi. Nie tylko Pietropawłowski je wystrzelił. Takie same pociski zostały odpalone także z pozostałych sprawnych wciąż pancerników. Kilka sekund po wydaniu rozkazu w morzu światła za ciemną połącią rozkwitły kule oślepiającego ognia. Strumienie białego fosforu, którym wypełniono bomby zapalające, czyli najnowszy niemiecki wynalazek, poczęły trawić nietkniętą jeszcze część miasta, leżącą za kompleksem pałacowym.

Makarow zerknął raz jeszcze na łopocący głośno wskaźnik, potem zaś przeniósł spojrzenie na majaczący w mroku cień amerykańskiego flagowca. Wiatr był pomyślny, tak więc niesione na

paraszutach bomby powinny sięgnąć celu. O tym jednak, kiedy dokładnie rozpocznie się ostatnia i najważniejsza faza nalotu, miał zdecydować naczelnym dowódca zjednoczonej floty, którą to funkcję piastował admirał Evans, zwany także Walecznym Bobem.

Horodyński nie naśmiewał się z tego przydomku, jak robili jego krajanie służący na Pietropawłowsku. Zapytał za to znajomego języki wiceadmirała, dlaczego Amerykanie porównują podziwianego przez wszystkich dowódcę do popularnej rośliny strączkowej. Dziwiło go też, że obiekt tych żartów ma je za nic. Rozbawiony Makarow najpierw otarł łezkę, która zakręciła mu się w kąciку oka, po czym nabrał głęboko tchu i wyjaśnił zaskoczonemu kadetowi, że to nie porównanie do chłopskiego smakołyku, lecz charakterystyczne dla jankeskiego języka zdrobnienie od imion takich jak Robley czy Robert. Co ciekawe, Andrzej słyszał potem, jak inni oficerowie rechoczą, używając zmienionej formy tego przydomku, nawiązującej do pełnej nazwy rośliny. Jego pierwsze skojarzenie zostało zapamiętane i stało się czymś w rodzaju żartu dla wtajemniczonych. Wśród Polaków natomiast przyjęło się mówić na admirała „Bober”.

– Na co czekasz, Sadowyj! – mruknął wiceadmirał, nerwowo zerkając na USAS Washington.

Od odpalenia bomb beczkowych minęło zaledwie dziesięć, może piętnaście sekund, lecz młody kadet – podobnie jak otaczający go marynarze i oficerowie – odnosił wrażenie, że Amerykanie niepotrzebnie zwlekają. Oczekiwanie przeciągało się w nieskończoność, podczas której doszło do kolejnego ataku smoków. Tym razem ich ofiarą padł lecący na prawej flance HMAS Dreadnought. Brytyjski gigant przetrwał bez widocznych szkód wcześniejszy atak Pana Moru, głównie dzięki uszczelnieniu większości przedziałów i stanowisk bojowych, ale równoczesne uderzenie z obu stron, które przypuściły dwa pozostałe smoki, okazało się fatalne w skutkach. Pan Błyskawic nadleciał od strony dziobu, skupiając na sobie uwagę obrońców. Wiązka miotanych

przez niego piorunów omiotła najpierw sterburtę, a później pokład i główne nadbudówki. Pan Ognia zaatakował natomiast od rufy, lecz zamiast marnować zionięcia na przepalanie kilkucalowego poszycia, zawisł na moment między Dreadnoughtem a zajmującym sąsiednie miejsce w linii HMAS Queen Elizabeth. Uczynił to po to, by posłać cały ładunek rozgrzanej do białości lawy na kominy pancernika.

Atak ten, z pozoru wyglądający na nieszkodliwy, okazał się zabójczo skuteczny. Strumienie ognia dotarły przewodami kominowymi do wnętrza doskonale opancerzonej jednostki, doprowadzając kilka sekund później do symultanicznej eksplozji wszystkich kotłów. Chłuba Korony Brytyjskiej została rozerwana na strzępy. Jej część dziobowa, obciążona wieżami artyleryjskimi i nadbudówkami, przechyliła się na bok i zniknęła z oczu. Kilkanaście tysięcy ton stali spadało prosto na miasto niczym piekielna asteroida, ciągnąc za sobą ogon czarnego, gęstego dymu. Rufa, w której cavorytu było więcej niż trzeba, uniosła się natomiast ponad formację, wirując w niekontrolowany sposób.

– Psie juchy! – mruknął coraz bardziej poirytowany Makarow. – Na co czekasz, draniu?! – wysyczał, zwracając spojrzenie na amerykański flagowiec Washington.

Zjednoczona flota straciła już dowódców trzech kontyngentów. Sir John Jellicoe dołączył do admirałów Émile'a Guépratte'a i Paola Thaona di Revela, którzy polegli chwilę wcześniej na pokładach swoich flagowców, Jeanne d'Arc i Giulio Cesare. Pozostałym admirałom groziło, iż podzielą los kolegów, szczególnie że lecące w środku szyku okręty niemieckie, austro-węgierskie i rosyjskie miały zostać zaatakowane w następnej kolejności. W razie gdyby Waleczny Bob nadal zwlekał, mogło się to stać nawet przed tym, zanim padnie rozkaz zrzucenia reszty bomb.

W końcu właz sterówki się uchylił. To był znak, na który wszyscy czekali. Przekazywana z rąk do rąk wiadomość dotarła błyskawicznie do Makarowa.

– Bomby poszły! – Dowódca rosyjskiego kontyngentu zniżył kartkę, uśmiechając się triumfująco.

Imperium Wschodzącego Słońca, nawet z pomocą przedwiecznych bestii, nie było w stanie powstrzymać zjednoczonej floty przed zadaniem decydującego uderzenia.

Horodyński wychylił się za osłonę mostka. Nienękanie atakami krążowniki bombardujące pozbyły się reszty śmiertelnośnego ładunku. Łunę pożaru znów przesłonił rój paraszutów, na których ku mrocznej plamie wyróżniającej się na tle rozjaśnionych płomieniami dzielnic opadały tysiące bomb wszelkiego rodzaju. Od zapalających po burzące, od wypełnionych gazem musztardowym po zawierające biały fosfor.

Zajęte dziesiątkowaniem floty smoki nie zareagowały na ten atak w żaden sposób. Nadal uwijały się wokół linii pancerników. Andrzejowi wydawało się to z początku dziwne, lecz gdy ziemię pokrył kobierzec eksplozji, do chłopaka dotarło, że bestie nie były w stanie odwrócić biegu historii. Gdyby nawet zdołały zniszczyć paraszuty, bomby i tak w części sięgnęłyby celu.

– Otworzyć luki zrzutni! – rozkazał Makarow, raz jeszcze zerknąwszy za burtę.

– Jest otworzyć luki zrzutni!

– Car-bomby rzuć!

– Jest car-bomby rzuć!

Najpotężniejsze okręty podniebnej floty nie miały wielkich luków wypełnionych zabójczą bronią. Ich zadaniem było ostrzeliwanie jednostek wroga, starcie się z nim w śmiertelnym boju i co najwyżej wspieranie ogniem oddziałów walczących na ziemi, ale nikt nie powiedział przecież, że w przepastnych kadłubach nie można wygospodarować kilku dobrze odizolowanych i chronionych przedziałów bombowych.

A rozmiary podniebnych pancerników pozwalały na przenoszenie naprawdę potężnych bomb. We wnętrzu Pietropawłowska spoczywało ich teraz dziesięć: pięć par siedmiotonowych cylindrów,

rozmieszczonych w równych odstępach na szczytach piętnastoarszynowych tuneli, w ciasnych przedziałach otoczonych ze wszystkich stron wypełnionymi piaskiem komorami.

Nikt obecny na pokładzie nie wiedział, jaką moc mają te wypełnione trotylem potwory. Była to najtajniejsza broń koalicji, opracowana i stworzona na dalekiej północy specjalnie na potrzeby tej misji. Horodyński dowiedział się o jej istnieniu dopiero w chwili zrzutu. Dotąd nie miał pojęcia, że okręt, którym leci, jest wyposażony w tak niszczycielskie ładunki. W lot jednak pojął, że pocisk nazwany car-bombą musi być czymś niezwykłym – podobnie jak car-puszka, legendarna rosyjska bombardiera z szesnastego wieku.

Nawet Makarow wypowiedział tę nazwę z nietypową dla niego nabożną czcią. Wcześniej takim tonem wyrażał się tylko o amerykańskich pancernikach i... smokach.

Ledwie z ust wiceadmirala padł rozkaz, bestie przypuściły kolejny atak, tym razem obierając za cel lewą flankę coraz krótszej linii pancerników. Uderzyły równocześnie na Habsburga i Babenberga. Austro-węgierskie okręty wojenne były mniejsze od rosyjskich odpowiedników, nie wspominając już o brytyjskich czy amerykańskich gigantach, zatem smoki mogły podzielić siły i zrobić to. Pan Ognia wynurzył się przed dziobem Habsburga i jednym płomiennym zionięciem zniszczył dziobową wieżę artyleryjską okrętu. Zaatakował tuż przed tym, nim na przechylnym do pozycji ataku pancerniku wydano rozkaz otwarcia ognia.

Załadowane dopiero co pociski eksplodowały w lufach, nie tylko pozbawiając okręt dwu trzecich najcięższej artylerii, lecz także doprowadzając do zniszczenia niemal pełnego dziobowego magazynu amunicji, co przyniosło bardziej niż katastrofalne skutki. Austro-węgierski dreadnot zdołał wprawdzie przetrwać, ale całkowicie utracił zdolność bojową. Jego wcześniejszy przechył został skompensowany utratą masy w przedniej części kadłuba. Odciążony dziób poszedł więc wysoko w górę. Andrzej nigdy w życiu nie widział okrętu tej wielkości, który by stanął dęba.

„Najsmuklejsze niszczyciele nie wznosiły się pod tak wielkim kątem...”

Kąt. Zbyt duży kąt przechyłu, bez względu na kierunek, oznaczał jedno. Kilka sekund później szesnaście opalanych węglem kotłów Habsburga eksplodowało kolejno niczym odpalane na paradzie fajerwerki. Spektakularna zagłada chluby austro-węgierskiej floty przyczyniła się także do końca bliźniaczej jednostki, która w tym samym czasie zeszła z kursu po skutecznym ataku Pana Błyskawic. Smok zionął wiązkami błyskawic prosto w nadbudówkę, po czym uderzył korpusem w burtę Babenberga.

Horodyński przysięgłby, że kolizja nie była dziełem przypadku, lecz skutkiem celowego działania. Pancerny dziesięcioletnik zachwiał się po tym zderzeniu i zszedł z kursu, niebezpiecznie się zbliżając do Habsburga, który właśnie stawał dęba. To nie mogło skończyć się dobrze. Ciąg eksplozji posłał lawinę szczątków w stronę próbującej odzyskać sterowność jednostki. Cały jej bok w okamgnieniu został podziurawiony jak rzeszoto – sterburta, ale też pokłady i znajdujące się tam stanowiska bojowe oraz nadbudówka, ponieważ stojący niemal w pionie Habsburg górował nad Babenbergiem niczym wieża oblężnicza nad murami zamku.

Setki ton metalu, wyrwane z trzewi niszczonego pancernika przez sekwencję wybuchów, wybebeszyły bliźniaczą jednostkę, która – choć nie została kompletnie zniszczona – wypadła z szyku i weszła w dryf.

– Jakby wiedziały, kiedy i gdzie uderzyć... – Słowa porucznika Aksjonowa wyrwały dowódcę z zamyślenia. – Zaraz przyjdzie nasza kolej.

– Swołocz szybko się uczy! – mruknął Makarow, zaciskając dłonie na relingu. – Ale nie wystarczająco szybko.

Znów zerknął na ziemię.

Nie dostrzegł w dole ciemnej połaci okolonej morzem blasku. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, gorzał ogień. Wznieczone tysiącami niesionych z wiatrem ładunków płomienie docierały już do

najdalszych bastionów Kręgu Śmierci. Była to jednak zaledwie przygrywka do ostatecznego aktu zagłady cesarskiej stolicy.

Ku ziemi wciąż zdążało kilkadziesiąt niewidocznych z tej perspektywy car-bomb. Pierwsza eksplodowała właśnie dokładnie pod Pietropawłowskiem. Kula ognia towarzysząca detonacji siedmiotonowego ładunku była stukrotnie większa od tych, które Horodyński widział wcześniej, a miał sporo czasu na przyjrzenie się skutkom nalotu, gdy spoglądał z gondoli na trawione pożarami Tokio. Siła tego wybuchu była tak wielka, że zdmuchnęła płomień w promieniu stu albo i dwustu arszynów, tworząc w morzu ognia ogromną, niemal idealnie kolistą wyrwę. Mgnienie oka później doszło do aktywacji zapalnika drugiej bomby, potem trzeciej i dziesiątek kolejnych.

Na moment zrobiło się jaśniej niż w dzień, jakby nad stolicą Nipponu zapłonęło milion słońc. Spoglądający w dół ludzie syczeli z bólu, kryli się, gdzie mogli, zaciskali mocno powieki, by nie oślepnąć. Andrzej skulił się za osłoną, czekając wzorem pozostałych na nadejście fali uderzeniowej.

Jeśli piekło wciąż istniało, mieszkańcy Tokio trafili właśnie do jego najgłębszego kręgu.

ROZDZIAŁ 3

Miotnęło nimi jak liśćmi na wietrze. Pietropawłowski został wypchnięty w górę z taką mocą, że nadwerężony ostrzałem kadłub zajęczał przeciągle, jakby jakaś niewidzialna siła próbowała go rozedrzeć na strzępy. Podobnie rzecz się miała z resztą pancerników i z wspierającymi je krążownikami bombardującymi, które zdążyły dołączyć do szyku i zgodnie z planem utworzyły drugą linię tuż za – i lekko ponad – najpotężniejszymi okrętami zjednoczonej floty.

Ruszające do ataku smoki znajdowały się znacznie niżej od wroga, nic więc dziwnego, że to one przyjęły na siebie główny impet fali uderzeniowej. I dobrze się stało, ponieważ ich kolejnym celem miał być rosyjski flagowiec. Horodyński przez na wpół zamknięte powieki dostrzegł Pana Ognia, który przemknął jak pocisk za bakburtą pancernika. Pan Błyskawic mgnienie oka później pojawił się po przeciwnej stronie kadłuba, a Pan Moru...

Trzeci smok, gnany falą podmuchu, trafił w dno austro-węgierskiej jednostki, która po wyeliminowaniu Sławy zajęła jej miejsce w zacieśnianym szyku. Viribus Unitis, pierwszy z drednotów klasy Tegetthoff, ważył ponad dwadzieścia tysięcy ton, ale mimo to zderzenie z niewiele tylko mniejszą bestią okazało się dla niego tragiczne w skutkach. Oszołomiony Pan Moru trafił bowiem w jego dziobową część, i to pod kątem, nadając popychanemu falą uderzeniową kadłubowi jeszcze większą prędkość wznoszenia, której pracujące na pełnych obrotach wirniki nie były już w stanie skompensować. Do tego doszedł jeszcze moment obrotowy, który sprawił, że pancernik przechylił się na sterburtę. Na tyle mocno, by woda w jego kotłach trafiła nie tam, gdzie trzeba.

W normalnej sytuacji przechył rzędu dwudziestu ośmiu stopni nie powinien doprowadzić do katastrofy, ale to nie była normalna sytuacja. Pchnięty falą uderzeniową Viribus Unitis miał już kilkunastostopniowy przechył poprzeczny, do tego doszedł silny

wstrząs będący skutkiem zderzenia. W miejscu, w które uderzył Pan Moru, poszycie zostało wgniecione na powierzchni ponad dwóch tysięcy stóp kwadratowych. Wiele wypaczonych płyt pancernych odpadło, odsłaniając całe przedziały najniższych pokładów. Masywne wręgi i inne elementy nośne powyginały się, jakby zrobiono je z papieru, nie ze stali. Kadłub został odkształcony do tego stopnia, że nawet pokład się nieznacznie wybrzuszył między dziobowymi wieżami artyleryjskimi a nadbudówką.

Ten okręt, tak czy owak, nie miałby już wielkiej wartości bojowej, być może musiałby opuścić szyk, lecz nie powinien zostać tak łatwo wyeliminowany. Niestety nakładające się na siebie skutki uderzeń doprowadziły do uszkodzenia jednego z kotłów, a gromadzona pod olbrzymim ciśnieniem para dopełniła dzieła zniszczenia. Zanim oszołomiony Pan Moru odzyskał panowanie nad skrzydłami, tuż nad nim doszło do całej serii wybuchów, której efektem były istne lawiny szczątków.

Na ich drodze ku ziemi znajdowała się rozpaczliwie łopocąca skrzydłami bestia.

Horodyński, zapominając o grożącym mu niebezpieczeństwie, wychylił się za osłonę mostka. Niepomny nawoływań chłonął wzrokiem obraz miotającego się w dole smoka. Bestia pojęła, co jej grozi, zanim pierwsze kawałki rozgrzanej i ostrej niczym brzytwa stali uderzyły w pokryty łuskami korpus. Zrozumienie przyszło jednak nie na tyle szybko, by Pan Moru uniknął zupełnie tego nieoczekiwanego bombardowania. Skórę na grzbiecie miał zbyt grubą, by podzielić los ginącego okrętu, ale składane pośpiesznie skrzydła znacznie ucierpiały.

Pozbawiony możliwości ich pełnego rozpostarcia smok utracił siłę nośną i poleciał w dół jak kamień. Jego skrzek był tak przejmujący, że Andrzejowi wszystkie włoski na przedramionach stanęły dęba.

Kadet spojrział z nadzieją na Makarowa, lecz dowódca, który również był świadkiem przypadkowego strącenia bestii, nie miał zbyt rażnej miny. Moment później zaklął nawet szpetnie, gdy Pan

Moru zdołał wyjść z korkociągu, ustawił się bokiem do ziemi i w tej pozycji rozpostarł skrzydła. Mknąc nadal ku płonącemu miastu, ale już pod mniejszym kątem, wydostał się z pola rażenia, po czym na dobre zniknął ludziom z oczu.

Pozostałe dwa smoki miały więcej szczęścia, choć chwila otumanienia wystawiła je na ogień reszty okrętów. Każdy, kto zdołał ustać na nogach, pruł do nich jak do tarcz na strzelnicy. Niebo przeszły setki smug, łuskowate korpusy pokryły się mrowiem eksplozji, mniejszych i większych. Niestety ani gatlingi, ani nawet działa mniejszego kalibru nie były w stanie zrobić bestiom poważniejszej krzywdy, ale nawet ten niewielki dyskomfort, jaki smoki musiały poczuć, dał ludziom satysfakcję i pomógł odbudować utracone morale w przetrzebionych załogach. Ostrzeliwane nieustannie i wciąż nie do końca przytomne bestie zanurkowały, tym razem znikając na dłużej, lecz z pewnością nie był to koniec ich udziału w tym starciu.

Z ponad trzystu okrętów wojennych, które ruszyły nad Tokio, w szyku zostało może osiemdziesiąt, w tym tylko kilkanaście krążowników i dające się zliczyć na palcach jednej ręki pancerniki. Niebo pomiędzy topniejącym frontem burzowym a polem bitwy zasłane było porozrywanymi, dryfującymi bez celu wrakami.

Zadanie zostało jednak wykonane. W stolicy wroga nie ostał się kamień na kamieniu. Płomienie zduszone eksplozjami car-bomb tworzyły skomplikowany wzór w morzu ognia. Krąg Śmierci także przeszedł do historii. Tylko kilka najdalej wysuniętych na północny wschód bastionów prowadziło jeszcze walkę, ale jednostki eskorty powoli dobierały się im do skóry.

– Admirale, oficer dyżurny przekazuje ważny raport! – zameldował zdyszany kadet. – Porucznik Jenssen donosi, że stan amunicji do gatlingów spadł poniżej dziesięciu procent. Podobnie ma się sytuacja z pociskami do dział trzydziści siedem i czterdzieści siedem milimetrów.

– A co z większymi kalibrami? – zapytał Makarow.

– Od czterdziestu dwóch do pięćdziesięciu pięciu procent.

Dowódca przygryzł dolną wargę. To było do przewidzenia. Okręty rosyjskiego kontyngentu rzadko miały okazję do użycia głównej artylerii, skoro wróg nie rzucił do walki swojej floty powietrznej. Tymczasem jeszcze kilka minut tego szaleństwa i staną się kompletnie bezbronni.

– Pisz, Andriusza. – Wiceadmirał zwrócił się do Horodyńskiego. – Do wszystkich jednostek: przerwać ogień ciągły i zaporowy. Strzelać tylko do widocznych celów.

Dalsze marnowanie amunicji na niszczenie celów naziemnych nie miało żadnego sensu, podobnie jak ostrzeliwanie smoków, których pociski małego i średniego kalibru po prostu się nie imały. Dlatego Makarow wydał ten rozkaz z pominięciem drogi służbowej. Ufał, że Evans nie będzie miał mu tego za złe, kiedy przeczyta ostatnie meldunki. Na innych okrętach sytuacja z pewnością nie była lepsza.

– Admirale! – Pobladły kadet wskazał palcem za sterburtę.

Blask przedświtów zdołał się wreszcie przebić przez rzadniejącą w oddali pokrywę chmur, a i łuna pożaru rozjaśniła mrok w wystarczającym stopniu, by marynarze i oficerowie mogli dostrzec coś więcej niż tylko majaczące wokół cienie okrętów. Mocno przetrzebione zgrupowanie niszczycieli i krążowników, którego zadaniem było związanie walką bastionów na północy miasta, wykonywało właśnie zwrot, by zaatakować tamtejsze baterie Kręgu Śmierci, te same, które pancerniki miały już w polu rażenia. Eliminacja tych stanowisk artyleryjskich stanowiłaby ostatni akt dzieła zniszczenia, po którym powinien zostać ogłoszony odwrót.

Ponad trzydzieści okrętów różnej wielkości, w dużej części mocno uszkodzonych, wstrzeliwało się w nowe cele, gdy nagle znikąd pojawiły się potoki płynnego ognia, błyskawic i... lodu.

Pan Lodu powrócił na pole bitwy, by zastąpić ranionego towarzysza! Zjednoczona flota znów miała przeciw sobie trzy bestie, które najwyraźniej zmieniły taktykę. Nie atakowały już

największych okrętów, zamiast tego zajęły się unicestwianiem jednostek eskorty, a szło im to nad wyraz sprawnie.

Jedno zionięcie ogniem wystarczało do wypalenia pokładów dwóch albo nawet trzech niszczycieli. Opancerzenie okrętów tej klasy nie było w stanie przetrzymać takiego ataku. Nadbudówki i burty topiły się jak śnieg wystawiony na działanie promieni słonecznych. Błyskawice wnikały w otwarte tym sposobem rany, lód uciszał stanowiska bojowe wzdłuż całych burt.

Choć zaatakowane jednostki nie dysponowały bronią, jaka by pozwalała poważnie ranić smoka, nie było załogi, która zrejterowałaby bądź zaprzestała walki. Niedawny rozkaz dowódcy błyskawicznie poszedł w niepamięć.

Niebo znów przecinały długie smugi pocisków zapalających, przestrzeń wokół wypełniła się dymem dziesiątek eksplozji. Nic jednak nie mogło zmienić losu zaatakowanych ani choćby opóźnić ich końca. Andrzej przyglądał się zagładzie liczego wciąż zespołu uderzeniowego, zaciskając zęby. Nie czuł bólu, nie czuł strachu, przepełniał go wyłącznie bezbrzeżny smutek. Dotarło do niego, że zwycięstwo, jakie niewątpliwie odnieśli, zostało okupione najwyższą ceną.

– Washington nadaje! – Horodyński wzdrygnął się, gdy usłyszał głos łącznika. – Admirał Evans zarządza natychmiastowy odwrót!

Makarow zerknął w stronę rozpoczynającego już ciassny zwrot amerykańskiego giganta. W niebo wystrzeliły race. Trzy czerwone, podobne do tej, którą Japończycy wzięli wcześniej namiar.

„Wariant trzeci?”, zdziwił się Horodyński. Wariant trzeci oznaczał złamanie szyku, jak najszybsze oddalenie się od formacji i ucieczkę w pojedynkę. Tylko w ten sposób dało się spowolnić szalejące smoki i ocalić choć niewielką część połączonych sił.

„Czy aby na pewno?”... Ta myśl nie dawała spokoju Andrzejowi przyglądającemu się kolejnej szarży smoków na niszczyciele. Patrząc na zagładę miniaturowych z tej odległości okrętów, chłopak

miął poważne wątpliwości, czy ktokolwiek zdoła uciec z nad
dogorywającego Tokio.

ROZDZIAŁ 4

Lecący na lewej flance Pietropawłowski niemal położył się na bakburcie, wchodząc w ciasny zwrot, dzięki któremu miał zawrócić nad płonącym miastem i odlecieć w kierunku oceanu. Opracowany wcześniej plan zakładał, że flota po wykonaniu misji zostanie podzielona, by uniemożliwić wrogowi skuteczny pościg za uciekającymi jednostkami. Brano pod uwagę trzy warianty tego manewru. Pierwszy dzielił siły koalicji na poszczególne kontyngenty, które w momencie wydania rozkazu odwrotu uzyskiwały całkowitą niezależność. Drugi nakazywał rozpad sił każdego z mocarstw na kilka mniejszych eskadr, aby zminimalizować straty w ewentualnych starciach z okrętami przeciwnika, które mogłyby zostać ściągnięte z innych baz na wyspach. Trzeci wariant przewidywał, że każda jednostka obierze inny kurs i dopiero po ich dotarciu do ustalonego punktu zbornego dojdzie do ponownego scalenia flot. Admirał Evans najwyraźniej uznał, że właśnie to ostatnie rozwiązanie sprawdzi się w zaistniałej sytuacji.

Smoki panowały na niebie niepodzielnie, chodziło więc już nie tyle o wycofanie sił z nad Tokio, ile o próbę ocalenia jak największej liczby okrętów. Cel ten można było osiągnąć jednym sposobem – uniemożliwiając wrogowi rażenie wielu celów naraz i zmuszając go do ścigania każdego okrętu z osobna. W przypadku jednostek eskorty nie miało najmniejszego znaczenia, czy lecą w ścisłym szyku, czy stają do nierównej walki samotnie. Wszystkie one – niszczyciele, korwety, a nawet krążowniki – stały na z góry straconej pozycji.

Z pancernikami było inaczej. Te podniebne giganty były wyposażone w działa, których pociski mogły zranić przedwieczną bestię, a przynajmniej zadać jej ból. Problem polegał na tym, że najcięższa artyleria nie nadawała się do ostrzeliwania tak szybkich i zwinnych celów. Nawet zaprzężenie elektryczności, wytwarzanej

dzięki maszynom parowym, nie pozwalało poruszyć wielotonowych konstrukcji z taką prędkością, by kanonierzy zdążyli wziąć skuteczny namiar.

A smoki zdawały się wiedzieć, co jest dla nich zagrożeniem, i zawsze, ale to zawsze, atakowały w taki sposób, by nie znaleźć się na wprost luf – z wyjątkiem uprzedzającego i udanego ataku Pana Ognia na austro-węgierskiego drednota.

Horodyński obserwował rozwój sytuacji z rosnącym niepokojem. W szarzyźnie poranka widział wyraźnie, jak smoki unicestwiają kolejne jednostki zjednoczonej floty. Po pięciu minutach od ogłoszenia odwrotu na niebie pozostało nie więcej niż pięćdziesiąt okrętów, a z każdą upływającą minutą ubywał jeden albo dwa. Na szczęście koalicjanci coraz bardziej oddalali się od siebie, prując bezmiar nieba z największą prędkością, jaką dało się wycisnąć ze stalowych kolosów. A te sunęły, rozwijając ponad pięćdziesiąt węzłów, czasami nawet sześćdziesiąt.

– Za mało nas – mruknął stojący obok kadeta Makarow, gdy ostatni niemiecki krążownik zgrupowania północnego zniknął w kuli oślepiającego ognia.

– Na szczęście gady zajęły się drobnicą – rzucił nieznany Andrzejowi z nazwiska bosman, który zajął miejsce poległych kolegów.

– Na szczęście? – Wiceadmirał zaśmiał się chrapliwie. – Za cenę życia tych ludzi zyskamy kwadrans, może dwa...

– W chmury trzeba iść. W burzę. – Doświadczony, żylasty matros wskazał na południowy zachód, gdzie pognał sztorm i zachmurzenie wciąż było największe.

– Dobrze mówicie, Maksymie Josipowiczu – zgodził się wiceadmirał. – Wykonać.

Nie trudził się dokonywaniem stosownych obliczeń ani wydawaniem precyzyjniejszych rozkazów. Bosman wiedział, co robić.

Pancernik położył się na sterburtę. Łagodniej niż poprzednio, gdyż nie musiał wykonać aż tak ciasnego zwrotu. Korekta kursu wynosiła nie więcej niż dwadzieścia stopni.

– Nadajcie do pozostałych, niech próbują iść za nami – zakomenderował Makarow, opuszczając wielką lornetkę. – Zniknięcie w tych chmurach może być naszą jedyną nadzieją.

Dawna prawa flanka zjednoczonej floty przestała istnieć – bynajmniej nie dlatego, że nakazano odwrót, a co za tym idzie, złamanie szyku bojowego. Na niebie od północy nie pozostał już ani jeden okręt zdolny do dalszego prowadzenia walki, a jeszcze kwadrans wcześniej było ich tam ponad dwadzieścia. Smoki, tak dobrze teraz widoczne, ruszyły za umykającymi niszczycielami drugiego zgrupowania, lecz zanim zdołały pokonać połowę dystansu dzielącego je od nowych celów, lecący na ich czele Pan Ognia skrzył majestatycznie i poprowadził pozostałe dwie bestie prosto na pancerniki.

– Job twoju mać! – zaklął poblady bosman.

Pietropawłowsk był jednym z szesnastu okrętów, które ocalały z trzonu sił uderzeniowych. Prócz Washingtona i Ohio wachlarz uciekających jednostek tworzyło osiem ostatnich krążowników bombardujących i sześć pancerników. Dwa rosyjskie (prócz flagowca ocalała niemal nietknięta Pobieda), dwa niemieckie: Breslau i Posen, oraz włoski Leonardo da Vinci i austro-węgierski Árpád. Pozostali koalicjanci stracili podczas nalotu wszystkie najcięższe jednostki.

Każdy, kto dysponował lornetką, miał ją teraz przy oczach, ale to mrużący powieki bosman odezwał się pierwszy.

– Lecą prosto na nas! – zawołał, błędąc jeszcze bardziej.

Smoki obrały za cel okręty najbliższe frontu burzowego, jakby rozgryzły, co kryje się za ostatnim manewrem rosyjskiego flagowca.

– Przygotować się na atak!

Zawyły syreny, zadźwięczały dzwonki. Tym razem Horodyński nie powstrzymał ręki unoszącej się do zrobienia znaku krzyża.

休憩

Bosman się nie mylił. Rosyjski flagowiec był celem pierwszego ataku smoków. Świadom powagi sytuacji Makarow nakazał ewakuację obu skrzydeł mostka, przynajmniej na czas bezpośredniej konfrontacji. Andrzej trafił do otoczonego pancernymi płytami pomieszczenia u szczytu nadbudówki ostatni. Dwa uderzenia jego szamocącego się serca później Pietropawłowski zadrżał, jakby nie był okrętem powietrznym, lecz zwykłym automobilem, który pokonuje wyboisty odcinek szosy. Potem gigantyczny okręt przechylił się na bakburcie, na szczęście niezbyt mocno. Zaskoczenie było tak wielkie, że ci załoganci, którzy nie zdążyli chwycić się przyśrubowanych na stałe mebli, zostali ścięci z nóg i długim ślizgiem polecili aż pod ścianę sterówki.

– Już po wszystkim? – z głębi mostka padło zwięzłe pytanie.

– Nie! – odpowiedział zdecydowanym tonem trzymający się stołu bosman. – Na pewno...

Znowu miał rację. Drżenie, które przed chwilą poczuli, było efektem ataku pierwszego smoka – skuł swym zionięciem górną część bakburty, zmieniając wilgotne wciąż powietrze w grubą warstwę lodu, a ta obciążyła pancernik tak mocno, że wirniki potrzebowały kilku długich sekund, by skompensować ten przechył. Zanim Pietropawłowski wrócił do pionu, za jego rufą pojawił się Pan Ognia, który zniszczył za jednym zamachem tylną wieżę artyleryjską i nadbudówkę za nią. Płynny ogień uszkodził także podstawę drugiego komina, ale – na szczęście dla umęczonej walką załogi – płomienie nie dotarły tym razem do maszynowni ani do znajdujących się obok kotłów.

Carski flagowiec leciał nadal, nie zwalniając, lecz zebrani w sterowni oficerowie znieruchomieli, spoglądając z wyczekiwaniem na opuszczone osłony. Huku i charakterystycznych trzasków, które moment później dotarły do ich uszu, nie sposób było pomylić z niczym innym. Pan Błyskawic

natarł na skutą lodem burtę, której poszycie zostało naruszone na skutek nagłego zmrożenia.

To uderzenie zaboląo najmocniej. Wiązki błyskawic, o mocy prawdziwego gromu każda, stopiły lśniąca powłokę, a następnie przedostały się przez liczne pęknięcia i szczeliny do wnętrza kadłuba, zabijając każdego, kto stanął na ich drodze, i niszcząc całe wyposażenie. Stal, z której budowano okręty, była znakomitym przewodnikiem, konstruktorzy napracowali się więc, by zabezpieczyć słuujących na Pietropawłowsku marynarzy przed porażeniem, lecz niestety ich wysiłki okazały się niewystarczające. Wyładowania energii raziły każdego, kto miał pecha służyć w przedziałach bojowych tej części okrętu.

Poważnemu uszkodzeniu uległy także dwa z trzech zespołów wirników napędowych, przez co jednostka skręciła raptownie, ścinając z nóg tych, którzy jeszcze na nich stali.

Atak ten jednak – szczęśliwie dla dowódcy i jego otoczenia – przeszedł dołem, z dala od szczytu nadbudówki i połączonego z nią mostka, choć z pewnością nie był to jeszcze koniec.

– Sprawdzić oporządzenie! – krzyknął admirał, ledwie ogłuszający hałas ucichł. – Na zewnątrz! Już!

– Za pancierzem bezpieczniej! – zaprotestował płacząco któryś z sygnalistów.

– Uwierz mi, synu, że nie chcesz tutaj być, gdy one wrócą – rzucił Makarow, zakładając podany mu paraszut.

Popchnął obmacującego się nerwowo Andrzeja. Jeden z poruczników już otwierał właz, przez który przerażeni marynarze i oficerowie wydostali się na mostek. Z dołu dobiegały wciąż wrzaski, gęsty dym walił w niebo czarnymi jak smoła kłębamii. Całe szczęście, że porywisty wiatr ściągał ten tuman za burtę, lecz okręt wciąż skręcał...

Admirał dopadł do tuby rury głosowej. Nie było czasu na przestrzeganie obyczaju, dlatego sam wywołał maszynownię. Nie doczekał się jednak odpowiedzi.

– W czortu matieri! – zaklął, uderzając pięścią w obudowę busoli.

Horodyński struchlał. Oczami wyobraźni zobaczył, jak dowódca wyłuskuje go z tłumu i znów posyła na dół. I rzeczywiście, ręka admirała uniosła się, wyprostowany palec wycelował niemal prosto w jego pierś, lecz z ust Stiepana Osipowicza padło inne imię.

Tym razem samobójcze zadanie przypadło ostatniemu kadetowi, który po opuszczeniu sterowni pozostał bez przydziału.

– Miszeńka... – Wiceadmirał chwycił niższego od Andrzeja chłopaka z Kijowa i pochyliwszy się mocno, spojrzał mu w oczy. – Leć do maszynowni, powiedz, żeby główny mechanik... albo ten, kto go zastępuje... za wszelką cenę wyrównał kurs. Za wszelką cenę, rozumiesz? Tylko w tych chmurach nasza nadzieja... – Wskazał odległy szary całun. Suworow, bo tak nazywał się dzieciak, nie odpowiedział. Stał jak słup soli, z rozdziawioną gębą i szeroko otwartymi oczami. – Słyszysz, co do ciebie mówię?! – Makarow potrząsnął nim, ale nie przyniosło to żadnego efektu, potoczył więc wzrokiem po reszcie obecnych.

– Ja pójdę! – Horodyński wystraszył się, słysząc własny głos.

Sam nie wiedział, dlaczego zgłosił się na ochotnika. Może perspektywa pozostania na otwartej przestrzeni w trakcie niechybnego ataku smoków wydała mu się bardziej przerażająca od niebezpieczeństw czyhających we wnętrzu uszkodzonego okrętu? Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie ani wtedy, ani później, gdy opuszczał się zwinnie po kolejnych rurach, już bez obawy, że spadnie. Zanim dotknął stopami pokładu, smoki uderzyły na Pobiedę.

Istniała szansa, choć nikła, że nie wrócą, dopóki nie zniszczą ostatnich kilkunastu okrętów. Szansa...

Andrzej zaśmiał się w duchu, kwaśno, z desperacją. Ta przekłeta, durna szansa, o której marzy każdy, kto wyrusza w bój. Pieprzona, złudna nadzieja, że to nie on stanie na drodze nadlatującego pocisku albo – jak w tym przypadku – strugi ognia, lodu, błyskawic czy morowego powietrza.

Zejście na główny pokład nie zajęło dużo czasu, ale dalej nie było już tak różowo. Atak smoków doprowadził do niewyobrażalnych zniszczeń. Lód, którym została skuta bakburta, nie stopniał całkowicie. W wielu miejscach, na przykład na stanowiskach gatlingów u podnóża nadbudówki, nadal pokrywał grubą warstwą wszystko: zarówno pancerne osłony, jak i kryjących się za nimi ludzi.

Andrzej zamarł, widząc zastygniętą w pół ruchu postać marynarza, który zginął, próbując się wydostać zza wysokiego na arszyn pasa metalu. Nieszczęśnik zdołał wychylić się za osłonę i tam, zamrożony na kość, znieruchomiał już na zawsze. Pokład wokół stanowiska bojowego także był pokryty lodem, i to na tyle grubym, że nie wystawało z niego nawet ciało poległego w pierwszej fazie bitwy kadeta, którego Horodyński ograbił nie tak dawno z paraszuta.

Wspomnienie strzaskanego truchła wyrwało posłańca z letargu. Czas upływał z każdą kroplą ściekającą z upiornej lodowej rzeźby.

„Pora w drogę”, pomyślał Andrzej.

Ruszył ostrożnie przed siebie, lecz że okręt wciąż wykonywał zwrot, oblodzony pokład był nie tylko śliski, ale też pochyły. Horodyński nie podnosił stóp, przesuwał je po trzeszczącej złowieszczo bladoniebieskiej skorupie o pół buta, nie więcej. Równowagę starał się utrzymać za pomocą rozłożonych szeroko ramion. Przy piątym z takich kroczków – zliczał je w pamięci – noga uciekła mu w przód razem z kawałem odłamującego się lodu. Zamachał rozpaczliwie rękami, próbując znaleźć jakieś oparcie, i trafił na coś okutanymi w rękawice palcami. Chwycił się z całych sił, ale nie był w stanie zahamować upadku. Wyrznął boleśnie tyłkiem o lód i zsunął się po obudowie stanowiska bojowego aż pod pogięty reling, za którym...

Nogi zawisły mu nad zmasakrowaną bakburtą. Tak, to słowo najbardziej pasowało do widoku, jaki roztoczył się przed jego oczami. Lód zimniejszy od mrozu skuwającego ziemskie bieguny

rozsadził nitowane pancerze, a gdy błyskawice stopiły go chwilę później, znaczna część płyt poszycia runęła prosto w szalejące na ziemi piekło. Uczepiony relingu kadet mógł więc zobaczyć wnętrza poniszczonych kajut i przedziałów. Wypatrzył też ludzi; zwęglonych, poparzonych. Leżeli tam, gdzie sięgnęły ich pioruny miotane setkami przez bestię, nie wszyscy jednak byli martwi. Na oczach Andrzeja najbliższy z potwornie poranionych marynarzy przechylił się na bok i stoczył za burtę. Poleciał bezwładnie w odległe płomienie, nie wydając żadnego dźwięku. Horodyński miał nadzieję, że przyczyną tego upadku był zgon nieznanego mu z nazwiska towarzysza broni. Wzdrygnął się na myśl, że ktoś mógłby podjąć świadomą decyzję, by skoczyć z tak wielkiej wysokości...

Strach otrzeźwił go momentalnie. Rozejrzał się i wrzasnął, jakby spojrzawszy w rozdziawioną paszczę któregoś ze smoków. Szukając przed chwilą wsparcia, złapał się czegoś. Zdjęty paniką zacisnął palce najmocniej, jak umiał, i nie rozwarł ich aż do teraz. Gdy zerknął na własną dłoń, ujrzał w niej... rękę zamrożonego marynarza. Była zimna jak arktyczny wiatr i twarda jak stal, o którą się opierał.

Cisnął ją na lód pokrywający pokład, z obrzydzeniem otarł rękawicę o kurtkę, podniósł się nieporadnie. Na czworakach dobrnął do zejściówki i tam stoczył się po stopniach aż na podest. Dopiero w zaciszu korytarza odważył się odetchnąć.

休憩

Leżał, dysząc ciężko i wsłuchując się w cichy odgłos. Kap, kap, kap. Kolejne krople spadały w miarowych odstępach, zupełnie jakby odliczały...

Myśl o uciekającym czasie ocuciła Horodyńskiego do reszty. „Smoki odleciały, uznawszy, że uszkodzony pancernik już im nie ucieknie, ale wrócą, na pewno wrócą. Prędzej czy później zaatakują ponownie, by dokończyć dzieła zniszczenia. I powiedzie im się, jeśli nie zdołam wykonać rozkazu”, pomyślał zdjęty strachem kadet.

Wstał, poprawił szybkim ruchem niepalną oponę, potem nałożył maskę przeciwigazową na czoło. Był gotowy ruszyć w głąb Pietropawłowska. Zamierzał przedostać się korytarzem na drugą, nieuszkodzoną stronę okrętu i tamtędy dotrzeć do przedziału maszynowego albo znajdującej się za nim kotłowni. Niestety rzeczywistość dość szybko zrewidowała jego plany. Droga, którą obrał, okazała się zamknięta, i to na dobre. Odkształcenia kadłuba spowodowane mrożeniem sięgały głęboko. Zatrzaśnięte na czas alarmu bojowego włazy uległy blokadzie, jakby ktoś je przyspawał do kryz. Andrzej siłował się z pokrętłem, szarpał za nie, napierał całym ciałem, lecz żelazna płyta nawet nie drgnęła.

Nie mając wyboru, postanowił pójść bakburtowym korytarzem, choć zdawał sobie sprawę, że to nie będzie proste.

Na jego szczęście pierwsze trzy włazy zostały dosłownie wyrwane z zawiasów, mógł więc bezpiecznie pokonać ponad czterdzieści arszynów. Nie było to jednak przyjemne przeżycie. Co rusz natrafiał na ciała poległych bądź ślady po nich, takie jak choćby kałuże krwi albo smoliste plamy na ścianach okalające wypalone kontury poskręcanych bólem i strachem ludzkich sylwetek. W takich momentach przymykał oczy, zaciskał zęby i parł dalej z determinacją godną bohatera, którym na pewno nie był. Ślizgał się na resztkach lodu, przestępował nad tarasującymi przejście zwłokami, omijał pogięte i porozrywane elementy kadłuba, z każdym krokiem zbliżając się do łączników śródokręcia, gdzie – Bóg da – będzie mógł wejść głębiej, oddalić się od tego piekła na niebie i wykonać powierzone mu zadanie.

Przy czwartej grodzi zaczęły się jednak schody, jak zwykł mawiać Jędrzej, najlepszy przyjaciel z czasów nieodległego dzieciństwa.

Wejście do kolejnego przedziału bojowego blokował pogięty, mocno osmalony właz. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie ruszy go żadna siła. Andrzej spojrzał więc w stronę otchłani. Gdyby przypiął się do poręczy zabezpieczającej i poluzował linę, mógłby zejść po odsłoniętej wrzędze i znaleźć miejsce, którym dałoby się

przedostać na drugą stronę grodzi. Asekurowany grubą linką nie musiałby bać się upadku, tyle że... Straciłby to zabezpieczenie po drugiej stronie, a zapasowej linki niestety nie zabrał.

Kap, kap, kap... Przypomniawszy sobie o uciekających sekundach, o kurczącym się czasie, który pozostał do nieuniknionego ataku. Nie miał pojęcia, jak długo błędzi po dolnym pokładzie. Minutę, dwie, pięć? Spojrzał na płonące w dole miasto i widoczny za nim horyzont. W bladym świetle budzącego się dnia zobaczył za morzem ognia stożkowaty górski szczyt. Pietropawłowski mocno zszedł z kursu. Zamiast na ocean kierował się teraz w głąb wyspy.

Nie było nad czym debatować. Im dłużej okręt będzie leciał w dryfie, tym więcej czasu będzie potrzebował na późniejszą korektę kursu i ucieczkę. Trzymany drżącą ręką karabińczyk złapał dopiero za trzecim razem, ale jego metaliczne szczęknięcie uspokoiło młodego kadeta. Był bezpieczny, przynajmniej na razie.

Opuścił się ostrożnie, z konieczności sięgając dłońmi do ostrych krawędzi porozrywanego metalu. Grube rękawice, mające go chronić przed ogniem, poddawały się bez walki, podobnie jak ukryta pod nimi skóra, lecz Andrzej nie zważał na ból. Kilka niepewnych ruchów później zawisł uczepiony solidnej wręgi, poznaczonej grubymi na palec otworami w miejscach, gdzie wcześniej przymocowano płyty pancernego poszycia. Wychylił się, by zlustrować pomieszczenie po drugiej stronie. Nie miał szans na dotknięcie stopami powyginanego pokładu, ale pod ścianami magazynku dostrzegł kilka regałów. Rama najbliższego znajdowała się prawie w zasięgu ręki.

Zapamiętał ze szkoleń, że całe wyposażenie okrętu jest przymocowane na stałe. Albo przyspawano je do pokładu, albo przyśrubowano. Oblizawszy spierzchnięte wargi, rozważając następny ruch, po czym ostrożnie wyciągnął ramię do metalowej konstrukcji. Nie od razu udało mu się ją chwycić, lecz gdy zdołał zacisnąć palce na pionowym elemencie ramy, już go nie puścił. Szarpnął trzykrotnie, niezbyt silnie, by nie spaść, niestety bez efektu.

Nabrał więc głęboko tchu i skoczył niezdarnie w stronę regału. Teraz trzymał się go obiema rękami, ale linka przypięta do poręczy po drugiej stronie grodzi okazała się zbyt krótka. Sklął się w myślach za to, że nie poluzował jej bardziej. Napięty sznur nie pozwalał mu odetchnąć, a co gorsza, stawiany opór zaczynał go ściągać. Jeden rzut oka przez ramię uświadomił Andrzejowi, że to będzie bolesny upadek. Sunąc wzdłuż burty ruchem wahadłowym, mógł się nadziać na któryś rozdarty element kadłuba, a było ich tam pełno. Powyginane podpory, ostre jak brzytwa krawędzie ścianek, ułamki rur szczerzące zębiska.

Spanikował, gdy dotarło do niego, że traci moc w rękach. Jeszcze kilka sekund i...

Nagle coś chrupnęło i ucisk zmałał. Zaskoczony Horodyński powiódł wokół wzrokiem, lecz nie zauważył żadnej różnicy. Mimo to linka nie była już tak napięta. Czyżby poręcz puszczała?

Poprawił uchwyt, zaparł się jedną nogą o gródź i sięgnął lewą ręką do pasa, za którym tkwił prosty marynarski nóż. Musiał go wyjąć szybko, zanim zraniona dłoń stanie się zbyt słaba, by go utrzymać w tej pozycji. Podeszwa dająca odrobinę stabilizacji ślizgała się niebezpiecznie przy każdym ruchu. Zamknął oczy, po części ze strachu, i namacawszy na ślepo rękojeść, wysunął długie ostrze z pochwy. Nie zastanawiając się wiele, przeciągnął nim po naprężonej wciąż lince. Naciął ją, lecz to nie wystarczyło, dziabnął więc jeszcze raz, oczywiście trafiając w zupełnie inne miejsce.

Nie puściła, co było do przewidzenia, ale Horodyński nie poddał się narastającemu przerażeniu. Spróbował ponownie, tyle że mniej nerwowo. Przytknął ostrze do splotu i poruszył nim najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Przecinany sznur zatrzeszczał znajomo i w końcu zaczął się rwać pod obciążeniem. Czując to, Andrzej otworzył dłoń, pozbywając się zbędnego narzędzia. Nie miał czasu na chowanie noża do pochwy. Chwycił ramę regału wolną ręką w tym samym momencie, w którym linka pękła. Nie, nie w tym

samym momencie, wyprzedził to zdarzenie o jedno uderzenie serca. To wystarczyło, by uniknąć niebezpiecznego szarpnięcia.

Instynktownie oplótł nogą metalową podporę. Dał radę. Stracił linkę asekuracyjną i nóż, ale żył, a co ważniejsze, znalazł się po drugiej stronie grodzi, na śródkręciu, gdzie korytarzy i przejść między pokładami było więcej.

Wykona zadanie. Zostanie bohaterem.

Głośny zgrzyt zakończył tę chwilę uniesienia. Podpora, którą złapał kurczowo, właśnie odchyliła się o kolejne kilka cali. Horodyński zrozumiał, dlaczego chwilę wcześniej napięcie linki nagle zmalowało. Ten regał nie był aż tak stabilny, jak mu się początkowo zdawało. A może zmrożone smoczym zionieniem elementy utraciły elastyczność albo trzymające całość w kupie śruby zostały zbyt nadwerężone strumieniami zabójczej energii? Andrzej nie znał odpowiedzi na te pytania; jedyne, co mógł zrobić, to wspiać się wyżej, by zeskoczyć na pokład, zanim...

Nie zdążył. Regał rozpadł się z głośnym trzaskiem. Rama, której wciąż się trzymał, poleciała w dół, a on spadł razem z nią.

ROZDZIAŁ 5

Łopot był tak głośny, że zagłuszał wszystko, nawet jego krzyk. Nad sobą Horodyński widział malejący szybko kadłub Pietropawłowska, ale dopiero po kilku sekundach skołowany umysł podpowiedział mu, dlaczego pancernik oddała się w tak zawrotnym tempie.

„Spadam!”...

Andrzej szarpnął się, moment później puścił trzymany w kurczowym uścisku kawał żelaza. Niedawne osłupienie zniknęło, wyparowało w okamgnieniu, ustępując miejsca atakowi paniki. Młody kadet wyciągnął dłonie ku okrętowi, jakby miał nadzieję, że pochwyci którąś z odsłoniętych wręg i powstrzyma swój upadek. Było to bardzo irracjonalne zachowanie, lecz człowiek w takiej sytuacji nie myśli przecież trzeźwo. Zresztą trudno było nazwać myśleniem tę kołomyję wypełniającą jego głowę. Przed oczami migały mu kolejne obrazy, wspomnienia z jakże krótkiego życia. Chwile radości i smutku. Bólu i ukojenia. Wszystkie te ulotne projekcje miały jednak wspólny mianownik: wzmagaly strach przed tym, czym musiał zakończyć się lot ku ziemi. Dopiero co widział, jak pokryty liszajami oparzeń mężczyzna stacza się z pokładu i leci prosto w szalejące płomienie.

„Płomienie!”...

Szarpnął się raz jeszcze, gwałtownie, desperacko. „Muszę spojrzeć w dół! Muszę!”... Pierwsza próba nie przyniosła efektu, zebrał się więc w sobie i szarpnął z całych sił. Za mocno!

Bezwładne ciało wykonało pełen obrót i znów spoglądał w niebo, na ostrzeliwujące się okręty i śmigające między nimi smoki.

„Smoki!”...

Spanikowany do granic szarpnął się szaleńczo i to wreszcie poskutkowało. Zrobił półtora obrotu, po którym rozłożone szeroko ręce – nieświadomy, choć wyuczony gest – pozwoliły mu odzyskać równowagę.

Natychmiast przeklął w duchu moment, w którym zapragnął znaleźć się twarzą do ziemi. Płonące zgliszcza były znacznie bliżej niż wtedy, gdy oglądał je przez bulaje gondoli. Jeszcze chwila i płomienie obejmą go, pochłoną, jak te szczątki krążownika, które zniknęły właśnie w chmurach dymu i skrzących się iskier.

„Zawiodłem”. Ta konstatacja wychynęła nagle z wiru panicznych myśli. „Nic mnie już nie może uratować. Nic! Zginę tutaj, jak wszyscy inni, i nikt nigdy się nie dowie, czego dokonałem. Nawet ciała nie znajdą...” Przed oczami Andrzeja pojawił się zapamiętany z Archangielska obraz: zmasakrowane szczątki poległych w wypadku marynarzy układane na nabrzeżu w równym rzędzie i pośpiesznie nakrywane łopocącym na wietrze brezentem, który bronił się ze wszystkich sił przed spoczęciem na martwych ciałach. Każda jego płachta wydymała się jak paraszut.

„Paraszut!”...

Zanim zdążył to pomyśleć, jego pokaleczone dłonie już błędziły po połach kurtki. Był tak spanikowany, że dwa razy minął rączkę uwalniającą czaszę, wreszcie jednak zdołał ją pochwycić. Za późno! Ziemia była tak blisko! Miał wrażenie, że bijący od niej żar przypala mu odsłoniętą skórę. Mimo to szarpnął mocno i zamknął oczy, by nie widzieć, jak szybko zmierza ku swojemu końcowi. Poczul ból, targnęło nim jak ciśniętą w kąt szmacianą lalką, a potem...

Bardzo wolno uniósł powieki. Rozejrzał się zdziwiony.

„Ja żyję?!”...

Opadał teraz znacznie wolniej, zwisając pod jedwabną czaszą, a pokryta kobiercem ognia ziemia była wciąż daleko. Bardzo daleko.

休憩

Otrzeźwienie nie przyszło od razu. Przez dłuższą chwilę gapił się beznamiętnie na szalejące pod nim piekło. Co zyskał? Odroczył wyrok co najwyżej o kilka minut. To wszystko. Nie mógł nic więcej zrobić. Wiatr znosił go w sam środek morza płomieni, do którego powstania sam walnie się przyczynił. Kręgi czerni, powstałe wokół

kraterów wyrytych przez car-bomby, zniknęły, jakby nigdy nie istniały. Kolejne wybuchy bomb zapalających rozniecały niedający się zgasić żel i biały fosfor tam, gdzie wcześniejsze podmuchy oczyściły ziemię z ognia. W efekcie wolne od trawiącego wszystko żaru były tylko miejsca ostatnich eksplozji, niestety znajdowały się za daleko, w dodatku pod wiatr, zatem Horodyński nie miał najmniejszych szans, by do nich dotrzeć.

„Zatoka także jest zbyt odległa”...

Nie pomogło nerwowe rozglądanie się ani obracanie wokół osi. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, Andrzej widział buzujące płomienie. Perspektywa rychłej i niesłychanej bolesnej śmierci wyparła wszystkie inne myśli z jego głowy. Chociaż nie, nie wszystkie. Nie dawało mu spokoju wspomnienie bosmana Rustawelego, który wyłuszcza cierpliwie kadetom – za pomocą słów i bardzo sugestywnych litografii – jak może wyglądać kres ich żywota, jeśli padną ofiarą pożaru. Od samego początku szkolenia przestrzegano ich przed bezmyślnymi zachowaniami, które mogłyby doprowadzić do zaproszenia ognia. Na okręcie rzecz jasna, nie na całych połaciach wrogiej ziemi!

Dłoń Andrzeja spoczęła na klamrze spinającej wszystkie pasy uprząży – wystarczy jedno pociągnięcie, by uwolnić się od przedłużającej agonii. Zacisnął powieki. Upadek z tej wysokości skróci jego męki, to pewne. Zginie, zanim na dobre poczuje ból. Roztrzaska się wśród szalejących płomieni, oszczędzając sobie niewysłowionego cierpienia. Nie owionie go wyczuwany nawet na tym pułapie żar. Gorąc nie wypali mu płuc ani oczu. Ciało nie spuchnie i nie poczernieje. Nie będzie skwierczało, odchodząc od kości. Oplótł palcami stalowy uchwyt. Tak będzie lepiej.

„Raz, dwa, t...”

Coś przemknęło tuż obok. Coś wielkiego. Poczłł gorący podmuch, tak mocny, że zakołysał się na linkach. Wystraszony natychmiast otworzył oczy. W dole, pod nogami, dostrzegł poskręcane osmalone

żelastwo, które mknęło ku ziemi, zostawiając za sobą pasemko sinego dymu. Machinalnie sięgnął po naciągniętą na czoło maskę. Odruchy wpojone podczas szkolenia były silniejsze od zdrowego rozsądku i woli. Dopiero gdy osłonił twarz, uświadomił sobie, że smuga nie jest zielonkawa, jak kondensat morowego powietrza. Nie, ten fragment wraku został wyraźnie potraktowany wiązką błyskawic.

Andrzej zadarł głowę, ale niewiele zobaczył, ponieważ przepastna czasza parasuta przesłaniała mu sporą część nieba. Z tego właśnie powodu dostrzegł kolejne szczątki dopiero wtedy, gdy znalazły się na jego wysokości. Tym razem ku ziemi poleciał znacznie większy kawałek okrętu atakowanego gdzieś tam w przestworzach. Kilkanaście płyt poszycia trzymało się nadtopionych elementów konstrukcyjnych. Przerażony kadet dostrzegł też dymiące krawędzie, pokryte dziwną pianą. To musiało być dzieło Pana Ognia.

Pytanie tylko, która jednostka padła jego ofiarą.

Właściwie nie miało to już znaczenia. I tak nikt żywy nie ujdzie przed tymi bestiami. Żaden manewr nie uratuje niedobitków zjednoczonej floty przed niszczycielską furią żywiołów.

Horodyński znajdował się mniej więcej pośrodku płonącego bezmiaru, który w bladym blasku ukrytego wciąż za horyzontem słońca wyglądał naprawdę upiornie. Strącony na oczach chłopaka fragment wraku wbił się właśnie w ziemię, krzesząc snopy iskier. Ręka zdesperowanego kadeta znów spoczęła na uchwycie. „Już czas”...

Najpierw zauważył cień. To, co spadało z wyższego pułapu, musiało być ogromne, ponieważ prześwitujący materiał czaszy stał się nagle tak ciemny, jakby w górze zapadła noc. Horodyński zamarł z dłonią na klamrze i zadartą głową. „Niech będzie i tak”, pomyślał z rezygnacją. Z jakiegoś powodu zmiążdżenie przez strącony z nieba okręt też wydało mu się mniej straszne od powolnego opadania w buzujący ogień. Skulił się w oczekiwaniu na uderzenie.

Cień, choć niewątpliwie wielki, zniknął nagle. Za to tuż obok – nie dalej niż pięćdziesiąt arszynów na północ od Andrzeja – w polu widzenia pojawił się tępy dziób zniszczonego okrętu z charakterystycznym emblematem w kształcie złotego dwugłowego orła. Kadet zadrżał, dostrzegając na czarnych burtach znajomy kształt kotwicznych kluz.

„Na Boga, toż to Pietropawłowsk!”...

Pancernik został przecięty płynnym ogniem w połowie odległości między główną nadbudówką a pierwszym kominem. Oderwany od reszty kadłuba, długi na prawie sześćdziesiąt arszynów fragment nie mógł się utrzymać samoistnie w powietrzu, albowiem równowaga, którą okręt osiągnął dzięki starannemu rozmieszczeniu komór z cavorytem, uległa zachwianiu. Ciężar stali w przedziałach dziobowych zdecydowanie przeważał, co spowodowało, że liczący prawie pięć tysięcy ton kawał złomu runął ku ziemi. Nie tak szybko jak pomniejsze szczątki, ponieważ we wnętrzu nienaruszonych przedziałów pozostało wiele sztab cudownego metalu umożliwiającego pancernemu gigantowi wzbicie się w powietrze, lecz i tak znacznie szybciej od wiszącego wciąż bezradnie pod jedwabną czaszą kadeta.

Andrzej odprowadził wzrokiem dymiące obficie szczątki, a gdy te uderzyły w końcu w ziemię – idealnie pod nim – poczuł rodzącą się na powrót nadzieję. Upadkowi tak wielkiej masy towarzyszyła bowiem fala uderzeniowa, podobna do tych, które widział po eksplozjach car-bomb, tyle że teraz w epicentrum kataklizmu nie pojawiła się kula oślepiającego ognia.

Nie spuszczał wzroku z rozszerzającego się szybko kręgu szarości, jaki otoczył wrak. Podmuch powstały w wyniku tej katastrofy był wystarczająco silny, by zgasić ogień w promieniu stu pięćdziesięciu, a może nawet dwustu arszynów. Tu i ówdzie pełgały jeszcze ogniki, ale gdy chwilę później opadły tumany sadzy i pyłu, Horodyński ujrzał pod sobą wypaloną do cna ziemię.

Uchwycił mocniej linki paraszuta, przypominając sobie, że można nim sterować. W kilka sekund przećwiczył podstawowe ruchy pozwalające na wykonywanie zwrotów i zmienianie prędkości opadania. Robił przy tym wszystko, by wiatr nie zniósł go poza rosnący w oczach czarny krąg.

Musiał się namocować, ale dawał radę. Ziemia była już tak blisko, że leżący na niej wrak przestał wyglądać jak roztrzaskana przez niezdarne dziecko zabawka. Przez rozsnute gwałtowniejszym porywem wiatru kłęby dymu widać było, że dziób Pietropawłowska zarył w grunt z takim impetem, iż cały pokład przed wieżą artyleryjską poszedł w drzazgi, a i ona sama została wyrwana z leża. Dwie masywne lufy najpierw zagłębiły się w spopielonej ziemi, a potem wykrzywiły pod naporem ciężaru wraku. Z głównej nadbudówki, podwyższonej znacznie podczas konwersji, dzięki której dawny postrach mórz mógł się wznieść w niebo, została kupa poskręcanych pancernych blach. Horodyński przeżegnał się gorliwie. Miał nadzieję, że wiceadmirał i pozostali członkowie obsady mostka nie schronili się za stalowymi płytami, gdy smoki wróciły – nikt bowiem, kto przebywał w tych pomieszczeniach, nie mógł przetrwać feralnego upadku.

Andrzej opadał wolno ku wrakowi, zastanawiając się, czy wylądować na spopielonej ziemi, czy raczej celować w zaryte szczątki Pietropawłowska. Kadłub pancernika został przepalony płynnym ogniem, ale nie do końca. Okręt przełamał się wpół, gdy stopieniu uległa górna część wręg i łączących je pokładów. Reszta była dziełem grawitacji. Kolejne elementy nośne pękały pod naporem ogromnych przeciążeń i tak doszło do najgorszego. To jednak, co przyniosło zagładę chlubie carskiej floty, mogło dać ratunek ostatniemu albo prawie ostatniemu z załogantów. Porozrywana stal nie była rozpalona do białości, jak te kipiące wręgi, które kadet dostrzegł parę chwil wcześniej. Jeśli trafi w któryś z dolnych pokładów, znajdzie schronienie przed żarem bijącym od resztek płynnego ognia... i od wypalonej białym fosforem ziemi.

Czuł już wyraźnie, jak rozpalony jest spękany grunt otaczający dziób pancernika. Dwieście arszynów od ziemi było tak gorąco, że Andrzej z trudem chwycił oddech, a pot zalewał mu oczy. „Czy zdołam to przetrwać? Może lepiej będzie lądować tuż przy burcie, dzięki czemu skróci się czas potrzebny na...”, rozważał nerwowo. „Nie”, zaprzeczył sam sobie. „Wylądowanie obok wraku wcale nie oznacza ratunku. Tylko jeśli trafię między pokłady, będę miał szanse na ocalenie”.

„Jeśli trafię”... Te dwa słowa zmieniały wartość niby oczywistego równania. Problem polegał na tym, że wiatr zelżał i wrak był teraz zasnuty kłębamii gęstego dymu, który uniemożliwiał dostrzeżenie szczegółów, a na lądowanie w ciemno Horodyński nie miał najmniejszej ochoty. Pamiętał wciąż doskonale wygląd zmasakrowanej pierwszym atakiem burty, od której nie tak dawno odpadł...

Zadrżał na samą myśl o mrowiu ukrytych za zasłoną dymną zabójczych pułapek.

„Ziemia czy wrak... Ziemia czy wrak...”

Skłaniał się coraz bardziej ku pierwszemu rozwiązaniu.

休憩

Skręcił w ostatniej chwili, gdy znajdował się tylko kilkanaście arszynów nad kobiercem rzadniejącego dymu. W podjęciu decyzji pomógł mu trudny do wytrzymania żar bijący od pogorzeliiska. To, że płomienie zostały zdmuchnięte, nie oznaczało wcale, że trawiona nimi dotąd ziemia stała się mniej zabójcza. Temperatura w dole była niewiele mniejsza od tej panującej w dogasającym ognisku. Andrzej z doświadczenia pamiętał, że pokryty grubą warstwą popiołu żar bez trudu może zapalić rzuconą nań słomę, kartkę, a nawet uschniętą gałązkę.

Świadom tego, ściągnął mocno linki z jednej strony i podkurczywszy nogi, wleciał w kłęby sinego dymu. Z maską na twarzy nie musiał się obawiać zatrucia ani uduszenia, bardziej

martwiły go niewidoczne pułapki, cały ten złom, na który mógł się nadziać, jeśli źle trafi. Nie miał już jednak wyboru. Musiał lądować na wraku.

Przebił się przez cuchnący całun na sekundę przed lądowaniem. Zdążył jeszcze ściągnąć mocniej linki i z drugiej strony, dzięki czemu spowolnił lot na tyle, by zyskać dwa dodatkowe arszynty, i to wystarczyło. Odbił się podszwą od wykrzywionego jak kosa dźwigara – którego postrzępiona krawędź była niemal tak ostra jak to narzędzie rolnicze – po czym poluźnił chwyt, by opaść prosto w cień rzucany przez rozprute ściany.

Miał szczęście. Trafił do wnętrza marynarskiej mesy. Było to kiedyś spore pomieszczenie, oddzielone od kambuza szerokim kontuarem, lecz po jednym ani drugim nie pozostał nawet ślad. Pietropawłowski przełamał się mniej więcej w połowie przestronnej jadalni, między dwiema wręgami, pozostawiając w części dziobowej tylko ciągi przyśrubowanych stołów i ław, które teraz – co wyglądało absurdalnie – zajmowały jedną ze ścian.

„Udało się”, zdążył pomyśleć Andrzej, zanim jęknął z przerażenia. Leciał prosto na otwarty właz, za którym panowały egipskie ciemności. Wiedział, że za wejściem do mesy znajduje się długi, idealnie prosty korytarz, prowadzący wzdłuż kajut załogi aż do dziobowych zejściówek. Ten sam, do którego tak desperacko chciał dotrzeć, zanim wypadł za burzę. Znał to miejsce na wylot, ponieważ często sterczał tam przed posiłkami, czekając w postawie zasadniczej, aż bosman zakończy lotną inspekcję.

Instynktownie rozłożył szerzej nogi, by nie wpaść w mroczną paszczę włazu, ale gdy jego stopy znalazły się arszynt od stalowej kryzy... pisnął ze strachu jak dziewczyna, poczuwszy mocne szarpnięcie, po którym zadyndał na paraszucie. Spojrzał w górę, lecz przyczynę zrozumiał dopiero wtedy, gdy zdołał się obrócić. Szara czasza była wielka, nic więc dziwnego, że nie zmieściła się między pokładami.

Opuścił głowę, odetchnął głęboko raz i drugi i wreszcie rozwarł kurczowo zaciskane dłonie. Obolałe palce prostowały się z trudem, jakby chroniące je rękawice były zrobione z litej stali, a nie z azbestowych włókien.

Zawisł na linkach, kołysząc się rytmicznie jak wahadło. Chwilę to trwało, ale poczuł w końcu ulgę. „To już koniec udręki. Ufff!”... Przymknął oczy, by podziękować Bogu za ocalenie, lecz otworzył je zaraz po kilku pierwszych słowach niemej modlitwy. Z góry dobiegł niepokojący dźwięk. Coś jakby charkot albo...

„To przecież odgłosy prucia”, uświadomił sobie Horodyński, czując, że opada o parę cali. Wykonany z odpornego, ale niezwykle cienkiego materiału paraszut nie wytrzymał tak dużego obciążenia. Jego czasza pruća się od szwu do szwu na dziesiątkach stalowych brzytw, w jakie zamieniły się elementy konstrukcyjne przepołowionego pancernika.

Andrzej poleciał w dół, zanim zdążył ponownie rozkraczyć nogi. Na jego szczęście stało się to przy pełnym wychyleniu, tak więc spadł na gródź, a nie w mroczny otwór wjazdu. Zabolało, ponieważ nie był przygotowany na to uderzenie i nie zdążył go zamortyzować. Ustać, nie ustał, ale chyba przynajmniej nie skręcił kostki. Przywarł plecami do chłodnego metalu, szeroko rozkładając ręce. Ściana pełniąca rolę pokładu nie trzymała bowiem poziomu i choć przechył nie był wielki, leżący na niej kadet zaczął się zsuwać.

„Czy to już koniec koszmaru, czy zaraz trafię na kolejną zabójczą przeszkodę?”, zapytał w myślach Stwórcę, świadom, że nie ma co liczyć na odpowiedź.

Otoczająca go cisza, od czasu do czasu przerywana potępieńczym jękiem wyginanej lub rozciąganej stali, była tak nierealna, że przez moment odnosił wrażenie, iż trafił w zaświaty.

Przesłaniający niebo dym zniknął nagle. Porywisty wiatr zmienił właśnie kierunek, spychając siny tuman za krawędź osmalonego pokładu.

Pomarańczowo-różowy przestwór widoczny między postrzępionymi grodziami usłany był dziesiątkami kolumn gęstego dymu. Każda z nich miała swój początek na wraku podobnym do tego, który spoczywał pod plecami dyszącego ciężko kadeta. Zjednoczona flota, jedna z największych, jakie widział świat, przestała istnieć w ciągu zaledwie... kwadransa? Godziny? Horodyński nie widział nigdzie chronometru, ale nie musiał spoglądać na wskazówki, by wiedzieć, że od odpalenia przez obrońców czerwonej racy nie minęło wiele czasu.

休憩

Uspokajał się z chwili na chwilę. W pewnym momencie wziął głęboki wdech i ściągnął z twarzy maskę, po czym – nie mogąc dłużej wstrzymać tchu – ostrożnie zaczerpnął niefiltrowanego powietrza. Cuchnęło spalenizną, dałby słowo, że miało też cierpki smak. Andrzej kaszlnął i splunął, by oczyścić gardło z gęstej flegmy. Poczul na twarzy gorąc, ale nie aż tak wielki, jak się spodziewał.

Wzdrygnął się, gdy po twarzy przemknął mu jakiś cień, i zaniepokojony przeczesał wzrokiem niebo. Smok! Bestia przeleciała nad wrakiem, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się na ziemi. Jej ogon zniknął właśnie za ścianą, do której przymocowane były rzędy ław i siedzisk. Moment później Horodyński usłyszał zduszony odległością huk.

Bitwa jeszcze się nie skończyła. Pietropawłowsk nie był ostatnim okrętem, który próbował uciec znad obróconego w zgliszcza Tokio. Nagle, nie wiedząc dlaczego, Andrzej zapragnął zobaczyć, jak się sprawy mają. Czy Pobiedzie i innym ocalałym pancernikom udało się dotrzeć do frontu burzowego? Czy jednostki eskorty z południowego zgrupowania miały więcej szczęścia i wykorzystały moment nieuwagi wroga, by oddalić się z pola bitwy i ujść pogoni?

Odpowiedzi na te pytania mógł znaleźć tylko tam, dziesięć arszynów wyżej. Nie zastanawiał się długo. Zrzucił ognioodporną pelerynę, pozbył się grubej marynarskiej kurtki, która teraz tylko

zawadzała, krępując ruchy, i wspinał się po kolejnych przyśrubowanych do dawnego pokładu zydlach. Nie było to trudne, choć bolał go chyba każdy mięsień, a pocięte dłonie parzyły, jakby wsadził je w żywy ogień.

Wysunął głowę i rozejrzał się ciekawie wokół. Wrak pancernika wyrastał ze spopielonej wyspy pośród morza płomieni, na szczęście odległych. Zdmuchnięte falą uderzeniową nie odrodziły się, przynajmniej do tej pory, istniały więc spore szanse, że to się już nie zmieni. Trawiące miasto pożary z tej perspektywy nie wydawały się aż tak groźne, jak wyglądało to z góry.

Co interesujące, wypalona ziemia, na którą spoglądał z wraku, czarna i spękana, nie nosiła żadnych śladów zabudowy. Andrzej nie widział gołych fundamentów, pryzm gruzu ani nawet przepalonych na wskroś belek – wszystkiego tego, co jego zdaniem powinno walać się na pogorzelsku.

Jedyne, co sterczało z pokrytej sadzą ziemi, to zwęglone pnie dziwnie poskręcanych drzew, których było w okolicy zdumiewająco dużo jak na środek miasta. „Czyżbym trafił do jakiegoś parku?”... Zaskoczony tym spostrzeżeniem zapomniał o celu wspinaczki. Wspinał się nieco wyżej, by stanąwszy na nodze kolejnego zydlu, uchwycić się krawędzi przełamanej stołu. Teraz wysunął się z wraku aż do pasa.

Od strony zatoki niewiele mógł zobaczyć, ponieważ cały dym sączący się z wraku został pognany wiatrem w tym właśnie kierunku, nic jednak nie przesłaniało mu widoku na tereny leżące w głębi lądu.

Nie dojrzał tam żadnych ruin, mimo że naprawdę wyteżał wzrok. Nie było dosłownie niczego, jakby w tym miejscu nigdy nie wzniesiono miasta.

„Jak to możliwe?”, zastanawiał się Horodyński, wodząc wokół spojrzeniem. „Przecież wylądowałem w samym sercu zniszczonej metropolii”. Pokiwał głową, coraz bardziej zafascynowany skutecznością nieznanymi broniami, których użyli podczas nalotu

koalicjanci. Właśnie zyskał naoczny dowód, iż słowa admirała Makarowa o tym, że Tokio zostanie wymazane z mapy, nie były tylko czczymi przechwałkami. „Po stolicy Imperium Wschodzącego Słońca nie pozostał kamień na kamieniu”... Na tę myśl uświadomił sobie, że większość japońskiej zabudowy jest drewniana, jak chaty w Ojcowie, po których też niewiele zostawało, gdy w którąś trafił piorun. Co tam drewniana – przy tutejszych domach o ścianach z papieru jego rodzinna chałupa wydawała się prawdziwą twierdzą! „Tak, to by tłumaczyło, dlaczego nie pozostało po nich nic, co dałoby się rozpoznać”, skonstatował.

On i jego towarzysze broni spuścili na siedzibę władcy wrogiego imperium tysiące bomb o mocy – tak przynajmniej można było sądzić, patrząc na ten apokaliptyczny krajobraz – znacznie większej niż ta, z jaką uderzają błyskawice.

To skojarzenie przypomniało mu, po co się tutaj wspiął. Obrócił się szybko, by przeczesać wzrokiem niebo. Daleko na południowym wschodzie, za mrowiem wraków, dostrzegł kilka ciemnych, cygarowatych kształtów zbliżających się do ławy szarych chmur. Jeden wielki i dwa o połowę mniejsze. „To Washington i jakieś pancerniki”, uznał Andrzej. Nie wiedział, które jednostki ocalały z pogromu, okręty znajdowały się bowiem zbyt wysoko i zbyt daleko, by mógł rozpoznać ich sylwetki, ale i tak trzymał kciuki za każdy z nich.

Smoków na razie nie zauważył, niemniej domyślał się, że gdzieś tam muszą być. Jeden przeleciał przecież nad wrakiem, kierując się właśnie w tamtą stronę. „Gdzie się więc podziały? Czyżby odpuściły uciekinierom, a może...”, nie dokończył myśli. Spojrzał uważniej na południe, gdzie powinny znajdować się wycofujące jednostki eskorty. Zaklął pod nosem, gdy dostrzegł kolejne ślady porażki. Niebo przecinały liczne kolumny czarnego jak smoła dymu, lecz za nimi nie było widać żadnego uciekającego okrętu, choć tam właśnie błękitno-różowy firmament był czyściutki jak łąka.

W czasie, który był mu potrzebny na lot i przyziemienie, bestie zniszczyły także to zgrupowanie. Zatem Washington i dwa pancerniki stanowiły ostatnie pozostałości zjednoczonej floty. Skupił wzrok na trzech odległych cygarach. „Gdzie smoki?”... Były tak wielkie, że nie mógł ich przeoczyć.

„Są!”... Wychywały właśnie z chmur, ku którym kierowały się pancerniki. Lecąc w ciasnym kluczu, bestie zaatakowały najbliższy im okręt, podchodząc od dziobu z niższego pułapu i wyhamowując na wysokości śródkręcia, by zalać burty napadniętej jednostki strumieniami ognia, lodu i błyskawic.

Moment później zanurkowały, po czym podobnym manewrem uderzyły na następnego wroga, którym okazała się druga z mniejszych jednostek.

Smoki tańczyły wokół stalowych kolosów, szybsze od licznych przecinających niebo smug. Wystarczyło kilkanaście sekund, by dwa potężne okręty eksplodowały kolejno, a ich wraki zostały w tyle.

Washington nie zmienił w tym czasie kursu. Parł całą mocą wirników ku jedynemu schronieniu, jakie oferowała ludziom natura. Co ciekawe, amerykański flagowiec nie ostrzeliwał się, jak robiły to wcześniej zniszczone okręty. A co jeszcze bardziej interesujące, smoki trzymały się od niego z dala. Krążyły jak rekiny wokół upatrzonej ofiary, lecz wciąż nie atakowały. Sekundy mijały, Washington parł nieprzerwanie ku frontowi burzowemu, jeszcze chwila i zanurzy się w chmurach, znikając prześladowcom z oczu.

„Na co one czekają?”, zastanawiał się Horodyński, nieświadomie wstrzymując oddech. „Potwory zniszczyły każdy inny okręt zjednoczonej floty, a ten pancernik, najpotężniejszy ze wszystkich, które dokonały nalotu na Tokio, pozostał nienaruszony”.

Smoki przyśpieszyły, jakby usłyszały myśli Polaka. Ruszyły do ataku z trzech kierunków naraz. Równocześnie stanowiska ogniowe Washingtona ożyły. Amerykanie zaczęli strzelać ze wszystkiego, co mieli na pokładzie, oczywiście prócz dział największego kalibru, które w tym pojedynku byłyby całkowicie bezużyteczne.

Niebo wokół okrętu przecinały poczwórne smugi pocisków zapalających z gatlingów. Przestrzeń między smokami a pancernikiem wypełniły czarne obłoczki eksplodujących szrapneli.

Andrzej miał świadomość, że nic nie jest w stanie zranić bestii. Każda z atakowanych wcześniej jednostek, a nawet całe ich formacje broniły się w podobny sposób, a mimo to zostały rozniesione na strzępy.

„A to co znowu?!”... Zafascynowany kadet przyglądał się zmaganiom szeroko otwartymi oczami i z opadniętą szczęką.

Smoki wykonały gwałtowny zwrot, jakby trafiające je amerykańskie pociski okazały się jednak skuteczne. Z dali dobiegł przeraźliwy skrzek, identyczny jak ten, który raz już się rozległ, gdy Pan Moru odniósł obrażenia przy zderzeniu z Viribus Unitis. Tymczasem na niebie nie doszło do żadnej eksplozji. Amerykanie nie użyli ani bomb, ani głównej artylerii, a mimo to udało im się odeprzeć wszystkie smoki.

„A to dopiero...”, zachłysnął się Andrzej, poprawiając chwyt cierpnącej ręki.

Bestie, co było do przewidzenia, nie zrezygnowały. Ponowiły atak, tym razem uderzając z jednego kierunku. Przodem leciał Pan Błyskawic, zionąc bez przerwy wiązką rozszczepiających się piorunów. Dwa pozostałe smoki ukryły się za tą zasłoną, jakby wykonywały zaplanowany przez stratega manewr.

„One naprawdę są inteligentne!”, zdumiał się Horodyński, gdy smoki wdarły się w ostrzeliwaną przestrzeń. Osłona z gromów unicestwiających każdy pocisk, jaki znalazł się w polu ich rażenia, poskutkowała – przynajmniej częściowo. Amerykanie nie byli w stanie trafić chroniących się za nią bestii, dopóki te nie znalazły się w bezpośredniej bliskości pancernika. Tam ogień stanowisk zarówno dziobowych, jak i rufowych był już zbyt szeroki, aby smoki mogły go całkowicie uniknąć. Poza tym Pan Błyskawic nie potrafił zionąć w nieskończoność. Nagle gąszcz miotanych przez niego piorunów zaczął słabnąć. Ich wiązki tryskały z szeroko rozwartej

paszczy, a potem słabły, jakby smok się dławił. Przerwy stawały się coraz dłuższe, aż wreszcie bestia okręciła się wokół własnej osi i... zaczęła spadać.

Czas, który kupiła swoim towarzyszom, wystarczył jednak, by Pan Ognia i Pan Lodu mogli wspólnymi siłami dosięgnąć chluby amerykańskiej floty powietrznej. Pierwszy z wymienionych smoków zawisł nad pokładem Washingtona i zalał całe śródkręcie potokami płynnego ognia. Pan Lodu zamroził swoim tchnieniem całe podburcia, sunąc wzdłuż stępki od rufy aż po dziób i uciszając znajdujące się tam stanowiska ogniowe, po czym natychmiast zaczął pikować ku ziemi, idąc w ślady Pana Ognia.

Oszołomiony spektaklem Horodyński sprawdził, co dzieje się niżej. Pan Błyskawic wciąż spadał. Machał szaleńczo skrzydłami, jakby stracił nad nimi panowanie, ale widać było, że z każdym ruchem odzyskuje nad nimi kontrolę. Był wciąż na tyle wysoko, że zdążył wyrównać lot, lecz gdy już mu się to udało, nie próbował wzbić się ponownie, ale poszybował ku pokrytej pożarami równinie. Prosto na wrak rosyjskiego pancernika i stojącego na nim kadeta.

Andrzej struchlał. Bestia rosła w oczach, a on nie miał gdzie się ukryć. Mógł co najwyżej zeskoczyć na gródź w dole, choć niewiele by to dało w przypadku, gdyby ta gargantuiczna istota uderzyła w resztki okrętu. Jedyne, co mu pozostało, to gapić się na nadlatującego smoka. Sparaliżowany strachem nie ruszył się z posterunku, zanosił za to w duchu modły, by Pan Błyskawic nie zechciał wyżyć się na wraku.

Tym razem Bóg wysłuchał jego błagań. Smok rozłożył nagle skrzydła, załopotał nimi, skręcając o kilka stopni, i wyhamował ponad wiorstę od szczątków Pietropawłowska. To nie było miękkie lądowanie. Bestia nie ustała na kolumnowych nogach, z których każda przypominała wieżę katedry. Wielki jak góra stwór przewalił się na łeb i ryjąc w ziemi głęboki wąwóz, znieruchomiał pośród bijących wysoko w niebo snopów iskier, kłębow dymu i buzujących z podwójną siłą płomieni.

Horodyński nie spuszczał z bestii spojrzenia. Smoki przemykały blisko niego kilkakrotnie, ale nigdy jeszcze nie miał okazji przyjrzeć im się uważniej, dlatego był rozdarty, nie wiedząc, gdzie powinien skierować teraz wzrok. Czy na toczący się wysoko bój niezłomnego pancernika, czy na to fascynujące stworzenie, w którego istnienie powątpiewał do ostatnich chwil przed nalotem.

Wygrała ta pierwsza opcja.

Pan Błyskawic nie poruszał się, a Amerykanie walczyli zawzięcie... z trzema smokami. Andrzej zmrużył powieki, nie dowierzając własnym oczom. Nie pomylił się jednak. Pod Washingtonem znów tańczyły trzy skrzydlate sylwetki. Zatem Pan Moru powrócił na pole bitwy. Nie było go znacznie dłużej niż Pana Lodu, ale wszystko wskazywało na to, że w końcu wydobrzeł.

Kolejny atak bestie przypuściły ponownie od dołu, lecąc w szyku, tyle że Amerykanie nie mogli ich odeprzeć równie skutecznie jak poprzednio, gdyż wszystkie stanowiska bojowe na podburciach wciąż były skute grubą warstwą lodu.

Doszło do rzezi.

Pan Ognia zawisł tym razem pod stępką, w miejscu, którego amerykańscy artylerzyści nie mogli ostrzelać, i ze spokojem wypalił w podburciu Washingtona ogromny otwór. Gdy zanurkował, jego miejsce zajął Pan Moru – huragan zielonkawej zawiesiny błyskawicznie dostał się do wnętrza pancernika, po czym na arenę wkroczył ostatni aktor tego przedstawienia, który skuł lodem wszystkie wirniki sterburty.

Podniebny gigant natychmiast zszedł z kursu, podobnie jak wcześniej Pietropawłowski. Jego dziób, znajdujący się może wiorstę od ławy chmur, wolno, ale za to nieprzerwanie przesunął się na zachód. Sternicy nie mogli nic zrobić, by skompensować tę niezamierzoną zmianę kierunku. Wyłączenie bakburtowych wirników poskutkowałoby wejściem jednostki w dryf, a to uczyniłoby z okaleczonego pancernika zbyt łatwy cel.

Horodyński zaczął się zastanawiać, jaką strategię powinien obrać Waleczny Bob, lecz wydarzenia biegły szybciej od jego myśli. Smoki nie zwlekały z kolejnym atakiem, przypuszczonym znów od strony, z której obrońcy mogli im najmniej zaszkodzić. Pan Ognia powtórzył swój wypad, tym razem zawisając pod Washingtonem na dłużej, aż do wyczerpania płynnego ognia. Taka masa rozgrzanej do niewyobrażalnej temperatury magmy musiała poczynić ogromne spustoszenie. Grodzie wielkiego pancernika, budowanego już z myślą o walce ze smokami, poddały się bez oporu; całe ich połączenie zostały wytopione we wnętrzu martenowskiego pieca, jakim w ciągu kilku sekund stało się śródkręcie amerykańskiego okrętu. Wtedy miejsce Pana Ognia zajął Pan Lodu, który w okamgnieniu zmroził całą maszynownię i znajdujące się tam kotły, doprowadzając do ich unicestwienia, aczkolwiek bez szeregu niszczyielskich eksplozji, które rozniosłyby chlubę amerykańskiej floty na strzępy. Washington zadrżał i zwolnił. Już nie skręcał, szedł równolegle do ławy chmur, odległej zaledwie o dwieście arszynów.

Smoki zniknęły Andrzejowi z pola widzenia, zanurkowały we front burzowy i rozmyły się w obłokach, jakby nigdy nie istniały. Ostatnia ofiara nie mogła im już uciec, ale wciąż zaciekle się broniła. Gatlingi z licznych stanowisk dziobowych i rufowych pręły długimi seriami w szare kłębowisko, na ślepo, w nadziei, że ostrzał przyniesie jakikolwiek skutek. W tym samym czasie pod okrętem zaczęły się pojawiać liczne czarne punkciki. Po chwili były ich już dziesiątki, może nawet setki. Horodyński zmrużył powieki, lecz odległość była zbyt duża, by zdołał dostrzec więcej szczegółów. Silniejszy powiew wiatru uzmysłowił mu, na co prawdopodobnie patrzy. Czasza jego własnego paraszuta wydeła się na moment, po czym łagodnie opadła na gródź.

Załoga opuszczała pokład. „Tam, nad zatoką, było to z pewnością o wiele bezpieczniejsze niż...”, zaskoczony pojawieniem się smoka nie dokończył tej myśli. Bestia wynurzyła się u podnóża chmur, lecąc niemal pionowo w dół. Zatrzymała się dopiero na poziomie

najgęstsze zgrupowania czarnych punktów, tam rozwarła paszczę i zionęła jadem prosto w mrowie wiszących pod paraszutami ludzi. Jeden ruch wielkiego łba i zielonkawa zawiesina pochłonęła większość skoczków. Kolejni wpadali w ten obłok śmierci, nie będąc w stanie zejść mu z drogi. „Jeśli nie ulegli panice, może zdążyli założyć maski”, pomyślał wstrząśnięty tym widokiem Andrzej.

Moment później z chmur wychynęły dwie pozostałe bestie. Pojawiły się tuż pod dryfującym pancernikiem. Potoki płynnego ognia i lodu uciszyły błyskawicznie większość aktywnych wciąż stanowisk bojowych. To samo stało się kilkanaście sekund później z gatlingami i działkami ze sterburty. Washington został okulawiony, pozbawiony szponów i kłów i teraz mógł tylko czekać na dobiecie. Dryfował wybebeszony nad setkami martwych załogantów.

Noga Andrzeja ześliznęła się z podstawy zydła, gdy wrak zadrżał, jakby cierpiąca katusze ziemia próbowała go z siebie strząsnąć. Chłopak zdołał się utrzymać z najwyższym trudem – na szczęście udało mu się znaleźć oparcie, zanim zmartwiała dłoń rozwarła się ostatecznie. Czyżby to było zjawisko zwane trzęsieniem ziemi, o którym tyle się naczytał w książkach podróźniczych traktujących o tym dalekim kraju? Kolejny wstrząs, jeszcze silniejszy. Temu towarzyszył niepokojący dźwięk. Horodyński spojrzał w kierunku, z którego dochodził przeraźliwy chrzęst.

Pan Błyskawic podnosił się ociężale z wrytego podczas upadku krateru. Gigantyczny smok uklęknął, wyprostował najpierw tułów, potem długą szyję. Zamarł w tej pozycji na kilka uderzeń serca przerażonego kadeta, po czym przechylił się na bok, by postawić na ziemi lewą stopę. Wspierając się na niej, wstał z wysiłkiem. Zachwiał się, potrząsnął łbem raz i drugi, zrzucając z siebie całe tony ziemi i zwęglonych szczątków. Zrobił krok, po którym ziemia zadrżała tak, że Andrzej musiał mocno się chwycić, by nie zlecieć na gródz. Drugi krok i kolejny wstrząs, tak samo silny. Bestia wciąż musiała być zamroczona, rzucała bowiem gniewnie łbem, zupełnie jak człowiek, któremu huczy pod czerepem, kiedy dostanie pięścią w szczękę.

Kadet z ulgą zauważył, że smok oddala się od wraku, lecz zaraz poczuł zimny pot, gdy uświadomił sobie, że po każdym drgnięciu ziemi dziób Pietropawłowska przechyla się odrobinę. Znajdował się niemal pięćdziesiąt arszynów nad powierzchnią ziemi, zatem upadek z tej wysokości musiał zakończyć się śmiercią albo w najlepszym razie ciężkim kalectwem. Andrzej zastanawiał się, czy nie zejść na dół i nie przycupnąć pod przeciwległą grodzia, tą, na którą przewali się wrak, ale nawet tak niedoświadczony marynarz jak on wiedział, że to niewiele da. Czekał więc zrezygnowany, zerkając z obawą na oddalającego się powoli smoka.

Pan Błyskawic przystanął w końcu, zadarł łeb i rozwarł paszczę tak szeroko, że jego szczęki utworzyły niemal prostą linię. Ku niebu pokrytemu setkami wraków pomknął najpierw przejmujący ryk, od którego cierpła skóra i dzwoniły zęby, a potem pęk błyskawic tak jasnych, że Andrzej musiał odwrócić głowę, żeby nie oślepnąć. Odważył się zerknąć w stronę bestii dopiero kilka sekund później i nie pożałował. Po grzbiecie przedwiecznej istoty, całym pokrytym wzdłuż kręgosłupa kościanymi wypustkami, pełgały łuki wyładowań, jakby część prądu razila także samego stwora.

Smok nie wyglądał jednak, jakby ucierpiał z tego powodu. Gdy opuścił w końcu łeb i ruszył dalej przez morze ognia, jego nogi poruszały się szybciej, pewniej. Jakiś czas potem, wydawszy kolejny, choć już nieco krótszy ryk, rozpostarł skrzydła i wzbił się ociężale w powietrze, formując otaczające go płomienie w ogniste tornada.

Horodyński odprowadził go wzrokiem, a gdy Pan Błyskawic zniknął w czarnej zawieszynie, która unosiła się nad wciąż płonącymi częściami Tokio, wylękniony kadet przeniósł wzrok na amerykański pancernik. Washington sunął wciąż wzdłuż słabnącego frontu atmosferycznego, potwornie okaleczony, może nawet martwy. Był ostatnim z ponad trzystu okrętów, które dokonały heroicznego nalotu na stolicę Japonii, ale czy tak to zostanie zapisane w kronikach?

Andrzej potoczył wzrokiem po wypalanej równinie. Zdawał sobie sprawę, że historię piszą zwycięzcy, ale miał ogromne wątpliwości, czy tytuł ten przysługuje koalicji – nawet jeśli osiągnęła założony cel.

ROZDZIAŁ 6

Požary zaczęły dogasać samoistnie, ale dopiero pod koniec trzeciego dnia. Horodyński tyle właśnie czasu spędził w zrujnowanej mesie. Zdecydowaną jego większość przeleżał obok włazu, gapiąc się w niebo, lecz to nie pustka w żołądku doskwierała mu najbardziej. Spierzchnięte wargi popękały mu w pierwszym dniu – żar bijący od wypalanej ziemi wysuszał powietrze wokół wraku do tego stopnia, że każdy oddech, każde poruszenie grdyką sprawiały ból. Nic na to jednak nie mógł poradzić.

Nieistniejący już kambuz zamknięto na cztery spusty jakieś dwie godziny przed świtem, po wydaniu każdemu członkowi załogi manierki z wodą i żelaznych racji. Wiceadmirał Makarow wydał taki rozkaz, ponieważ nalot miał się rozpocząć jeszcze przed wschodem słońca – miast zwyczajowym śniadaniem marynarze musieli się zadowolić suchym prowiantem, którego zresztą nikt chyba nie zdążył tknąć. Choćby Andrzej był tego chodzącym dowodem.

Oszczędzał wodę. Mimo palącego pragnienia nie opróżnił kilkoma haustami półsztofowej[4] manierki. Pociągał z niej po niewielkim łyku co kilka godzin – nie będąc w stanie zmierzyć upływu czasu, z pewnością robił nierówne przerwy, ale nie pił częściej niż cztery razy na dobę. Głównie po skromnych posiłkach, by przełknąć kęs razowego chleba, i raz natychmiast po przebudzeniu, żeby suche jak pieprz dziaśła pokryły się choć odrobiną wilgoci.

Ta oszczędność, posunięta do granic rozsądku, pozwoliła mu przetrwać do trzeciego wschodu słońca. To właśnie wtedy wylał do służącej za kubek zakrętki ostatnią porcję życiodajnej cieczy. Przełknął ją łapczywie, w pełni świadom, że nadszedł moment podjęcia ważkich decyzji.

Nie mógł zostać we wraku dłużej, ponieważ czekała go tutaj wyłącznie śmierć. Był młody, zniósł więc dzielnie tak długi post, ale od tej chwili jego ciało będzie już tylko słabnąć. Dręczony

pragnieniem i perspektywą niemocy wspiał się ponownie do punktu obserwacyjnego i rozejrzał wkoło. Niebo w oddali wciąż było zasnuwane woalem dymu, ale już nie czarnego, jak zaledwie dzień wcześniej, i nie tak gęstego. Ogień strawił wszystko, co mógł; na nadmorskiej równinie ostały się tylko wyschnięta na kamień, spękana ziemia i sterczące z niej zwęglone szczątki drzew – oraz to, co spadło z nieba.

W zasięgu wzroku Andrzej miał kilka mniejszych i większych wraków, a raczej ich fragmentów. Tu i ówdzie rzucały się w oczy odkształcone nadbudówki i burty strąconych jednostek, lecz nic nie dorównywało rozmiarami okrętowi, który stał się jego schronieniem. Mógł tylko ubolewać, że trafił do centralnej części kadłuba, przez co nie miał bezpośredniego dostępu do żadnej z burt ani tym bardziej do głównego pokładu. Gdyby udało mu się przejść na drugą stronę którejś rozerwanej grodzi – co wydawało mu się niewykonalne – znalazłby się co najwyżej w jakiejś kajucie lub na jednym z korytarzy.

Po dłuższej obserwacji otaczających go, najeżonych stalowymi kłami przegród spojrzął w dół, na niezgłębioną czerń sączącą się złowieszczo z otwartego włazu. To była jedyna droga ratunku albo... zguby. Horodyński po raz ostatni obrzucił wzrokiem martwy krajobraz, zerknął też na niebo. Pomędzy nielicznymi chmurami uwijały się dziesiątki japońskich kutrów i frachtowców, których załogi zabezpieczały dryfujące wciąż wraki. Imperium Wschodzącego Słońca zdobyło w tej bitwie niewyobrażalne ilości cavorytu, który podobnie jak cała reszta złomu – tego chłopak był stuprocentowo pewny – posłuży do budowy nowej cesarskiej floty.

Japońskie jednostki pojawiły się na polu podniebnej bitwy, zanim Washington został na dobre unieruchomiony, niespełna kwadrans po zniknięciu smoków. Statków były setki, choć głównie niewielkich, niemogących się równać nie tylko z europejskimi pancernikami, ale też z okrętami niższych klas. Mimo to oczyszczanie nieba postępowało zaskakująco szybko. Wydobywany z wraków cavoryt

trafiał do specjalnych, obciążanych skrzyń, które zrzucano następnie za burty, by podebrały je frachtowce działające na znacznie niższym pułapie. Zbilansowany ołowiem cudowny metal trafiał do ich przepastnych ładowni, skąd – tego Horodyński także był pewien – zostanie przeniesiony na pokłady budowanych w japońskich stocznjach pancerników i krążowników.

Andrzej przesłonił dłonią czoło. Ekipy złomiarzy wydobyły właśnie z dryfującego milę dalej krążownika kolejny transport cavorytu. To wystarczyło, by ważący kilka tysięcy ton okręt utracił siłę nośną, jak zwykli o niej mówić oficerowie. Przełamany, mocno podziurawiony kadłub drgnął, po czym zaczął się osuwać bardzo powoli, może kilka cali na sekundę. Podobnych do niego, opadających przyzów było jeszcze kilkanaście. Tyle przynajmniej zdążył wypatrzeć obserwujący niebo kadet.

„Jeszcze parę dni i po zjednoczonej flocie nie pozostanie ślad...”, pomyślał Horodyński, schodząc zwinnie na najniższy zydel.

Zbliżył się ostrożnie do wjazdu. Uklęknął przy kryzie, chwycił ją w dwóch miejscach i pochylił się nad czernią wypełniającą trzewia wraku. „Uszkodzenia strukturalne nie sięgają do dziobowej wejściówki i centralnego korytarza”, ocenił. Gdyby było inaczej, światło dnia przeniknęłoby przez rozerwane poszycie bądź rozszczepione grodzie. W dole panowały jednak egipskie ciemności.

Słońce wisiało dopiero nad horyzontem, musiał więc poczekać jeszcze cztery albo i pięć godzin, zanim ucieleśniona w tej postaci Amaterasu znajdzie się w zenicie i rozświetli czeluść. Plan był prosty: Andrzej zamierzał opuścić się na rękach, rozkołysać i zeskoczyć na ścianę któregoś z łączników biegnących wzdłuż grodzi. Stamtąd spróbuje zejść po rurach na sam koniec – czy też dno – korytarza, będącego teraz czymś w rodzaju komina.

Po drodze minie kilka kubryków, a dostanie się do któregoś z nich nie powinno być trudne. Może tam, wśród osobistych rzeczy nieznanym mu członków załogi, znajdzie jakiś sprzęt albo narzędzia, dzięki którym dalsza droga ku wolności stanie się

łatwiejsza. „I wodę...”, oblizał się łapczywie na tę myśl. Zaraz jednak pojął, że czego jak czego, ale znalezienia wody nie powinien się spodziewać. Nikt nie trzymał przecież pełnej manierki w szafce. Za to może zaradzi przynajmniej głośnemu burczeniu, które coraz częściej dobiegało z jego brzucha. Tak, carscy matrosi znani byli z tego, że chomikowali całkiem sporo prowiantu.

ROZDZIAŁ 7

Horodyński pochylił się, by zajrzeć w głąb wjazdu. Słońce stało już w zenicie, ale niewiele jego promieni przenikało do prawie pionowego korytarza. Mimo to nawet w bladej poświacie dało się dostrzec zarysy ścian i biegnących po niej przewodów oraz rur, aczkolwiek tylko po prawej stronie. Lewa strona, przesłonięta skrzydłem wjazdu, tonęła wciąż w gęstym jak smoła mroku.

Kadet przełożył chlebak przez głowę, sprawdził jego zapięcia, po czym opuścił się i zawisł na obu rękach. Wąska kryza biegnąca wokół wjazdu nadawała się idealnie do rozkołysania ciała. Wziął więc zamach nogami, najpierw jeden, potem drugi. Rozwarł palce tuż przed tym, nim znalazł się w największym wychyleniu. Ścianę miał prawie pod stopami, więc wylądował na niej pewnie i natychmiast przykucnął. Obrócił się ostrożnie, nie wstając.

Załom ściany, za którą zaczynała się otchłań, znajdował się tylko kilka cali od jego dłoni, znikające za nim rury zdawały się zapraszać śmiałka. Cofnął się jednak. Zdecydował, że warto rozejrzeć się po tym miejscu, zanim ruszy dalej w nieprzenikniony mrok. Ten odcinek łącznika, który prowadził do ciasnej zejściówki, miał nie więcej niż cztery arszyny długości. Niestety Andrzej nie mógł skorzystać ze stopni, by dostać się w pobliże pokładu. Zaklął pod nosem, gdy zobaczył, a właściwie wymacał, że za pierwszym podestem stalowe ściany zostały odkształcone do tego stopnia, iż zmiażdżyły znajdujące się między nimi schody. Musiał więc zawrócić.

Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo. Zrozumiał to jeszcze tam, na niebie, podczas pierwszej misji, której się podjął. Stara żołnierska maksyma mówiąca o tym, że jeśli coś ma się spieprzyć, to na pewno się spieprzy, była do bólu prawdziwa. Cokolwiek zrobił, gdziekolwiek poszedł, zawsze trafiał na piętrzące się przeszkody. Tyle że jak dotąd cudem wychodził cało z opresji. Inni mieli mniej

szczęścia, choćby ci, którzy zginęli w zejściówce. Nie zobaczył ich, ale poczuł swąd spalonych ciał. Odór tak odrażający, że mało brakowało, a by zwymiotował.

Stanął ponownie przed pionowym szybem, który mierzył co najmniej dwadzieścia arszynów wysokości. Andrzej miał nadzieję, że dawny korytarz jest mniej zniszczony niż droga, której przed momentem próbował. To był sam środek kadłuba, istniały więc spore szanse, że zdoła się tędy opuścić, może nie do dziobowych zejściówek, po których zostało zapewne tylko wspomnienie, ale choć do pierwszego łącznika prowadzącego na obie burty. Jedna z nich przestała istnieć wysoko na niebie, zatem jeśli Andrzej trafi na przejście do znajdujących się na niej kabin, bez trudu wydostanie się z wraku.

Taki właśnie miał plan.

Trzymając się jednej z trzycalowych rur, które biegły – niegdyś pod sufitem – przez całą długość głównego korytarza, zsunął się kawałek i zatrzymał na trzeciej z ześrubowanych kryz, dzięki którym zyskiwał nie tylko oparcie dla stóp, a potem rąk, ale też pewne rozeznanie w pokonywanej odległości. Gdzieś na tej wysokości powinno się znajdować wejście do pierwszej z ciągu marynarskich kajut. Obmacał stalową ścianę dokładnie, lecz nie natrafił na żadne wybrzuszenie ani otwór. Zszedł więc jedną kryzę niżej i znów spróbował.

Tym razem jego ręka zagłębiła się w czarnej pustce. Szybkimi ruchami sprawdził, gdzie znajdują się krawędzie znalezionej otworu. Zawisł na dolnej z nich, ale tylko na moment, po czym wziął głęboki wdech, podciągnął się i zarzuciwszy lewą nogę za ścianę, przetoczył się do wnętrza kubryku.

Jego drzwi zostały wyrwane z zawiasów, ale większość stałego wyposażenia znajdowała się na swoim miejscu. I całe szczęście, ponieważ wystarczył moment nieuwagi, by Andrzej poleciał w dół. Spodziewał się tego jednak i w ostatniej chwili pochwycił stelaż najbliższego hamaka. W pomieszczeniu tej wielkości spało od

sześciu do ośmiu marynarzy. Wiedział o tym doskonale, ponieważ zakwaterowano go w podobnym lokum, tyle że w rufowej części pancernika, tej, która pozostała na niebie. Rozkład we wszystkich kubrykach był jednak identyczny.

Andrzej zamknął więc oczy i na pamięć wyszukiwał kolejne podpory. Ze dwa razy bliski był upadku, lecz w końcu stanął na ścianie, którą teraz mógł określić mianem pokładu. Było tam wszystko, czego nie przyśrubowano ani nie pochowano do szafek. Koce, skłębione ubrania, przybory toaletowe – gdy trafił dłonią na pierwszy pędzel, zaczął gmerać ostrożniej, zdawszy sobie sprawę, że w tym bajzlu leżą także brzytwy, które na skutek uderzenia wraku o ziemię mogły się połamać albo pootwierać.

Przeszukiwał kajutę systematycznie, lecz nie udało mu się znaleźć niczego użytecznego, co niespecjalnie go zdziwiło. Wszystko, co cenne, marynarze zamykali w bakistach, a te były wyposażone w zamki solidniejsze niż cedrowe drzwi. Okazało się to prawdą przynajmniej w odniesieniu do tych, które minął podczas schodzenia – żadna nie dała się otworzyć. Horodyński miał jednak czas, sporo złomu pod ręką, no i przekonanie, że właściciele nie wezmą mu za złe, jeśli wyważy kilka zamków. Wsunął za pasek spory śrubokręt, który musiał należeć do pomocnika mechanika – o tym, że trafił do kubryku zajmowanego przez niezbędnych na pancerniku oliwiarzy, świadczyła charakterystyczna woń smaru bijąca od skotłowanych pod jego stopami ubrań.

Wspiął się na podstawę hamaka, potem wymacał kolejną, wyższą i stanąwszy na niej, przymierzył się do wyłamania pierwszego zamka. Opornie mu szło, po szóstej próbie jednak, gdy jego narzędzie lekko się wykrzywiło, usłyszał charakterystyczny trzask, po którym bakista stanęła otworem. Część zawartości posypała się w dół, słyszał, jak spadające przedmioty grzechoczą w mroku, odbijając się od metalowych przeszkód, lecz nie mógł nic zrobić, by temu zapobiec.

Skupił się więc na przeszukaniu tego, co zostało między metalowymi ściankami. Trafił na więcej ubrań, także cuchnących smarem, na fotografie, sądząc po ostrych nierównych brzegach i grubości papieru, znalazł też komplet przyborów do golenia zapakowany w etui z mięsistego skaju. Zachował na później tylko brzytwę i niewielkie składane nożyczki, resztę odrzucił w mrok. Gdy obmacywanie wnętrza bakisty przestało przynosić rezultaty, zajął się sąsiednią i tam rozbił bank. Ten mechanik dbał o swoje narzędzia. Trzymał je w sporej torbie z wyprawionej skóry. Andrzej uśmiechnął się szeroko, kiedy namacał długi na dziesięć cali papierowy cylinder zakończony czymś twardym i wypukłym.

Latarka. Wyjął ją ostrożnie, po czym przesunął włącznik. Błysk nie był może długi, ale za to cholernie jasny. Światło żarnika odbite od mosiężnego lustra oślepiło młodego kadeta, którego wzrok zdążył już przywyknąć do otaczających go ciemności. Chłopak musiał zacisnąć powieki, by powstrzymać łzy. Ponowił próbę dopiero wtedy, gdy białe plamy zniknęły mu w końcu przed oczu i znów pograżył się w mroku. Drugi raz oświetlił kubryk, kierując soczewkę latarki na przeciwległą ścianę. Po paru kilkusekundowych błyskach wiedział już, że warto zejść na dół. Pierwszy mechanik zachował na czarną godzinę dwie puszki heringów w oleju i nóż w pochwie, znacznie większy i lepszy od tego, który Andrzej tak niefortunnie stracił.

Dalsze poszukiwania musiały poczekać. Rozcięta na pół puszka została błyskawicznie opróżniona, Horodyński wysączył z niej nawet olej, i to do ostatniej kropelki. Mając pełen brzuch, mógł się z powrotem zabrać do inspekcji. Kilka minut później jego chlebak był już zapełniony żarciem. Upchnął go tyle, żeby wystarczyło na dwa albo i trzy tygodnie, jeśli zachowa wstrzemięźliwość.

Jedyny problem polegał na tym, że nie trafił nawet na kroplę wody. A przecież jej potrzebował bardziej niż sucharów i konserw.

ROZDZIAŁ 8

Łącznik prowadzący na bakburtę był zatarasowany. Andrzej się spodziewał, że przejście na uszkodzoną część Pietropawłowska nie będzie łatwe, mimo to jednak liczył na łut szczęścia. Niestety nawet w świetle latarki nie był w stanie znaleźć drogi przez rumowisko, w jakie przedziały śródokręca na tym poziomie zamieniły się przez smoki i przez upadek. Za to znalazł coś... a raczej kogoś, dzięki komu jego szanse na przetrwanie wzrosły niepomniernie.

Najpierw poczuł odór śmierci. Potem zobaczył zaschniętą krew, było jej mnóstwo, opryskała wszystkie ściany i większość pogiętych elementów. Gdy przyjrzał się uważniej, dostrzegł przy rumowisku połę brudnej marynarskiej kurtki. Zatykając nos i usta dłonią, przepchnął się w miejsce, z którego mógł zobaczyć większy fragment ciała. Uwięziony w tej części okrętu nieszczęśnik – albo ktoś, kto zginął tu wcześniej – nie miał szans na wyjście z tego upadku w jednym kawałku. Zgniatane impetem zderzenia stalowe płyty zgmiotły go na miazgę od piersi wzwyż, lecz brzuch i nogi znalazły się w ciasnej niszy, a co ważniejsze, był tam też chlebak, który dało się odciąć dzięki zdobycznemu nożowi.

Manierka ofiary była wciąż pełna. Andrzej upił z niej tylko łyczek, miał bowiem w pamięci ukłucie strachu, które towarzyszyło przełknięciu ostatniej porcji własnej wody. Resztę zachował na później. Niewykluczone, że zanim wydostanie się z terenu objętego pożarami, upłynie kilka dni.

Skoro bakburta była nieosiągalna, pozostało mu sprawdzenie przeciwnej strony kadłuba. Tam też panowały kompletne ciemności, spodziewał się więc podobnych problemów, tymczasem ku jego zaskoczeniu, włąz na końcu łącznika poddał się bez oporu, otwierając drogę do kolejnego przedziału pełnego kajut.

Tym razem Horodyński przechodził obok pomieszczeń, które przylegały bezpośrednio do burty, a na dodatek miały bulaje!

Zszedł po rurach na sam koniec burtowego korytarza, do miejsca, gdzie ściany uległy wykrzywieniu podczas uderzenia w ziemię i teraz blokowały drogę. Według szacunkowych wyliczeń znajdował się od dziesięciu do pięciu arszynów nad gruntem. „Może nawet tak nisko, że dam radę zeskoczyć na ziemię, nie ryzykując złamania nogi”. Uradowany tą myślą zatarł ręce, po czym wziął się do wyłamywania zamka najbliższej kabiny. Dwa szarpnięcia śrubokrętem załatwiły sprawę.

Okazało się, że to nie kajuta, lecz jeden z bosmańskich magazynków. Niegdyś równo poukładane miotły, szczotki i wiadra leżały teraz na kupie, ale nie to się liczyło. Widział je wyraźnie, choć nie użył latarki. Przez rozbity bulaj do wnętrza wpadał snop słonecznych promieni, w których tańczyły miriady drobinek kurzu.

Andrzeja ogarnęło uniesienie. Był już tak blisko!... Szybko przedostał się do burty. Odkręcił wszystkie śruby mocujące i odchylił krąg metalu, w którym niegdyś osadzono grube szkło. Nie mylił się. Od powierzchni wypalonej ziemi dzieliło go najwyżej pięć arszynów. Wystarczyło użyć sznurów, których w schowku nie brakowało, by bezpiecznie opuścić wrak Pietropawłowska.

Pytanie tylko co dalej?

休憩

Horodyński przykucnął na pokrytej grubą warstwą popiołu ziemi. Odczekał moment, pozwalając uniesionej sadzy na opadnięcie, po czym położył dłoń na spękanym gruncie. Gorący, wciąż gorący...

Przeniósł wzrok na rozedrgany horyzont i wiszącą nad nim zasłonę sinego dymu, który miejscami był już prawie biały. Wznieczone bombami pożary dogasały wszędzie tam, gdzie nie było już niczego, co mogłoby spłonąć. „Ale to jeszcze nie koniec. Ogień będzie się rozprzestrzeniał, pochłaniając kolejne połacie nadmorskich równin, gdyż z tak potężnym żywiołem nie sposób skutecznie walczyć. Nawet Pan Lodu nie dałby mu pewnie rady”, ocenił z przekąsem młody kadet, oblizując spierzchnięte wargi.

Zerknął na południowy wschód, gdzie srebrzyły się wody odległej zatoki. Tam nie było już ani ognia, ani dymu. Płomienie strawiły wszystko, nawet siebie nawzajem. To była droga ucieczki z tego piekła. Być może jedyna.

Szukając wyjścia z wraku, ułożył w myślach plan. Zdawał sobie sprawę, że trafił na sam koniec świata, na terytorium należące do zaprzysięgłego wroga. Więcej nawet, wylądował na wyspie, z której mógł się wydostać tylko w jeden sposób: wsiadając na pokład statku – nieważne, czy podniebnego czy pełnomorskiego.

Japonia toczyła wojnę ze wszystkimi europejskimi imperiami naraz, lecz Azja jęczała już od jakiegoś czasu pod jej butem, na lokalnych szlakach handlowych musiało się więc roić od frachtowców przewożących zrabowane w podbitych krajach surowce i dobra.

Czyż nie tak bowiem zawsze i wszędzie postępują zwycięzcy?

Wystarczyło zatem poszukać bezpiecznej drogi na wybrzeże i tam zakraść się do pierwszego napotkanego portu. Znalezienie jednostki dalekodystansowej nie powinno stanowić problemu. Statki te zazwyczaj są wielkie, mają po sześć albo więcej wirników. Andrzej zamierzał wypatrywać frachtowców przejętych niedawno przez flotę handlową Imperium Wschodzącego Słońca. Nasłuchiwał się o nich opowieści – na ich pokładach służyły ponoć dawne załogi, ponieważ Japończycy mieli za mało doświadczonych szyprów, by obsadzić nimi każdą zdobyczną kryptę. A zniewoleni marynarze nie wydadzą przecież towarzysza niedoli. Na to przynajmniej liczył.

Było to myślenie życzeniowe, ale jaką miał alternatywę? Oddanie się w ręce Japończyków odpadało. Po tym, co zjednoczona flota zrobiła z ich stolicą, zabiją każdego gaijina, jakiego zobaczą – tego Horodyński był więcej niż pewien. A wydostanie się inną drogą z leżącego pośrodku odległego morza archipelagu także nie wchodziło w grę. Nawet gdyby zdołał ukraść łódź, nie odpłynąłby nią daleko. Choć nazywano go matrosem, nie miał bladego pojęcia o takielunku.

Szkolenie, które przeszedł, przygotowywało do służby na podniebnym pancerniku, tak więc zajęcia w basenie portowym ograniczono do kilku godzin nauki wiosłowania, zarówno dwiema, jak i jedną ręką. Może wyglądałoby to inaczej, gdyby trafił w kamazę w czasie pokoju, ale jego wcielono do carskiej marynarki w najgorętszym okresie wojny. Miał być tanim mięsem armatnim, zatem nikomu nie zależało na wpajaniu mu wiedzy, której i tak nie miałyby szans wykorzystać.

„Dość tego rozpamiętywania!”, napomniał się gniewnie. „Czas ruszać w drogę”.

Wróg chwilowo ani myślał wkraczać na spustoszone ogniem tereny, lecz pojawi się tutaj, i to niedługo. Gdy pożary wygasną samoistnie – albo zostaną ugaszone – na pogorzelsku niemal natychmiast zaroi się od żołnierzy i robotników, którzy zajmą się licznymi wrakami.

„Wraki”...

Andrzej zerknął bojaźliwie w górę. Szabrunek zniszczonych okrętów trwał w najlepsze. Setki kutrów krążyły między dryfującymi skorupami niszczycieli i krążowników. Obciążone pojemnikami ze zdobycznym cavorytem balony opadały powoli ku czekającym kilkaset arszynów niżej frachtowcom. Tu i ówdzie ogołoczone z cudownego metalu wypalone szczątki szybowwały pod różnymi kątami w stronę odległej ziemi.

„Tak, ta równina będzie świadkiem ostatecznej zagłady zjednoczonej floty, ale mnie tu na pewno nie będzie, gdy do tego dojdzie”, pomyślał, wstając.

ROZDZIAŁ 9

Od wód Zatoki Tokijskiej dzieliły go mniej więcej trzy wiorsty. Podobny dystans pokonywał bez trudu sześć razy w tygodniu w drodze do szkoły i z powrotem. Jeśli się pośpieszył, wystarczał mu kwadrans, a jeśli odprowadzał Hanię, potrafił zmitrężyć nawet pół godziny. Tego dnia jednak, w lejącym się z nieba i sączącym się z ziemi skwarze, po trzydziestu minutach zdołał doczłapać do szczątków roztrzaskanego i wypalonego do cna wraku korwety albo niszczyciela. Nie miał pewności, jakiej klasy to okręt, ale uszkodzenia, które widział, zdawały się sugerować, że była to jedna z pierwszych ofiar bitwy. Kadłub został rozerwany kilkoma bezpośrednimi trafieniami, otwory po nich rzucały się w oczy, ponieważ smukła jednostka leżała na bakburcie jak wyrzucona z wody ryba.

Andrzej otarł pot z czoła. Marynarskie buty, oblepione sadzą, ważyły chyba po trzy funty każdy. Takie przynajmniej odnosił wrażenie przy każdym kroku. Szedł jednak dalej, brodząc po kostki w popiele i ciesząc się z cienia rzucanego przez wrak. Co rusz dostrzegał blask przesączający się przez kolejne przepastne wyrwy w poszyciu. Wielkokalibrowe pociski przebijały niewielki okręt na wylot, dlatego najwięcej szkód poczyniły te mniejsze, które eksplodowały we wnętrzu kadłuba, wyrywając całe płyty pokładu i uwalniając sporo rozlokowanego pod nim caworytu. Kotły nieszczęsnej jednostki zostały podziurawione jak rzeszoto, tyle że nie przy bezpośrednim trafieniu, dzięki czemu nie eksplodowały, lecz była to marna pociecha dla tych członków załogi, których nie ugotowała żywcem uwolniona z nich para ani nie rozszarpały wcześniej odłamki szrapneli.

Horodyński spojrział na naspawane na rufie, pomalowane na czarno litery. HMAS Velox. Brytyjczyk... Od razu nasunęło mu się wspomnienie zdarzenia sprzed dosłownie paru dni. Jasnowłosi

marynarze zgromadzeni licznie na burcie mijanego okrętu, wykrzykujący szczekliwe nosowe słowa, których nie rozumiał, i zaśmiewający się do łez. To mógł być ten właśnie niszczyciel... Andrzej pokręcił ze smutkiem głową. Co za różnica, który to okręt. Wszystkie co do jednego zostały zniszczone.

Westchnął ciężko, gdy uzmysłowił sobie, że dobrze zrobił, obchodząc wrak od strony stępki. Pokład i nadbudówki z pewnością kryły wiele ciał poległych, a tu ich nie...

Wzdrygnął się, słysząc pod podeszwą głośniejszy chrzęst. Cofnął nogę, aby po chwili wahania rozsunąć stopą grubą na kilka cali pokrywę popiołu.

Kości. Wypalone, brudne, spękane jak ta umęczona ziemia.

Przeżegnał się i ruszył dalej, przyspieszając kroku. Wcześniej nie zwracał uwagi na nierówności, po których stąpał, ale teraz krzywił się po każdym trzasku. Miał tylko nadzieję, że to załoga feralnego okrętu, ludzie, którzy zginęli pod niebem, zanim tutaj, na ziemi, rozpętało się piekło. Nie chciał nawet myśleć, co czuli ci, którzy ratując się, skakali za burty niszczonej lawiną ognia artyleryjskiego jednostek po to tylko, by uzmysłowić sobie, że opadają prosto w morze szalejących płomieni.

Pochylił głowę mocniej, zacisnął zęby. Choć wrak niszczyciela oferował cień, w którym mógłby odpocząć i oskrobać buty z lepiałego się popiołu, wolał pocierpieć chwilę dłużej, byle prędko opuścić to ponure cmentarzysko.

Daleko nie zaszedł.

Jeśli nie liczyć szarej barwy, równina przed nim przypominała plaster przedniego szwajcarskiego sera. Chcąc nie chcąc, musiał kluczyć pomiędzy kraterami przeróżnych rodzajów, które pokrywały ziemię, gdzie okiem sięgnąć.

Kiedy zaczęło mu brakować tchu, przystanął. Kurtkę zdjął już jakiś czas wcześniej, gdyż żar bijący ze spękanej ziemi był trudny do zniesienia i bez niej. Nie wyrzucił jednak ciężkiego okrycia, świadom, że może być jeszcze potrzebne. Albowiem – choć w dzień

słońce prażyło niemiłosiernie – noce o tej porze roku bywały bardzo zimne, czego doświadczył, kryjąc się we wraku. Szedł więc teraz dalej w samej koszuli, przepoconej do suchej nitki i tak brudnej, że jej wcześniejszej bieli można się było tylko domyślać. Nie mógł jednak powiedzieć, że mu ulżyło. „Na tej przeklętej równinie panuje wyższa temperatura niż w niejednej hucie podczas spuszczenia surówki”, pomyślał, dysząc ciężko.

Zgiął się wpół, by chwilę odpocząć z dłońmi wspartymi o uda, potem sięgnął po manierkę i odmierzył niepełną nakrętkę. Wypił ciepłą wodę drobnymi łyčzkami, za każdym razem przepłukując usta przed przełknięciem. Nie odważył się zrobić dolewki, choć suszyło go strasznie. „To piekło może się tak szybko nie skończyć”, uznał, tęsknie spoglądając ku odległej wciąż zatoce.

Brak punktów odniesienia wprowadził go w błąd. Od wody nadal dzieliło go kilka wiorst, a przeszedł już taki kawał drogi... Odwrócił się, by spojrzeć na wrak Pietropawłowska. Dziób pancernika sterczał wysoko w niebo, lekko tylko przechylony i wsparty na wygiętych lufach wieży artyleryjskiej. Przypominał dziwaczną zupełnie nierealną budowlę, którą zawiedzeni twórcy porzucili przed ukończeniem.

Horodyński zaśmiał się, mierząc wzrokiem pokonaną odległość. Odszedł na... trzysta arszynów? Chyba nawet nie tyle. Zrezygnowany sięgnął do pasa, by wyszarpnąć nóż. Pokrywająca ziemię warstwa popiołu była bardzo lepka. Z każdym krokiem kolejne płaty sadzy przywierały do jego butów, najpierw od strony podeszew, potem też wyżej, sięgając nawet spodni. Natrudził się, zanim oczyścił cholewki z tego cuchnącego paskudztwa, ale w końcu nogi przestały mu ciążyć, jakby odlano je z ołowiu. Odzyskał też częściowo oddech, aczkolwiek po wyprostowaniu pleców potrzebował jeszcze dłuższej chwili, by uznać, że jest gotów do podjęcia wędrówki.

Teraz, gdy rzeczywistość skorygowała jego zamierzenia, nie miał już tak ambitnego celu, jak przemaszzerowanie aż na brzeg zatoki.

Jakieś sześćset, siedemset arszynów przed sobą zauważył znacznie mniejszy fragment wraku, który wyglądał jak rufa krążownika, a może nawet pancernika. To będzie cel kolejnego etapu jego wędrówki. Tam odpocznie, posili się, upije kolejny łyk wody.

Skupił wzrok na sterczącej pod ostrym kątem czarnej burcie. Nie myślał o niczym: ani o kościach poległych, po których stąpał od czasu do czasu – właściwie to znacznie częściej, niżby chciał – ani o widoku zwęglonych zwłok, które gdzieniegdzie wystawały z pokrywy popiołu i sadzy. Stawiał nogę za nogą, czując, jak rośnie ich ciężar, postanowił jednak, że nie zatrzyma się ponownie, dopóki nie dotrze do celu.

Liczył kroki. Wiedział, że musi ich zrobić kilkaset, może nawet tysiąc, lecz nie przerażało go ślimacze tempo. Rachunki prowadzone w głowie pozwalały mu oderwać myśli od wspomnień, od roześmianych twarzy Anglików, przepołowionego Rustawelego, konającego porucznika, rozsmarowanej po nadbudówce krwi kadeta, któremu zabrał paraszut, oraz setek innych obrazów cisnących mu się przed oczy, nawet gdy zaciskał powieki.

Był już blisko. „Dziewięćset siedemnaście”, dodał w myślach kolejny krok, po czym zamarł z uniesioną prawą nogą. Nagle wokół zrobiło się znacznie ciemniej, jakby... jakby padł na niego cień. Zaniepokojony zadarł pośpiesznie głowę, nie dbając, że chusta osłaniająca mu usta i nos opada, wystawiając twarz i płuca na pastwę żaru oraz wirujących w powietrzu wszechobecnych płatków popiołu.

– Jezusie – wyrwało mu się na widok niewyobrażalnych mas stali nad sobą.

„Wypatrzyli mnie!”, z tą myślą rzucił się do ucieczki. „Japończycy nadlatują! Dopadną mnie zaraz! Zabiją!”...

Gnał przed siebie, wzbijając stopami tumany popiołu, ale cień wciąż się pogłębiał. Otaczał go już ze wszystkich stron, rozpościerał się coraz szerzej. Horodyński zerknął raz jeszcze w górę. Był tak spanikowany, że nie patrzył, gdzie stawia stopy, a moment, który

wybrał na uniesienie głowy, był najgorszym z możliwych. Dotarł właśnie na skraj większego krateru, głębokiego na prawie trzy arszyny i mającego pięć razy tyle średnicy. Okalający go wał rozrzuconej ziemi nie był może wysoki, ale za to mocno spieczony, przez co obciążona popiołem stopa kadeta wyrznęła w tę przeszkodę z całych sił, a jej właściciel przekoziółkował, zanim pojął, co się z nim dzieje, po czym poleciał w dół bezwładnie jak ciśnięty do piwnicy worek ziemniaków.

Zabolało. Uderzenie plecami o ziemię pozbawiło go na moment tchu, a wzniesiony upadkiem popiół przesłonił pole widzenia. Strach dodał jednak Andrzejowi skrzydeł. Chłopak zerwał się na równe nogi i nie bacząc na nic, zaczął wspinać się po osypisku. Kaszłał przy tym i dławił się od połykanego z każdym płytkim oddechem brudu. Oczy piekły go żywym ogniem. Przez łzy niewiele widział, a wzbijane frenetycznymi ruchami rąk i nóg chmury popiołu zasłaniały wszystko prócz rosnącego złowieszczo cienia. Biegając na ślepo, Horodyński potknął się znowu, zakręcił młynka, ale nie upadł. Nagle zrobiło się jaśniej, coś zadudniło pod jego stopami. Podeszwy załomotały o stal. Jeszcze krok i słońce poraziło otwarte na całą szerokość oczy.

Zaskoczony tą niespodziewaną odmianą zwolnił, potem przystanął. Wyrwał się z popiołów, zostawił je za sobą tylko dlatego, że cudem trafił na kawał wyrwanego z któregoś okrętu poszycia. Długi na dziesięć arszynów i szeroki na pięć pas stali spoczywał na ziemi z dala od innych szczątków. Musiał spaść niedawno, ponieważ nie było na nim prawie wcale osadów, które pokrywały grubą warstwą całe pogorzelsko.

„Cień!”...

Andrzej skulił się instynktownie, gdy żelastwo pod jego stopami zadrżało, jakby ktoś próbował je wydrzeć z ziemi. Zdziwiony rozejrzał się pośpiesznie i... zamarł w pół ruchu.

Wielki okręt wojenny, na pewno krążownik, i to ciężki, przyziemiał właśnie twardo nie dalej niż pięćdziesiąt kroków od

niego. Tępy dziób martwej jednostki zagłębił się w spękanym gruncie, jak w najprawdziwszej fali, rozrzucając wokół tony kamieni i spalonej na wiór ziemi. Przeciągły zgrzyt był tak przenikliwy, że struchlałego kadeta rozboleły natychmiast wszystkie zęby. Horodyński przycisnął dłonie do uszu, otworzył usta do krzyku, ale jeden głębszy oddech wystarczył, by znów zaczął się dławić. Nie bawił się w naciąganie chusty. Sięgnął po odłożoną wcześniej maskę i po przetarciu załzawionych oczu naciągnął ją na twarz. Nadal niewiele widział, ale mógł przynajmniej oddychać, a to było teraz najważniejsze.

Krażownik nie dał się zatrzymać ani ziemi, ani spoczywającej na niej rufie innej jednostki, tej, którą za cel obrał sobie uciekinier. Dziób podniebnego giganta, uszkodzony ryciem głębokiego rowu podczas tej kolizji, uległ zgnieceniu jak papierowa zabawka, lecz ważący kilka tysięcy ton wrak przebił się przez zagrzebane w popiele szczątki niczym rozpędzona lokomotywa przez zaspę.

Krażownik spadł na ziemię pod bardzo ostrym kątem, ponieważ w jego wnętrzu wciąż kryło się sporo caworytu. Japończycy wydobyli bardzo dużo srebrzystych sztab i w końcu ciężar stali przeważył, niemniej teraz, po zderzeniu z ziemią, spod rozerwanego pokładu wysypały się całe tony najcenniejszego ze znanych metali. Horodyński obserwował w niemym podziwieniu, jak z wnętrza wraku wyłaniają się połyskujące w słońcu bloki, które nie opadają ku ziemi z resztą szczątków, lecz wznoszą się ku niebu, coraz szybciej i wyżej.

Kolejny, jeszcze przeraźliwszy zgrzyt poprzedził ostatni akt agonii podniebnego giganta. Zmasakrowany przez smoki okręt spoczął pośród morza wirującego pyłu i popiołu, którego fale sięgały niemal do wybrzuszonych pokładów. Bezruch trwał jednak krótko. Po serii coraz głośniejszych trzasków wrak zaczął się chylić na burtę – na szczęście dla stojącego nieopodal kadeta ostatecznie runął w przeciwnym kierunku. Wypalone nadbudówki i sterczące w niebo lufy zniknęły Andrzejowi z pola widzenia, a chwilę później, gdy opadł już najgęstszy pył, oczom samotnego obserwatora ukazało się

niemal pozbawione poszycia dno. Wcześniejsze uszkodzenia pospołu z tarciem o wypaloną ziemię rozorały wielki okręt od zmiążdżonego dziobu po nadtopioną rufę.

Widok ten był tak fascynujący, że zapatrzony weń Horodyński nie ruszył się z miejsca jeszcze przez dłuższą chwilę. Ze stuporu wyrwał go dopiero łomot, z jakim na ziemię spadła nadbudówka innej rozszabrowywanej w górze jednostki. W skrzydle mostka korwety ani jej maszcie sygnałowym nie mogło być nawet łuta caworytu, zatem masa stali gruchnęła o ziemię z pełną prędkością, jaką mogła jej nadać grawitacja. A był to dopiero pierwszy z wielu pocisków, które Japończycy zrzucili na ukrywającego się przed nimi chłopaka, nawet o nim nie wiedząc.

休憩

Andrzej zerwał się z zimnej stali. Usiadł, wciągając łapczywie powietrze do płuc, jakby cudem wyrwał się z mętnej toni. Wokół było ciemno choć oko wykol, jedynie przed sobą miał coś na kształt wielkiego okna czy też raczej otworu powstałego na skutek oderwania całej ściany.

Między poszarpanymi końcówkami grodzi dostrzegł szarą, zrytą kraterami ziemię, sterczące z niej tu i ówdzie czarne zamki wraków, a wszystko to nakrywał kobierzec migocących uspokajającym rytmem gwiazd.

Horodyński nadstawił ucha, czekał tak dłuższą chwilę, nieruchomy, milczący, ale wokół panowała niczym niezmacona cisza. Wsłuchując się w nią, oprzytomniał do reszty, przypomniał sobie, gdzie jest...

Gdy zrozumiał, co się święci, pognał ile sił w nogach w kierunku wybebeszonego krążownika. Omijając walające się na ziemi przeszkody, dotarł do wraku. Wspiął się po złamanej wrędze do dawnej maszynowni, potem wpełzł najgłębiej, jak się dało, między bloki gigantycznych turbin parowych, i tam zamarł, ukryty pod

ciągnem grubego na prawie trzy arszyny, ale i tak zgiętego wału korbowego.

Wybrał tę kryjówkę instynktownie, i dobrze zrobił, ponieważ pracujący dwie wiorsty wyżej robotnicy nie patyczkowali się z wypalonymi wrakami, których w tym akurat miejscu pola bitwy dryfowało prawdziwe mnóstwo. Ku ziemi sypał się więc grad mniejszych i większych kawałów złomu, a trudno by ich było uniknąć młodemu kadetowi, gdyby pozostał na otwartej przestrzeni.

Godziny mijały, lecz bombardowanie nie słabło. Horodyński odsapnął za to i nawet zdołał zebrać myśli. Przestał się też bać. Od wejścia między turbiny miał okazję zobaczyć upadek trzech wraków, dwa kolejne zaś tylko wyczuł, ponieważ wylądowały gdzieś po drugiej stronie przewróconego krążownika. Każda z tych jednostek przyziemiła jednak wystarczająco daleko, by nie musiał się obawiać zmiżdżenia.

Kulił się wprawdzie po każdym głośniejszym łomocie i wstrząsie, jaki towarzyszył upadkowi żelastwa na jego kryjówkę, ale było to zachowanie odruchowe, niemające źródeł w strachu nadal czającym się gdzieś na skraju świadomości. Andrzej zdawał sobie bowiem sprawę, że bombardowanie ustanie, gdy pracujący nieprzerwanie robotnicy oczyszczą ten skrawek nieba. Wystarczyło więc, by zaczekał w trzewiach tego pancernego potwora – może tylko do zmroku, może do końca następnego dnia. Nie wiedział, ile dokładnie to jeszcze potrwa, ale mając pełną wody manierkę, mógł przesiedzieć między turbinami i dwa razy tyle czasu.

Wreszcie zmęczenie wzięło górę nad rozcieńczoną czasem adrenaliną. Andrzej przymknął oczy i zasnął. Koszmar trwał jednak nadal... Maszerował w nim przed siebie, po niekończącej się równinie pokrytej bezdennymi lejami, w nieludzkiej spiekocie i znoju, z nogami oblepionymi bryłami skamieniałego popiołu, który za nic nie dawał się skruszyć. Próbując pozbyć się tego balastu, stracił nóż, a potem łom. Ciężącą mu manierkę wypełniał szary pył. Wysypywał go co chwilę, wytrząsał do ostatniego ziarnka, ale ten

wracał jak zaczarowany mimo szczelnie zakręconej pokrywki, zupełnie jak płyty sadzy, które co rusz lepily się do butów.

Te męki były tylko przygrywką do prawdziwego koszmaru. W pewnym momencie z nieba zaczęły spadać pancerne płyty; wielkie, czarne i idealnie proste. Wbijały się w wypalony grunt z głośnym hukem, tworząc istny labirynt, przez który przerażony Andrzej musiał się przedzierać, kłucząc i błędząc. Tak właśnie dotarł na koniec długiego, ślepego zaułka. Odwrócił się na pięcie, by zawrócić, jak czynił to sto razy wcześniej, lecz wtedy właśnie kolejny kawał złowieszczego lśniącego metalu zablokował mu drogę. Znalazł się w potrzasku, a gdy spojrział w górę, zobaczył następną stalową płytę, tym razem spadającą w poziomie. Rosła w oczach; zanim zdążył przełknąć gęstą jak smalec ślinę, przesłaniała już całe niebo, a on wiedział, po prostu wiedział, że idealnie wpasuje się między ściany, które go otaczały. Była tak gruba i ciężka, że zrobi z niego miazgę jak but matki z pająka...

Andrzej zbudził się z krzykiem, gdy ściana stali dotknęła jego wyciągniętych w rozpaczliwym geście rąk.

Tak to właśnie wyglądało.

Musiał się napić.

Odmierzył pół zakrętki, w sam raz tyle, by zwilżyć dziąsła i zaschnięty język. W przełyku nie poczuł ulgi, ale to był w stanie znieść. Wsłuchiwał się w dźwięczącą ciszę jeszcze przez długą chwilę, a gdy dotarło do niego, że nie zakłóca jej żaden niepokojący dźwięk, zebrał się na odwagę i wyczołgał spomiędzy masywnych konstrukcji.

Zeskoczył na ziemię, odczekał jeszcze chwilę, znów nadśluchując, potem oddalił się od krążownika, wciąż jednak gotowy do odwrotu. Gdy znalazł się pomiędzy dwoma bliźniaczymi kraterami, zadarł głowę, omiatając nerwowymi spojrzeniami firmament. Gwiazdy migotały spokojnie między nielicznymi obłokami. Księżyc też tam był, podświetlał wielką chmurę, otaczając ją srebrzystą poświatą. Japończycy nadal pracowali, tyle że przenieśli się dalej na północny

wschód, nad zbombardowane centrum miasta. Tam, gdzie spadła większość car-bomb.

Horodyński spojrział w przeciwnym kierunku, na południe. Mimo panujących ciemności nie dostrzegł łuny towarzyszącej wcześniej pożarom. Niebo było tam równie ciemne jak nad zatoką, ciemniejsze nawet, ponieważ nad odległym morzem formował się kolejny front burzowy.

„Zatem ogień sam wygasł albo został... ugaszony”, pomyślał Andrzej, czując pierwsze, delikatne jeszcze ukłucie strachu. Mrok oznaczał, że wkrótce może się tu pojawić wróg. Japońskie wojsko wkroczy zapewne na te tereny tuż po świcie, a za nim nadejdą robotnicy. Tysiące ludzi, których zadaniem będzie odzyskanie każdego kawałka stali, który zbrukał ich świętą ziemię.

„Trzeba brać nogi za pas”, uznał Horodyński, drżąc na całym ciele, i to nie tylko od chłodu. Wrócił biegiem do kryjówki i tam doprowadził się do porządku. Oczyszczył buty, włożył ponownie kurtkę, twarz do wysokości nosa przesłonił wytrzepaną dobrze chustą. Sięgnął po manierkę, lecz po krótkim zastanowieniu jednak schował ją z powrotem. Pragnienie dręczyło go jak nigdy dotąd, ale był pewien, że wytrzyma jeszcze godzinę albo dwie, postanowił więc oszczędzać wodę.

Ze zdumieniem zauważył, że nie jest głodny. Choć nie jadł od wielu godzin, a i wcześniej spożyte posiłki nie były zbyt obfite, jego żołądek pozostał ściśnięty, jakby ktoś obwiązał go sznurkiem. „Nerwy, nic innego, tylko nerwy”, pomyślał, zeskakując ponownie na ziemię.

Przeszedł za majaczącą w mroku rufę krążownika, tam przystanął, próbując zdecydować, w którą stronę powinien się udać. Na południowy wschód od tego miejsca rozciągały się wody Zatoki Tokijskiej, na południu natomiast miał kilka razy odleglejsze wybrzeże oceanu.

Gdzie znajdzie port, w którym mógłby zakraść się na pokład frachtowca? Usiłował przypomnieć sobie wygląd mapy operacyjnej,

przy której spędził tyle godzin, towarzysząc wiceadmirałowi. Z tego, co zapamiętał, w zatoce prócz Tokio było jeszcze jedno duże miasto portowe. Leżało tylko kilkadziesiąt wiorst na południe od zbombardowanej stolicy, choć Andrzej nie mógł mieć pewności, czy ocalało. Część krążowników bombardujących pozbyła się większości ładunków daleko na południe od celu, a przy niepomyślnych wiatrach bomby podwieszane pod paraszutami były w stanie zdryfować naprawdę daleko.

Drugą opcją był marsz nad ocean. Z tym że na wybrzeżu, przynajmniej w okolicach ujścia Zatoki Tokijskiej, nie było większych miejscowości, a na dotarcie w bardziej odległe rejony zwyczajnie nie miał szans. Bił się z myślami jeszcze przez chwilę, po czym ruszył rażnym krokiem ku lśniącym na horyzoncie wodom zatoki.

ROZDZIAŁ 10

Na rzekę natknął się niespodziewanie. Był zbyt zmęczony nieustanną walką z oblepiającym jego buty popiołem, by zwracać uwagę na dalsze otoczenie, a i mrok stał się gęstszy, gdy chmury zasnuły sporą część nieba. Nic więc dziwnego, że nie spostrzegł szerokiego na kilkadziesiąt arszynów koryta, dopóki nie stanął na jego brzegu.

„Woda!”...

To była jego pierwsza myśl na widok płynącego leniwie nurtu. Zsunął się po kamienistym zboczu, lądując z pluskiem w płytkim rozlewisku. Nabrał chłodnej cieczy w dłonie, przysunął bliżej twarzy, powąchał...

Skrzywił się z odrazą. Woda cuchnęła czymś kwaśnym, była też dziwnie oleista i czarna. Gdy przeciekła mu pomiędzy palcami, na skórze pozostał gruby, ciemny osad. Andrzej rozejrzał się uważniej. „Nic dziwnego, że jest brudna. Na tej płyciźnie zastała się, wymieszała z popiołem i sadzą”.

Wycofał się i wspiął powoli na stromiznę. Po chwili zastanowienia ruszył z biegiem nieznanego mu rzeczki ku zatoce, wypatrując miejsca, w którym znalazłby się blisko głównego nurtu. Marzył o tym, by zaspokoić pragnienie i wymoczyć obolałe nogi, choćby przez chwilę, jak robił to często podczas pieszych wycieczek w góry otaczające jego rodzinną miejscowość, gdzie nie brakowało leniwych strumyków ani rwących strumieni... Wsłuchując się w rzeczny szmer, odpłynął myślami w nie tak znów odległą przeszłość, lecz wystarczyło jedno potknięcie, by rzeczywistość przypomniała mu boleśnie, że strącony z nieba trafił na samo dno piekieł.

Rozmasował stłuczoną goleń, złorzeczając pod nosem na pokrywające brzeg otoczaki. Zaklął głośnie, gdy wszedł po kolana w nurt i odkrył, że nawet tam woda wciąż jest czarna i cuchnąca. Wszechobecny popiół zmienił ją w skażony ściek, a że całymi milami

meandrowała przez zbombardowane tereny, zapewne musiało upłynąć jeszcze wiele dni, zanim będzie można się w niej obmyć, nie mówiąc o ugaszeniu pragnienia.

Mimo to Andrzej postał chwilę nieruchomo, sycąc się chłodem niesionym przez ciemny nurt. A że obolałe nogi potrzebowały odpoczynku, zrobił sobie krótki popas. Przysiadłszy na brzegu, pozbył się skorup obciążających mu stopy. Oskrobując zamoczone cholewki, zastanawiał się, czyby nie podjąć próby przepłynięcia rzeki. Nurt nie był silny, tak blisko ujścia toczył się leniwie po płaskiej jak stół równinie, niemniej...

Ponownie nabrał oleistej cieczy w dłonie. Za tym pozornym spokojem kryło się coś jeszcze. Wymieszana z popiołem i sadzą woda była nie tylko ohydna, ale też trująca. W całym swoim życiu nie miał do czynienia z czymś tak odrażającym; nawet siedząc na brzegu, czuł kwaśny odór, który dławił go i przyprawiał o łzy. Zachłyśnięcie się tą trucizną... Co tam zachłyśnięcie, już samo oddychanie oparami tej cieczy – przestał ją traktować jak życiodajną wodę – mogłoby się skończyć tragicznie.

„Nie, lepiej poszukać mostu albo brodu”. Znajdował się na skraju zbombardowanego terenu, istniały więc szanse, że prędzej czy później trafi na niezniszczoną przeprawę.

Ruszył dalej, człapiąc przemoczonymi buciorami. W tym powolnym marszu towarzyszyła mu rzeka, cicha i niemal niewidzialna. Nie oddalał się od jej brzegu, zdecydowany znaleźć chociaż kładkę. I tak, tysiąc trzysta siedemnaście kroków później – zliczał je dla zabicia czasu – stanął u podnóża nasypu, który prowadził na most. Wreszcie trafił na pierwszy ślad ludzkiej bytności na tej ziemi!

Wspiął się pośpiesznie na szczyt równiutkiego wału i stanął na torach. Spojrzał najpierw w kierunku zbombardowanego miasta, potem przeniósł wzrok na stalowy most, który przerzucono nad korytem rzeki. Nie był długi, nie zniszczyła go żadna bomba, ale wystarczył rzut oka, by Horodyński zrozumiał, że nie musi się

obawiać rozjechania przez pociąg. Tory były powypaczane, jakby przyglądał się nie linii kolejowej, lecz jej odbiciu w krzywym zwierciadle. Wiele podkładów wypaliło się do cna. Tkwiące w nich śruby zostały wyrwane przez odkształcający się w wysokiej temperaturze metal. Andrzej niewiele wiedział o japońskich lokomotywach, ale jednego był pewien: po tak uszkodzonych torach nic nie przejedzie.

Cel jego wędrówki znajdował się po drugiej stronie rzeki. Dostrzegął nawet pas jaśniejszego nieba, ilekroć spoglądał w tamtym kierunku. Czerwonawa luna, którą miał nieprzyjemność obserwować przez kilka minionych nocy, nareszcie zniknęła, zastąpiona przez łagodną białą poświatę. Taką, jaką widywał podczas biwakowania na skałach, gdy zwracał spojrzenie ku niedalekiemu, choć dla niego całkowicie nieosiągalnemu Krakowowi.

Tknięty myślą o leżącym za granicą mieście obejrzał się przez ramię. Stał teraz wyżej, pośrodku bezdroży, na których nie płonęło żadne światło, dzięki czemu widział doskonale odległy horyzont i... podobną, choć nieco bledszą lunę rozświetlającą sporą część firmamentu.

„Dziwne”, pomyślał. Według mapy admirała, poza stolicą i portem, ku któremu zmierzał, nie było w okolicy większych miejscowości. Naoczne obserwacje z gondoli zdawały się potwierdzać tę tezę, a mimo to... Wzrok go przecież nie mylił. Miał przed oczami widomy dowód, że tam – wcale nie tak daleko od miejsca, w którym przystanął – tętni życiem jakaś metropolia.

休憩

Nie mając szansy na rozwiązanie tej zagadki, wkroczył na tory i ruszył przed siebie. Marsz linią kolejową był wprawdzie ryzykowniejszy od przemykania pustkowiami, ale miał też kilka zalet. Po pierwsze, nie pozostało tam wiele do spalenia – oczywiście poza ocalałymi podkładami – a porywiste wiatry oczyściły szczyt

wysokiego nasypu z resztek popiołu, dzięki czemu Andrzej nie musiał dłużej walczyć z oblepiającym jego buty ciężarem i nareszcie mógł oddychać pełną piersią.

Po wtóre, wciąż szedł przez spustoszone pożarami tereny, nie spodziewał się więc, że napotka ludzi – zwłaszcza tak późną nocą. Mimo to zachował czujność. Starał się robić jak najmniej hałasu, a także się garbił, by trudniej było go dostrzec. Ciemnogrnatowe drelichowe spodnie i marynarska kurtka pomagały mu się wtopić w mrok, a wysmarowane sadzą oblicze upodabniało go raczej do diabła niż człowieka.

Zaraz za rzeką krajobraz nieco się zmienił. Nadal było płasko, jakby wędrował po wielkim stole, ale gdy księżyc wyłonił się zza chmur, w jego blasku Horodyński zauważył w pobliżu nasypu dziwne, bardzo płytkie, lecz regularnego kształtu zagłębienia. Olbrzymie prostokąty przypominające osuszone stawy ciągnęły się, gdzie okiem sięgnąć. Andrzej dałby głowę, że aż do wód bardzo już bliskiej zatoki. Czym w rzeczywistości były, tego nie mógł wiedzieć, lecz nie miał cienia wątpliwości, że zostały stworzone ręką człowieka.

Podczas następnego krótkiego popasu obrzucił spojrzeniem horyzont i znacznie teraz jaśniejszą poświatę. Port, ku któremu zmierzał, był już bardzo blisko.

Tysiąc pięćset dwadzieścia sześć kroków dalej – ciągle ich zliczanie pozwalało wycieńczonemu umysłowi zachować klarowność – Andrzej trafił na kolejny most, który przerzucono nad znacznie węższą rzeczką. Po drugiej stronie zaś zobaczył... roślinność. Nie smętne, wypalone prawie do ziemi pniaki, lecz żywe, choć obco wyglądające drzewa! Był tak otumaniony, że zrozumiał, na co patrzy, dopiero po dłuższej chwili, tuż przed tym, nim dopadł go paniczny strach.

„Skoro są tu żywe drzewa, mogą być i ludzie. Nie ludzie, Japończycy! Wrogowie!”...

Przypadł natychmiast do torowiska. Wyzwolona lękiem adrenalina rozwarła mu powieki, ożywiła mięśnie i umysł. Rozglądał się uważnie, wytyczając także słuch, ale wokół panowała niczym niezmacona cisza. Wiatr szumiał kojąco w kołyszących się majestatycznie koronach niskich, poskręcanych i chyba iglastych drzew. To był jedyny dźwięk, jaki dolatywał do uszu przyuczajonego kadeta. „W zaroślach nie ma żadnej zwierzyny”, pomyślał. „Nic dziwnego, zważywszy na niedawne pożary”...

Trudny do zignorowania swąd spalenizny wciąż unosił się w powietrzu, ale nigdzie wokół nie było widać śladów ognia. Rzeczka, choć wcale nie taka szeroka, zdołała powstrzymać płomienie.

„Rzeczka czy mieszkający za nią ludzie? Oto jest pytanie!” Andrzej cofnął się aż do przyczółka mostu, tam zszedł z nasypu i dokonał pośpiesznej lustracji terenu. Przeczucie go nie myliło. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by oczyścić pas ziemi na brzegu ze wszystkiego, co mogłoby się zapalić. Po drugiej stronie wąskiego koryta uczyniono podobnie, lecz i tak – gdy zachęcony swym odkryciem wszedł do wody – trafił na nieco tylko czystszą breję. W górnym biegu rzeczki sytuacja nie wyglądała już tak wesoło. Niemniej tereny wokół linii kolejowej, przylegające do pobliskiego portu, ocalały przed pożogą.

„Problem w tym, że ludzie, którzy powstrzymali ogień, wciąż mogą tu gdzieś być”... Musiał się mieć na baczności, by na nich nie trafić. Wątpił jednak, by Japończycy wystawiali strażę. Z pewnością byli święcie przekonani, że takich jak on desperatów dałoby się zliczyć na palcach jednej ręki. On sam tak uważał, widział bowiem na własne oczy, jakie piekło zgotowali zjednoczonej flocie obrońcy Tokio. Szczerze zatem wątpił, by wielu jego towarzyszy przeżyło zagładę swoich jednostek.

„Ilu nas tu przyleciało? Nad Tokio wysłano ponad trzysta okrętów, z czego ponad trzecią część stanowiły krążowniki i pancerniki. To po zsumowaniu daje piętnaście, może nawet dwadzieścia tysięcy ludzi”,

oszacował szybko w myślach. „Ilu z nich zdołało przetrwać tę rzeź?”...

Zadrzał na myśl, że może być jednym z ostatnich ocalańców.

Ta obawa okazała się niezwykle motywująca. Wrócił chyłkiem w pobliże nasypu, przekroczył most, po czym ruszył dalej, tyle że nie torami, lecz dołem od strony zatoki. Szedł wolno, zachowując wielką ostrożność. Zastygał na każdy dźwięk, gotowy do natychmiastowej ucieczki. Mijały jednak godziny – takie przynajmniej odnosił wrażenie – a wokół wciąż panowała niezmacona ludzkim głosem, grobowa wręcz cisza.

Po minięciu każdego większego zagajnika wspinał się ostrożnie na nasyp, by z większej wysokości zlustrować okolicę. Tak właśnie wypatrzył pierwsze miejscowości leżące na o wiele bliższym brzegu zatoki, niż mu się do tej pory zdawało. Na pewno nie były to miasta, ale widział wyraźnie liczne punkciki latarni i bardziej rozproszone światła palące się w niektórych oknach. Zaklął pod nosem. Niebo na wschodzie zaczynało już szarzeć, zatem ludzie budzili się do pracy.

Horodyński przyśpieszył, ale zaraz zwolnił ponownie. Był już tak bliski celu, że nie chciał zniweczyć szans na ratunek popełnieniem głupiego błędu. Przeszedłszy kolejne sześćset kroków, zobaczył przed sobą jeszcze jeden most, a raczej cały ciąg przepraw łączących niewielkie, chyba sztucznie usypane wyspy. Dojrzał je bez trudu nie tylko dlatego, że słońce liznęło już widnokrąg. Zabudowania otaczające linię kolejową oświetlono dziesiątkami lamp, które sprawiały, że nawet w środku nocy musiało tam być jasno jak w dzień. To jeszcze nie był właściwy port, lecz jego strefa przeładunkowa. Podobną widział w Archangielsku i później na Nowej Ziemi, gdzie flota gromadziła siły przed wyruszeniem na misję.

Andrzej zagryzł dolną wargę, obserwując najbliższe zabudowania i kręcące się wokół nich postacie. Ludzi było za dużo, by miał szansę prześliznąć się niezauważenie, szczególnie że wokół z każdą chwilą

robiło się jaśniej. „Muszę znaleźć jakąś kryjówkę i przeczekać do zachodu słońca”, uznał, zerkając przez ramię na rzadki iglasty las.

ROZDZIAŁ 11

W lesie Andrzej natknął się na coś, co go zadziwiło. Za pasem iglastych drzew rósł niesamowity gąszcz. Rośliny, które zagradały mu drogę, były proste, a przy tym bardzo wysokie. Ich zielonkawe gładkie pnie wyglądały, jakby poskładano je z liczących około arszyna identycznych segmentów. Drzewa te, o ile były drzewami, nie miały konarów, dopiero hen w górze kołysały się korony utkane luźno z drobnego listowia. Horodyński nigdy wcześniej nie widział podobnych cudów natury, lecz tego ranka nie miał czasu na podziwianie uroków obcej krainy. Musiał znaleźć kryjówkę, i to zaraz.

Zaszył się głębiej w gęstwinę. Doszedł na tyle daleko, by nie było go widać ze skraju segmentowych zarośli. Tam naciął młodych pędów, aby zrobić sobie z nich legowisko. Nie było za wygodne, mimo że stracił masę czasu na zgromadzenie odpowiedniej ilości materiału, ogoławając ziemię w promieniu kilku arszynów od wybranego miejsca. Nie przejmował się jednak wygodami ani nie martwił, że zmarznie – wstający dzień z pewnością przegna chłód, podobnie jak w poprzednie dni. Jesień tego roku była wyjątkowo ciepła, przynajmniej on tak ją odbierał, mogąc porównać tutejsze temperatury do tych, które panowały w jego ojczyźnie.

Zasnął, ledwie umościł się na stosie równo poukładanych, lecz wcale nie tak miękkich pędów, a gdy rozwarł znów powieki, przez chwilę nie wierzył własnym oczom. Stojące wysoko słońce przeświecało przez szmaragdowy baldachim, rzucając na ziemię miriady cieni, które tańczyły, ilekroć wiatr zakołysał otaczającymi go... drzewami? Nie, te pnie, choć bardzo wysokie i czasem grubsze od jego uda, w niczym nie przypominały pni drzew. Wciąż nie umiał im się nadziwić. Dziesięcioarszynowe, segmentowane tyczki sterczały w niebo, tworząc obco, ale i przepięknie wyglądający gąszcz.

Andrzej nie poruszył się jeszcze przez dłuższą chwilę. Nasłuchiwał uważnie, lecz prócz odległego świergotu miejscowych ptaków nie doleciał go żaden niepokojący dźwięk. Przeciągnął się zatem, ziewnął, jak w niedzielę, gdy matka dawała mu pospać dłużej, i przekręciwszy się na bok, sięgnął po chlebak. „Pora coś zjeść”, pomyślał, zamierając w pół ruchu. Ponownie zerknął w górę, próbując ustalić, gdzie jest północ, i dzięki temu obliczyć, która może być godzina. „Skoro przyszedłem z tamtej strony... Nie, tory są chyba tam...”, zaczął się plątać w myślach. Gdziekolwiek bowiem spojrzeł, dziwaczny las wyglądał identycznie, co było bardzo mylące.

Poirytowany niemożnością ustalenia tak prostego faktu rozpiął kłamry chlebaka i wyjął zawinięte w bawełnianą szmatkę suchary. Schrubał aż trzy i dopiero gdy przełknął ostatni kęs, pozwolił sobie na upicie pierwszego łyku wody. Opłukał nią usta, nie przełykając, dopóki nie zebrał większości okruchów oblepiających wyschnięte dziaśła. Drugi haust trafił do gardła niemal natychmiast i przyniósł spodziewaną ulgę.

Manierka, nawet po zakręceniu służącego za kubek wieczka, wydała mu się złowieszczo lekka. Gdy poruszył nią mocniej, woda zachlupotała o ścianki. Zostało jej na trzy razy, może cztery, jeśli będzie nalewał sobie jeszcze mniej, a to oznaczało, że do kolejnego ranka musi albo trafić na odlatujący stąd statek, albo uzupełnić zapasy w jakimś źródle czy też studni.

Rozejrzał się wokół. Ten las wyglądał tak pięknie i soczyście. Segmentowe tyczki rosły jak na drożdżach, na ziemi dostrzegł kilka świeżych pędów, które musiały się wyróżnić z czarnego jak smoła gruntu, kiedy on spał. „To oznacza, że korzenie mają dostęp do wody, a skoro tak”... Tknięty nagłą myślą zaczął rozkopywać miękką ziemię, lecz po wygrzebaniu dziesięciocalowego dołka dał sobie spokój. Uznał, że rozsądniej będzie obejść okolicę, sprawdzić, czy nie trafi na jakieś źródło albo staw. Nie chcąc zbłądzić, sięgnął po nóż, zanim oddalił się od legowiska.

Zostawiał znaki na mijanych pniach – niezbyt głębokie nacięcia, ponieważ draństwo okazało się twardsze, niżby można sądzić, ale na tyle długie, żeby nie dało się ich pomylić z naturalnymi uszkodzeniami. Tak dotarł do miejsca, w którym przez las biegła ścieżka. Zobaczył ją z pewnej odległości, albowiem ktoś ogrodził ją z obu stron słomianym płotkiem. Andrzej padł plackiem, gdy tylko zrozumiał, na co patrzy.

Odczekał dłuższą chwilę, rozplaszczony jak rozjechana przez bryczkę żaba, lecz w polu widzenia nie pojawił się żaden człowiek. Nie słyhać też było odgłosów rozmów ani skrzypienia nienaoliwionych osi. Po kilku kolejnych minutach bezruchu Horodyński nabrał pewności, że ma do czynienia z mało uczęszczaną drogą. Postanowił więc sprawdzić, dokąd prowadzi. Szedł przez zarośla, trzymając się na tyle blisko ścieżki, by mieć ją zawsze w polu widzenia, a przy tym na tyle daleko, by nie dać się zauważyć idącym nią ludziom.

Zawiodło go to na skraj lasu, skąd mógł się przyjrzeć stojącym opodal wiejskim zabudowaniom. Były proste, ubogie wręcz; ściany między pionowymi belkami oblepiono gliną i zabieleno, strome dachy pokryto wyblakłą strzechą. Widywał podobne chatynki i w swoim obwodzie, ale te wyróżniały się trzema elementami. Po pierwsze, stały na palach. Między podłogą zrobioną z pni ściętych segmentowych roślin a ziemią Andrzej widział wolną przestrzeń liczącą ze dwie stopy, może nawet więcej. Po drugie, drzwi nie otwierały się jak trzeba – z tego, co zauważył, były przesuwane. Wyglądały zupełnie jak te prowadzące do gabinetu naczelnika policji w Ojcowie. Ostatnim wyróżnikiem były okna. W żadnym nie dostrzegł szyb, a otwierano je, podpierając tyczką prymitywne okiennice zrobione z cienkich nieobrobionych desek.

Choć jak dotąd nie zauważył ludzi, nie ośmieliło go to do podejścia bliżej. Odgłosy dobiegające zza chaty świadczyły o obecności gospodarzy, a liczne pasemka dymu unoszącego się leniwie w niebo uzmysłowiły Horodyńskiemu, że podobnych gospodarstw jest tutaj

więcej. Miał przed sobą dużą wieś, a może nawet miasteczko. Już wstawał, by się cofnąć, gdy niespodziewanie w oddali rozległ się znajomy dźwięk. Syrena okrętowa! Trzy krótkie sygnały. Jakiś statek sygnalizował gotowość do rzucenia cum.

Po chwili między smużkami dymu Andrzej dostrzegł cygarowaty kształt, który szedł ostro w górę, by zaraz zniknąć wśród chmur. „Frachtowiec, i to duży”, ocenił, mrużąc oczy. Lądowisko, z którego wystartowała ta jednostka, musiało znajdować się dziesięć do dwunastu wiorst za wioską. „Tak blisko, choć równocześnie tak daleko”...

Podniesiony na duchu tą myślą wycofał się w głąb zarośli, by podjąć ostrożną wędrówkę wzdłuż ścieżki, tym razem w przeciwną stronę. Powziął przypuszczenie, że mieszkańcy dostają się nią na stację kolejową, lecz odrzucił tę teorię, zanim dotarł do miejsca, w którym ujrzał słomiane płotki. Gdyby za lasem był jakiś dworzec, trafiłby na niego w nocy. Nawet półprzytomny nie mógł przecież nie zauważyć okalających tory zabudowań i peronów, choćby były bardziej zaniedbane niż niektóre stacyjki w jego rodzinnych stronach.

„Gdzie zatem może prowadzić ta droga?”... Odpowiedź na to pytanie znalazł kilkaset kroków dalej. Ścieżka łączyła wioskę z barwną chatą stojącą pośrodku głuszy. Andrzej przycupnął w największej gęstwinie, dosłownie kilka arszynów od dziwnej budowli, ale to nie wygląd domu wzbudził jego zainteresowanie – choć był naprawdę niezwykły – lecz odgłosy dobiegające z za węgła. Chlupot płynącej wartko wody! Tego dźwięku nie sposób pomylić z żadnym innym, zwłaszcza gdy człowiek usycha z pragnienia.

Horodyński z najwyższym trudem powstrzymał się, by nie pognać do źródelka. Nie mógł tego zrobić. Nie był tu sam. Wokół chaty krzątał się szczupły mężczyzna w dziwacznym stroju, na oko około pięćdziesięcioletni. Andrzej nie zwrócił większej uwagi na jego krągłe oblicze i skośne oczy, widział bowiem podobne twarze w Archangielsku i później, już po zamustrowaniu na pokład

Pietropawłowska. Tam właśnie poznał kilku palaczy wywodzących się z dalekiej Mongolii, a do tego ulokowano go w jednej kajucie z młodym Kirgizem, którego także można było wziąć za Japończyka, a przynajmniej tak się zdawało osobom nieobytym z azjatyckimi ludami. Dla matrosów wszyscy mieszkańcy Dalekiego Wschodu byli jednacy.

Znacznie ciekawiej prezentowało się odzienie mężczyzny. Jego wysokie czoło opasywała szarfa czy też złożona chusta. Nosił długą, bardzo obszerną płócienną koszulę, która sięgała mu prawie do połowy uda. Jej pozbawione guzików poły założono na siebie i przewiązano kilkakrotnie szerokim na dwa cale, także płóciennym pasem. Luźne spodnie sięgały do połowy łydki, a stopy przyodziały w proste, drewniane sandały, które z tego wszystkiego były najcudaczniesze. Andrzej jeszcze nigdy nie widział w tej roli samych podeszew, jeśli nie liczyć rzemieni, które oddzielały duży palec od reszty i podtrzymywały piętę.

Japończyk sprzątał z podestu przed chatą pożółkłe liście, wymachując nie mniej obco wyglądającą wachlarzowatą miotłą, niewykluczone, że zrobioną z pędów roślin występujących w tym miejscu. Gdy Horodyński już się napatrzył na pierwszego napotkanego mieszkańca tych wysp, skupił wzrok na budynku, ponieważ ten także zasługiwał na uwagę. Różnił się od zwykłych chat, i to bardzo. Pomalowano go na żywe kolory, a dach pokryto nie słomą, lecz lśniącymi płytkami, które układały się w fantazyjne, miękkie kształty. W środku tej kapliczki – tym bowiem wydała się Andrzejowi budowla – było podejrzanie pusto, jedynie w głębi ustawiono jakiś posąg. Kogo lub co przedstawiał, tego – z powodu półmroku wywołanego brakiem okien w ścianach – Polak nie umiałby powiedzieć.

Poświęcił egzotycznym atrakcjom tylko ułamek należnej im uwagi, ponieważ wszystkie jego zmysły dryfowały nieodmiennie ku jednemu: ku wodzie. Chlupot dobiegający zza budowli wabił go niczym syreni śpiew, ale młody kadet miał dość oleju w głowie, by

nie opuścić kryjówki i nie podbiec do tryskającego źródła. Bardzo wolno wycofał się głębiej w las, po czym obszedł polankę z kaplicą szerokim łukiem, by przedostać się na jej tyły. Pragnienie, trzymane dotychczas w ryzach, dało o sobie znać z podwójną mocą, jakby szmer wody potęgował wszystkie nieprzyjemne doznania: suchość w ustach, palenie w przełyku, coraz większą słabość...

Andrzej przełknął głośno gęstą ślinę. Raz kozie śmierć. Wyszedł z gąszczu w miejscu, którego sprzątający starszy mężczyzna nie mógł widzieć, po czym przeczołgał się pod czterostopowy murek otaczający od tej strony źródło i zabudowania. Pokonał go zwinnie i podpełzł do strumienia. Nie wstając z kolan, zanurzył twarz w orzeźwiająco zimnej i krystalicznie czystej wodzie. Pił łapczywie, prawie do utraty tchu, potem nie oglądając się za siebie, sięgnął do chlebaka, by wyjąć manierkę. Uczynił to bardzo ostrożnie, nie chcąc narobić hałasu. Nabierając wodę do naczynia, rozglądał się uważnie wokół. Zza ściany dobiegało rytmiczne szuranie, świadczące o tym, że mnich, czy kim tam był ten starzec, nadal sprząta kapliczkę, nie mając pojęcia o obecności intruza.

„I niech tak zostanie”, podziękował w duchu Horodyński, sięgając po drugą manierkę. Taki zapas wody wystarczy mu na tydzień, może nawet dłużej, a w tym czasie...

Zamarł z ręką zanurzoną w źródelku. Nagle zdał sobie sprawę, że nie słyszy już szurania, a gdy podniósł głowę, zobaczył na podeście za kapliczką mnicha, który spoglądał na niego z góry, wyginając szerokie usta w podkowę. Andrzej wyjął manierkę z nurtu, zakręcił ją, nie spuszczać wzroku z Japończyka. Podniósł się dopiero wtedy, gdy kłamra chlebaka szcęknęła, informując o dokładnym zamknięciu.

Gdy dźwigał się z kolan, Japończyk zszedł nad strumień po kilku kamiennych schodkach. Nie trzymał już w rękach miotły, w ogóle nie zachowywał się agresywnie, ale jego twarz zastygła we wcześniejszym grymasie. Osadzone głęboko pod krzaczastymi brwiami skośne oczy miał zmrużone tak mocno, że nie sposób było

stwierdzić, na co patrzy w danym momencie. Milczał, podchodząc wolno do prostującego plecy intruza.

Horodyński mimo kruchej postury górował nad Japończykiem zarówno wzrostem, jak i wagą. Był przy tym młodszy od niego ze trzy razy. „Zwinniejszy, silniejszy”... Wyliczał to wszystko w myślach, dodając sobie odwagi. To, że starzec nie krzyczał, oznaczało, że w pobliżu nie ma ludzi, których mógłby wezwać na pomoc. To także dawało wystraszonemu kadetowi przewagę.

Stanęli o dwa kroki od siebie. Mnich, o ile był to mnich, i obcy rozbitek. Mierzyli się wzrokiem przez kilka uderzeń serca, po czym Andrzej chwycił za rękojeść noża. Zrobił to odruchowo, ze strachu, niewiele przy tym myśląc, a gdy zrozumiał, co uczynił, nie było już odwrotu. Japończyk nawet nie drgnął, gdy błysnęła odsłaniana stal, a kiedy chłopak zaczął się cofać, poszedł za nim, wciąż utrzymując ten sam dystans, tyle że teraz rozłożył ręce jak kobieta zaganiająca kurczaki.

Horodyński zaczął panikować. Nie chciał atakować tego człowieka. Nigdy wcześniej nie groził nikomu nożem, ale był przerażony i tak zdeterminowany, że użyłby ostrza w każdy znany mu sposób, byle wydostać się z matni. Nawet gdyby oznaczało to wyrządzenie krzywdy stojącemu na jego drodze mnichowi. Zamachał nożem, by odstraszyć tamtego, lecz Japończyk nie mrugnął nawet okiem. Andrzej zerknął przez ramię.

Jeśli odwróci się i spróbuje uciekać, będzie musiał się wspiąć na sięgający mu piersi murek, a to spowolni go na tyle, że na pewno zostanie złapany. Nie miał też szans na obiegnięcie kapliczki, stał za nią bowiem solidnie wyglądający płótek przegradzający dolinkę między wybrukowaną skarpą a budynekciem.

Jedyna droga ucieczki wiodła wzdłuż strumienia, ale była zablokowana przez przeciwnika. „Albo on, albo ja”, ta myśl dodała śmiałości młodemu kadetowi. Zrobił krok do przodu, w nadziei że przeciwnik się cofnie bądź uskoczy, dzięki czemu dałoby się go ominąć, lecz mnich znów ani drgnął, zatem Andrzej ścisnął mocniej

rękojeść ciężkiego noża i wyprowadził szybkie pchnięcie, celując w pierś Japończyka. „Sam sobie jesteś winien”, pomyślał, zadając cios.

Nie wiedział, co właściwie się stało. Pamiętał jedynie, że świat zawirował mu przed oczami, a potem ogarnął go ból w wykręcanej do tyłu ręce i jakiś ciężar zaczął wciskać go w ziemię. Moment później coś twardego zetknęło się z jego skronią i nagle świat skurczył się do jednego jasnego punktu, a potem zgasł.

CZĘŚĆ DRUGA
Niewola



ROZDZIAŁ 1

Nie wiedział, co go obudziło. Czy był to odrażający odór, czy może nieludzki, paraliżujący ból? Szarpnął się, próbując uciec od jednego i drugiego, ale to tylko spotęgowało miarę doznań. Z najwyższym trudem otworzył zaropiałe oczy, lecz niewiele to dało. Wokół panował mrok, otaczały go czarne, chropowate ściany, które zbliżały się szybko, zupełnie jak niedawno stalowe płyty odgraniczające sterówkę Pietropawłowska. Jeszcze chwila i ścisną go, odbierając mu możliwość oddechu...

Kolejne szarpnięcie i spowodowany nim spazm bólu uzmysłowiły Andrzejowi, że został powieszony za nadgarstki. Gruby postronek wrzynał się w jego ciało głęboko, niemal do kości. Smród natomiast wydobywał się z gęstej brei, która sięgała mu prawie do pasa. Fakty te przesączały się do otępiałego umysłu niezwykle powoli, ale gdy więzień pojął w końcu grozę sytuacji, władzę nad nim przejął strach. Bezrozumny lęk, który wbrew zdrowemu rozsądkowi nakazywał szarpać się do upadłego – pomimo udręki, pomimo ran. Horodyński nie wytrzymał długo, żółć podeszła mu do gardła, a po niej nadeszła fala torsji. Skamlał jak dzikie zwierzę schwyte w wnyki, dopóki panika nie odebrała mu na powrót przytomności.

Gdy ocknął się po raz wtóry, nie miał sił na dalszą walkę z więzami. Zresztą ból w okaleczonych przegubach zelżał i tylko trudny do wytrzymania odór wciąż przyprawiał o mdłości – z tym że w żołądku Andrzeja nie pozostało już nic do zwrócenia. Z wysiłkiem zdobył się na uniesienie głowy, kiedy poczuł na sobie cień. Z góry, znad kratownicy zrobionej z powiązanych tyczek segmentowej rośliny, spoglądał na niego jakiś człowiek.

Japończyk...

Wspomnienia powróciły, przetaczając się przez umysł Horodyńskiego jak śnieżna lawina. Siedział w gondoli, leżał na zimnej stali wraku, szedł przez wypaloną pustynię, brodził w oleistej

czarnej cieczy, pił łąpczywie wodę ze strumyka za kapliczką. Szczupły mężczyzna zagradzający mu drogę...? Nie, to nie był on. Człowiek, który go teraz obserwował, wydawał się dużo młodszy i ubrany zupełnie inaczej.

Andrzej usłyszał nosowe warknięcie, po którym rozległ się głośny pisk zakończony głuchym stukotem. Moment później poczuł szarpnięcie i jego ciało powędrowało w górę. Breja nie zamierzała jednak tak łatwo go wypuścić z objęć, jej lepkie palce trzymały mocno, choć w tej walce nie miały najmniejszych szans.

Trzech ludzi ciągnęło za linę. Widział tylko ich rozmyte sylwetki, i to zaledwie przez moment, gdy kolejne szarpnięcie obróciło go wokół osi, ale to wystarczyło, by zorientować się w liczbie przeciwników. Był zbyt wycieńczony, aby przyglądać się otoczeniu. Cały jego świat zawierał się teraz w jednej postaci: niskim mężczyźnie ubranym w czarny, obco wyglądający mundur, którego bluza poprzecinana była kilkoma liniami poziomego grubego haftu. Andrzej zmrużył powieki i zamrugał, by pozbyć się spod nich ropnych łez. Nareszcie – przynajmniej chwilowo – przejrzał na oczy.

Wysokie czoło Japończyka nakrywała czapka z daszkiem, trochę tylko podobna do tych, które nosili rosyjscy oficerowie. Ozdobiono ją czerwonym paskiem i jakimś symbolem. Bufiaste spodnie niknęły w wypucowanych na glanc skórzanych butach z cholewami, niczym nie odbiegających od europejskich standardów.

Zatem miał przed sobą nie mnicha, lecz japońskiego oficera, który przyglądał mu się z wystudiowaną obojętnością. Spojrzenie było puste, pozbawione nawet pogardy, jakiej Andrzej domyślił się w grymasie mnicha.

Jeden ruch ręki Japończyka i Andrzej znów się poruszył. Tym razem przesunięto go nad ubitą ziemię i tam upuszczono.

Upadł bezwładnie, objając się przy tym dotkliwie, ale oprawców to nie obeszło. Polali go kilkoma cebrzykami lodowatej wody, następnie chwycili pod ramiona i powlekli za oddalającym się wolnym krokiem oficerem. Andrzej poddawał się wszystkiemu

bezwolnie. Chciał się opierać, lecz udręczone torturami ciało odmawiało posłuszeństwa. Właściwie niewiele czuł. Nawet zadawane po drodze razy nie bolały tak bardzo, jak powinny, mimo że mu ich nie szczędzono.

Choć oczy wciąż roniły ropne łzy, a rejestrowane przez mózg obrazy wydawały się nie dość, że rozmyte, to jeszcze odbarwione i blade jak niewystarczająco naświetlone fotografie, Horodyński w końcu zrozumiał, na co patrzy. Wleczono go wzdłuż rzędu szubienic. Z kilku stryczków zwisały już ciała, ale większość szafotów była pusta.

Po czasie równym nieskończoności ledwie przytomny Andrzej trafił w zacienione miejsce. Ciśnięto go na wytartą matę, gdzie zamarł w bezruchu, wdzięczny losowi, że nareszcie nikt go nie szarpie ani nie potrząsa nim. Wzdrygnął się, gdy poczuł na plecach dotyk, lecz była to jedyna reakcja, na jaką się zdobył. Moment później został podniesiony za ręce i nogi. Przez głowę przeszła mu myśl, że mógłby się wyrwać, walczyć o życie, by oprawcy mieli problem z założeniem mu pętli na szyję, ale zobojętnienie wywołane torturami okazało się silniejsze nawet od instynktu samozachowawczego.

Poddał się więc bez walki, marząc tylko o jednym: by cierpienie dobiegło wreszcie końca.

Wyrwano go z ramion zapłakanej matki, zapakowano z tysiącami podobnych straceńców na okręt wojenny i posłano na drugi koniec świata, by zabijał i dał się zabić w wojnie, o której wcześniej niewiele słyszał. Kilka artykułów w gazetach wyrzuconych przez letników z Warszawy. Garść uwag rzuconych półgębkiem przez wracających z pracy dorosłych. Mało co wiedział, ale wykonał powierzone mu zadanie. Przyłożył rękę do pokonania śmiertelnego wroga. Nie zawiódł dowódcy ani towarzyszy broni. Szkoda tylko, że zamiast dostać medal, który by zawisł na jego piersi, sam zadynda na szubienicy.

Wielka szkoda...

Uniesiony w powietrze zacisnął mocno powieki. Tylko tyle mógł zrobić, by powstrzymać napływające łzy, lecz to nie wystarczyło. Gorące krople potoczyły się po policzkach.

Naprawdę wielka szkoda...

Wzdrygnął się znowu, tym razem gwałtowniej, gdy coś miękkiego i chłodnego spoczęło na jego czole. Otworzył oczy, ale przez ropę i łzy był w stanie dostrzec co najwyżej rozmazane plamy. Dopiero po paru chwilach pojął, że trafił do budynku. Spoczął na czymś szorstkim, twardym prawie jak ziemia. Pochylali się nad nim jacyś ludzie, cienie na tle blasku bijącego od najbliższego okna. Nie miał siły ich zliczyć. Słyszał głosy, wiele głosów, lecz nie rozumiał żadnego słowa.

Zanim ponownie odpłynął, coś do niego dotarło. Człowiek, który właśnie coś mówił, na pewno nie posługiwał się japońskim.

休憩

Drugie przebudzenie było boleśniesz. Przez długą chwilę leżał z zamkniętymi oczami skupiony wyłącznie na własnych doznaniach – do czasu, aż usłyszał dźwięczącą mu w uszach ciszę. Wtedy dopiero rozchylił ostrożnie powieki. Nisko nad sobą miał sufit zbity z nieheblowanych, poczerniałych desek, tuż obok ramienia drewniany filar, jeden z wielu podtrzymujących strop. Błede światło wpadające przez szpary w ciężkiej okiennicy nie pozwalało dostrzec więcej szczegółów. Horodyński nieopatrznie poruszył głową i natychmiast tego pożałował.

Ból wrócił, momentalnie zaatakował ze zdwojoną siłą, zmuszając chłopaka do wydania głośnego jęku. Mało brakowało, a znów by wymiotował. Z trudem przełknął gorzką ślinę zmieszaną z wypalającą mu gardło żółcią.

Po głowie przyszła kolej na barki i ramiona; brzuch i nogi także nie chciały być gorsze. Za każdy najlżejszy nawet ruch płacił całą paletą dolegliwości, jakby kaci zakończyli robotę dosłownie chwilę

temu. „Może to i prawda”, pomyślał, nieruchomiejąc. „Może ocknąłem się po kolejnych torturach”...

Pamięć podsuwała mu oderwane od siebie obrazy. Dół kloaczny, zwisanie ze sznura, zimny prysznic, szorowanie po ziemi, okładanie pałkami, szubienice. Wzdrygnął się bezwiednie na tę ostatnią myśl i okupił to kolejną falą cierpienia.

Ból ustępował niechętnie, nie znikał jednak; czujny i zwarty czał się w zakamarkach umysłu na następny błąd ofiary, choćby najdrobniejszy, jak na przykład próba wzięcia głębszego oddechu.

„Połamali mi ręce i nogi!”

Spanikowany sprawdził, czy ma wciąż władzę nad kończynami. Odetchnąłby z ulgą, gdyby nie cierpienie towarzyszące zgięciu każdego palca. Znów znieruchomiał, tym razem na znacznie dłużej, ponieważ nie miał sił ani ochoty na męczeństwo.

Nagle gdzieś za jego głową rozległo się szuranie. Wnętrze rozjaśniło się na moment, potem znów pociemniało, ale cisza przysła jak bańka mydlana na wietrze. Kaleczyły ją teraz rytmiczne, coraz głośniejsze skrzypnięcia, którym towarzyszyło lekkie drżenie podłogi.

„Idą! Idą po mnie!”...

Myśl o niewyobrażalnym bólu, jakiego zazna, kiedy oprawcy go znów podniosą, była silniejsza od strachu. Spiął się cały instynktownie i natychmiast jęknął, gdy mimowolne napięcie mięśni rozpętało w jego ciele piekło nie mniejsze niż to, które obserwował z gondoli.

– Leż spokojnie!

Napływający z półmroku głos był stanowczy, lecz zarazem przyjazny, a co najważniejsze, mówiący wyrażał się zrozumiale czystym, choć niepozbawionym akcentu rosyjskim.

– Gdzie... – stęknął Andrzej, próbując jak najmniej poruszać ustami, by ograniczyć cierpienie.

– Wszystko w swoim czasie.

Przybysz, będący ciemniejszą plamą w półmroku, usiadł lub przykleknął. Horodyński usłyszał chlupot wody, moment później na jego czole spoczęła przyjemnie chłodna szmatka.

– Pić... – poprosił, ryzykując kolejny paroksyzm.

– Nie – odparł ze spokojem mężczyzna. – W tej pozycji nie przełkniesz niczego, nawet wody, a ruszyć cię nie mam serca. Uwierz mi, chłopcze, jestem... – zawahał się. – Byłem lekarzem. – Andrzej poczuł na przegubie dotyk ciepłych palców. – Nie martw się, wydobrzejesz. Sucze syny nie mają dla nas litości, to fakt, ale nie są bezmyślnymi bestiami, o nie. Dobrze wiedzą, co robią. Kazano im zadawać nam ból, więc zadają, i to tak, byśmy pożałowali, że w ogóle żyjemy. Chcą, byśmy cierpieli, cierpieli bez końca za to, co zamierzaliśmy im zrobić. I cierpimy, oj, cierpimy. – Pochylił się nad łkającym bezgłośnie kadetem. – Spróbuj zasnąć. Sen to teraz jedyne lekarstwo, innego tu nie dostaniesz.

休憩

Lekarz nie skłamał. Ból minął, może nie tak szybko, jak by sobie tego życzył Andrzej, i nie całkiem, ale wystarczył tydzień, by dobrujejący kadet mógł stanąć o własnych siłach bez krzywienia się i syczenia przy każdym ruchu. Tego samego dnia wieczorem został wyprowadzony przez uzbrojonych strażników, żylastych mężczyzn o krzywych nogach, głowę niższych od niego, lecz zaskakująco silnych jak na tak mikrą wagę.

Trącany i popychany człapał do najbliższego baraku, który wyglądem przypominał wiejskie chaty widziane przez Andrzeja z zagajnika. Budynek miał dach pokryty grubą strzechą, łącznie ze ścianami, które wyposażono w ciąg wielkich okien, zakratowanych gęsto tyczkami ze znanej mu od niedawna rośliny. Takich budynków było tu jeszcze siedem, wszystkie jednakowe, ustawione w dwóch rzędach po cztery, po przeciwnych stronach prostokątnego placu. Między ich bocznymi ścianami dało się zobaczyć wysokie ogrodzenie zrobione z drutu kolczastego. Dłuższy jego odcinek

Horodyński dostrzegł na odleglejszym krańcu placu, po obu stronach drewnianej bramy strzeżonej przez bliźniacze wieże.

Wprowadzono go po kilku szerokich stopniach na podest, a następnie wepchnięto bezceremonialnie do przestronnego wnętrza, służącego za blok więzienny dla ponad pięćdziesięciu mężczyzn w różnym wieku, którzy powitali go wylewnie każdy w swoim języku. Ku zdziwieniu Andrzeja, nie padło ani jedno słowo po polsku ani rosyjsku. Jak to sobie później wyliczył, zamieszkał w baraku z dwudziestoma dwoma Niemcami, jedenastoma Francuzami, sześcioma Anglikami, sześcioma Włochami, trzema Austriakami i tyłuż Węgrami. Nadto był tam też jednooki, trzymający się z boku Amerykanin. Pięćdziesięciu dwóch chłopca, tyle co kart w pełnej talii, a do tego on, najmłodszy z tego towarzystwa – czyli Joker, jak nazwał go żartobliwie, a zarazem celnie, ostatni żyjący członek załogi Washingtona.

Obecni oczekiwali, że każdemu uściśnie dłoń, co też uczynił z ochotą, mimo że ledwie trzymał się na nogach. Dotrwał jakoś do końca tej wymuszonej prezentacji, po czym towarzysze niedoli wskazali mu wolną pryczę, gdzie złożył swoje rzeczy. Później podszedł do bardzo długiego i zaskakująco niskiego stołu, przy którym jeńcy właśnie mieli zjeść kolację – czy też raczej drugi posiłek dnia, ponieważ dostawali po miseczce kleistego ryżu zaraz po przebudzeniu i na godzinę przed zmierzchem.

Pierwszy raz widział tak dziwny stół. W lazarecie – o ile chata, w której leżał wcześniej, istotnie pełniła tę funkcję – miał tylko matę, miskę z wodą i nakryty deską cebrzyk w kącie, służący za kibelek. Przyjrzał się więc uważnie temu meblowi. Siedzieć się przy nim nie dało, chyba że po turecku, jak robiła większość jeńców. Tylko kilku przycupnęło w nienaturalny sposób, klęcząc – jak to później wyjaśniono Andrzejowi – na japońską modłę.

ROZDZIAŁ 2

Prawie osiemdziesięciu marynarzy trafiło do tego obozu już pierwszego dnia po nalocie. Po dwu dobach było ich tu już stu czterdziestu sześciu, a liczba ta zwiększała się potem sukcesywnie, choć już w znacznie wolniejszym tempie. Chwymano ich po kilku dniennie – zdrowi trafiali do któregoś z baraków, lżej rannych umieszczano w lazarecie, a tych, którzy zdaniem komendantury nie mieli szans na przeżycie, wiedziono od razu na szafot. Stracono tak ponad dwudziestu nieszczęśników, lecz nawet po ich odliczeniu w obozie pozostało dwustu jedenastu mężczyzn.

Dwie setki z niemal dwudziestu tysięcy!

Tego wszystkiego Andrzej dowiedział się dopiero następnego dnia, ponieważ nie znał żadnego z języków, którymi posługiwali się towarzysze niedoli.

Wieriesajew, bo tak nazywał się jeniec zajmujący się rannymi, przestał go odwiedzać dwa dni przed przeniesieniem, zapewne uznawszy, że kuracja dobiegła końca. „Kuracja! Dobrze sobie! Robienie okładów trudno nazwać opieką...”, tak myślał rozgoryczony Horodyński, dopóki nie znalazł się przy jednym stole z robiącym obchód medykiem. Nie pamiętał, naprawdę nie pamiętał, że to właśnie Wikientij Wikientiewicz nastawił mu wybity przez Japończyków bark, źródło wcześniejszego nieustającego bólu.

Dopiero po tej rozmowie zrozumiał, dlaczego – ledwie przekroczył próg baraku – trafił w ręce jednego ze starszych marynarzy, który mamrocząc coś po swojemu, obmacał mu fachowo lewy bark, a potem zadowolony z wyników badania wyszczerzył poźółkłe zęby i uniósł kciuk w powszechnie znanym geście. Współlokatorzy wiedzieli o nim więcej, niż mógłby się spodziewać. Była to pierwsza z wielu nauk, jakie wyniósł z obozu: za drutami prywatność ma bardzo wysoką cenę, zatem mało kogo na nią stać.

– Nie wiem, jak panu dziękować, Wikientiju Wikientiewiczu – zaczął niepewnie, gdy lekarz streścił mu wydarzenia z pierwszych dni pobytu w obozie, z czasu, gdy pobity do nieprzytomności z trudem dochodził do siebie.

Rosjanin machnął ręką, jakby nie chciał o tym słyszeć.

– Wystarczy zwykle „dziękuję”.

– Zatem dziękuję. Odwdzięczę się panu, Wikientiju Wikientiewiczu, obiecuję.

Wieriesajew spoważniał w momencie.

– Największą nagrodą dla mnie będzie, jeśli przeżyjesz – rzucił, zanim kadet zdążył coś dodać.

Zamilkli. Przez chwilę siedzieli tam tylko, wpatrując się w pokrytą przetartymi matami podłogę.

– Doktorze... – odezwał się końcu Horodyński, o pół sekundy uprzedzając rozmówcę.

– Mów – zachęcił go tamten, gdy znów zapadła niezręczna cisza. – Śmiało. Pytaj, o co chcesz, bo z nimi raczej nie pogadasz. – Wskazał pozostałych jeńców.

– Czy my jesteśmy jedynymi Rosjanami w obozie? – wypalił kadet po chwili.

Wieriesajew zaśmiał się szczerze.

– To kwestia, która najbardziej cię teraz dręczy?

Horodyński zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– Nie, ale...

Lekarz uciszył go, unosząc dłoń.

– Zapytałeś, to odpowiem. Nie, nie jesteśmy jedyni. W baraku numer trzy jest jeszcze ośmiu naszych, a w czwartym kolejnych pięciu.

Z tego, co zdążył zauważyć Andrzej, jeńców trzymano tylko w czterech barakach, znajdujących po tej samej stronie placu. Zabudowania naprzeciw stały puste, jakby Japończycy spodziewali się schwytać dwa razy więcej ludzi.

– Zostało nas... – Andrzej szybko zliczył w pamięci – tylko piętnastu? Czy my tutaj... – zająknął się. – Czy to wszyscy, którzy ocaleli?

Wikientij Wikientiewicz westchnął ciężko.

– Raczej tak – odparł.

– Nie ma innych obozów?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Gdzie my w ogóle jesteśmy?

– W Kanagawie, o ile ta nazwa coś ci mówi.

Kadet pokręcił głową. Dźwięki syren okrętowych, które wielokrotnie dręczyły go w malignie, a potem na jawie, uzmysłowiły mu już kilka dni temu, że nadal przebywa w pobliżu portu. Wciąż czuł niesiony wiatrem odór spalenizny, słony smak powietrza natomiast zdawał się świadczyć o bliskości morza.

– Co z nami będzie? – Horodyński postanowił iść za ciosem.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Tylko pan może chodzić po całym obozie... – Andrzej nie na darmo pół dnia sterczał przy oknie. Eskortowany przez strażnika lekarz krążył między barakami a lazaretem, mieszczącym się za szeregiem szubienic w szopie obok komendantury, jedyne go schludnie wyglądającego budynekczku na terenie obozu.

– A to coś zmienia?

– Ma pan kontakt ze wszystkimi jeńcami. Szwargoce pan po niemiecku, po francusku też umie pan zagadać...

Wieriesajew zamyślił się głębiej.

– W dwójce siedzi pewien Niemiec, który twierdzi, że zna trochę japoński. Może nawet lepiej niż trochę. Ponoć w latach osiemdziesiątych, jeszcze przed wstąpieniem do marynarki, latał na frachtowcu należącym do tutejszego armatora. Wczoraj dowiedziałem się od niego, że czekając na przesłuchanie, był świadkiem rozmowy dwóch strażników, którzy cieszyli się, że od pięciu dni nie schwytano nikogo nowego, a skoro tak, mają nas już wszystkich i mogą zaczynać.

– Zaczynać? Ale co? – zdziwił się chłopak.

– Nie wiem. Tak powiedział ten Niemiec. Jeśli nie zmyśla, Japończycy szykują dla nas coś specjalnego. – Wikientij Wikientiewicz przytaknął swoim słowom, po czym przeniósł wzrok za okno, na rząd ledwie widocznych pustych szubienic. – Sądzę, że może chodzić o pokazowy proces.

– Proces? – Horodyński nie od razu zrozumiał.

– Mówię o sądzie, tylko takim specjalnym – wyjaśnił medyk.

– My przecież... – bąknął Andrzej, ale zaraz umilkł.

Nawet on w swojej młodzieńczej naiwności nie wierzył, że Japończycy puszczą im płazem zbombardowanie stolicy i zabicie czczonego tutaj jak Bóg cesarza. Pomysł jednak, by postawić jego i resztę schwytanych matrosów przed sądem, wydał mu się niedorzeczny. „Przed oblicze Temidy trafiają złodzieje i moczymordy. Zwykli bandyci, a nie żołnierze wykonujący rozkazy!”...

W oczach lekarza dostrzegł tak wielki smutek, że zadrżał mimowolnie. Zdaniem Wikientija Wikientiewicza ich los był już przesądzony. To tylko kwestia czasu: jeszcze kilka dni i zacznie się propagandowa nagonka, po której wszyscy trafią na szubienice. Japończycy nie zbudowali ich przecież po to, by znęcać się psychicznie nad jeńcami. Udowodnili to jednoznacznie, wieszając każdego ciężej rannego.

– Boże mój... – wymamrotał kadet.

Wieriesajew pochylił się ku niemu.

– To tylko domysły, Andriusza. Reiner mógł coś źle zrozumieć albo my błędnie interpretujemy jego słowa... – Westchnąwszy ciężko, wstał od stołu. – Czas pokaże. – Poklepał Horodyńskiego po niedawno nastawionym ramieniu i odwrócił się do odejścia, lecz przystanął po pierwszym kroku. Zerkając przez ramię, dodał: – Jeszcze jedno. Dziś, najdalej jutro, czeka cię wizyta w komendanturze. Zostaniesz przesłuchany.

– Jezusie... – Andrzej zbladł, przypominając sobie niedawne męki.

– Spokojnie. Będzie dobrze, bylebyś posłuchał mojej rady. Odpowiadaj na wszystkie pytania szczerze i bez zastanowienia. Niczego nie zatajaj. Niczego, rozumiesz? Nie matacz, nie pyskuj, nie stawiaj się. I uważaj na podporucznika, to pupil komendanta. Niby młody jest i wygląda niewinnie, ale powiadam ci, chłopcze, to gnida jakich mało. Lepiej mu nie podpaść. Zwłaszcza że ty...

– Co ja?

Doktor uśmiechnął się, ale jakoś tak dziwnie, melancholijnie.

– Miałem ci tego nie mówić... – zaczął, a gdy zobaczył, że jego rozmówca drży, dodał pośpiesznie: – Nie chciałem cię denerwować ani straszyć, ale chyba lepiej będzie, jeśli poznasz prawdę zawczasu i zdążysz się przygotować.

– Jaką prawdę? – dopytywał Andrzej.

– Ty już im podpadłeś, chłopcze. – Wikientij Wikientiewicz spojrział na kadeta uważnie.

– Ja?

– Tak, ty. Ponoć dźgnąłeś nożem kogoś bardzo ważnego. Nie bez przyczyny tak cię skatowano. I nie bez przyczyny kazano pozostawić cię przy życiu.

休憩

Zabrali go następnego ranka tuż przed wydaniem śniadania. Horodyński domyślał się, że pozbawienie go posiłku ma być czymś w rodzaju dodatkowej kary. W głowie dźwięczały mu wciąż ostatnie słowa Wikientija Wieriesajewa: „Dźgnąłeś nożem kogoś bardzo ważnego”... Nawet w guberni kieleckiej taki czyn nie przeszedłby bez echa. Kiedy więc wyłuskiwano go z szeregu, nie protestował, aby nie pogorszyć swojej – i tak już nieciekawej – sytuacji.

Dwaj strażnicy, nie ci sami co poprzednio, ale równie niscy i chudzi, zawlekli go do budynku komendantury. Tam, po wejściu na piętro i przekroczeniu progu narożnej izby, kazali mu uklęknąć przed niewysokim podestem, na którym stał pulpit niższy nawet od stołu w jego baraku. Czekał na klęczkach długo, kto wie, czy nie całą

godzinę. Japończycy dawali mu do zrozumienia, że pobyt w obozie będzie niekończącym się cierpieniem. Być może obserwowali go z sąsiedniego pomieszczenia, nasłuchując, podglądając. Nie zamierzał więc dawać im satysfakcji.

Cierpiał, ale trwał w niewygodnej pozycji, dotykając pośladkami pięt. Zaciskał zęby, przenosząc co rusz ciężar ciała na jedną nogę, aby zapobiec całkowitemu ścierpnięciu kończyn dolnych. Nie chciał upaść w trakcie przesłuchania, lecz z upływem czasu zaczął zdawać sobie sprawę, że nie przetrzyma oprawców. Jeszcze chwila i zdrętwiałe nogi odmówią do reszty posłuszeństwa. Klnąc pod nosem, podniósł się, ale nie wstał. Klęczał teraz jak na mszy, zerkając podejrzliwie na przesuwaną boczną ścianę.

Pokój, w którym się znajdował, nie był duży, a urządzono go po spartańsku. Nad podestem wisiała oprawiona w złoczone ramy fotografia przedstawiająca starszego brodatego mężczyznę w galowym mundurze, zapewne cesarza. W narożnikach podwyższenia stały wysokie gliniane wazony, z których sterczały wiązanki nieznanych Horodyńskiemu, niemniej pięknie wyglądających kwiatów. To nie był przypadkowy układ, nawet niewprawne oko kadeta dostrzegało wzorce, którym hołdował tutejszy florysta. „Jak to możliwe, że tak okrutni ludzie odczuwają potrzebę obcowania z pięknem?” Ta myśl wydała mu się bardziej niepokojąca od wszystkich obaw, które żywił przed przesłuchaniem.

Jedyne okno tego pomieszczenia wychodziło na plac, w oddali widać było obie wieże strażnicze i znajdującą się pomiędzy nimi bramę, za którą na horyzoncie Andrzej dostrzegł kobierzec sonej zawiesiny. Tak wygląda dym unoszący się rankiem znad morza dachów. Patrzył zatem na miasto, które jeszcze niedawno było celem jego wędrówki. Na port, z którym wiązał takie nadzieje. Pociągnął nosem, gdy do jego uszu doleciało stłumione odległością zawrođenje syreny. Trzy krótkie sygnały, po których w niebo wzbije się kolejny frachtowiec.

Zapatrzony w startujący statek jeniec drgnął nerwowo, gdy ściana za jego plecami rozsunęła się w asyście cichego szmeru. Natychmiast opadł do pozycji wymuszonej przez strażników i pochylił nisko głowę, jak radził poprzedniego wieczora Wieriesajew. Nadal odczuwał mrowienie w drętwiejących łydkach, ale nie było ono tak irytujące jak jeszcze przed chwilą.

Do pokoju wszedł oficer. Niewysoki jak wszyscy Japończycy, których Andrzej miał okazję wcześniej zobaczyć, lecz znacznie od nich młodszy. Mógł mieć dwadzieścia lat, może nieco więcej. Na jego pociągłej twarzy nie było nawet śladu zarostu, brodę miał wąską, a nos dużo dłuższy niż inni przedstawiciele skośnookich nacji. Szerokie usta ułożył w grymas pogardy, podobny do tego, który Horodyński widział na twarzy mnicha w lesie. „To musi być ten pupil komendanta, o którym wspomniał Wikientij Wikientiewicz”, uznał, gdy tamten uklęknął na jednej z płaskich poduszek ułożonych na podwyższeniu.

Towarzyszący oficerowi mężczyzna zachował kamienną twarz. Był dwukrotnie starszy, niemal łysy, a nosił się tradycyjnie, podobnie do mnicha z lasu, tyle że koszulę i fartuch miał brudne i znoszone. W ręce trzymał cienką kartonową teczkę, która moment później spoczęła na pulpicie.

Oficer coś warknął. Wypowiedziane przez niego słowo zabrzmiało w niewprawnym uchu Europejczyka jak szczeknięcie. Klęczący obok mężczyzna pokłonił się nisko przełożonemu, po czym wyciągnął zza pazuchy okulary w grubej, szylkretowej oprawie i nasadziwszy je na krzywy nos, zamaszystym gestem otworzył przyniesioną teczkę. Pochylił się nad dokumentami, jakby chciał coś sprawdzić, następnie przeniósł spojrzenie na czekającego w niepewności jeńca.

– Nazwisko? – zapytał po rosyjsku.

Zaskoczony Andrzej odpowiedział dopiero po dwu, może nawet trzech sekundach.

– Horodyński.

– Imię?

– Andrzej.

– Oczestwo?

– Ojcu było Zenon, ale my... – wydukał jeniec, coraz bardziej skołowany pod tym ostrzałem pytań.

– Milczeć! – wydarł się na niego piskliwym głosem tłumacz. – Żadnego zagadywania! Zapytany wyłącznie odpowiadasz! Możliwie krótko, najlepiej „tak” albo „nie”. Zrozumiano?

– Ta... – Andrzej zamilkł w pół słowa, widząc gniewne spojrzenie oficera.

– Urodzony?

– Tak.

Horodyński pogubił się do reszty. Gdy zrozumiał, co zrobił, skulił się, jakby oczekiwał nieuchronnego lania. Przymknął oczy przeświadczony, że zaraz dopadną go sterczący za drzwiami strażnicy, nikt jednak nie wbiegł do pokoju, nie powalił go ani nie zaczął kopać. Ciszę, która zapadła po tej kuriozalnej odpowiedzi, przerwał dopiero dźwięk przypominający parsknięcie konia. Moment później oficer wypowiedział nieco dłuższe zdanie, które w uszach jeńca nadal brzmiało jak niezrozumiały charkot.

– Ubawiłeś setnie pana podporucznika Tōjō, więc tym razem kara zostanie ci darowana. – Tłumacz śpiesznie przełożył wypowiedź oficera i natychmiast wrócił do indagacji.

– Urodzony?

– Dwudziestego pierwszego stycznia tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

– Miejsce urodzenia?

– Wieś Ojców na terenie guberni kieleckiej.

– Narodowość?

– Rosyjska.

– Stopień?

– Kadet.

– Jednostka?

– Pancernik Pietropawłowski.

To były pytania, na które Andrzej mógłby odpowiadać nawet wybudzony z najgłębszego snu. Teraz już wiedział, dlaczego bosmani przepytawali w podobny sposób jego i resztę kadetów przy każdej niemal okazji.

– Funkcja?

– Pierwszy goniec prawego skrzydła mostka.

Kolejne pytanie nie padło już tak szybko jak poprzednie. Tłumacz musiał przełożyć oficerowi ostatnie słowa Horodyńskiego. Podporucznik pokiwał głową, po czym rzucił coś zwięźle. Andrzej, ku swojemu zdziwieniu, rozpoznał jedno z wypowiedzianych słów. Uśmiechnął się pod nosem, gdy przepytujący potwierdził, że słuch go nie mylił.

– Służyłeś bezpośrednio pod wiceadmirałem Makarowem?

– Tak. Byłem jednym z przydzielonych mu gońców.

Od tej chwili rozmowa przebiegała wolniejszym tempem, ponieważ odpowiedzi jeńca musiały zostać przełożone na japoński, by podporucznik mógł je zrozumieć i czasem wtrącić coś od siebie. Wypytano Andrzeja o przebieg wydarzeń, także tych poprzedzających bitwę – na który to temat akurat niewiele wiedział, na mostek trafił bowiem dopiero wtedy, gdy załogę wezwano na stanowiska bojowe. Wcześniej widywał admirała z bliska tylko podczas dyżurów i manewrów. Stał zbyt nisko w hierarchii, by asystować dowódcy przy jego codziennych obowiązkach, od tego Stiepan Osipowicz miał przecież adiutantów.

Japończycy nie komentowali odpowiedzi; jeśli któraś wydała im się niewystarczająca, zadawali pytania pomocnicze. Dotyczyło to zwłaszcza przebiegu bitwy, który Andrzej streścił bardzo dokładnie, pomijając tylko jeden szczegół: swoją rolę we wzięciu namiarów na miasto. Wieriesajew radził mu wprawdzie, by mówił szczerze jak na spowiedzi, ale uznał, że przyznanie się do tak poważnej przewiny, zwłaszcza w obecnej sytuacji, mogłoby się dla niego skończyć tragicznie.

Powiedział więc, nie mijając się bynajmniej z prawdą, że został wysłany do stacji gondol i że posłusznie wykonał rozkazy, po czym wrócił na mostek. Zaryzykował, ponieważ szanse, że operator wyciągu znajdzie się wśród piętnastu ocalonych Rosjan, były więcej niż znikome. Poza tym zawsze mógł się wytłumaczyć, że mówiąc o wykonaniu rozkazów, miał na myśli także polecenie zejścia pod chmury.

„Akurat... Jeśli ktoś kiedyś odkryje prawdę, żadne tłumaczenia mi nie pomogą. Na razie jednak będę się trzymał tego drobnego niedopowiedzenia”, postanowił.

Przesłuchujący wyraźnie stracili zainteresowanie, gdy dotarło do nich, że chłopak służący na mostku flagowca niewiele może powiedzieć o najbardziej interesujących ich sprawach. Następne pytania nie były już tak dociekliwe, a gdy wreszcie doszli prawie do końca opowieści, rozmowa wróciła na dawne tory. Tłumacz zadawał pytania, Horodyński odpowiadał najzwięźlejš, jak umiał. Do tej pory udało mu się też zachować jaki taki spokój.

Niemniej im bliżej było do starcia z mnichem, tym bardziej się denerwował. Oficer musiał to zauważyć, ponieważ znów się wtrącił. Mówił zaskakująco długo, spoglądając jeńcowi prosto w oczy.

– Pan podporucznik Tōjō pragnie cię poinformować, że kwestia napadu na czcigodnego mistrza Jigorō Kanō zostanie rozpatrzona w późniejszym terminie. Nie obawiaj się jednak, odpowiesz za ten barbarzyński czyn i zostaniesz surowo ukarany zgodnie z naszym prawem.

Tłumacz nie omieszkał zerknąć znacząco w stronę szubienic. Andrzej przełknął głośno ślinę, już otwierał usta, by się bronić, lecz pomny wcześniejszej rady zmilczał. Skulił się tylko jeszcze bardziej pod nienawistnym spojrzeniem młodego Japończyka, gdy z jego ust zaczęły padać kolejne warkliwe słowa.

– I jeszcze jedno – dodał zadowolonym tonem tłumacz. – Pan podporucznik Tōjō uważa, że twój żartobliwy nastrój świadczy o pełnym powrocie do zdrowia. Cieszy go to niezmiernie, ponieważ

dzisiaj na porannym apelu będzie miał dla ciebie i pozostałych jeńców wielką niespodziankę.

ROZDZIAŁ 3

Niecałą godzinę później wyjaśniło się, co mieli na myśli strażnicy podsłuchani przez niejakiego Reinera. Najpierw opóźniono rozpoczęcie porannego apelu, co samo w sobie było czymś niezwykłym. Do tej pory każdego dnia dokładnie o siódmej trzydzieści, czyli kwadrans po uprzątnięciu naczyń, wszyscy jeńcy musieli opuścić baraki i ustawić się przed nimi w równych dwuszeregach.

Odległość dzieląca zabudowania była na tyle duża, że schwytani marynarze nie mieli cienia szansy na nawiązanie kontaktu z mieszkańcami sąsiedniego bloku. Stojący w przerwach między nimi strażnicy także mieli oczy i uszy otwarte, tak więc każda próba otworzenia ust kończyła się natychmiastową, brutalną reakcją. Japończycy atakowali też czasem bez powodu, karząc stojących najbliżej pechowców za rzekome strojenie min lub rzucenie w ich kierunku krzywego spojrzenia. Niejeden matros zostawił na tym placu ząb albo dwa, nie mówiąc już o upuszczonej krwi.

Tego dnia jeńcy wyszli na zewnątrz jak zwykle punktualnie, lecz komendant pojawił się dopiero przed dziewiątą, kiedy napięcie w szeregach sięgnęło zenitu. Nie przybył jednak sam!

Gdy po charakterystycznym dźwięku klaksonu otwarto bramę, na teren obozu wjechał nie tylko automobil wiozący kapitana Arakiego. Za komendantem kroczyło pięć meków bojowych. Nie tych pancernych kolosów, które były zmorą frontów obecnej wojny, ale ich najlżejszych braci. Skąpe rozmiary tych maszyn miały się jednak nijak do ich zabójczości. Ukryte pod pancierzami dwuosobowe załogi dysponowały zespolonymi gatlingami, zdolnymi do wystrzelenia nawet dwustu pocisków na minutę – a nie były to czcze przechwałki, o czym wiedział każdy, kto trafił podczas tej wojny do transzei na stepach Azji Środkowej.

Widok stalowych potworów zmroził krew w żyłach jeńców. Sama ich obecność na terenie obozu zwiastowała kłopoty, a rząd szubienic, pod którymi je ustawiono, sugerował najgorszy scenariusz z możliwych. Mało brakowało, by przerażeni ludzie wpadli w panikę. W ryzach trzymały ich już nie tylko stanowiska cekaemów rozstawionych na wieżach okalających obóz i bagnety zatknięte na karabinach kilkudziesięciu strażników, ale także te stalowe potwory. Siła ognia, jaką dysponowali w tym momencie Japończycy, pozwoliłaby roznieść na strzępy wszystkich jeńców oraz znajdujące się za ich plecami budynki. Półcalowe pociski miotane z obrotowych działek bez trudu przebijały grube belki, z jakich budowano umocnienia na Syberii, a co dopiero zwykłe deski.

Zgromadzeni na placu mężczyźni obserwowali ten – niepotrzebny ich zdaniem – pokaz siły z ponurą determinacją. Ten i ów przeżegnał się zamasyście, choć nawet ci gorliwcy musieli zdawać sobie sprawę, że jest to pusty, nic nieznaczący gest. Bóg umarł pierwszy, pozostawiając swoje dzieci na pastwę skrzydlatych bestii oraz wydających im rozkazy katów o żółtej skórze i skośnych oczach.

Komendant wysiadł z bielusieńkiego automobilu, jednej z najnowszych japońskich konstrukcji – będącej rzecz jasna kopią najlepszego niemieckiego projektu, choć znacznie udoskonaloną. Inżynierowie Kraju Kwitnącej Wiśni znani byli z wprowadzania w życie najbardziej śmiałych, a nawet fantastycznych rozwiązań, czego dowody jeńcy mieli teraz przed oczami – zarówno pod postacią wspaniałego pojazdu, w którym tylko wybitny fachowiec dopatrzyłby się kształtów mercedesa simplex, jak i stojących w równym szeregu i nie mniej doskonale się prezentujących machin bojowych.

Kapitan Sadao Araki był świadom tego wrażenia, gdy spoglądał na zgromadzonych jeńców. Jego nienagannie skrojony, nowiuteński mundur kontrastował z brudem pokrywającym ciała schwytanych wrogów. Tak jednak miało być. Oni byli niczym, on reprezentował zwycięzców.

Zanim zdążył postawić stopę na ubitej ziemi, drzwi komendantury otworzyły się na całą szerokość i na plac wyszli szybkim krokiem: podporucznik, tłumacz oraz przesłuchiwany wcześniej kadet. Japończycy przekazali tego ostatniego w ręce najbliższych strażników, a sami potruchtali w stronę dowódcy, który właśnie podchodził nieśpiesznie do trzymanego na muszce dwuszeregu. Zatrzymali się raptownie w przepisowej odległości od niego, w tym samym miejscu co zawsze, jakby przeciwiczyli ten element apelu sto razy.

Araki milczał. Spoglądał na wylęknionych jeńców z niekłamaną odrazą. To była jedyna mina, jaką kiedykolwiek mieli okazję widzieć na jego twarzy. Czy przemawiał do nich, czy tylko przechodził, zawsze wyglądał tak, jakby czuł obrzydzenie na samą myśl, że otacza go wydechane przez nich powietrze. Byli dla niego śmieciami, które należy zutylizować. Powiedział im to jasno już podczas pierwszego apelu i powtarzał później przy każdej sposobności.

Horodyński ujrzał go po raz pierwszy. Komendant nie zniżył się bowiem do wizyty w lazarecie, a przenosiny do baraku odbyły się już po apelu. Przyglądał się więc z wielkim niepokojem, ale i nie mniejszym zainteresowaniem człowiekowi, od którego kaprysu zależało życie ich wszystkich. Był to pierwszy Japończyk, na którego twarzy zobaczył prawdziwe wąsy. Jego nos też zdawał się inny: duży, lecz nie sterczący ani garbaty jak u rodowitych Francuzów, po prostu masywny. Lepszego określenia młody kadet nie umiał znaleźć. No i te uszy. Bardzo duże i odstające. Gdyby zobaczył tego człowieka w Ojcowie, z dala od teatru wojny, pewnie zadrwiłby z jego wyglądu, ale teraz nie śmiał nawet głębiej odetchnąć.

Naprzeciw niego, niespełna dziesięć kroków za japońskimi oficerami, stał jeden z mechów. Jego obrotowa wieżyczka wieńcząca górną część owalnego kadłuba poruszała się wolno od prawej do lewej, jakby siedzący w niej żołnierz ćwiczył namierzanie celów. Horodyński nigdy wcześniej nie widział z bliska takich machin.

W Archangielsku stacjonował wprawdzie pułk pancerny, ale jego koszary znajdowały się po przeciwnej stronie miasta, a żaden marynarz przy zdrowych zmysłach nie zmarnowałby jakże nielicznych, cennych godzin przepustki na oglądanie kupy złomu. Latające okręty były przecież znacznie większym cudem techniki, a w dodatku poborowi mieli je w zasięgu ręki.

Nie znaczy to jednak, że Andrzej nie poznał tych maszyn. Uczono go o nowych rodzajach uzbrojenia wojsk lądowych na kilku osobnych szkoleniach. Oglądał także kroniki filmowe, wyświetlane regularnie co niedzielę tuż przed capstrzykiem, czytał dostępną literaturę, nawet tę bardziej fachową. Dla niego, dzieciaka z głębokiej prowincji Kraju Nadwiślańskiego, te maszyny były czymś tak niesamowitym, że bez reszty zawładnęły jego wyobraźnią. Podziwiał konstruktorów, którzy je tworzyli, oraz inżynierów odpowiedzialnych za ich późniejszą budowę. Jak zapewne niejeden chłopak w jego wieku, skrycie marzył, by zasiąść kiedyś za sterami takiego pancernego olbrzyma, ale podstępny los rzucił go na niebo, przez co skończył tutaj, stojąc na wprost swojego najskrytszego marzenia – i obracających się wolno luf zespolonych gatlingów.

Kapitan Araki uznał w końcu, że wystarczająco zastraszył wpatrujących się w niego i w mechy jeńców.

– Przylecieliście tutaj, by niszczyć i zabijać – odezwał się, podnosząc głos, a towarzyszący mu obozowi tłumacze natychmiast przełożyli te słowa na rosyjski, niemiecki, angielski i francuski. Włosi i Węgrzy jak zawsze musieli zadowolić się streszczeniami dokonanymi przez dwujęzycznych kolegów bądź po prostu przyglądali się ich reakcjom. – Zamierzaliście przynieść zagładę dwóm milionom mieszkańców naszej stolicy! Zamierzaliście nieść okrutną śmierć kobietom, dzieciom i starcom, którzy zawinili tylko tym, że urodzili się na świętych wyspach... – Zawiesił głos, by potoczyć wściekłym spojrzeniem po zebranych. – To nie jest obóz jeniecki, lecz więzienie. Mam przed sobą nie pokonanych żołnierzy wroga, lecz bandę zbrodniarzy wojennych! Wasze ręce splamiała

krw nie tylko moich bohaterskich towarzyszy broni, ale także nieprzeliczonych rzesz ludności cywilnej. Z premedytacją zrzucałście bomby na uśpione dzielnice mieszkalne najświetniejszego z naszych miast. Rozpętaliście piekło na ziemi, próbując nas złamać. Byliście gotowi zamordować boskiego *tennō* i wszystkich jego najbliższych. Zamierzaliście zbezczścić świątynie ostatniej bogini... – Znów przerwał na moment. – Tego nigdy, przenigdy wam nie darujemy.

Araki rozstawił szerzej nogi i złożywszy ręce za plecami, poczekał, aż podwładni przetłumaczą jego słowa. Gdy zamilkli, zaczerpnął tchu, jakby chciał się ponownie odezwać, lecz zamiast to zrobić, skinął tylko głową swojemu zastępcy.

Podporucznik pokłonił mu się tutejszym zwyczajem, po czym przemówił charakterystycznym dla niego, nosowym głosem, który teraz jeszcze bardziej przypominał warczenie wściekłego psa.

– Zgromadziliście największą flotę, jaką widział cywilizowany świat. Połączyliście siły wszystkich liczących się mocarstw w jedną pancerną pięść. – Tōjō podkreślał wagę swych słów żywą gestykulacją. – I co wam z tego przyszło? Nic. Zniszczyliśmy ponad trzysta okrętów wojennych, w tym prawie trzydzieści pancerników i sto krążowników. Straciliście w tej bitwie kilkanaście, może nawet dwadzieścia tysięcy ludzi – wyliczał z dumnie podniesioną głową, jakby nie mówił o całkowitej zagładzie stolicy własnego cesarstwa, lecz o błyskotliwym zwycięstwie armii, w której służył. – Przegraliście z kretelem. Zawiedliście na całej linii.

Zarówno ton, jak i treść tłumaczonych zdań sprawiły, że w szeregach jeńców rozległy się szmery. Tym razem nikt ich nie uciszał, ponieważ wszyscy strażnicy wycofali się tuż przed rozpoczęciem przemówienia, schodząc mechem z linii strzału. Stali teraz po obu stronach oficerów, niemalże pod nogami znieruchomiałych maszyn. Zaskoczeni marynarze spoglądali po sobie, a nieznający czterech głównych języków koalicji szarpali

wzburzonych kolegów za rękawy, nadal nie rozumiejąc, co jest prawdziwą przyczyną zamieszania.

– Nas nie można złamać! – Do głosu powrócił tymczasem kapitan Araki. – Nas nie można zniszczyć ani pokonać. Choćbyście zrównali z ziemią sto naszych największych miast, choćbyście zabili każdego, kto w nich mieszka, i tak byście nie powstrzymali naszych niezwyciężonych armii, które... tak na marginesie... dokonały ostatnio kolejnego przełomu na frontach, dzięki czemu lada miesiąc staną u wrót Europy i jeszcze tej jesieni wylądują na piaszczystych plażach Australii.

– Żyjecie tylko dlatego, że boskiemu Mutsuhito nie spadł nawet włos z głowy – dokończył podporucznik, z taką łatwością wchodząc w słowo przełożonemu, że od razu stało się jasne, iż ukartowali sobie to wszystko i pewnie nieraz przećwiczyli. – Ale to koniec dobrych wiadomości. Od dzisiaj zaczniecie spłacać dług krwi, jaki macie wobec Japonii.

Araki uniósł rękę. Na ten znak mechy zrobiły wy krok, przybierając pozycję bojową, a strażnicy unieśli broń.

– Każdy, kto śmie otworzyć usta albo choćby drgnie, zostanie zastrzelony na miejscu! – oznajmił przerażonym jeńcom Tōjō. – Ktoś jest chętny? Śmiało! – zakpił, rozkładając ręce w zapraszającym geście.

Nikt się nie poruszył. Umilkły też szmery rozmów. Jeńcy doskonale wiedzieli, że to nie blef, dali się więc potulnie podzielić na dziesięcioosobowe grupy, skuć i wyprowadzić długą kolumną za bramę obozu.

ROZDZIAŁ 4

Gdy wkraczali do lasu, chyba nie było między nimi jednego, który by nie pomyślał, że spocznie na wieki wśród tych karłowatych sosen, w bezimiennej, zapewne zbiorowej mogile, którą przyjdzie im wykopać własnymi rękami. Czoło kolumny maszerującej za krocącym ciężko mechem minęło jednak największą gęstwinę, nie zwalniając i nie schodząc z krętej szutrowej drogi. Chwilę później jeńcy z pierwszych szeregów dostrzegli przed sobą nasyp kolejowy i stojące na nim wagony.

Upakowano ich ciasno, po pięćdziesięciu paru, po czym zamknięto na cztery spusty, pozostawiając skutych w niemal kompletnych ciemnościach. Wszystkie szpary między deskami były starannie zasmolowane, a niewielkie okienka zabite grubymi dechami. Tylko wywietrzniki w dachu pozostały drożne, ale nakryte blaszanymi daszkami nie wpuszczały do środka wiele światła. Także szczeliny pomiędzy drzwiami a burtami wagonu nie były na tyle szerokie, by dało się przez nie coś dostrzec.

Marynarze nie panikowali jednak. Przez lata służby na okrętach, zwłaszcza tych mniejszych, przywykli do ciasnoty i mroku. Paraliżował ich za to lęk przed celem tej podróży i ostatnie słowa podporucznika Tōjō, które usłyszeli na placu. Skoro tego dnia mieli zacząć spłacać dług krwi, kilku z nich, może nawet wielu, groziła śmierć.

Tylko Andrzej, paradoksalnie, nie czuł strachu. Podporucznik zapowiedział mu przecież, że kara za zaatakowanie mnicha zostanie wymierzona w późniejszym terminie, co oznaczało, że chwilowo może czuć się bezpiecznie, o ile oczywiście nie zrobi czegoś naprawdę głupiego. Próbował zagadywać do stojących najbliżej pasażerów, ale żaden z nich nie władał rosyjskim. Mimo to Andrzej umilkł dopiero wtedy, gdy jeden ze strażników załomotał kolbą

w burtę wagonu. „Lepiej nie przyciągać do siebie uwagi”, uznał, po czym skutymi w nadgarstkach rękami otarł czoło.

Wąskie i nieliczne wywietrzniki z trudem dostarczały powietrza niezbędnego do wypełnienia płuc pięćdziesięciu mężczyźn, dlatego niemiecki bosman pouczył pozostałych, by przestali w końcu dyszeć jak zgonione charty, co bynajmniej nie było łatwe w ich sytuacji.

Ktoś inny zaczął usadzać stojących wokół niego jeńców, a wkrótce to samo zaczęli robić podoficerowie. Dzięki ich zapobiegliwości obyło się bez obrażeń, gdy pociąg ruszył po ostrym szarpnięciu.

Andrzej zajął miejsce w samym kącie, miał więc to szczęście, że mógł się oprzeć plecami i tyłem głowy o trzeszczące deski. Nadal był osłabiony, duchota także mocno dawała mu się we znaki, zatem tylko z najwyższym trudem powstrzymywał się od bardziej łapczywego chwytania powietrza.

休憩

Pociąg zatrzymywał się kilkakrotnie. Za każdym razem z zewnątrz dobiegały niezrozumiałe okrzyki, czasem słyhać było też pracujące maszyny, niemniej drzwi wagonu pozostawały zamknięte.

Horodyński zastanawiał się, czy to może być ta sama linia kolejowa, którą wędrował po opuszczeniu wraku Pietropawłowska. Kierunek, w którym ich powieziono, i bliskość wybrzeża zdawały się za tym przemawiać, ale pewności mieć nie mógł. Nie znał przecież tych okolic, widział je tylko z góry, a i to bardzo krótko, niemniej po czasie, który upłynął od początku podróży, wywnioskował, że skład powinien już dojeżdżać do centrum zbombardowanej stolicy.

Czyżby Japończycy chcieli pokazać ocalałym wrogom, jakie piekło zgotowali tokijczykom? Większość marynarzy, pojmana na wodach zatoki, tam gdzie wiatr zaniósł paraszuty, nie widziała wypalanej ziemi z bliska. Kto spadał na ląd, ginął w płomieniach albo konał w męczarniach od pragnienia i gorąca na skrawku ziemi otoczonym ze wszech stron pożarami. Takich jak Andrzej, który przetrwał piekło na ziemi, była zdaniem Wieriesajewa tylko garstka.

Horodyński nie zdziwiłby się więc, gdyby oprawcy zechcieli urządzić jeńcom umoralniającą wycieczkę.

Nie pojmował, jakim cudem cesarz mógł przeżyć nalot. Widział przecież na własne oczy, ile bomb sięgnęło celu. Ciemna plama pośrodku metropolii zniknęła pod kobiercem utkany z setek eksplozji. Na kompleks pałacowy spadł co najmniej tuzin car-bomb, a beczek z żelazem zapalającym i gazami bojowymi oraz pocisków z dział nikt nie byłby nawet w stanie zliczyć.

„Ciekawe. Czyżby opowieści o nieustraszonym władcy Imperium Wschodzącego Słońca można między bajki włożyć?”...

Admirałowie byli zgodni co do tego, że Japończycy spróbują wywieźć boskiego tennō, choćby musieli uprowadzić go z pałacu siłą, ale spodziewali się, że stanie się to dopiero jakiś czas po rozpoczęciu nalotu, gdy dwa miliony spanikowanych mieszkańców stolicy wylegną z domów, szukając ratunku w ucieczce. Żaden automobil, nawet wiozący samą boginię, nie byłby w stanie przedrzeć się przez takie tłumy. A ponieważ kompleks pałacowy był oddalony od lokalnych rzek, ewakuacja i tą drogą nie była możliwa. Próba wykorzystania któregoś z cesarskich jachtów powietrznych także nie mogła być brana pod rozwagę, zważywszy na to, co działo się w tym czasie na niebie, nie wspominając już o tak trywialnej sprawie, jak potrzeba odpowiednio wczesnego rozpalenia pod kotłami.

Poza tym na pokładzie okrętów zjednoczonej floty nie było chyba kanoniera, który nie wypatrywałby wrogich jednostek próbujących opuścić przestrzeń powietrzną Tokio. Rozkazy były bowiem jasne. Za wszelką cenę zniszczyć każdy statek zauważony nad miastem. Nieważne, czy będzie to zdezelowany frachtowiec czy pasażerski transatlantyk. Horodyński nie miał wątpliwości, że to akurat polecenie wykonano bardzo skrupulatnie.

Mimo to – jeśli wierzyć słowom kapitana Arakiego – cesarz ocalał i miał się dobrze. Andrzej doszedł więc do wniosku, że to musiała być zasługa któregoś ze smoków. Tylko te bestie były w stanie

ewakuować Mutsuhito, nie narażając go przy okazji na pewną śmierć.

„Tak, Pan Lodu zniknął przecież z pola bitwy, i to na dłuższą chwilę...”, przypomniał sobie kadet. Wszyscy wtedy uważali, że rejterada nastąpiła wskutek odniesionych ran, tymczasem powód mógł być zgoła inny. Admirał Evans wydał rozkaz rozpoczęcia nalotu świącie przekonany, że wszystkie bestie zostały ściągnięte nad odległy o ponad tysiąc mil front. Tymczasem rzeczywistość dowiodła, że się mylił.

„Czyżby rozwiązanie tej zagadki było tak proste?”... Horodyński nie rozstrzygnął tej kwestii, albowiem pociąg znów zaczął hamować z przeraźliwym piskiem, a gdy tylko koła przestały się obracać, ktoś odciągnął rygiel i wewnątrz wagonu zalały snopy przeraźliwie jasnego światła.

休憩

Ze swojego miejsca w kącie Andrzej nie miał możliwości zobaczyć, gdzie zatrzymał się pociąg, lecz i tak bez najmniejszego trudu zrozumiał, że ponownie znalazł się na zbombardowanych terenach. Odór spalenizny uderzył go w nozdrza ze zdwojoną siłą.

Nieśpieszno mu było wracać do tego piekła, wyskoczył więc z wagonu jako jeden z ostatnich, dzięki czemu trafił na sam koniec niezbyt równego dwuszeregu jeńców. Kapitan Araki i podporucznik Tōjō pojawili się moment później w asyście gromadki przybocznych i zaaferowanych tłumaczy. Wszyscy Japończycy przesłonili twarze maseczkami chirurgicznymi, jakby gryzący odór spalenizny był dla nich nie do zniesienia. To wydało się Andrzejowi dziwne – żołnierze każdej armii, zwłaszcza ci, którzy odsłużyli swoje na froncie, uodparniali się na paskudne widoki i zapachy, ponieważ te z czasem stawały się dla nich codziennością. Chłonęli je miesiącami, a nawet latami, i co chyba najgorsze, przesiąkali ohydą na wskroś. „Nasi oprawcy różnią się od weteranów koalicji i pod tym względem albo... nie powąchaliby jeszcze prochu”, pomyślał Horodyński.

Stojąc na szarym końcu, widział, że przygnębieni jeńcy rozglądają się z zainteresowaniem po otaczającym ich pustkowiu. On sam nie należał do wyjątków. Podczas długich godzin wędrówki napatrzył się wprawdzie na wypaloną ziemię, ale był ciekaw, co bombardowanie uczyniło z centrum miasta. Wylądował z dala od kompleksu pałacowego, prawdopodobnie poza Kręgiem Śmierci – po drodze nie natrafił przecież na żadne zrujnowane bastiony – nie miał więc szans na ujście ruin. Tam, na przedmieściach stolicy, zabudowanych tysiącami drewnianych chatynek, ogień mógł strawić wszystko do gołej ziemi, ale w okolicach pałacu, jak twierdzili oficerowie Pietropawłowska, stało wiele okazałych budynków z kamienia, a nawet z betonu.

Tymczasem gdziekolwiek skierował teraz wzrok, widział wyłącznie księżycowy krajobraz. Szary, wypalony grunt pokrywały leje, niejednokrotnie nakładające się na siebie, za to nigdzie nie było choćby śladu ruin. „Czyżby car-bomby okazały się tak potężne, że rozbiły na proch nawet cegły i beton? W takim razie co się stało z prętami zbrojeniowymi? Złomiarze nie zdążyliby ich wybierać do czysta... ale najwyraźniej zrobili to z fragmentami wraków”, zdumiał się i powiódł jeszcze raz spojrzeniem po puściutkiej równinie.

Zniszczone okręty nie dryfowały już setkami po niebie, nie było ich też na ziemi. Zwycięzcy zachowali się, jak przystało na łupieżców: zebrali wszystko, co ich gospodarka mogła przekuć w nowy oręż, a przednia stal, z jakiej budowano w Europie okręty wojenne, oraz ukryte w trzewiach wraków sztaby caworytu musiały mieć dla wyspiarzy wagę złota.

– Zastanawiacie się z pewnością, po co was tu przywieźliśmy – zniechęcał się kapitan Araki, który jak zwykle przemawiał nosowym głosem, używając zwięzłych zdań, by tłumacze mieli czas na przełożenie jego słów. – To proste. Usuniecie szkody, które poczyniliście na naszej świętej ziemi... Odtąd codziennie zaraz po porannym apelu traficie w to miejsce... Każda dziesięcioosobowa

brygada otrzyma narzędzia, po czym uda się na wyznaczony odcinek robót... – Wskazał trzcinką za siebie. – Zaczniecie od zdarcia warstwy popiołów i zasypania lejów po bombach, a kiedy skończycie, ta okolica będzie wyglądała tak, jakby wasz barbarzyński nalot nigdy się nie zdarzył. Nie uwierzcie własnym oczom... o ile oczywiście dożyjecie tej chwili. Podporuczniku!

Tōjō uniósł prawą rękę. Czekaający w pogotowiu strażnicy podbiegli do ostatniego wagonu, który do tej pory pozostawał zamknięty, i rozsuniętych drzwi, wspięli się zwinnie do środka.

– Brygada numer jeden! – Podporucznik odliczył dziesięciu mężczyzn, wśród których znalazł się też Horodyński. – Pobrać narzędzia i wrócić na miejsce!

Wskazani jeńcy wykonali rozkaz, szemrząc pod nosem, podobnie jak członkowie kolejnych dwudziestu formacji. Gdy znów utworzyli zwarty i tym razem w miarę równy dwuszereg, kapitan spojrzał ostentacyjnie na zegarek.

– Wasza niemrawość świadczy o braku chęci do pracy – oświadczył niby zatroskanym tonem. – Tak być nie może! Podporuczniku!

Tōjō nie zabrał głosu od razu, jak gdyby zastanawiał się nad sposobem, w jaki mógłby spełnić oczekiwania dowódcy, co było oczywistą bzdurą, ponieważ ukartowali sobie to wszystko znacznie wcześniej. Nawet taki niedoświadczony młodzik jak Andrzej wyczuł to natychmiast. Japończykom to jednak nie przeszkadzało, odgrywali swoje role z powagą godną lepszej sztuki.

– Aby was zmotywować – przemówił wreszcie pupil komendanta – ogłasza się, co następuje... Przydzielony do każdej brygady strażnik dokona na fajrant oceny zaangażowania podległych mu więźniów, odliczając im punkty od początkowej setki. Wyniki te będą sumowane co siedem dni. Tym sposobem wyłonimy najbardziej leniwych spośród was. Ci, którzy otrzymają najmniej punktów, zostaną przykładowo ukarani. – W tym momencie posłał pytające

spojrzenie przełożonemu, który potakiwał jego słowom, jakby słyszał je po raz pierwszy.

– Doskonały pomysł, podporuczniku – pochwalił. – Co do kary zaś... Zrobmy tak: najgorszy obibok z każdego bloku zostanie stracony. – Chyba się uśmiechał, gdy to mówił, ale maseczka skutecznie maskowała ruchy jego warg. – Pięciu kolejnym zmniejszymy okresowo racje żywnościowe.

Horodyński przyglądał się uważnie oprawcom. Stał tylko kilka kroków od Japończyków, z łatwością więc dostrzegał takie szczegóły, jak bijące z ich oczu rozbawienie. To byli zimnokrwieści dranie, sadyści planujący z wyprzedzeniem każde swoje posunięcie. Może i mistrzowie intrygi, ale bardzo marni aktorzy. Tej pozornej spontaniczności nie kupiłoby żadne dziecko z Ojcowa, nawet słabujący na umyśle Kazio od Bogdziewiczów.

Co gorsza – sądząc po spojrzeniu komendanta, nie był to jeszcze koniec przedstawienia.

– Za pozwoleniem, panie kapitanie. – Tōjō pokłonił się przełożonemu na japońską modłę. – Może się mylę, ale nie zauważyłem, aby więźniowie wyrazili radość z powodu tak łagodnego ich potraktowania.

– Fakt – przyznał Araki i znów potoczył wzrokiem po wystraszonych twarzach. – Skoro tak się sprawy mają... Stracimy po dwóch leni z każdego bloku i zmniejszymy racje dziesięciu kolejnym obibokom!

– Dziękujemy, panie komendancie! – wydarł się któryś z przytomniejszych jeńców w nadziei, że uda mu się zakończyć tę ponurą licytację.

Dwustu dziesięciu pozostałych straceńców powtórzyło gorliwie te słowa, każdy wywrzeszczał je oczywiście w swoim języku.

ROZDZIAŁ 5

Pracowali do zmierzchu. Odprowadzono ich na nasyp dopiero wtedy, gdy słońce dotknęło widnokręgu. Najpierw musieli oczyścić i zdać narzędzia, później sami wdrapywali się ociężale do otwartych wagonów. Tym razem nikt nie musiał ich usadzać. Jazda w całkowitych ciemnościach nie była taka zła, choć znów czuli się jak sardynki w puszce. Najgorszy był późniejszy przemarsz z torowiska do obozu. Dwie wiorsty szutrowej drogi zdawały się nie mieć końca.

Tego wieczora nikt nie zasiedział się przy stole. Jeszcze przed tym, zanim zgasły światła, zamiast zwyczajowego szmeru rozmów baraki wypełniło chóralne chrapanie. Wszyscy byli tak potwornie zmęczeni, że zasypiali w locie, ledwie przełknęli ostatni kęs rozgotowanego ryżu.

Dziesięć bitych godzin obracali kilofami i łopatami pod czujnym okiem strażników, którzy ze śmiechem odejmowali im punkty za każde rozprostowanie pleców, a czasem nawet zbyt głośne stęknienie. Harowali o głodzie, mając jedynie prawo do miarki wody co dwie okrągłe godziny. Na ich szczęście pogoda nie przyłączyła się do tego spisku, nie narzekali więc ani na żar, ani na zbyt ni ziąb.

Następnego ranka, gdy syreny obwieściły pobudkę, mało kto zerwał się z pryczy, by wyprzedzić towarzyszy i nie stać w kolejce do latryn. Ruszali się jak muchy w smole. Zakwaszone mięśnie paliły żywym ogniem, więcej niż połowa jeńców miała problem z wyprostowaniem pleców. Ze trzydziestu, zamiast usiąść do stołu, potruczało do lazaretu, gdzie Wikientij Wikientiewicz – także umęczony, ponieważ Japończycy nikomu nie odpuścili – dwoił się i troił, by zaradzić bolesnym otarciom na dłoniach i stopach. Niewiele mógł jednak zrobić, ponieważ komendant mimo licznych próśb nie zaopatrzył go w żadne medykamenty, a środki opatrunkowe skończyły się po kwadransie.

Równiuteńko o szóstej trzydzięci gwizdki wezwały jeńców na apel, z którego – zgodnie z zapowiedzią kapitana – zostali ponownie wyprowadzeni za bramę.

Poranny marsz, choć bolesny, okazał się zbawienny w skutkach. Mężczyźni rozruszali się, rozgrzali zdrętwiałe mięśnie i stawy. Rześkie powietrze otrzeźwiło ich do reszty, wyrrywając z marazmu, w jaki popadli.

Wola życia była w nich silna, obracali więc łopatom i kilofami do upadłego, dzień po dniu, ponieważ tylko wytężona praca oddalała ich od widma pewnej śmierci.

Tydzień minął jak z bicza strześlił. Spali, jedli i harowali – tak wyglądał niezmienny, upiorny krąg ich nowej egzystencji. Spali, jedli i harowali, jakby wszystko inne straciło znaczenie. Spali, jedli i harowali niczym odziane w łachmany mrówki. Przestali się różnić od maszyn. Zostali odczłowieczeni do tego stopnia, że potrafili myśleć wyłącznie o czekającym ich nazajutrz mozole. Coraz częściej łapali się na tym, że niegdyś ważne dla nich sprawy są im obojętne. Zapominali twarze swoich bliskich...

Pilnujący ich Japończycy nudzili się śmiertelnie, ale pamiętali o wszystkim, a już zwłaszcza o danej więźniom obietnicy.

Siódmego dnia po powrocie do obozu zarządzono jak zwykle przeliczenie stanu osobowego, lecz gdy raporty zostały zdane i przyjęte, zebrani na placu wycieńczeni ludzie nie usłyszeli świdrujących dźwięków gwizdków, które by im zezwoliły na opuszczenie dwuszeregu i rozejście się do baraków. Większość jeńców pojęła w tym momencie, że właśnie minął pierwszy tydzień ich pobytu w piekle, ale było też wielu takich, co rozglądali się wokół, jakby nie rozumieli, dlaczego strażnicy nie kończą apelu. Dopiero niespodziewane pojawienie się komendanta przywróciło im pamięć.

Na placu natychmiast zapadła grobowa cisza. Umilkły stękania i jęki. Jeńcy zamarli w bezruchu, zmrożeni tym, co ujrzeli.

Araki uśmiechał się szeroko. Odkąd zobaczyli go po raz pierwszy, pragnęli tylko jednego: aby przestał spoglądać na nich z bezbrzeżną pogardą, lecz gdy tego wieczora ukazał im swoje wyszczerzone oblicze, zatęsknili za tamtą, mimo wszystko mniej złowieszczą miną.

– W przeciwieństwie do was jestem człowiekiem honoru – oświadczył kapitan, ujmując się pod boki. – A to znaczy, że zawsze dotrzymuję danego słowa. Obiecałem wam, że po siedmiu dniach pracy ocenimy wasze wysiłki, aby oczyścić szeregi z najbardziej leniwych szumowin, i oto nadeszła ta chwila. Podporuczniku!

Stojący obok niego Tōjō postąpił krok do przodu, by znaleźć się w kręgu światła rzucanego przez lampę gazową. W ręce trzymał kartkę papieru, na której spisano pionowo ciągi dziwacznych symboli. Spoglądając na nią, wyczytywał kolejne nazwiska. Tak jak zostało ustalone, wybrał po dwóch ludzi z każdego bloku. Wywołani – i wciąż skuci – jeńcy byli natychmiast wyławiani przez strażników. Zaciągano ich bezceremonialnie na środek placu, a jeśli któryś protestował, uciszano go w najbardziej brutalny sposób.

Tym razem Japończyków nie wspierały mechy; naprzeciw ponad dwustu zdesperowanych mężczyzn stanęły tylko trzy tuziny uzbrojonych w karabiny powtarzalne żołnierzy, nic więc dziwnego, że znalazło się kilku śmiazków, którzy albo wyrażali głośno protest, albo błagali oprawców, by darowali życie wyselekcjonowanym towarzyszom niewoli. Krzyki zostały uciszone jednym wystrzałem. Podporucznik wyszarpnął z kabury rewolwer i wypalił z niego prosto w głowę złorzeczącego głośno Niemca.

Zrobił to tak szybko, praktycznie bez uprzedzenia, że wszyscy na placu natychmiast zamarli. Zarówno jeńcy, jak i szamocący się z nimi strażnicy. Andrzej, który stał tuż za krewkim pechowcem, zachwiał się, gdy zaraz po ogłuszającym huku poczuł na twarzy coś ciepłego i lepkiego, co ściekało mu po policzku. Był tak przerażony, że mimo przemożnej chęci wytarcia twarzy nie był w stanie poruszyć ręką. Co tam ręką, stracił władzę nawet nad palcami!

– Jestem człowiekiem honoru, co znaczy, że zawsze dotrzymuję danego słowa – powtórzył Araki. – Dlatego radzę, abyście uważnie posłuchali tego, co teraz powiem... – Zrobił przerwę, dając czas nie tylko tłumaczom. – Każdy, kto choćby drgnie albo piśnie, dołączy do tej zgrai obiboków i leni! – Wskazał wybraną ósemkę, dając jednocześnie znak, by nieszczęśników zabrano i zaprowadzono pod szubienice.

Żołnierze mierzyli w milczący dwuszereg z bezpiecznej odległości. Byli pewni swego. Zdążyliby wypalić dwukrotnie, może nawet trzy razy, zanimby skuci jeńcy zbliżyli się na odległość pozwalającą na użycie bagnetu. Marynarze też o tym wiedzieli i dlatego stali ponurzy ze spuszczoneymi głowami – również wtedy, gdy od strony szafotów dobiegł łomot opuszczanych klap i następujące po nim rżenie konających. Tylko pięciu skazańców zginęło na miejscu, trzech wierzgali jeszcze przez dłuższą chwilę, lecz żaden ze strażników nie kiwnął nawet palcem, by skrócić ich męki.

Podporucznik Tōjō nie czekał, aż odrażające, chrapliwe dźwięki ucichną. Schował rewolwer do kabury i obojętnym tonem zaczął wyczytywać z listy nazwiska tych, którym przez następny tydzień miano wydawać zmniejszone porcje ryżu.

休憩

Pierwszy Czarny Czwartek, jak nazwali później czas egzekucji, uświadomił jeńcom, że szanse na przetrwanie japońskiej niewoli są mikre, może nawet zerowe. A jednak wszyscy kurczowo trzymali się nadziei, tej samej, która każe człowiekowi wygramolić się z okopu i mimo ciężkiego ostrzału ruszyć na umocnienia wroga. „Mnie kule ominą, nie skonam na tym polu, wykrwawiając się w męczarniach, przeżyję, ponieważ jestem jedyny, wyjątkowy” – z tą myślą żołnierze szli tysiącami prosto na gniazda gatlingów i ginęli masowo, aczkolwiek... zawsze przecież ktoś ocalał.

Skoro więc istniał cień szansy, jeńcy łudzili się i powtarzali sobie każdego ranka zamiast modlitwy: „Mnie jednemu się uda, wymknę

się śmierci, ujdę z życiem i dam świadectwo, by świat nie zapomniał o nas ani o piekle, jakie nam tu zgotowano”.

Andrzej także chwycił się tej myśli, żył ułudą, choć nigdy tak naprawdę nie zapomniał, że jego przypadek jest beznadziejny. Chmurniał więc, ilekroć widział przyglądającego mu się badawczo podporucznika, którego jeńcy ochrzcili szybko – i nie bez powodu – Brzytwą. Tōjō miał go na oku i podobnie jak komendant pamiętał o wszystkim, w tym o obietnicy wyrównania rachunków za atak na mnicha.

Horodyński nieraz się zastanawiał, co by było, gdyby podczas apelu w kolejny Czarny Czwartek padło jego nazwisko. Czy błagałby o litość, czy raczej poszedł na szafot z dumnie podniesioną głową? Brakowało mu odwagi, by to sprawdzić. Harował zatem jak pozostali, od poranka aż do zmierzchu, który na szczęście dla jeńców zapadał coraz wcześniej, ponieważ zima zbliżała się wielkimi krokami. Trwał w ciągłym upodleniu, dzień za dniem, pełen obaw, zupełnie jak więzień w celi śmierci. To była najpoważniejsza bolączka, z którą musiał radzić sobie w wymuszonej samotności.

Prócz coraz rzadszych kontaktów z zapracowanym doktorem nie miał do kogo gęby otworzyć. Marynarze z jego baraku trzymali się krajanów, aczkolwiek część z nich znała także języki sąsiednich nacji – tak było na przykład z Alzatzycami, którzy mówili płynnie i po francusku, i po niemiecku. Tym drugim językiem, a raczej jego bardziej melodyjną odmianą, posługiwali się też pojmani Austriacy oraz zjednoczeni z nimi – choć z musu – Węgrzy. Nic więc dziwnego, że to właśnie język Goethego stał się podstawą gwary powstającej w tym międzynarodowym tyglu.

Jeńcy bardzo szybko pojęli, że kluczem do przetrwania może być wzajemne poznanie i komunikacja, dlatego też uczyli się pilnie najważniejszych słów i prostych zwrotów, by w każdej chwili móc poprosić o pomoc któregoś z dawnych koalicjantów, a obecnie towarzyszy niedoli.

Co ciekawe, gwara obozowa, choć niezwykle prymitywna, okazała się użyteczna także dla tych, którzy wcześniej nie porozumiewali się językami o romańskich czy germańskich korzeniach. A że Horodyński nie był w ciemni bity, też dość szybko podłapał nie tylko poszczególne słówka, ale i całe frazy, tak że zaledwie po miesiącu niewoli stał się aktywnym uczestnikiem rozmów toczonych przy stole bądź przy pracy. Co więcej, wrodzona smykałka do języków pozwoliła mu wyłapać kilka najpowszechniejszych japońskich zwrotów. Od tych najprostszych, jak potakujące *hai* czy pożegnalne *sayōnara*, aż po skomplikowane zdania wypowiedziane bardzo często przez strażników.

W nauce pomagały mu propagandowe kroniki filmowe, wyświetlane raz w miesiącu tuż po wieczornym apelu. Kinematograf, ten budzący podziw cud techniki przełomu XIX i XX stulecia, w obozie pełnił funkcję jeszcze jednego narzędzia tortur. Z prezentowanych jeńcom filmów usuwano bowiem wszelkie wiadomości kulturalne, pozostawiając wyłącznie peany na cześć sukcesów cesarskich armii. Na ekranie pojawiały się więc pola odległych bitew, ciała wrogów zaścielające ziemię, zniszczone do szczętu miasta, przez które dziarsko paradowały zwarte formacje skośnookich żołnierzy, wielkie mechy kroczące przez zasnułe dymami pola i lasy...

Od czasu do czasu raczono widzów wymownymi obrazami przedstawiającymi moment podpisania aktu kapitulacji. Ponurzy jak noc marszałkowie w mundurach obwieszonych lśniącoymi orderami pochylali z pokorą głowy przed butnymi i znacznie od nich niższymi oficerami Dai Nippon Teikoku. Najgorsze jednak były mapy ilustrujące zdecydowaną większość materiałów propagandowych. Widoczne na nich linie frontów z upływem czasu były coraz bliższe łańcuchom górskim Uralu i leżących za nim ojczyznom jeńców.

休憩

Rytm „śpij, jedz i haruj” został zakłócony dopiero po sześciu tygodniach, gdy szeregi jeńców skurczyły się o ponad pięćdziesięciu ludzi. Do dwóch tuzinów straconych doszło siedmiu zmarłych z wycieńczenia i trzech desperatów, którzy spróbowali ucieczki, uznawszy, że dalsze męczenie się w obozie nie ma większego sensu.

Myśl o ucieczce kołatała się w coraz większej liczbie głów. Andrzejowi także nie była obca. Pracy, którą wykonywali jeńcy, nie było bowiem końca. Zasyпали już setki lejów, grzebiąc w nich kości spalonych, niemal wyłącznie marynarzy i żołnierzy zjednoczonej floty, którzy spadli bądź zeskoczyli prosto w szalejące płomienie. Oczyszczili tym sposobem kilka ośmin równiny po obu stronach nasypu, ale był to przecież zaledwie ułamek całości. Nawet gdyby pracowali w tym samym składzie i w tym samym morderczym tempie przez kilkanaście kolejnych lat, nie mieliby szans na zadowolenie oprawców, a przecież z każdym tygodniem było ich mniej, nie mówiąc już o tym, że opadali z sił.

Dumni niegdyś, twardzi mężczyźni w sile wieku wyglądali teraz jak obciążone skórą szkielety. Wielu zaczynało poważniej chorować – w dużej mierze przez uprzątanie skażonej podczas bombardowania ziemi, co czynili bez żadnych środków ochronnych. Tymczasem każda chwila niemocy była w ich świecie pewną przepustką do śmierci.

Kapitan Araki i jego zastępca zbywali wzruszeniem ramion każdą próbę usprawiedliwienia niższej wydajności pracy, a zliczający punkty strażnicy dopisywali je do kartotek powłóczących nogami nieszczęśników, szczerząc się od ucha do ucha, jakby to był dobry żart.

Horodyński, jako jeden z najmłodszych jeńców nie tylko w baraku, ale i w całym obozie, miał to szczęście, że znalazł się pod szczególną opieką kompanów. W jego brygadzie pracowało siedmiu Niemców, jeden Francuz i Amerykanin. Wszyscy chłopcy na schwał, po sześć stóp wzrostu i tyleż samo pudów wagi – to znaczy mieli ich tyle, gdy zaczęli usuwać skutki bombardowania. W połowie listopada

przypominali własne cienie, lecz nadal nie pozwalali słabszemu od siebie kadetowi stawać na najtrudniejszych odcinkach robót. Jego zadanie najczęściej polegało więc na rozgarnianiu ziemi zrzuconej przez pozostałych na dno leja i udeptywaniu jej, zanim trafi tam kolejna warstwa.

Z początku Andrzej żegnał się trwożliwie, ilekroć przyszło mu stąpać po kościach poległych, ale tych było tak dużo, że już po tygodniu zrezygnował z czynienia jakichkolwiek religijnych gestów i przeproszał zmarłych za profanację ich szczątków, szepcząc nieme modlitwy. Wkrótce zaprzestał i tego. Były takie dni, że nie znalazłby miejsca, gdzie nie spoczęły ułamki piszczeli, wyrwane ze zmiżdżonych czaszek szczęki albo połamane łuki żeber. Poczerniałe, przepalone kości trzaskały pod jego obcasami, rozpadając się na jeszcze mniejsze fragmenty, ale ta robota, choć przyprawiała go o dreszcze i mdłości, paradoksalnie ratowała mu życie. Nie musiał wydobywać z ziemi rozerwanych pojemników, w których koalicjanci zrzucali na uśpione Tokio najgorsze ze znanych nauce gazów i trucizn.

Paskudztwo to gromadzono na dnie najbliższego leju po car-bombie. Jeńcy nie zauważyli go początkowo za sprawą wału ziemnego, który otaczał wielką nieckę. Wydawało im się, że pośrodku równiny znajduje się niewysokie wzgórze, a wrażenie to pogłębiały mniejsze i całkiem malutkie kratery, które pokrywały łagodne zbocza wału. Prawdę poznali dopiero po tygodniu pracy, gdy jedna z brygad natknęła się na pojemnik po gazie musztardowym. Strażnicy nakazali znalazcom, by zataszczyli cuchnący wciąż złowieszczo złom na szczyt pagórka i zrzucili go do znajdującej się po drugiej stronie otchłani.

Wtedy właśnie jeńcy ujrzeli szerokie na pięćset stóp idealnie koliste wgłębienie, którego najniższy punkt znajdował się nie mniej niż piętnaście arszynów poniżej poziomu gruntu. Czeluść była tak niemożebnie wielka, że mężczyźni taszczący zabójcze brzemie oniemieli, gdy stanęli na krawędzi urwiska. Był to chyba jedyny

moment przestoju, za który nikomu nie odjęto punktów, mimo że członkowie brygady przez prawie minutę gapili się na krater oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

Na wielu twarzach pojawiły się blade uśmiechy – pierwsza od półtora miesiąca oznaka radości. Nic to, że trzeba będzie harować Bóg wie jak długo, by zasypać tego potwora, nic to, że nie wszyscy doczekają dnia, w którym dowód niszczycielskiej siły, jaką dysponowała zjednoczona flota, zniknie z oblicza ziemi. Liczyło się tylko jedno: Tokio przestało istnieć. Patrząc w głąb krateru po car-bombie, jeńcy wyzbyli się wątpliwości, które narastały w nich od pewnego czasu – nie tylko młody kadet zauważył bowiem, że na zbombardowanych terenach brak jakichkolwiek ruin.

Co mogłoby się oprzeć równie destrukcyjnej broni? Chyba tylko egipskie piramidy, ale i na nie mało kto by postawił.

Była jednak i zła wiadomość. Lej po car-bombie znajdował się na skraju strefy intensywnego bombardowania. Za nim rozciągała się ta część równiny, na którą spadło siedemdziesiąt procent ładunków przenoszonych przez krążowniki bombardujące. Nawet oglądany przez teleskopy Księżyc nie wyglądał tak przygnębiająco martwo, jak ta ziemia.

Japończycy zażądali, aby wszystko, co mogło być wciąż trujące albo żrące, spoczęło na dnie gigantycznego krateru, tak więc w kolejnym tygodniu prac większość jeńców została przydzielona do tego właśnie zadania. Na szczęście dla Andrzeja jego brygadzie pozostawiono zasypywanie mniejszych lejów, co było nieco bezpieczniejszą, choć także wycieńczającą, iście syzyfową pracą.

Do czasu...

ROZDZIAŁ 6

Dwudziestego pierwszego listopada tuż po porannym apelu, gdy strażnicy skuwali jeńców, by wyprowadzić ich za bramę, na teren obozu wjechał automobil. Większy niż wóz komendanta. Całkowicie zamknięty. Czarny i lśniący. Przy jego błotnikach powiewały dwa proporce; na tkaninie pyszniły się złote płatki chryzantem cesarskiego kamonu, tego samego, któremu jeńcy musieli się kłaniać każdego ranka i wieczora.

Moknący na deszczu Araki natychmiast stracił zainteresowanie więźniami. Nie bacząc na kałuże, potruchtał w stronę komendantury, przed którą zatrzymywał się właśnie masywny pojazd. Kapitan pojawił się na miejscu w porę, by powitać wysiadających. Pierwszemu, wysokiemu i szczupłemu Japończykowi ubranemu w oficerski, chyba nawet generalski mundur, pokłonił się z szacunkiem, lecz kiedy na ziemię zeskoczył drugi, Europejczyk noszący się w obcym dla cesarstwa stylu, kapitan dokończył powitanie dopiero wtedy, gdy na jego – wcale nie tak ukradkowe – spojrzenie stojący obok przełożony ledwie zauważalnie skinął głową. Pozostałych dwóch mężczyzn Araki pominął, jakby nie byli godni jego zainteresowania.

Jeńcy przyglądali się tej scenie z ogromnym zainteresowaniem. Nie dość, że po raz pierwszy doszło do zakłócenia niezmiennego rytmu dnia, to jeszcze do obozu przybył ktoś im podobny, komu w dodatku komendant musiał się ukłonić.

Kapitan Araki ugiął kark przed kimś takim jak oni!

Początkowa euforia przeszła jednak bardzo szybko w przygnębienie. Tylko skończony dureń by się nie domyślił, że bezwzględny oprawca odreaguje ten afront, wyładowując złość na nich. Wymaszerowywali więc przez bramę ze spuszczonej głowami, obawiając się tego, co kapitan zrobi, gdy wróci do obozu.

– Horodinishiki!

Andrzej drgnął, gdy zza jego pleców dobiegło głośne wołanie. „Horodinishiki”, tak właśnie nazywali go strażnicy, mający problem z poprawnym wymówieniem polskiego nazwiska.

Wystąpił z szeregu, nerwowo przełykając ślinę gęstniejącą mu w gardle. Zatrzymał się zaraz, świadom, że musi poczekać na pozwolenie strażnika, a gdy najbliższy z nie mniej od niego zaskoczonych żołnierzy pchnął go w stronę zamykanej bramy, odbiegł posłusznie, czując na twarzy palący wzrok śledzących każdy jego krok cekaemistów.

休憩

Tuż za ogrodzeniem czekał na niego jeden z przybocznych kapitana. *Gunsō* – czyli po ludzku mówiąc, sierżant – Itō. Najwredniejsze popychadło komendanta i jego zastępcy, rozdające razy na prawo i lewo bez opamiętania. Andrzej skulił instynktownie ramiona, spodziewając się nieuniknionego ciosu, ale zamiast bólu poczuł mocne szarpnięcie. Pociągnięty za rękaw potruchtał za maszerującym różnym krokiem podoficerem, nie do komendantury jednak, lecz w stronę baraku. Tam nakazano mu zdjąć przemoczony mundur i wytrzeć się, a gdy w końcu stanął przed strażnikami w samej bieliźnie, rzucono mu inne marynarskie odzienie, tyle że suche i zadziwiająco czyste.

Ubrał się w pośpiechu, poganiany – co dziwne – tylko okrzykami, po czym dał się powieść na piętro komendantury. Z tym że nie do pokoju przesłuchań, w którym był poprzednio, lecz na drugi kraniec budyneczku, do gustownie umeblowanego gabinetu, którego szerokie okno wychodziło na druty i znajdujący się za nimi las. To musiało być biuro samego komendanta. Araki stał przy drzwiach, z typową dla siebie pogardliwą miną, a na krzesłach ustawionych po obu bokach wielkiego biurka rozsiedli się goście.

Pierwszy z nich był wymuskanym Japończykiem o pociągłej twarzy i bardzo delikatnych, niemal dziewczęcych rysach, drugi natomiast postawnym Europejczykiem o wysokim czole, masywnej

szczęce, sumiastych wąsach i bujnej, choć równo przyszyzzonej brodzie. Obaj przypatrywali się drżącemu ze strachu kadetowi bardzo uważnie, ale tylko jeden miał mord w oczach.

– Dziękujemy, kapitanie. – Mężczyzna w generalskim mundurze odprawił zwięźle komendanta.

– Generale Murata, szanowny emisariuszu. – Araki pokłonił się obu gościom, po czym odwrócił się do wyjścia i mijając kadeta, posłał mu miażdżące spojrzenie, ale tak, by nikt inny nie mógł tego widzieć.

Zanim drzwi za plecami Andrzeja zostały cicho zasunięte, do gabinetu wszedł jeszcze jeden człowiek, który później okazał się tłumaczem.

Czwarty z przybyszów, pełniący wcześniej rolę kierowcy porucznik o niemal płaskiej owalnej twarzy, stanął w korytarzu na straży, by nikt nie przeszkadzał, a raczej nie podsłuchiwał, albowiem goście najwyraźniej nie chcieli, aby treść tej rozmowy dotarła do niepowołanych uszu.

– Horodinishiki... – zaczął generał, skupiając wzrok na trzymanej w ręce teczce osobowej.

– *Hai!* – Andrzej uklonił się, jak robili to przy powitaniach podpatrzeni przez niego Japończycy.

Obaj goście spojrzeli na niego uważniej.

– Znasz japoński? – zapytał po rosyjsku brodac, nie kryjąc zdziwienia.

– Nie, proszę pana – odparł pośpiesznie kadet. – To znaczy znam, ale tylko kilka zasłyszanych wyrażeń.

Gdy tłumacz przełożył jego słowa, Murata uśmiechnął się pod nosem, po czym przekazał dokumenty towarzyszącemu mu mężczyźnie. Ten pochylił się, by wziąć teczkę, i zaraz szybko się wyprostował. Zaniepokoiło go coś w spojrzeniu tłumacza.

– No tak, tak... – mruknął, ku zaskoczeniu Horodyńskiego czystą polszczyzną, następnie zaś pokłonił się niezdarnie generałowi.

Widać było, że nie nawykł jeszcze do miejscowych obyczajów, co mogło sugerować, iż przebywa w Japonii zaledwie od kilku dni.

– Zaczynajmy – poprosił Murata, nie okazując cienia złości.

Brodacz raz jeszcze pochylił głowę – tym razem, by sięgnąć do kieszeni po srebrną, grawerowaną papierośnicę. Nie otworzył jej jednak, jak zamierzał. Karcące spojrzenie generała powstrzymało go przed zaspokojeniem nałogu. Nie był z tego powodu szczęśliwy, nawet wystraszony kadet to zauważył, ale w jego głosie próżno było szukać irytacji. Schował cygarety i przeszedł do sedna, przemawiając oczywiście po rosyjsku, żeby tłumacz mógł powtarzać jego słowa Japończykowi.

– Nazwisko?

– Horodyński.

– Imię?

– Andrzej Zenono... – Jeniec umilkł, zauważając dezaprobatę malującą się na twarzy przesłuchującego. – Andrzej.

– Narodowość?

– Rosyjska. – Horodyński odpowiedział szybko, choć już nie tak zdecydowanym tonem.

– Jesteś tego pewien, synku? – Brodacz przyglądał mu się z kamienną twarzą.

– Nooo, tak...

– A nie przypadkiem: polska? – Czy mu się wydawało, czy wychwycił w głosie pytającego naganę?

– Polski przecież nie ma... – Mówiąc to, zerknął bojaźliwie w stronę generała.

– A, to takie buty – mruknął pod nosem zawiedziony człowiek zwany emisariuszem, po czym odchrząknął i już pewniejszym tonem dodał: – Może i nie ma dzisiaj kraju o tej nazwie, ale to nie zmienia faktu – postukał palcem w jego akta – że urodziłeś się i umrzesz Polakiem. Zatem?

– Narodowość p... polska?

– Tak, polska, i tego się trzymajmy. – Brodacz oparł się wygodniej, jakby najtrudniejsze mieli już za sobą. – Z tego, co widzę, zostałeś oskarżony o napaść z bronią w ręce na mistrza... – zmrużył oczy, by odczytać poprawnie nazwisko poszkodowanego – ...Jigorō Kanō, tak tu stoi.

– Tak.

– Co tak? – Przesłuchujący nastroszył groźnie brwi.

– Powiedziano mi, że jestem winien napaści na tego dziadka.

– Dziadka!... – Tłumacz najpierw prychnął mu prosto w ucho, po czym dopiero przełożył całą wypowiedź generałowi. Ten także wyglądał na rozbawionego.

– Widzisz, synku, dla ciebie to może być jakiś tam dziadek, ale tak się nieszczęśliwie składa, że w Nipponie otacza się go wielką czcią – wyjaśnił brodacz, nie dzieląc dobrego humoru Japończyków. – A ty wtargnąłeś do jego... – znów musiał sprawdzić zapis – ...do jego *dōjō*...

– Ja nigdzie nie wtargnąłem! – wpadł mu w słowo spanikowany Andrzej. – Chciałem zaczerpnąć wody ze źródła, w lesie, za jakąś kapliczką, a on...

Zamilkł raptownie, emisariusz bowiem walnął otwartą dłonią w blat biurka z taką mocą, że kilka kartek papieru zsunęło się z pieczołowicie wyrównanych, wysokich stosów.

– Jeszcze nie skończyłem!

– Tak jest! – Horodyński wyprostował się w postawie zasadniczej, jak wpojono mu to podczas szkoleń.

– Wtargnąłeś do *dōjō*, czymkolwiek ono jest, a gdy mistrz Kanō próbował cię powstrzymać, ugodziłeś go nożem.

– Ja... Nie... Nie! – Wystraszony nie na żarty Andrzej wodził spojrzeniem od generała do brodacza i z powrotem. – Ja go nie... On mnie...

Emisariusz zaczekał, aż jeniec umilknie, po czym wskazał otwartą teczkę i znajdujące się w niej dokumenty.

– Tutaj stoi czarno na białym, że zdążyłeś ranić mistrza Kanō, zanim cię obezwładnił. I to jest oficjalna wersja, której sam za żadne skarby nie obalisz, synku. Pomyśl: na jednej szali mamy zeznania świadków, w tym przybyłych na miejsce oficerów policji i medyka, który udzielał pierwszej pomocy szanowanemu powszechnie członkowi tutejszej społeczności i niezrównanemu mistrzowi sztuk walki, a na drugiej nieskładne protesty sprawcy haniebnego czynu, nieletniego zbrodniarza wojennego, bo tym właśnie jesteś dla mieszkańców tego kraju, a już zwłaszcza jego stolicy.

– Ale ja jestem niewinny – wymamrotał Horodyński, choć w głębi ducha musiał przyznać nieznanemu rację.

Był więźniem oskarżonym o znacznie gorsze zbrodnie niż zamachnięcie się nożem na jakiegoś mistrza czy innego kapłana. Należał do załogi okrętu, który zbombardował Tokio. Przyleciał tutaj, by siał śmierć i zniszczenie, nikt więc nie będzie słuchał jego tłumaczeń, nawet gdyby prawda leżała po jego stronie.

A co do tego niestety nie miał całkowitej pewności. Zamachnął się nożem, owszem, temu nie przeczył, był jednak święcie przekonany, że nie trafił. Tamten mnich, czy też mistrz, uskoczył tak szybko, a potem... Potem wszystko zawirowało. Nagle przed oczami mignęło mu niebo, po czym przywalił w podłoże z takim impetem, jakby ktoś go podniósł i rzucił nim o ziemię z całych sił. Nie żaden dziadek, lecz siłacz, taki cyrkowy. Jeden z tych olbrzymów, którzy żonglują bez trudu dwupudowymi odważnikami.

W tym zamieszaniu mógł dosięgnąć przeciwnika, choćby nieświadomie, kiedy upadał. Wypuścił nóż z omdlewającej dłoni dopiero wtedy, gdy ktoś wykręcił mu rękę.

– Ja... ja... – zbladł i zaczął się jękać.

– Prawda wygląda tak, synku, że był to pożałowania godny, ale tak naprawdę mało istotny incydent. Pokazano nam fotografię przedstawiającą „obrażenia”, a raczej zwykłe draśnięcie, o tutaj, na przedramieniu. – Brodacz wskazał miejsce poniżej łokcia. – Na cal długie, może mniej. Nawet porządnego opatrunku nie trzeba było

zakładać. Mistrz Kanō nie zamierzał cię o nic oskarżać. Ale że jest w Japonii nie lada osobistością, kapitan Araki obrał to sobie za punkt honoru, a jak obaj doskonale wiemy, uparty z niego człowiek, już trzykrotnie słał pisma do sądu, domagając się postawienia sprawcy, czyli ciebie, w stan oskarżenia. Sprawie nadano nawet bieg, lecz generał na moją osobistą prośbę udał się do Tokio, gdzie porozmawiał z sędzią i dzięki temu zablokował...

– Dokąd? – Zaskoczony Andrzej odzyskał głos dopiero po chwili.

Tokio, wedle jego wiedzy, było od ponad miesiąca pozbawioną życia, zrytą tysiącami kraterów pustynią. Wypalonym pogorzelnikiem ciągnącym się aż po horyzont. Widział je przecież na własne oczy. Usuwał skutki bombardowania minionego dnia i każdego wcześniejszego. Gdzie zatem miałyby się znajdować wspomniany sąd? W leju po car-bombie?

Brodacz zrobił zdziwioną minę.

– Do sądu w Tokio, chyba mówię wyraźnie?

– Ale stolica nie istnieje. – Kadet pokręcił z niedowierzaniem głową. – Zrównaliśmy ją z ziemią...

Emisariusz spojrzał znacząco na generała.

– Ty naprawdę nic nie wiesz? – zwrócił się do chłopaka znacznie łagodniejszym tonem.

Horodyński przytaknął z pewnym ociąganiem, na co obaj przesłuchujący go mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Tłumacz także do nich dołączył.

– Komendant ma jednak poczucie humoru – stwierdził Murata. Jego słowa zostały natychmiast przetłumaczone, oczywiście na użytek emisariusza. – Swoiste, trzeba przyznać, ale ma.

– Synku... – Brodacz pochylił się mocno. – Jak by ci to powiedzieć... – Oblizwał wargi. – Ten nalot nie miał prawa się udać.

– Przecież ja... – Andrzej w ostatniej chwili ugryzł się w język. Mało brakowało, a zdradziłby tym obcym ludziom, że podał namiary artylerzystom zjednoczonej floty. – Ja to widziałem na własne oczy!

– Zobaczyłeś to, co nasi gospodarze chcieli, żebyś widział – odparł enigmatycznie emisariusz.

– Ale...

– Mogę, generale? – zapytał brodacz, odwracając się do towarzyszącego mu Japończyka.

– Proszę.

Gość skłonił głowę w podzięcie, po czym kontynuował:

– Musisz wiedzieć, synku, że od początku nie mieliście najmniejszych szans na wygraną tej bitwy, ponieważ technika nigdy nie zdoła pokonać sił nadprzyrodzonych, a na tej płaszczyźnie toczy się obecnie walka. – Andrzejowi nie trzeba było tego powtarzać, wiedział przecież, do czego są zdolne smoki, choć emisariusz nie o nich wspominał, jak się szybko okazało. – Słyszałeś o bogini Amaterasu?

– Tak – potwierdził Horodyński niezbyt pewnym tonem.

– Ale pewnie tylko to, co wszyscy: że jest ostatnim nadprzyrodzonym bytem, którego nie zdołały unicestwić smoki, prawda?

– Tak.

– I nie do końca w to wierzysz?

– Tak. Nie. To znaczy... – zaplątał się Andrzej.

– Rozumiem, synku. Rozumiem – uciszył go brodacz. – Otóż wyobraź sobie, że w tej wspaniałej opowieści nie ma nawet cienia przesady. Wbrew temu, co wmawiali nam przez lata carscy i kaiserowscy propagandziści, historia o smokach zabijających bogów jest czystą prawdą. Może trochę upiększoną przez tutejszych poetów i pieśniarzy, którzy... Ale ja nie o tym chciałem! – Wyprostował się, przecesał dłonią krótko ścięte włosy, po czym opadł ciężko na oparcie krzesła. – Krótko mówiąc, Japończycy wiedzieli, że nadlatujecie. „Szpieczy”, mógłbyś pomyśleć, „szpieczy nas zdradzili”. Nie, bratku, nic bardziej mylnego. Bogowie, wyobraź sobie, mają wiele przymiotów, o jakich ludzie mogą tylko pomarzyć. Amaterasu, na ten przykład, widzi przyszłość tak wyraźnie, jak ty

teraz mnie widzisz. Tak przynajmniej twierdzą ci, którzy mieli z nią do czynienia. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Horodyński przytaknął, choć po jego minie widać było, że nie nadąża.

– Annaterasu... – zaczął, szybko jednak umilkł, gdy stojący tuż za nim tłumacz zdzielił go otwartą dłonią w głowę, zupełnie jak nauczyciel, który karze ucznia za złą odpowiedź.

– Amaterasu! – syknął Andrzejowi prosto w ucho rozwścieczony Japończyk. – Amaterasu, *baka!* Przez M! Zapamiętaj!

– *Hai!* – stęknął skołowany chłopak, kłaniając się wszystkim po kolei. – *Hai!*

– Spokojnie, synku. – Brodacz westchnął ciężko, po czym odczekał kilka sekund, dając przerażonemu kadetowi dojść do siebie. – Otóż wyobraź sobie, że bogini ostrzegła cesarza na tydzień przed planowanym atakiem. W wizji zesłanej na człowieka zwanego Wybrańcem przekazała też dokładne instrukcje, co należy zrobić, aby zniweczyć knowania wroga. Japończycy mieli tylko siedem dni na przygotowania, ale musisz wiedzieć, że to naród robotny i łebski do tego. Takich jak oni wynalazców i organizatorów ze świecą szukać na tym padole... – Emisariusz zamilkł, widząc niepewną minę Horodyńskiego. – Wiem, wiem. Po tym, co przeżyłeś tutaj, w obozie, musisz ich mieć za najgorszy sort szubrawców, ale pozwól mi dokończyć, a wszystko zrozumiesz. Otóż wyobraź sobie, synku, że Amaterasu poleciła, by zebrano lampiony, które oświetlały zaułki stolicy, i przeniesiono je tam – wskazał za okno – na rzadko tylko zamieszkaną nadmorską równinę, rozciągającą się między portem w Jokohamie a stolicą. Mrowie zwykłych ludzi zrobiło to w ciągu tygodnia. Zatknięte na bambusowych tyczkach lampiony utworzyły na pustkowiu wierną kopię miasta, które było celem planowanego nalotu, a przynajmniej tak to wyglądało nocą z bardzo wysoka. Obserwatorzy przebywający na pokładach nadlatujących okrętów obrali za cel nie prawdziwe Tokio, w którym nawiasem mówiąc, panowało w tym czasie pełne zaciemnienie, lecz prawie same

nieużytki. Aby dopełnić iluzji, wokół upozorowanej stolicy zbudowano także nowy Krąg Śmierci, oczywiście również naprędce. Zamiast wznosić betonowe bastiony, na co nie było czasu, tysiące ochotników kopały głębokie rowy, w których umieszczono całe baterie dział, przewożonych nie tylko z pobliskiego Tokio i Jokohamy, ale też z wielu innych ufortyfikowanych miast tej wyspy.

Andrzej słuchał opowieści emisariusza z narastającym zrozumieniem. Siedząc w gondoli, widział morze migotliwych świateł, wielką pajęczynę ulic, ale gdy sam stanął wśród pogorzelska... Teraz, gdy brodacz wyjaśnił, na czym polegał fortel, nagle wszystko stało się jasne. Nieludzka moc car-bomb nie zrównała Tokio z ziemią, nie pozostawiając kamienia na kamieniu. Ruin nie było, ponieważ po tyczkach, na których zatknięto milion latarni, nie ostałby się ślad, nawet gdyby flota zrzuciła tylko ułamek posiadanych bomb, a przecież w dół poleciały ich tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy.

– Nie może być... – wyrwało mu się, za co natychmiast przeprosił, wtulając bojaźliwie głowę w ramiona, jakby obawiał się kolejnego uderzenia.

– Też bym tak pomyślał, gdybym był na twoim miejscu – ciągnął brodacz, jakby niczego nie zauważył. – Ale tak się złożyło, że nie dalej jak przedwczoraj gościłem w pałacu cesarskim, a wcześniej przejechałem koleją żelazną z portu w Jokohamie na dworzec w Tokio. Tak, bratku, wasze car-bomby zniszczyły kilka pomniejszych wiosek, oczywiście uprzednio ewakuowanych, i... nad czym ubolewam... zdecydowaną większość prowizorycznych bastionów artyleryjskich. Jeśli liczyć straty w sile żywej, zabiliście więcej ludzi, niż was poginęło, ale wierz mi, to Japonia wyszła zwycięsko z tej bitwy. Dzięki kolejnemu podstępowi smoki rozgromiły największą flotę powietrzną w historii nowoczesnego świata. Ponad trzysta okrętów wojennych, prawie sto krążowników, ponad ćwierć setki pancerników, w zamian za parę opuszczonych chałup! Tych strat koalicja nigdy nie zdoła odrobić, rozumiesz?

Andrzej ponownie przytaknął. Sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony prawda poraziła go jak grom z jasnego nieba, z drugiej poczuł... niespodziewaną ulgę. Jeśli brodacze nie kłamał – a kadet nie widział powodu, dla którego miałyby to robić – jego sumienie było czyste. Nie skazał cywilów na okrutną śmierć. Mimo że koalicja zamierzała zgładzić setki tysięcy niewinnych ludzi, by dopaść cesarza wrogiego imperium, on nie przyłożył do tego ręki. Chociaż... był przecież gotów to uczynić.

– Ta wojna może się skończyć tylko w jeden sposób, synku – podjął emisariusz po chwili milczenia. – Japonia, ze wsparciem Amaterasu i tych niesamowitych bestii, prędzej czy później podbije każdą europejską potęgę, w czym właśnie upatrujemy naszą największą szansę.

– Naszą? – wpadł mu w słowo przytłoczony wrażeniami jeniec.

– Tak, naszą. Jeśli dobrze to rozegramy, jeśli staniemy po właściwej stronie, Polska wróci na mapę świata. Pojmujesz?

Horodyński zaprzeczył powolnym ruchem głowy. Pogubił się do reszty. Wstrząśnięty wiadomością o sromotnej klęsce, jaką poniosła zjednoczona flota, nie był w stanie się skupić na wywodzie perorującego mężczyzny. Ten w dodatku poruszał kwestie, o których młody chłopak z guberni kieleckiej mógł mieć tylko blade pojęcie.

Pozostało mu jednak na tyle jasności umysłu, że zdołał zauważyć reakcję będącego świadkiem rozmowy Japończyka na swoją ostatnią, niemą odpowiedź. Murata zmarszczył brwi, jakby to zaprzeczenie bardzo mu się nie spodobało. Brodacze też to dostrzegł i natychmiast zareagował.

– Jak już panu wspomniałem, generale, zniewolenie i rusyfikacja sporej części naszej młodzieży zaszły tak daleko, że jeszcze wiele wody musi upłynąć, zanim zdołamy przywrócić normalność. Ten chłopak jest najlepszym tego przykładem.

– Widzę. Problem jednak w tym, że nie mamy czasu – odpowiedział Murata, po czym wymownie zerknął na zegarek.

– Generale! – Emisariusz podniósł nieco głos, ale zaraz się opanował. – Proszę dać mi jeszcze pięć minut. Tylko pięć minut.

Japończyk spojrział mu w prosto oczy, ale brodacze nie odwrócił wzroku.

– Dobrze, pięć minut, nie dłużej.

– Posłuchaj mnie uważnie, chłopcze. – Emisariusz wbił spojrzenie w kadeta. – Widzę, że troszkę się w tym wszystkim pogubiłeś, więc zacznę jeszcze raz, od samego początku. Porozmawiajmy o twojej rodzinie. Co wiesz o swoim dziadku?

– O którym?

– O Antonim.

– Umarł, zanim się urodziłem.

– Wiesz kiedy?

– W sześćdziesiątym trzecim... – wydukał Andrzej. – Jakoś tak w marcu.

– Wiesz, co jeszcze wydarzyło się tamtego roku? – drążył emisariusz.

Horodyński nie odpowiedział. Przełknął za to nerwowo ślinę i zaraz skłął się w myślach, ponieważ dał w ten sposób wyraźnie do zrozumienia, że wie, o co pyta go emisariusz. O to, o czym matka zakazała mu choćby wspominać. Przysiągł na grób ojca, że nigdy tego nie zrobi, i do tej pory zawsze trzymał język za zębami.

– Odpowiedz! – zażądał generał.

– Jakieś powstanie było czy coś.

– Czy coś! – Emisariusz sapnął, jakby poczuł się urażony tym określeniem, ale wystarczyło mu jedno spojrzenie na drżącego chłopaka, by zamknął usta, powstrzymując wybuch. – Rozumiesz, synku, że my tu o twoim życiu, a raczej śmierci, debatujemy? Dlaczego więc nie mówisz prawdy? O co chodzi? – naciskał. – Mów!

– Matka zakazała... – wymamrotał Andrzej. Słowa z trudem przechodziły przez jego zaciśnięte gardło.

Gdyby nie groźba śmierci, wcale przecież nieprzesadzona, nie puściłby pary z ust, lecz brodacze stawiał sprawę jasno.

– Matka... – Spuścił nagle z tonu. – Wiem, dlaczego kazała ci milczeć. Wiem aż za dobrze, ale zaraz wspólnie do tego dojdziemy. – Postukał palcem w teczkę osobową. – Jak zginął twój dziadek?

– Nie zginął – zaprotestował Horodyński. – Zaniemógł tamtej zimy i już nie wydobrzał.

– Zmarł czwartego marca tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku?

– Tak na grobie stoi.

– Dobrze, a co możesz powiedzieć o swoim ojcu?

– Też nie żyje.

– To wiem. Powiedz nam, jak umarł.

– W fabryce pracował. Został ranny w wypadku. Wielu ludzi wtedy zginęło. Kocioł parowy eksplodował, taki wielki – rozłożył ramiona na boki – a potem wszystko się zawaliło. Ojcu nogi zmiażdżyło tak strasznie, że musieli mu je odjąć. Lekarze cudem go odratowali, ale nie na wiele się to zdało. Pożył jeszcze niecałe dwa lata. W dziewięćdziesiątym drugim matka go pochowała.

– W fabryce wypadek miał, powiadasz.

– Tak. W Kielcach.

Brodacz pokiwał głową, jakby się nad czymś poważnie zastanawiał.

– Nie dziwię się twojej matce, że cię okłamała. Wasza rodzina wiele wycierpiała z rąk zaborców. Najpierw twój dziadek został zabity podczas masakry, którą siepacze majora Medema urządzili, gdy Langiewicz dał powstańcom sygnał do odwrotu, zostawiając w zamku na Pieskowej Skale tabory i ciężiej rannych. Dwudziestu siedmiu chłopów zarżnięto tamtego dnia, nie okazując cienia litości. Nikogo nie oszczędzono. Tak – uprzedził pytanie kadeta – chcę przez to powiedzieć, że Antoni nie zmarł śmiercią naturalną ani tym bardziej z powodu choroby. Został zamordowany przez ludzi, którzy nosili taki sam mundur, jaki ty masz na sobie teraz. A co do ojca... Widzisz, on nigdy nie wybaczył zaborcom tej zbrodni. Tak samo jak nie zapomniał rozstrzelania swojego rodzica, mistrza szewskiego

Szczepana Horodyńskiego. O nim matka też ci pewnie nie opowiadała?

– Wiem tylko, że dziadek Szczepan zmarł na długo przed tym, nim się urodziłem.

– Półprawdy i przemilczenia nie są wiele lepsze od kłamstw, ale... jak już wspomniałem... nie winię twojej matki za tę próbę oszczędzenia ci losu obu dziadków i ojca. Zostałeś jej tylko ty, jedyny syn, oczko w głowie, podpora na stare lata.

– Co znaczy, że ojciec im nie wybaczył? – Andrzej wrócił do dręczącej go kwestii.

Brodacz spuścił wzrok, jakby zbierał siły, by wypowiedzieć następne zdania.

– Widzisz, synku, Zenon Horodyński nie był przypadkową ofiarą wybuchu kotła parowego w fabryce mechów, tak samo jak pozostałych trzydziestu dwóch robotników, inżynierów, policjantów i oficjeli z Nikołajem Fiedorowiczem Iwanienko, ówczesnym gubernatorem z carskiego nadania. Tak, synku, to nie był wypadek, lecz zamach. Ochrańcy dwoiła się i troiła, próbując dojść prawdy, ale ten, kto podłożył bombę i zdetonował ją podczas wizytacji, odniósł tak poważne obrażenia, że nie pamiętał nawet, jak się nazywa.

Andrzej przełknął ślinę raz jeszcze. Musiał to zrobić, ponieważ miał tak ściśnięte gardło, że mało brakowało, a by się udusił. Matka opowiadała mu czasem, że przykuty do łóżka ojciec uśmiechał się słabo, gdy siadała przy nim wieczorami, pokazując pierworodnego. Nikogo i niczego nie pamiętał, nawet jej często nie poznawał, ale widok dziecka poruszał go nieodmiennie. To były jedyne chwile, w których jego twarz wyrażała jakieś uczucia. Matka smutniała, ilekroć wracała do tych wspomnień. Był to dla niej bardzo bolesny okres. Została bez środków do życia, z kalekim mężem i rocznym dzieckiem na utrzymaniu. Gdyby nie pomoc życzliwych...

Horodyński spojrzał na brodacza uważniej.

– Te pieniądze to były...

– Tak. My nie zapominamy o swoich. Nie zostawiamy rannych na pastwę losu, jak Langiewicz. Zwłaszcza bohaterów, męczenników za sprawę.

– Pan znał... – zaczął z nadzieją Andrzej.

– Nie – uciął emisariusz. – Ja od osiemdziesiątego siódmego na zesłaniu byłem, ale słyszałem co nieco o tym wydarzeniu, głównie od tych, co trafili po mnie na Sybir. Stąd wiem, że za zamachem na gubernatora stał Związek Robotników Polskich. To była podówczas bardzo głośna sprawa. Nasz największy sukces. Nas, znaczy się socjalistów. Niejaki Stanisław Grabski mógłby ci więcej na ten temat powiedzieć. To on zwerbował twojego ojca i to on był mózgiem operacji.

– Grabski – powtórzył jak echo kadet.

– Jak widzisz, chłopcze, matka nie tylko kazała ci milczeć, ale zataiła też przed tobą bolesną prawdę. Twój ojciec i obaj dziadkowie stracili życie, walcząc z zaborcą, jak nieprzeliczone tysiące naszych rodaków. Zabito ich, ponieważ śmieli przeciwstawić się carowi, którego następcą posłał cię na pewną śmierć. Ale Kaiser, Franciszek Józef, i cała reszta tych kanalii wcale nie jest lepsza, możesz mi wierzyć. Dlatego tak ważne jest dzisiaj, abyśmy my, Polacy, opowiedzieli się w tej wojnie za Japonią. Przybyłem tutaj, na koniec świata, aby oddzielić ziarno od plew, aby wyłuskać z obozów jenieckich naszych rodaków i z ich pomocą doprowadzić do ostatecznego upadku reżimów, które wynaradawiają nas od prawie półtora wieku.

Horodyński potakiwał machinalnie, choć znaczenie wypowiedzianych zdań przestało do niego docierać. Nagle wszystkie fragmenty układanki zaczęły tworzyć spójną całość. Zrozumiał nareszcie głęboką niechęć matki do wspominków i jej unikanie kontaktów z obcymi, a nawet z dalszą rodziną. Rzekomy spadek po bogatym wuju pozwolił im wiązać koniec z końcem do śmierci ojca, a także jakiś czas później, ale pieniądze mają to do siebie, że prędko się rozchodzą.

Odtąd matka harowała co sezon od świtu do nocy, sprzątając jeden z większych ojcowskich pensjonatów. Mieli dzięki temu co do garnka włożyć i nie musieli dziadować, lecz tylko dlatego, że nauczyła się oszczędzać...

– Słuchasz mnie, synku? – Brodacz podniósł głos.

– Co? Tak... Tak! – Wyrwany z zamyślenia Andrzej spojrzał na niego trzeźwiej.

– Wiem, że sporo wycierpiałeś w tym obozie. Kapitan Araki to wielki patriota, lecz zarazem człowiek, który nie ma litości dla wroga, rozumiem więc, że szczerze go nienawidzisz za to, co tu przeszedłeś, ale odpowiedz mi na jedno proste pytanie: co ty byś zrobił ludziom, którzy nocą przyszli spalić twój dom, a razem z nim matkę i wszystkich bliskich? Cackałbyś się z takimi bandytami? Prawiłbyś im morały?

Horodyński spuścił głowę. Niejeden raz o tym rozmyślał. Widok płonącego miasta, który rozpościerał się przed nim, gdy siedział w gondoli, wstrząsnął nim dogłębnie. Andrzej zdawał sobie sprawę, że wszystkie światełka w dole to lampy płonące w prawdziwych domach... w domach, w których śpią równie prawdziwi ludzie, nierzadko wielopokoleniowe rodziny. A on, mając tego pełną świadomość, podał artylerzystom namiary pozwalające uderzyć celnie i szybko, i zabójczo skutecznie.

Choć to może dziwne, pojął, że nie jest bez winy, zanim komendant wyłożył to jasno i klarownie na jednym z pierwszych apeli. Inni jeńcy zdawali się nie myśleć o takich sprawach. Traktowali nalot jak kolejny epizod w niekończącym się ciągu przemocy. Gdyby wydano im rozkaz, poleciliby nad Tokio raz jeszcze. Może uczyniliby to z wahaniem, ale na pewno nie odmówiliby ponownego zrzućenia bomb na to czy inne miasto, ponieważ to była wojna, a na wojnie albo zabijasz, albo giniesz. Czyż nie dlatego zasypiali bez trudu i nie budzili się w środku nocy z krzykiem, jak jemu często się zdarzało?

Mimo to miał poważne opory przed przyznaniem rozmówcy racji.

– Nie – odparł po dłuższym zastanowieniu. – Nie umiałbym być tak bezwzględny jak nasz komendant.

Uśmiech rodzący się na ustach brodacza momentalnie zniknął.

– Nie chciałbyś wziąć pomsty na ludziach, którzy zamordowali twoich bliskich? – zapytał emisariusz, nie kryjąc niedowierzania.

– Chciałbym... Ale...

Brodacz zamknął teczkę z aktami. Pogładził ją dłonią – niemal czule, jakby zawierała niezwykle cenne pamiątki.

– Myślę, chłopcze, że usłyszałeś tu dzisiaj tyle, że potrzebujesz czasu, by oswoić się z własnymi myślami. My niestety musimy już się zbierać – dodał, wstając. – Czeka nas wizyta w jeszcze trzech obozach...

– Aż w trzech? – Andrzej się ożywił. – To my nie jesteśmy jedyni?

Emisariusz zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– Jeńcy schwytani po nalocie trafili do pięciu obozów. W sumie pojmano niemal tysiąc dwustu ludzi, w tym kilkunastu naszych. Im też muszę pomóc.

– Tysiąc dwustu... – Horodyński oniemiał.

– Posłuchaj mnie uważnie, chłopcze. – Brodacz podszedł do niego.

– Masz czas do wieczora. Dzisiaj nie będziesz pracował. Odpocznij zatem, poukładaj sobie wszystko w głowie, przemyśl sprawę raz, a potem drugi. Ufam, że okażesz się prawdziwym patriotą, jak twój ojciec i dziadkowie.

– Ale co miałbym dla pana robić? – zapytał spanikowany Andrzej, uświadamiając sobie, że przybysz odchodzi, nie podawszy mu żadnych szczegółów.

Emisariusz przystanął w drodze do drzwi.

– Nie dla mnie, lecz dla Polski. Dla wolnej ojczyzny – oświadczył formalnym tonem. – Pokróćce sprawa wygląda tak: potrzebujemy zaufanych ludzi, którzy będą naszymi oczami i uszami.

– Naszymi?

– Japońskimi rzecz jasna, a że Kraj Kwitnącej Wiśni jest naszym sojusznikiem w tej wojnie... – Nieznajomy zawiesił znacząco głos.

- Rozumiem.
- Świetnie. Zatem bywaj, synku. Masz czas do wieczora. Wrócimy po ciebie przed apelem.

ROZDZIAŁ 7

Andrzej leżał na pryczy, wpatrując się tępo w szare deski, na których ułożono wytarty siennik górnego łóżka. Godziny wlekły się niemiłosiernie, ale on nie zwracał uwagi ani na upływ czasu, ani na chłód panujący w pustym baraku.

Emisariusz, którego nazwiska ani imienia nie poznał, dał mu do myślenia. Nie kłamał, mówiąc o ocalałym Tokio. Ta dziwna łuna na północy, którą Horodyński dostrzegł pierwszego wieczora wędrówki przez strefę, nie była fatamorganą ani innym przywidzeniem. Brak jakichkolwiek ruin także zdawał się potwierdzać słowa brodacza. Przecież nawet najlichsze chaty z drewna i papieru musiały stać na grubych palach, które nie wypaliłyby się do cna, zwłaszcza w części wkopanej w ziemię. Zatem miasto przetrwało, i to nietknięte, o czym sadystyczny komendant obozu nie raczył wspomnieć przez ponad dwa miesiące.

Znał całą prawdę, a mimo to wyżywał się na jeńcach, jakby ci naprawdę zamordowali ponad milion jego krajanów i zrównali z ziemią stolicę cesarstwa. Podobnie jak większość strażników, czerpał z cierpienia nieprzyjaciół chorą satysfakcję. „Tak, Araki to ścierwo najgorszego sortu, ale my...”, zawahał się w myślach. „My też nie jesteśmy święci. Byliśmy gotowi oddać życie za możliwość zbombardowania Tokio. Gdyby nas nie zwiedziono, rozpętałibyśmy na tej ziemi piekło, jakiego nie znała historia cywilizacji. Poza tym takich drani jak komendant można znaleźć po każdej stronie dowolnego konfliktu. Rosjanie, dla których walczyłem, nie są bynajmniej wyjątkiem od tej zasady. Czyż nie wymordowali moich bliskich w jeszcze okrutniejszy sposób?”...

Andrzej nie był głupcem i – chociaż w guberni samo wspomnienie powstania styczniowego było surowo karane – wiedział, gdzie i kiedy nadstawić ucha. Gdy alkohol rozwiązywał języki, letnicy często rozprawiali o chwilach dawno minionej chwały, wystarczyło

zatem przycupnąć wieczorem w krzakach pod którymś z uchylonych okien pensjonatu, by nie tylko napatrzeć się na zakazany owoc, ale także wysłuchać wielu naprawdę poruszających i zarazem smutnych historii. Niemal każda bowiem kończyła się źle albo wręcz tragicznie.

Stąd właśnie Horodyński wiedział, że brodacz nie kłamał, kiedy mówił o jego przodkach. W 1863 roku Dolina Prądnika stała się teatrem wielu starć. Położona blisko granicy dwóch zaborów, trudno dostępna okolica została zmieniona w bazę wypadową kilku tysięcy zapalczywych, aczkolwiek słabo uzbrojonych powstańców. Co więcej, w zamku rzeczywiście doszło do masakry, choć rozmawiający o niej półgłosem letnicy nigdy nie zgodzili się co do faktycznej liczby ofiar, a rozrzut w ich relacjach był ogromny, sięgający od kilkunastu do nawet setki wymordowanych.

Andrzej nigdy jednak nie pomyślał, że jego własny dziadek mógł się znajdować wśród rannych powstańców, których wywlekano kolejno na dziedziniec zamkowy i zarzynano, jak nie przymierzając, prosiaki na świniobiciu. Teraz leżał w półmroku i próbował to sobie wyobrazić, ale nie umiał. Po prostu nie umiał.

„A dziadek Szczepan został rozstrzelany. Kiedy? Gdzie? Za co?”... Horodyński wzruszył do siebie ramionami. „Czy to ważne? Rosjanie zabili go, jak Japończycy tych, którzy ich zdaniem pracują najmniej wydajnie, i tylko to się liczy w ostatecznym rozrachunku”.

Z Zenonem była trochę trudniejsza sprawa. Padł ofiarą aktu własnej zemsty, lecz przecież nie musiałby podkładać bomby, gdyby zaborcy wpierw nie zastrzelili jego ojca, a później nie zaszlachtowali teścia. „On przynajmniej nie musiał dorastać wychowywany samotnie przez matkę”, pomyślał chłopak. „Miał tatę, którego na pewno bardzo kochał i szanował, skoro zdecydował się na to samobójcze posunięcie”.

Z westchnieniem pogodził się z tym, że szczegółów być może nigdy nie uda mu się poznać, i skupiwszy wzrok na zwisającym spomiędzy desek żdźble słomy, zmarszczył brew. „Jak nazywał się ten człowiek,

który nakłonił ojca do wysadzenia siebie i gubernatora? Stanisław jakiś tam, na G chyba. On ponoć wszystko wie na ten temat”...

Horodyński podłożył ręce pod głowę. Ludzie, których miał za towarzyszy broni, a potem niedoli, okazali się prawdziwszym i gorszym wrogiem niż naród, z którym wspólnie wojowali. Carscy wzięli go w kamasze, wyrwali z ramion zapłakanej matki, podobnie jak kilku innych chłopaków, których po raz ostatni widział na pokładzie Kniazia Borysa, gdy odlatywał z Krakowa do Gdańska, skąd potem już jako jedyny trafił na daleką północ. Jego koledzy z Ojcowca, z którymi do niedawna bawił się i chodził do szkoły, zostali wysłani prosto na front, gdzieś za Ural. Niewykluczone, że to oni stali się mięsem armatnim w operacji, której celem było odwrócenie uwagi od działań zjednoczonej floty.

Tak myśli Andrzeja zbłądziły na wiceadmirała. Stiepan Osipowicz Makarow, stary akademik i zarazem carski oficer, który jako jeden z niewielu zachowywał się wobec niego w porządku na pokładzie Pietropawłowska, w świetle słów tajemniczego emisariusza także powinien być postrzegany jako wróg. Podobnie jak wszyscy pozostali Rosjanie, Niemcy, Austriacy i Węgrzy osadzeni w tym obozie. Bo to przecież zaborcy, ciemężyciele.

„Mam zatem wysługiwać się potworowi w ludzkiej skórze, który kazał mnie wtrącić do kloacznego dołu, gdzie wisiałem pomimo wybitego barku, cierpiąc niewysłowione katusze? Mam mu donosić na ludzi takich, jak batuszka Makarow, mimo że ten zachowywał się wobec mnie i reszty kadetów jak ojciec, którego nigdy nie poznałem?”, rozmyślał w samotności Horodyński. „Trudna sprawa, bardzo trudna”.

Minuta za minutą, godzina za godziną walczył ze sobą, próbując wykrzesać choć odrobinę nienawiści do ludzi, z którymi od dwóch miesięcy dzielił ten barak. Nadaremno. Zbrodniarze, którzy odpowiadali za śmierć jego bliskich, dawno pomarli albo dogorywali właśnie gdzieś na drugim końcu świata. Powstanie upadło czterdzieści lat temu, ojciec, którego nawet nie pamiętał, wysadził

się prawie trzy dekady później... Zamach na gubernatora był chyba jednym z ostatnich zrywów przeciw narzuconej siłą władzy.

Tak przynajmniej uważał Andrzej, który żył pod kloszem zbudowanym przez matkę, z dala od polityki i wielkiego świata. Dzięki swojej zaściankowości nie czuł się kimś gorszym. Nie wyznawał ideałów, które kazały jego przodkom sięgać po broń w – beznadziejnych, jak się okazało – powstańczych zrywach. Wiedział, że poświęcenie i śmierć tych ludzi poszły na marne – rusyfikacja postępowała bez większych przeszkód, czego on był najlepszym dowodem.

Mieszkał na zabitej dechami wsi, daleko od miejsc, w których politykowano. Na zadupiu zadupia, gdzie takie cuda jak gazeta trafiały wyłącznie z letnikami, a o radio nikt jeszcze nie słyszał. Matka zadbała o to, by nie nabijał sobie głowy ideami, które doprowadziły do zguby jej najbliższych. Aż do tego dnia Andrzej nie zastanowił się ani razu, czy jest Rosjaninem czy raczej Polakiem. Mówił po polsku, ponieważ język ten kultywowano w wielu domach na zasadzie tradycji, ale rosyjskim posługiwał się biegle – w szkole i w powiecie zbierał wyróżnienia za deklamacje i referaty. Był przeciętnym obywatelem podbitej prowincji, którego nie obchodziło na co dzień ani od święta, kto jest gubernatorem, a kto carem.

Niestety to sielskie życie należało już do przeszłości. Ukaz, na mocy którego poszedł w kamasze, zmienił wszystko. Jak wcześniej dziadkowie i ojciec, stał się pionkiem w wielkiej grze, której zasad nie znał i nie rozumiał. „Skoro taki mus, wezmę w niej udział”, zdecydował. „Ale nie skończę jak oni”.

Czy aby na pewno?

Jeńcy, z którymi współdzielił ten barak, byli mu jak bracia albo wujowie – opiekowali się nim, chronili go, poświęcali się dla niego... Nie, wróc, prawda wyglądała nieco inaczej. To, że wciąż żył, zawdzięczał wyłącznie pragnieniu zemsty komendanta, który czekał na wieści ze stolicy z cierpliwością jadowitego pająka, tkwiącego pośrodku utkanej misternie sieci. Ale czy ten fakt cokolwiek

zmieniał? Czy towarzysze niedoli stali się przez to kimś gorszym? Wrogiem, na którego trzeba donosić?

Im dłużej Andrzej nad tym wszystkim rozmyślał, tym smutniejszy się robił, gdyż z czasem zaczęło do niego docierać, że nie ma wyjścia: jeśli chciał przeżyć, musiał przystać na propozycję emisariusza, ponieważ odmowa byłaby równoznaczna z pozostaniem w obozie do czasu, aż niewolnicza praca lub wyrok sądu zakończy jego męki. Innego rozwiązania nie było, chyba że pomaszerowałyby prosto na druty, jak tamci straceńcy, których zmasakrowane ciała wywieziono ciemną nocą gdzieś w nieznane. Nie, tego nie mógł zrobić matce, nie po tym, jak pochowała ojca, teścia i męża.

„Myśl!”, nakazał sobie rozeźlony tą konstatacją. „Przecież musi istnieć jakieś inne rozwiązanie!”...

Poszukiwania trzeciej drogi – wyjścia umożliwiającego pozostanie przy życiu przy równoczesnym uniknięciu współpracy z Japończykami – spełzły jednak na niczym, choć poświęcił na nie zdecydowaną większość popołudnia. W pewnym momencie usiadł na pryczy, kryjąc twarz w dłoniach. Czas mijał, przyszła pora decyzji, a on wciąż nie był gotowy.

Wzdrygnął się, gdy w oddali usłyszał piskliwy dźwięk klaksonu. „Już wrócili!”... Rozejrzał się półprzytomnie. Wewnątrz baraku panował przyjemny półmrok dzięki temu, że wszystkie okiennice były zamknięte, lecz przenikające przez szpary smugi światła wciąż połyskiwały złociście, co świadczyło, że nie jest jeszcze późno.

Andrzej usiadł prościej, otarł łzy, poprawił bluzę. Zrobił na przemian kilka głębokich wdechów i wydechów, ale obawy czy też lęku nie zdołał wygnać z serca ani z głowy. Zastrzygł za to uszami, gdy z zewnątrz dobiegły dźwięki, jakich nie miał prawa usłyszeć w tym miejscu.

Zerwał się na nogi i podbiegł do najbliższej okiennicy. Deski, z których ją zbito, były bardzo nierówne, szybko więc znalazł szczelinę i wyjrzał na plac. Zobaczył tył samochodu, a tuż obok...

Uśmiechnięty od ucha do ucha Araki kuczał przed dwojgiem dzieci. Dziewczynka mogła mieć cztery latka, góra pięć. Ubrano ją w różowe kimono, czyli rodzaj tutejszego stroju, noszonego zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn. Chłopczyk, może o rok starszy od niej, miał na sobie nieco wygodniejsze odzienie, aczkolwiek również fantazyjnie egzotyczne. Komendant droczył się z nimi przez chwilę, po czym ucałował oboje i nie wstając, przyglądał się, jak roześmiane pociechy odbiegają w stronę samochodu.

Potwór ukazał ludzką twarz. To powinno ucieszyć obserwującego sielski widok jeńca, ale Horodyński ani się nie uśmiechnął, ani nie poczuł ulgi. Jego sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej.

ROZDZIAŁ 8

Józef Piłsudski milczał od chwili, gdy samochód wiozący jego i generała opuścił przedostatni z wizytowanych obozów. Sprawy nie układały się po jego myśli. Spośród jedenastu „rodaków” – wytypowanych wspólnie po uważnym przestudiowaniu akt jeńców – dziewięciu nie rokowało żadnych nadziei. Byli to podoficerowie od dawna służący w marynarkach powietrznych trzech zaborczych mocarstw, jeden dochrapał się nawet funkcji głównego mechanika na podrzędnym kaiserowskim niszczycielu. Jeśli nie ulegli do reszty germanizacji ani rusyfikacji, to lojalność wobec towarzyszy broni, wykuta podczas wielu lat wspólnej służby, nie zezwalała im choćby na myśl o zdradzie.

To wszystko można było oczywiście wyczytać z dokumentów, ale Piłsudski uparł się, że porozmawia z każdym z osobna, jakby jego słowa miały moc zaklinania rzeczywistości.

Niestety przecenił się w tej mierze, co zrozumiał dopiero poniewczasie. W efekcie żaden z jego rozmówców nie usłyszał propozycji, która była powodem – i celem – przesłuchań. Kolejni kandydaci na agentów dowiadawali się, że brodacz jest wizytującym obozy przedstawicielem Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, i na tym kończono bezowocne spotkania.

Tyle dobrego, że Murata, widząc narastającą frustrację gościa, pozwolił mu palić między przesłuchaniami. W ciasnej przestrzeni samochodu nie było to jednak możliwe, zresztą nawet gdyby Japończyk dał się przekonać, to i tak papierosnica była już pusta.

– Generale... – Józef odezwał się po francusku, w języku, którym obaj władali.

Francuszczyzny używali tylko w sytuacji, kiedy chcieli porozmawiać bez angażowania towarzyszącego im tłumacza.

– Słucham. – Wyrwany z zamyślenia Japończyk przestał wpatrywać się w okno.

– Wiem, że wyniki naszych dotychczasowych spotkań są rozczarowujące, ale musi pan zrozumieć, że to nie kontynent, gdzie mamy do czynienia z masami młodzików, którzy dopiero co zostali wcieleni do wojska. Flota, w odróżnieniu od piechoty, rzadko przyjmuje w swoje szeregi niepewny element. Służba na okrętach to przecież wielka odpowiedzialność i wiążący się z tym prestiż. Sprzęt wart miliony marek, koron albo rubli nie trafia w ręce byle kogo. W dodatku chętnych do służby na latających fortecach jest więcej niż dostępnych miejsc. Rekrutanci odsiewają więc bez trudu mąciwodów, co skutkuje tym, że potencjalni kadeci powiązani w jakikolwiek sposób z powstańcami, czy choćby podejrzewani o sympatie socjalistyczne, odpadają w przedbiegach, że się tak wyrażę.

– Teraz pan do tego doszedł? – zapytał zwięźle Japończyk.

– Nie – zapewnił go niezrażony tym przytykiem Józef. – Spodziewałem się takiego obrotu sprawy, ale proszę powiedzieć: czy miałem inne wyjście? Zażądaliście dowodu na naszą zdolność do współpracy, zanim dopuścicie mnie do obozów na kontynencie, próbuję więc rozpaczliwie wam dogodzić, niemniej jak to mówią, z... – zająknął się i dokończył: – z piasku biczu nie ukręcisz.

– Macie bardzo ciekawe i obrazowe powiedzenia – odparł Murata pozornie nie na temat.

Józef Piłsudski, emisariusz ruchu rewolucyjnego z kraju nieistniejącego od prawie półtora wieku, człowiek, którego nazwiska nikt w japońskim sztabie generalnym nie umiał wymówić, nawiązał przed kilkoma miesiącami kontakt z baronem Akashi, członkiem poselstwa akredytowanego w Genewie, a niejawnie pułkownikiem wywiadu wspierającym te europejskie siły, które mogłyby zdestabilizować zaplecze wroga. Polscy socjaliści idealnie nadawali się do tego celu. Gdyby udało się ich zaktywizować i ukierunkować, mogliby zaszkodzić nie jednemu, lecz aż trzem mocarstwom naraz. Problem polegał na tym, że organizacje zrzeszające polskich

aktywistów były jeszcze bardziej podzielone niż sam naród żyjący pod trzema zaborami.

Józef Piłsudski nie był pierwszym emisariuszem, który przybył do Tokio. Jego poprzednicy – wszyscy bez wyjątku odprawieni z kwitkiem – w jednej tylko sprawie byli zgodni: zarzekali się na wszystkie świętości, że Ziuk, jak go nazywali, nie jest wart zaufania dalekiego sojusznika.

Chyba to właśnie przeważało. Sztab generalny Imperium Wschodzącego Słońca uznał, że skoro ci ludzie tak bardzo obawiają się rywala, ten musi być od nich o niebo lepszy. Akashi także wystawił Józefowi znakomite referencje, ale ostateczna decyzja o podjęciu współpracy zależała od tego, czy emisariusz Piłsudski będzie w stanie udowodnić swoją i Polaków przydatność dla sprawy. Miał to zrobić, organizując siatkę informatorów, która pomoże zinfiltrować środowisko jeńców pojmanych w okolicach Zatoki Tokijskiej – tak przynajmniej głosiła oficjalna wersja.

Emisariusz podjął się tego zadania z entuzjazmem, lecz w miarę upływu czasu mina mu rzedła. Widocznych efektów nie było, za to zaczęły się wymówki i prośby o umożliwienie dostępu do obozów przejściowych, w których wedle jego informacji przetrzymywano sto dwadzieścia pięć tysięcy jeńców wziętych do niewoli w czasie ostatniej fazy kampanii syberyjskiej. Wśród nich było bowiem wielu dezertersów, głównie młodych ludzi pochodzących z jego ojczyzny podzielonej między niegdyś wrogie sobie mocarstwa, których wcielano przymusem do jednostek liniowych i zmuszano do walki po stronie znienawidzonych zaborców.

W początkowej fazie tej wojny formowano z nich całe regimenty i pułki, ale po paru spektakularnych wpadkach, gdy jednostki te poddawały się bez oddania strzału, naczelne dowództwo sił koalicyjnych poszło po rozum do głowy i zaczęło wcielać niepewnych rekrutów do już istniejących oddziałów, którym bez ustanku trzeba było posyłać uzupełnienia. To powstrzymało lawinę dezercji, ale nie zlikwidowało problemu.

– Jeśli ostatni kandydat się nie nada, zawsze możemy sięgnąć po któregoś z obiecujących dezertersów. Przecież oni aż rwą się do współpracy – dodał Piłsudski, spoglądając za okno, na księżycowy krajobraz, w jaki flota zamieniła sporą część nadmorskiej równiny. – Wystarczy, że dacie mi przepustkę na wjazd do Urgi.

– To się nie uda – zawyrokował generał, zastanowiwszy się nad propozycją współtowarzysza podróży. – Piechur nigdy nie zdoła zinfiltrować środowiska marynarzy. To szczone lisy, zaprawieni w boju weterani, nie szczury lądowe zagnane siłą w kamasze. Idę o zakład, że od razu się zorientują, iż posłaliśmy im szpiega, bo skąd tutaj nagle jeniec z oddziałów, które walczyły na frontach odległych od Japonii o trzy i więcej tysięcy wiorst?

– Stąd, że ktoś musi uprzątnąć ten bałagan. – Piłsudski wskazał widoczne za oknem pogorzelnisko. – W sztabie powiedziano mi, że pracujecie już nad logistyczną stroną operacji przerzutu do tutejszych obozów dziesięciu, może nawet dwudziestu tysięcy jeńców, głównie z frontu północnego.

– To się nie uda. – Murata obstawał przy swoim. – Oba warianty są złe.

– Dlaczego?

– Jeśli sprowadzimy tutaj tylko wybranych jeńców, którzy zgodzą się na współpracę, marynarze z pewnością nie dopuszczą ich do żadnych tajemnic, podejrzewając, skądinąd słusznie, że ich rozpracowujemy. Mówimy przecież o marynarzach, którzy doskonale wiedzą, jak wygląda sytuacja na terenie zaborów. Żeby wkraść się w łaski rozpracowywanych, trzeba czasu, a tego nie mamy zbyt wiele, ponieważ zorganizowanie powstania na zapleczu wroga potrwa, a nasze armie już są bliskie przekroczenia Uralu. Jeśli natomiast sprowadzimy tutaj dużą liczbę jeńców i wpakujemy ich wszystkich do obozów z marynarzami, możemy być pewni, że znajdzie się wśród nich sporo takich, którzy uprzedzą towarzyszy broni z floty, kto poddał się wrogowi bez walki. To wystarczy, by wznieść dwa razy wyższy mur nieufności.

– Ma pan rację – przyznał zafrasowany emisariusz. – Zatem nie pozostaje mi nic innego, jak tylko popracować nad tymi dwoma przypadkami.

– Nadal bierze pan pod uwagę Horodini... tego dzieciaka? – zdziwił się generał.

– Tak.

– Moim zdaniem to strata czasu.

– Dlaczego pan tak uważa?

– To żółtodziób. Trafił na okręt zaledwie kilka miesięcy temu, w dodatku ma czysto polskie pochodzenie. – Murata spojrzął uważniej na rozmówcę. – Jeśli mówił pan poważnie to, co przed momentem usłyszałem, wszystko będzie świadczyć na jego niekorzyść.

– I tak, i nie – odpowiedział enigmatycznie Piłsudski. – Jest nikiem, to prawda, ale proszę nie zapominać, że przecież nawet skrupulatna zazwyczaj ochrana nie miała żadnych obiekcji i dopuściła go do odpowiedzialnej służby na flagowcu...

– Jak to w ogóle możliwe przy tak ścisłych powiązaniach rodzinnych z zabitymi powstańcami? – Generał wpadł mu w słowo. – Zaczynam podejrzewać, że ta cała carska ochrana to banda nieudaczników.

Piłsudski nabrał tchu, jakby chciał zaprotestować, lecz zmilczał. Popadł za to w zadumę.

– Muszę przyznać się do czegoś, generale – odezwał się po dłuższej chwili. – Trochę konfabulowałem, przedstawiając temu chłopakowi historię jego rodziny.

– Co takiego?! – Japończyk bacznie mu się przyjrzał. – Zmyślił pan to wszystko?

– Wszystko? Nie... Prawie wszystko.

– Ale dlaczego?

– Pomyślałem, że dobrze by było pchnąć szczeniaka we właściwym kierunku. On jest jak dziecko we mgle... to też jedno z naszych powiedzeń – wyjaśnił, widząc niezrozumienie malujące

się na twarzy rozmówcy. – Zauważyłem pasującą datę, zadałem parę pytań, które utwierdziły mnie w przekonaniu, że chłopak niewiele wie o swoich przodkach...

– O jakiej dacie mowa?

– O dniu śmierci dziadka. Czwarty marca pasował idealnie do masakry na zamku. Każdy, kto pochodzi z okolic Ojcowa, musiał o tych wydarzeniach słyszeć. Nie oficjalnie oczywiście, ale... Naprawdę sporo można się dowiedzieć, jeśli człowiek wie, gdzie ucho przyłożyć. Potem miałem już z górki.

– Zamach też pan zmyślił?

– Nie. Kielecki gubernator faktycznie zginął w fabryce mechów, aczkolwiek sprawców zamachu na niego nigdy nie ustalono, uznałem więc, że nie zaszkodzi zasiać i tego ziarna.

– Jest pan prawie tak dobry w knowaniach jak Machiavelli – stwierdził generał.

– Ale za to niewątpliwie przystojniejszy – zażartował emisariusz.

– Tego niestety nie jestem w stanie ocenić. – Murata wycofał się dyplomatycznie. – Wróćmy jednak do tematu. Mamy już jasność, dlaczego ochrona przepuściła kandydaturę tego chłopaka. Jego kartoteka musiała być czysta, a jak widać po odpowiedziach, wcześniej nie zastanawiał się nawet, czy jest Polakiem.

– To prawda – przyznał Piłsudski i zaraz dodał: – Choć ojczystą mowę jeszcze pamięta... – Znów się zasepił. – Z każdym rokiem jest gorzej, ludzie na prowincji po piątym pokoleniu zaczynają zapominać, że kiedyś mieli wolną ojczyznę. Przyzwyczajają się do nowych warunków, zatracają w wielonarodowym tyglu. W dużych miastach jest inaczej, tam duch narodowy wciąż trwa, ogień buntu płonie... i w tym nasza największa nadzieja. Jeśli nas wspomóc...

– Decyzja o pomocy zostanie podjęta, gdy wywiąże się pan z zadania – przypomniał mu generał, kierując rozmowę na właściwe tory.

– Racja – zmitygował się Józef Piłsudski. – Chłopak jest nikim, jak pan słusznie zauważył, ale to akurat powinno przemawiać na jego

korzyść. Widział pan tych fliegrów, których przesłuchiwałem w Shinagawie i w Edzie. To przecież też moi ziomkowie. Wszyscy jak jeden mąż pochodzący ze starych dobrych rodzin, a jednak ciałem i duszą oddani zaborcom. U licha, Horodyński służył na carskim pancerniku, do tego flagowcu! Był pierwszym gońcem samego wiceadmirała. To chyba najlepsza rekomendacja.

– Skoro pan się upiera... – Japończyk wzruszył ramionami.

– Więcej powiem: jeśli wśród tutejszych jeńców kryją się jacyś wyżsi oficerowie...

– Bądźmy szczerzy – przerwał mu generał. – Kempeitai nie przypomina w niczym ochrony, dlatego jestem pewien, że nie przeoczyłaby żadnego admirała. Szukamy kogokolwiek, kto nada się do postawienia przed trybunałem. Kapitanów mniejszych okrętów, oficerów łącznikowych, wszystkich tych, którzy mogli się nam wymknąć.

– Rozumiem. Jeśli wśród jeńców są oficerowie, to mogą potrzebować kogoś tak niezauważalnego, jak nasz prosty kadet, choćby do przynoszenia wiadomości albo rozkazów. Wiem, co mówię, sam przecież działałem od wielu lat w tajnej organizacji wywrotowej. Tacy niewidzialni kurierzy to podstawa sukcesu. Idę więc o zakład, że nasi konspiratorzy będą chcieli wykorzystać tego dzieciaka, jeśli tylko umiejętnie im go podsunie.

– Może mieć pan rację, ale widzę większy problem. On... – Generał się zawahał. – On nie da rady.

– Proszę dać mi kilka dni, a popracuję nad nim – obiecał Piłsudski.

– Widzę w tym chłopaku ogromny potencjał. Zrobię z niego asa wywiadu, ma pan na to moje słowo. A te wszystkie niedostatki, na które zwrócił pan uwagę, będą pracowały na jego korzyść. Jestem tego pe...

Emisariusz zamilkł, ponieważ zagłuszyło go tykanie bezprzewodowego telegrafu, zamontowanego za ławą szofera.

Urządzenie to wynalazł jego rodak, Julian Ochorowicz, wielki wizjoner, człowiek wielu talentów, czasem bardzo zaskakujących.

Oczywiście nowinkę tę udoskonalili, i to znacznie, pomysłowi wyspiarze.

Generał pochylił się szybko, by ująć w dłonie pasek zadrukowanego kropkami i kreskami papieru. Lampka umieszczona nad urządzeniem migotała lekko w takt pracy automobilowego dynama, lecz dawała przy tym wystarczająco dużo żółtawego światła, by dało się odczytać wydrukowaną wiadomość.

– Nie jest dobrze – rzucił zwięźle Murata, opadając na siedzisko.

– Co się stało?

– W obozie numer pięć doszło do rozruchów – wyjaśnił Japończyk.

– Jeńcy pracujący przy usuwaniu skutków bombardowania trafili dzisiaj na spore nagromadzenie beczek po gazach i różnych truciznach. Przy ich uprzątnięciu kilkunastu z nich poczuło się źle. Połowa nie przeżyła kontaktu z niebezpiecznymi substancjami, czemu nie ma się co dziwić, zważywszy, że koalicja zamierzała nam rzucić na głowy wszystkie najgorsze świństwa, jakie zna ludzkość. Widok konających w mękach towarzyszy broni rozjuszył pozostałych jeńców. Doszło do buntu. Dowódca straży musiał użyć mechów, zanim udało się ponownie zaprowadzić porządek.

– Szlag – mruknął zawiedziony Piłsudski, który natychmiast zdał sobie sprawę, co dla nich oznacza ta wiadomość. – A co z naszym człowiekiem? Znalazł się wśród ofiar?

– Nie, ale i tak nie dożyje wieczora. W czasie zamieszek został trafiony półcalowym pociskiem. Urwało mu nogę tuż nad kolanem. Porucznik Watanabe zameldował, że ranny właśnie się wykrwawia.

– Nie mogą go ratować? – Emisariusz podniósł głos.

– Nie mają jak. Jeńcy pracowali w głębi strefy. Do wypadku i późniejszej masakry doszło ponad *ri* od linii kolejowej.

Murata nie musiał nic więcej dodawać. *Ri* – z tego, co Józef pamiętał – było równe niemal czterem wiorstom. Człowiek poważnie ranny nie przetrwałby tak długiego transportu, a dotarcie do torów było przecież pierwszym z kilku etapów podróży. Gdzie jazda pociągiem i dalszy marsz ze stacji do obozu?

– Albo nade mną, albo nad naszą sprawą wisi chyba jakieś fatum!
– Rozeźlony Piłsudski zmełł w ustach przekleństwo. – Albo i nie fatum. Czasami odnoszę wrażenie, że ktoś celowo sabotuje moje poczynania...

Generalł zmierzył go surowym spojrzeniem, w którym była nie tylko nagana, ale też coś więcej, czego emisariusz nie umiałby nazwać.

– Na pańskim miejscu uważałbym na słowa. Zwłaszcza takie słowa. Jesteśmy ludźmi honoru, powiedzenie nam prosto w oczy, że oszukujemy, mogłoby kosztować pana więcej niż tylko utratę zaufania. Radzę o tym pamiętać.

– Przepraszam... – Piłsudski pochylił głowę, całkiem udatnie naśladowując miejscowy zwyczaj. On także szybko się uczył. – Kornie proszę o wybaczenie. Czasem palnę słowo za dużo, ale ta sytuacja...

– Wiem i rozumiem. Dlatego puszczam tę uwagę mimo uszu, niemniej dobrze panu radzę, proszę trzymać nerwy na wodzy. Moi przełożeni na pewno nie będą tak wyrozumieli.

Murata odwrócił wzrok. Rozmówca był bardzo bystrym człowiekiem, mógłby więc spostrzec w jego postawie, spojrzeniu lub minie coś, co by go utwierdziło w słusznym skądinąd podejrzeniu. Wprawdzie incydent w obozie numer pięć nie został zainscenizowany przez służby – sztab generalny nie miał interesu w zniechęcaniu potencjalnych sojuszników, nawet jeśli byli to gaijini – lecz rozkazy wydane przez ministra spraw zagranicznych mówiły jasno: trzeba zwodzić Polaków najdłużej jak się da.

Powód takiego stanu rzeczy był prosty. Przywołanie smoków na pomoc pociągało za sobą konsekwencje, a cena, jaką musiano zapłacić, była nieodmiennie wysoka. Dlatego właśnie obozy jenieckie, które emisariusz tak desperacko chciał odwiedzić, świeciły obecnie pustkami – na szczęście problem ten miał lada dzień zejść na plan dalszy. Zamieniony w twierdzę Sachalin powinien upaść w ciągu najbliższego tygodnia. Jeśli tak się stanie, emisariusz Piłsudski z pewnością zapragnie zmienić cel swojej podróży i przez

jeszcze jakiś czas nie odkryje, że tysiące jego krajanów podzieliły los zaborców schwytanych na froncie północnym. To bowiem mogłoby niestety zmienić jego nastawienie do potencjalnych sojuszników.

– Zatem został nam już tylko Horodyński... – wymamrotał tymczasem zasmucony emisariusz.

ROZDZIAŁ 9

Andrzeja doprowadzono do komendantury tuż przed zachodem słońca. Strażnicy wywlekli go z baraku, ledwie generał i towarzyszący mu brodacz weszli do budynku. Kapitan Araki powitał gości, po czym dyskretnie zniknął im z oczu, nie chcąc zapewne przechodzić po raz kolejny upokorzenia, jakim musiało dla niego być wyproszenie z własnego gabinetu, i to w obecności znieawidzonego więźnia.

Horodyński stanął więc przed przybyszami nieco mniej stremowany i wystraszony niż za pierwszym razem. Dobrze wykorzystał czas, który mu dali na przemyślenie tego, co usłyszał, i na podjęcie decyzji. Był gotów udzielić im wiążącej odpowiedzi.

– Chcesz iść w ślady ojca i obu dziadków? – Emisariusz także przeszedł od razu do sedna. – Chcesz zawalczyć, synu, o wolną Polskę, w której pamięć o nich nigdy nie zginie?

Uderzył w patriotyczne tony, ponieważ w nich upatrywał szansę na szybki sukces. Podczas pierwszego spotkania zasiał w chłopaku ziarno buntu i dał mu czas do namysłu, czując, że pozostawiony sam sobie kadet musi dojść do jedyne go słusznego wniosku. I tak właśnie się stało.

– Chcę. – Andrzej odpowiedział pewniejszym tonem, niż spodziewali się tego generał i jego towarzysze.

– Świetnie! – Piłsudski odetchnął z ulgą.

Wierzył, że chłopak ulegnie jego namowom, ale przypuszczał, że uczyni to raczej z ogromną niechęcią, będzie współpracował nie z przekonania, lecz ze strachu przed dalszymi katuszami. Pozyskanie go jako agenta byłoby cenne również w takim wypadku, aczkolwiek Józef wiedział z doświadczenia, że ludzie działający z niskich pobudek bywają bardzo niestali – czy też zmienni, jak chorągiewki na wietrze. Mogłoby więc dojść do sytuacji, w której

Horodyński zacząłby kombinować, wybierając takie rozwiązania, które są najlepsze dla niego, a niekoniecznie dla sprawy.

Podwójna gra nie uszłaby zapewne uwagi obserwujących jego poczynania Japończyków, a Piłsudski słusznie się obawiał, że w obecnych warunkach każde niepowodzenie polskich emisariuszy mogło być tym ostatnim.

Zupełnie inaczej rzecz by się miała, gdyby skażony zwątpieniem kadet odkrył w sobie pragnienie, a nawet żądzę zemsty. Wtedy urobienie go byłoby o wiele prostsze, ponieważ nie ma łatwiejszej rzeczy do uformowania niż umysł zagorzałego idealisty, w dodatku nieletniego i mającego tak słabe pojęcie o świecie. Dlatego właśnie Piłsudski szczerze się ucieszył, słysząc zdecydowany ton odpowiedzi.

– Boję się tylko – dodał pośpiesznie Andrzej, zmazując uśmiech z twarzy brodacza – że niewiele mogę wam powiedzieć o tym obozie. Komendant trzyma nas krótko. Nie mam żadnych kontaktów z jeńcami z pozostałych baraków. Ani na apelach, ani przy robocie. Nawet podczas transportu strażnicy zamykają nas zawsze w osobnych wagonach.

– Tym się nie kłopotcz, synku. – Emisariusz pozwolił sobie na kolejny, choć tym razem bledszy uśmiech. – Nie będziesz musiał rozpracowywać ludzi, z którymi łączą cię tak silne więzi emocjonalne.

– Nie? – Zdezorientowany kadet spojrzał najpierw na niego, potem na generała. – Co zatem...

– Zostaniesz przeniesiony do innego, większego obozu – wyjaśnił Piłsudski, przerywając mu.

– Nie uwolnicie mnie? – Chłopakowi zaczął się łamać głos.

– Uwolnimy, synku, masz na to moje słowo – zapewnił emisariusz, łagodząc wcześniejsze wrażenie. – Tyle że nie od razu – dodał. – Najpierw musisz zasłużyć na ułaskawienie. Tylko od ciebie będzie zależało, ile to potrwa. I jeszcze jedno... – Wstał, by objąć ramieniem zgarbionego jeńca. – Tam nie będzie jak tutaj. Pułkownik Yamaguchi,

któremu podlega obóz w Shinagawie, zostanie wprowadzony w sprawę.

– Myślałem, że... – bąknął Horodyński, nie podnosząc głowy.

– Wiem, synku, wiem. – Emisariusz uściśnął go, jakby chciał dodać mu tym gestem otuchy. – Będzie dobrze, zobaczysz. Shinagawa to duży obóz, w niczym nie przypomina tego waszego... piekiełka. Przebywa tam prawie ośmiuset jeńców, ale już za kilka dni ich liczba sięgnie tysiąca. Szykują się transfery, rozumiesz?

– Rozumiem...

– Wiesz może, co będziemy świętowali dwudziestego piątego listopada? – Piłsudski niespodziewanie zmienił temat.

– Nie...

– Zbliża się okrągłutka rocznica bitwy nad zatoką Hakata. Dziesiąty rok nowej ery minął jak z bicia strzelił.

Hakata. Tę nazwę znał każdy człowiek, po którego głowie błądziły myśli. Emisariusz nie przesadzał. Dwudziestego piątego listopada Władca Państwa Środka i Reszty Świata ugiął karku i uznał zwierzchność boskiego *tennō* oraz stojącej za nim Amaterasu. Na ironię zakrawał przy tym fakt, że smoki stały się narzędziem w ręce ostatniego bóstwa, jak to było przepowiedziane, z tym że nie był nim ich stwórca.

– Hakata...

– Tak, synku, Hakata. Z tej okazji w stolicy odbędzie się wielka parada wojskowa, a w jej skład wejdziecie także wy, jeńcy pojmani po nalocie. Ty i twoi towarzysze traficie do Tokio w sobotę rano. Do tego czasu będziesz przebywał tutaj – po zaaplikowaniu szokujących wieści, czyli przysłowiowego kija, przyszła w końcu pora na marchewkę – ale bez obaw, twoja niewolnicza praca dobiegła końca. Przygotowaliśmy dla ciebie doskonałą przykrywkę. Zostaniesz zabrany z obozu przez ludzi generała. Zawiozą cię do Jokohamy, gdzie rzekomo podda się cię przesłuchaniu w sprawie napaści na mistrza Kanō. W rzeczywistości trafisz nie przed sąd, lecz do nas, znaczy do mnie i mojego druha Tytusa Filipowicza, z którym

będziemy ci wyklądać wszystko po kolei, abyś był gotowy do wykonania misji.

– I nie będę musiał donosić na nikogo? – upewnił się Andrzej.

– Synku, zrozum wreszcie, ty nie będziesz szpiclem, tylko szpiegiem. – Piłsudski spojrzał na niego z wyrzutem. – Zostaniesz agentem polskiego wywiadu, a to wielka różnica. Donosi się na swoich, a agent tropi wroga. Wiem... – Uniósł rękę, widząc, że kadet otwiera usta, jakby chciał zabrać głos. – Wiem, że dla ciebie to jedno i to samo, ale uwierz mi na słowo, wystarczy głębiej się zastanowić, a dojdiesz do właściwych wniosków. My tu swołocz najgorszą tropimy. Drani, którzy latami paśli się na krwi bohaterów, takich jak twój dziadkowie i ojciec. A teraz najlepsze. Jak Bóg da... znaczy jak Amaterasu pozwoli... uwiniesz się w tydzień albo dwa, a potem będziesz wolny jak ptak.

– I pozwolicie mi wrócić do domu? – W oczach Horodyńskiego zapłonęła nadzieja.

– Tak, choć nie od razu – odparł dyplomatycznie emisariusz. – Japoński wywiad musi przygotować wiarygodne papiery, inaczej ochrona cię capnie i trafisz na powrót do obozu, ale o wiele gorszego. Wiem, co mówię, bo sam byłem na zsyłce. Pięć lat na Syberii, rozumiesz? Najpierw w Irkucku, potem w Kiereńsku. Straszne odludzie. Wieczna zima. Tylko mróz i zawieje, wy tutaj macie wywczas w porównaniu z tym, co my tam... – Musiał nabrać tchu, by zapanować nad emocjami. Andrzej skinął głową, nie zdając sobie sprawy, że to tylko wyuczona kwestia, spektakl na użytek urabianych kandydatów. – Do tego czasu będziesz przebywał pod moją opieką. Popracujemy razem, by uwolnić innych naszych rodaków. Ale będziesz na wyspach gościem, nie więźniem, pamiętaj. Zobacysz, jaki to piękny kraj. Inny, dziwny, ale także ogromnie fascynujący...

W to akurat Horodyński potrafił uwierzyć. Przypomniwał sobie bambusowe lasy, tak odmienne od wszystkiego, co widział w Dolinie Prądnika, japońskie pismo niepodobne do żadnego innego

i widywane od czasu do czasu stroje miejscowych, zwłaszcza te odświętne. Dla chłopaka z prowincjonalnej guberni to naprawdę był dziwny świat.

– Tylko dwa tygodnie? – zapytał, skuszony roztoczoną wizją.

– Tylko dwa tygodnie – powtórzył jak echo emisariusz. – Może kilka dni mniej, może parę więcej. Z doświadczenia jednak wiem, że tyle powinno wystarczyć.

Uspokojony Andrzej potaknął w milczeniu.

– Rozumiesz, że nikomu nie możesz powtórzyć nawet słowa z tej rozmowy? – zapytał przez tłumacza generał.

– *Hai* – odparł zwięźle kadet.

– Nikomu. Nawet słowa – powtórzył Murata z większym naciskiem.

– *Hai!*

Japończyk posłał znaczące spojrzenie emisariuszowi.

– A co się tyczy nowego munduru, najlepiej będzie, jeśli powiesz, że wydano ci go dzisiaj, ponieważ masz się stawić przed obliczem sędziego, a nie przystoi, żebyś kalał jego wzrok i powonienie. Możesz też się przebrać w swoje dawne łaachmany. Tę decyzję pozostawiamy tobie.

Drobiazg taki, niby nic, a jednak ważne zagranie. Horodyński po raz pierwszy od bardzo dawna mógł zadecydować, jak ma być.

– Z dwojga złego wolę się tłumaczyć.

I tak świeżo upieczony współpracownik japońskiego wywiadu, sam o tym nie wiedząc, przejdzie pierwszy test. Jeśli go nie zda, oszczędzi prowadzącym kłopotu. Nie byłby pierwszym ani nie ostatnim, choć w tym akurat przypadku brodacz trzymał kciuki za powodzenie operacji, ponieważ to była jego ostatnia szansa.

– Świetnie. Od tej chwili jesteś moim tajnym agentem, Andrzeju. – Piłsudski użył jego imienia, zamiast protekcjonalnie nazwać go synkiem. To także było zagranie obliczone na przekonanie do siebie rekruta. – Odpowiadam za ciebie głową. Jeśli coś spaprzesz, obaj za to bekniemy, rozumiesz?

– Tak.

– Nie wiesz nawet, ile zależy od powodzenia twojej misji. – Tym razem emisariusz nie przesadzał.

Podanie Japończykom nazwisk ukrywających się w obozie oficerów otworzy wiele dróg, kto wie, może zgodzą się nawet na przyznanie Polsce szerokiej autonomii. Gdyż na to, że wyzwolonej spod jarzma zaborców i zjednoczonej ponownie ojczyźnie uda się odzyskać pełną niepodległość, Piłsudski nie liczył. Miał się za trzeźwo patrzącego na świat realistę i właśnie dlatego upatrywał ogromną szansę w tym egzotycznym, było nie było, sojuszu.

Japonia wygra tę wojnę, to pewne. Prędzej czy później podbije cały świat. Tyle że... żadna potęga nie może władać nim w pojedynkę. Historia dowiodła tego po stokroć. Zatem hegemon będzie potrzebował wiernych lokalnych sojuszników, takich jak Polacy właśnie. Mowa przecież o dumnym, bitnym narodzie, który trwał i walczył zawzięcie, choć aż trzy potężne mocarstwa skazały go na wieczne zapomnienie.

CZĘŚĆ TRZECIA
Szpieg



ROZDZIAŁ 1

Następnego ranka zabrano go z placu apelowego. Podczas formowania kolumny przez otwartą już bramę wjechał motocykl, ale nie zwykły jednoślad, lecz specjalna konstrukcja z dodatkowym trzecim kołem pozwalającym na dokręcenie do ramy czegoś w rodzaju przyczepki, którą za pomocą żelaznych krat zamieniono w niezbyt wysoką klatkę.

– Horodinishiki!

Andrzej wzdrygnął się na dźwięk przekręconego nazwiska, po czym potruchtał w kierunku trzymającego dokumenty *gunsō*. Nie szarpał się, gdy pakowano go do klatki i przykuwano do prętów. Nigdy wcześniej nie jechał motocyklem, nie widział nawet żadnego z bliska. Raz tylko, a było to niecały rok przed powołaniem do carskiej floty, otarł się o taką maszynę marzeń. Słyszając dobiegający zza okien charakterystyczny warkot silnika, wybiegł z domu, ale cyklista przejeżdżający szosą na Kraków zdążył się już oddalić, tak więc pożegnał go tylko wzrokiem, wciągając do płuc gryzący swąd rozwiewających się wolno spalin. To dopiero było coś!...

Maszyna, którą go wywieziono z obozu, przewyższała pod każdym względem europejskie odpowiedniki, chociaż sądząc po pogardliwym uśmiechu Long Johna, jak z czasem ochrzczono jednookiego jankesa, wzorowano ją na najbardziej znanych amerykańskich konstrukcjach.

Przejazd do Jokohamy trwał niespełna kwadrans, w czasie którego policyjny motocykl najpierw minął zatokę przegrodzoną szeregiem mostów kolejowych, łączących sztucznie usypane wyspy, a następnie szerokim, ale za to krętym traktem dotarł na przedmieścia tego miasta portowego. Tradycyjna, chaotyczna zabudowa obrzeżnych dzielnic ustąpiła szybko domom o zadziwiająco europejskim wyglądem. Zapożyczona z dalekiego zachodu architektura była rzadkim wyjątkiem od nacjonalistycznej reguły.

Andrzej nie dostrzegł na zatłoczonych ulicach choćby jednego mężczyzny odzianego na europejską modłę – jeśli nie liczyć żołnierzy noszących japońskie mundury. Nikt nie osłaniał głowy słomkowym kapeluszem z charakterystycznym rondem, nikt nie okrywał ramion marynarką ani płaszczem, choć zaledwie kilka lat wcześniej były one w tych stronach niezwykle modne.

Wojna odmieniła ten kraj.

Obowiązująca od dekady oficjalna doktryna odrzucała wszystko co obce – ale nie na każdym polu, gdyż wysiłek wojenny wymagał od Japończyków, by nie zostawali w tyle za resztą świata. Wyspiarze przodowali więc w wyścigu o prymat technologiczny, kradnąc każdy istotniejszy wynalazek przeciwnika, rozkładając go na czynniki pierwsze i tworząc na tej podstawie własne, znacznie lepsze projekty. Bez najmniejszych oporów budowali swoją przewagę w ten właśnie sposób, lecz w strefie społeczno-kulturowej odcinali się całkowicie od zdobyczy zachodniego świata.

Sąd, ku któremu zmierzał motocyklista, mieścił się w trzykondygnacyjnym, postawionym na planie prostokąta budynku, który równie dobrze mógł zdobić centrum Warszawy, Wiednia albo Berlina. Biała elewacja ustępowała na wysokości pierwszego piętra czerwonej cegle, a pokryty blachą miedzianą dach wieńczyła samotna wieżyczka.

Motocykl zwolnił, wjeżdżając na stalowy most, potem zatrzymał się na środku brukowanej jezdni, by przepuścić rząd jadących w przeciwnym kierunku pustych ciężarówek. Chwilę później kierowca zaparkował przed prowadzącymi do wejścia arkadami i przywołał czekających tam mundurowych. Horodyński został pośpiesznie rozkuty i wprowadzony do wnętrza gmachu. Odeskortowano go bez słowa na ostatnie piętro, gdzie trafił w ręce emisariuszy.

Prócz znanego mu już brodacza, który kazał mówić do siebie per „panie Józefie”, był tam jeszcze Tytus Filipowicz, człowiek przeciętnej budowy i nienachalnej urody, którego wyróżniało

jedynie antyczne i niespecjalnie doń pasujące imię. Jak się wkrótce okazało, był raczej kimś w rodzaju sekretarza Piłsudskiego, a zarazem jego zausznikiem. Obaj wspólnie, przez osiem albo i dziesięć bitych godzin, wpajali Andrzejowi podstawy sztuki wywiadowczej – oczywiście z krótkimi przerwami na dwa skromne posiłki. Powtarzało się to codziennie przez jakiś czas. Uznawszy, że ma już dość, wzywali dyżurujących na piętrze policjantów, którzy bez słowa sprowadzali go schodami na ulicę, gdzie czekał, aż motor podjedzie, po czym wsiadał do klatki, by tą samą drogą wrócić do obozu.

Gdy jeńcy wypytywali go o tajemniczego brodacza, zgodnie z wytycznymi odpowiadał, że jest to nieznany mu z nazwiska przedstawiciel Czerwonego Krzyża, na mocy prawa międzynarodowego wizytujący obozy jenieckie na wyspach i kontynencie. W jakim celu, Horodyński nie miał pojęcia, ponieważ nikt nie dzielił się z nim takimi informacjami, aczkolwiek bez wątpienia było to coś niezwykle ważnego – to ostatnie sam dopowiadał, aby opowieść zaspokoila ciekawość pytających.

Równie jednak, jeśli nie bardziej, jeńców interesowało, jak wygląda świat poza drutami. Andrzej siadał więc przy stole, pochłaniał łapczywie ryż, choć nie był wcale głodny, i opisywał każdy zapamiętany po drodze widok.

Opowiedział im o ulicznych sprzedawcach, których wypełnione towarami stragany były tak zmyślnie skonstruowane, że dało się je przenieść na... głowie. Kupiec wchodził między dwa połączone u góry deską regały, prostował plecy i proszę, już był gotowy wyruszyć na podbój sąsiedniej ulicy.

Wspomniał o fantazyjnych wysokich kolistych mostach, na które trzeba było się najpierw wspinać, a potem z nich schodzić po specjalnie zamocowanych stopniach, choć kanały, których brzegi łączono w ten sposób, miały szerokość najwyżej kilku arszynów. O sensowności tego rozwiązania przekonał się dopiero później, gdy

zobaczył przepływające pod mostami łodzie, przewożące stopy pak i beczek.

Rozwodził się nad zawilóściami japońskiego pisma, którego znaki wyglądały jak kulfony kreślone ręką epileptyka podczas ataku tej strasznej choroby. Napatrzył się na nie, ponieważ na niemal każdej ulicy roilo się od bajecznie kolorowych tablic, szyldów i długiśnych proporców, którymi właściciele zapraszali potencjalnych klientów do swoich przybytków.

Opisał towarzyszom niedoli wygląd dam o twarzach tak wybielonych że przypominały porcelanowe lalki naturalnej wielkości. Nie omieszkał też wspomnieć o wojownikach zwanych samurajami, którzy przechadzali się dumnie głównymi ulicami, w zdobnych kimonach i z szablami u boku. Dodał też kilka słów na temat ich wygolonych czoł i dziwnych kucyków, w które wiązali na szczycie głowy mocno wypomadowane włosy.

Marynarze rozdziawiali gęby, gdy wspominał o licznych samochodach, zarówno osobowych, jak i ciężarowych, które krążyły między portem a gwarnym centrum miasta. Kręcili z niedowierzaniem głowami, gdy napomykał o rykszach, przypominających dorożki dwukółkach ciągnionych jednak nie przez konia, a przez człowieka.

Przy okazji każdej wizyty w mieście dostrzegał jakieś ciekawostki. W mijanych parkach na przykład stały strzeliste barwne chramy i świątynie o wielu nakładających się na siebie, coraz mniejszych dachach. Prowadzące do nich bramy, zwane *torii*, składały się nieodmiennie z dwu pomalowanych na czerwono kolumn, poprzecznej belki i drugiej, nakrytej wąskim daszkiem.

Jeńcy słuchali jego relacji w nabożnej ciszy, ponieważ ich świat został już dawno zredukowany do ścian tych baraków, wagonów i wypalonego ogniem, księżycowego krajobrazu. Horodyński był pierwszym spośród nich, który miał szansę ujrzeć coś więcej – szczególnie że w większości zostali schwytani albo jeszcze na

wodach zatoki, albo zaraz po wyjściu na ląd w strefie bombardowania.

Trzy dni, które dzieliły Andrzeja od parady i wiążących się z nią zmian, minęły jak z bicia strzelił. Nie zdradził się w tym czasie słowem ani gestem.

Pilnie słuchał kolejnych wykładów obu emisariuszy, a po powrocie do obozu starał się inwigilować jeńców, jak mu kazali. Nie na wiele się to jednak zdało, gdyż siedzący z nim w niewoli marynarze nie mieli tajemnic, a jeśli już, nie interesowały one Japończyków.

„Bądź naturalny – radził mu pan Józef – zawsze panuj nad nerwami, to podstawa”.

„Nie wypytuj natarczywie – dopowiadał Filipowicz – nadstawiaj za to ucha, gdzie i kiedy trzeba. Szukaj wskazówek, które mogą zaprowadzić nas do celu. Tak często rozpracowuje się siatkę wroga, nie narażając się przy tym na przypadkową dekonspirację”.

Nie lekceważ przeciwnika, przestrzegali obaj, on także może być przebiegły i inteligentny, a nawet mądrzejszy od ciebie. Nigdy, ale to przenigdy, pouczali, nie ufaj ludziom, których nie jesteś całkowicie pewien. Nawet rodzonemu bratu ani największej miłości nie powierzaj swoich tajemnic. Bliska ci osoba może je przecież zdradzić – albo wzięta na spytki, albo męczona na przesłuchaniu.

Sporo tego było, powtarzał więc kolejne zasady tak długo, aż wykuł je na pamięć, jak wiersze albo wzory matematyczne w szkole. Wieczorami natomiast próbował wykorzystać te nauki w praktyce. Przysłuchiwał się rozmowom kompanów, uprzednio naprowadziwszy ich na jakiś temat. Podchodził ich tak, jak nauczyli go starzy konspiratorzy. Był jednym z jeńców, wycierpiał jeszcze więcej niż oni, zatem nikt nie podejrzewał go o nic złego, a już na pewno nie o szpiegowanie na rzecz oprawców.

Najważniejsze jednak, że za każdą bytnością w gmachu sądu chłonał powtarzane jak mantra uwagi o powinności wobec nieistniejącej ojczyzny, o potrzebie zemsty za prawie półtora wieku krzywd i upokorzeń, jakie wycierpiał podzielony zaborami naród

i jego własni krewni w szczególności. Wtedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest urabiany, ponieważ ludzie, którzy nad nim pracowali, należeli do najlepszych specjalistów w tej sztuce.

Te trzy całodniowe sesje wystarczyły, by zasiane wcześniej ziarno zaczęło kiełkować. Wprawdzie Andrzej nie stał się od razu zapalonym anarchista, lecz umiejętnie trącane struny jego duszy drżały już do taktu *Międzynarodówki*, a dotychczasowe, czarno-białe podziały na dobrych i złych, kształtowane przez politruków, a potem przez brutalną rzeczywistość, zaczynały się powoli zacierać.

Japońskie widoki, które oglądał przez pręty klatki i zokna gabinetu, otworzyły mu oczy na egzotyczną krainę, do której trafił, jakże daleką od wbijanej do głów rekrutów i utrwalonej pobyt w obozie wizji piekła na ziemi. Miał przed oczami miasto, które prawie niczym się nie różniło od odwiedzonych przez niego wcześniej miejscowości. Gwarne, tętniące życiem, pełne skośnookich ludzi w dziwacznie bajkowych strojach, którzy – gdy im się lepiej przypatrzyć – nie przypominali bynajmniej łaknących krwi bestii.

Potwierdzało to tezę emisariuszy, że nieludzki kapitan Araki i jego podwładni byli wyjątkiem od reguły, nie normą. Pan Józef nieraz to powtarzał, objaśniając w przerwach między „lekcjami” co ciekawsze obyczaje Kraju Kwitnącej Wiśni, jak nazywano ten kraj przed wojną.

To wszystko jednak było zaledwie wstępem, marną przygrywką do prawdziwej misji, która miała rozpocząć się w sobotni poranek.

休憩

W noc poprzedzającą święto upamiętniające bitwę nad zatoką Hakata polski kadet nie zmrużył nawet oka. Leżał bezsennie długie godziny, wsłuchując się w dobiegające z mroku chrapanie kompanów, nic dziwnego więc, że jako jedyny z ogromną ulgą powitał łomot towarzyszący pojawieniu się strażników w baraku. Jeńców zawsze budzono w ten sam sposób: gdy milkły syreny, Japończycy wpadali z przeraźliwym wrzaskiem do baraków. Każdego, kto nie zerwał się na równe nogi, natychmiast ściągano

z pryczy na deski. A kto ośmielił się jęknąć głośno, ten był karany dodatkowo.

Oprawcy w ogóle się nie przejmowali, czy zrobią komuś krzywdę, dlatego marynarze bardzo szybko pojęli, że nie warto się ociągać. Obolałe żebra po bliższym kontakcie z podkutymi butami potrafiły doskwierać i przez ruski tydzień, a nadzorcy nie byli skorzy do przymyknięcia oka na wolniejsze tempo pracy, choć sami byli jego powodem.

Horodyński, znając całą prawdę o wydarzeniach nadchodzącego dnia, zerwał się z pryczy, ledwie otwarto drzwi. Pierwszy naciągnął koszulę, pierwszy stanął na miejscu zbiórki. Pozostali jeńcy dołączali do szeregu, kaszląc albo posapując. *Gochō* Nuwami przeliczył wszystkich szybko, po czym zadął w gwizdek jednokrotnie, dając im zwyczajowy kwadrans na toaletę. Potem przyszedł czas na śniadanie. Kocioł rozgotowanego, kleistego ryżu został pochłonięty w okamgnieniu. Od początku tej gehenny nie podano jeńcom innego posiłku. Miseczka ryżu rano i druga, serwowana już po powrocie z harówki. W ciągu dnia jeńcy mieli dostęp tylko do wody oraz do... tego, co zdołali wygrzebać z pogorzeliśka.

Na początku nie mogli liczyć na żadną zdobycz, gdyż piekła, którego byli sprawcami, nie przetrwało nic – ani robactwo, ani tym bardziej roślinność. Nawet płytko zagrzebane w ziemi korzenie zostały spalone na węgiel albo wchłonęły tyle trucizn, że samo ich dotknięcie groziło bolesną śmiercią. Sytuacja zmieniła się jednak z czasem, po tym jak najżywotniejsze chwasty odzyskały witalność. Warstwa popiołu roztopianego przez częste i obfite deszcze dostarczyła ziemi tyłu soli mineralnych, że już w trzecim tygodniu pracy pierwsi szczęśliwcy mogli posilić się świeżutkimi korzonkami bądź żerującymi na nich larwami.

„Człowiek nie świnia – jak głosi znane powiedzenie – wszystko zje”. Jeńcy z obozu w Kanagawie byli żywymi dowodami na prawdziwość tej tezy. By przeżyć, żarli cokolwiek, byle dostarczyć organizmowi witamin lub protein. Krzywili się, zamykali oczy, ale

rozgryzali albo połykali w całości wijące się robaki, oczyściwszy je uprzednio z brudu i gleby. Żuli też łykowate kłaczka, wysysając z nich wszelkie soki. Niejeden wyrzygał pierwszy, a nawet drugi taki posiłek, lecz nikt nie odpuścił. Nie było innej rady. Chcieli przeżyć, nie zrażali się więc ohydny smakiem, a z czasem zaczęli nawet żartować, że co niektóry tłusty robak jest smaczniejszy od tego, co pichcił im kuk w kambuzie.

Po odgwizdaniu końca śniadania jeńcy musieli zdać opróżnione miski i natychmiast opuścić barak. Strażnicy nie szczędzili razów tym, którzy wychodzili ostatni, nawet gdy jeńcy wypadali na zewnątrz tak szybko, jak to było możliwe. Na szczęście było to raczej poszturchiwanie niż prawdziwe baty, zatem rzadko dochodziło do poważniejszych kontuzji.

Na placu odbywało się ponowne przeliczenie stanu osobowego, tym razem oficjalne, a gdy dyżurni podoficerowie zdali już raport, *gunsō* rozkazywał skuć jeńców, by któremuś nie wpadło do głowy coś głupiego, na przykład ucieczka do lasu. Jakby w ogóle mogli o czymś takim myśleć! Towarzyszące kolumnie mechy, lekkie dwuosobowe maszyny o wyjątkowo długich nogach i rozczapierzonych stopnikach, w okamgnieniu dogoniłyby najszybszego sprintera czy też zastrzeliły go bez najmniejszego trudu. Właśnie dlatego nikt nie próbował kusić losu podczas marszu.

Ten i ów pewnie się nad tym zastanawiał, ale nawet dla nich było jasne, że nie mają co marzyć o przebiegnięciu pięćdziesięciu kroków bez utraty tchu. Japończycy także musieli zdawać sobie z tego sprawę. A jednak dzień w dzień zakładano jeńcom połączone stalową liną kajdany.

Okowy zdejmowano dopiero przy torach, tuż przed wsadzeniem delikwentów do wagonu. Tak było i tego ranka. Jechali więc we względnej wygodzie, rozmawiając między sobą półgłosem. Jeden Andrzej był jakiś nieswój. Pociąg – zgodnie z zapowiedzią emisariuszy – nie zatrzymał się na skraju zbombardowanego terenu. Wiedząc, jaka jest tego przyczyna, Horodyński bezbłędnie

wychwycił ten moment, lecz pozostali zaczęli się orientować w sytuacji dopiero po kilku minutach dalszej jazdy. Chwilę później nawet najbardziej otumanieni jeńcy szemrali nerwowo. W końcu doszło do wybuchu paniki. Nic dziwnego – było to pierwsze odstępstwo od dobrze im znanej, codziennej rutyny, w której zaczęli upatrywać bezpieczeństwa.

Horodyński bił się z myślami, czy nie powinien uspokoić towarzyszy, ale zaraz przypomniał sobie rady obu emisariuszy. Jak miałyby przemówić do rozsądku otaczającym go ludziom, nie zdradzając jednocześnie, że wie więcej od nich? Zmilczał więc i dołączył do wzburzonego tłumku, by nie dać nikomu powodów do podejrzeń. Na szczęście nie trwało to długo. Tokio od Jokohamy dzieliło tylko pięćdziesiąt kilometrów...

Andrzej złapał się na tym, że odkąd rozpoczął „szkolenie”, machinalnie przelicza wszystkie odległości na fakultatywne, bardziej polskie miary, choć wcześniej korzystał wyłącznie z systemu narzuconego przez zaborcę.

Natychmiast napomniał się w myślach, by podczas rozmów trzymać się starych przyzwyczajień, dzięki czemu nikt nie zauważy tej nagłej zmiany i nie zacznie dochodzić jej przyczyn. Wprawdzie system metryczny był uznawany także na terenie rosyjskiego zaboru, i to od trzydziestu lat, ale świeżo upieczony agent wolał pozostać wierny zasadom.

„Nie wyróżniaj się. Zachowuj się naturalnie”...

Pociąg zaczął zwalniać w asyście przeraźliwego pisku hamulców, a gdy w końcu się zatrzymał, z zewnątrz dobiegły głośne krzyki i nawoływania. Andrzej poczuł też, że deski pod jego pośladkami drżą w równych odstępach czasu, jakby opodał pracowały stępory albo... albo jakby coś ciężkiego chodziło w pobliżu wagonów.

– Smoki! – wrzasnął ktoś w głębi, kto także poczuł wibracje.

Wszyscy znali opowieści o tym, co te bestie robią z ludźmi, w wagonie więc momentalnie zapanowała cisza jak makiem zasiał.

Mężczyźni wsłuchiwali się w dolatujące zza burt dźwięki, dopóki Andrzej nie zabrał głosu.

– To tylko mechy – rzucił przez ściśniętą sztucznie krtań, a kilku innych powtórzyło natychmiast te słowa.

„Tak, to stąpanie mechów, tych pancernych, najcięższych”, upewnił się w duchu.

Emisariusze uprzedzali, że na paradzie ma się pojawić najnowocześniejszy japoński sprzęt bojowy, ale gdy otwarto w końcu drzwi, przerażeni jeńcy zamarli, a Horodyński wraz z nimi.

Za wagonami stojącymi na sąsiednim torze przesuwał się doskonale widoczny korpus wielkiej maszyny bojowej. Nigdy wcześniej nie mieli przed oczami tak gigantycznego mecha, nawet w znacznej odległości. Był wielki jak dom, a stanowisk ogniowych miał chyba więcej niż przeciętna kamienica okien. Gdy się oddalił, kazano im wysiąść na tory bocznic, za którymi ustawiano właśnie na szerokiej alei czoło kolumny mającej wziąć udział w defiladzie.

Przed pierwszym szeregiem zgromadzono ubrane jednakowo dzieci. Ich granatowo-białe kimona wyglądały jak nowe. Każdy z tych brzdąców, nieważne, czy chłopczyk czy dziewczynka, miał czoło przepasane szarfą z symbolem wschodzącego słońca.

Za dziatwą stali samurajowie, czyli cesarskie rycerstwo. Było ich tam kilkuset, zebranych w kilka różnorodnych formacji. Jeńcy mogli przyjrzeć im się uważniej, ponieważ pędzono ich poboczem drogi, ku tyłom tej niekończącej się kolumny. Fantazyjne zbroje ze stali i skóry oraz jeszcze wymyślniejsza broń skupiły na sobie uwagę marynarzy, ale tylko na chwilę.

Tuż za samurajami znajdowała się bowiem zwarta formacja maszyn zwanych przez Japończyków *tanuki*, a przez żołnierzy koalicji ochrzczonych mianem kangurów. Były bardzo podobne do mechów, które pilnowały obozu, lecz już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że są o wiele nowocześniejsze. Ich korpusy miały opływowe kształty zamiast kanciastych, nitowanych kadłubów. Wielkie nogi, od których wziął się przydomek tych maszyn,

wyglądały na prostsze, jak gdyby konstruktorzy zminimalizowali liczbę ruchomych elementów, redukując masę mecha.

Za najłżejszymi maszynami stało osiem czworonożnych *kawatarō*, które frontowcy nazywali pokrakami. Te modele także musiały być nowe, w każdym razie Andrzej nie przypominał sobie, aby je widział podczas „szkoleń”, na których pokazywano mu liczne fotografie i ryciny. Na stosunkowo długich i płaskich korpusach ustawiono wieże działowe, podobne do tych z okrętów wojennych, zwłaszcza najnowocześniejszych, tyle że w wypadku *kawatarō* były one dużo niższe. Jak ocenił idący przed Horodyńskim niemiecki artylerzysta z pokładu Gustava von Raucha, mogły to być nawet okrętowe stopiątki, co oznaczało, że miały całe trzydzieści milimetrów więcej od dział montowanych na niemieckich *wolffach* i rosyjskich *czerepachach*. Kanonier był tym faktem załamany, ponieważ broń tego typu dawała Japończykom miażdżącą przewagę nad sprzętem koalicyjnym podobnej klasy.

Nad pokrakami górowały trójnożne monstra, które przy każdym ruchu powodowały wyczuwalne drżenie ziemi. Wysokie na dziesięć metrów kolosy o walcowatych kadłubach, w których osadzono tyle broni, ile można zmieścić na porządnym niszczycielu, ustawiały się właśnie w ciasnym szyku. Z ich przodów sterczały dwa działa stuściomilimetrowe, na szczycie konstrukcji zaś, tuż za zadaszonym stanowiskiem dowodzenia, w niebo celowały cztery lufy szybkostrzelnego działka przeciwaeroplanowego. Pancerne burty były gęsto poznaczone guzami stanowisk ogniowych pośledniejszego uzbrojenia. Tylko na jednym boku Andrzej naliczył aż sześć gatlingów, do tego dwie armatki przeciwpancerne małego kalibru i tuzin zamykanych szczelin strzelniczych, przez które snajperzy mogli razić cele w każdym możliwym kierunku.

Nazwy tego modelu mecha nie znał żaden z jeńców, to musiała być kompletnie nowa broń, przygotowana specjalnie na tę rocznicę. Siła ognia tego potwora, jego mobilność i szybkość wykraczały z pewnością daleko poza szczytowe osiągnięcia najcięższego sprzętu

koalicji. Nawet wyprodukowane tej wiosny carskie mamonty, czyli mamuty, okrzyknięte cudem techniki wojennej, ustępowały tej bestii pod każdym względem. Wyścig zbrojeń nabierał ostatnimi czasy niespotykanego tempa, widać to było na każdym kroku. Wojna jak zawsze w historii wymuszała przyśpieszony postęp technologiczny.

Za mechami ustawiano jednostki reprezentacyjne różnych rodzajów wojsk. Stali tam biali jak śnieg marynarze, ubrani na czarno lotnicy, szarozieloni kadeci akademii wojskowych. Samych oliwkowych formacji należących do piechoty Horodyński naliczył ze trzydzieści. A nie był to wcale koniec kolumny. Jeńcy zdążyli się mocno zdyszeć, zanim poganiani pałkami dotarli do miejsca, gdzie aleja wychodziła na wielki plac, za którym w oddali majaczyła posępna bryła jednego z bastionów Kręgu Śmierci. Pochyłe betonowe ściany kolosalnej twierdzy, sięgające na wysokość dwudziestu metrów, naszpikowane były lejowatymi otworami, w których kryły się stanowiska ponad trzystu dział. Andrzej przełknął nerwowo ślinę, gdy przyjrzał się uważniej tej budowli. Gdyby Japończycy mieli więcej czasu i zbudowali podobne umocnienia wokół pozorowanego celu, być może nie musieliby przyzywać smoków.

Tam czekały pozostałe jednostki biorące udział w paradzie: rzędy opancerzonych samochodów ciągnących armaty kilkunastu typów, chmary motocykli, także ciągnących albo przewożących rozmaite lekkie uzbrojenie, oraz kanciaste korpusy gąsienicowych pancerów, których cesarstwo produkowało ze sześć rodzajów.

Japonia prężyła muskuły, a sądząc po zgaszonych minach jeńców pędzonych wokół placu, miała co pokazać. Gdy mijali zajmujące całą szerokość placu pancerne zagony, jakiś marynarz idący z przodu krzyknął głośno i radośnie. Zawtórowało mu natychmiast kilka innych głosów. Zaczęli łamać szyk i wyciągać szyje, by zobaczyć na własne oczy, co tak poruszyło ich towarzyszy. Andrzej podskoczył raz i drugi, ale zrobił to tylko po to, by nie odstawać zachowaniem

od reszty. Wiedział przecież doskonale, co – a raczej kogo – ujrzeli jeńcy idący w pierwszym szeregu.

Już za moment także otaczający go marynarze rozumieją, że nie są sami.

休憩

Wylądowali na samym końcu formacji składającej się wyłącznie ze schwytanych marynarzy. Jeńcy z pozostałych obozów przybyli wcześniej – było to możliwe, ponieważ przetrzymywano ich znacznie bliżej stolicy cesarstwa. Z Shinagawy i Ōmori mogli dojść na miejsce zbiórki piechotą, a z Edy i Futashiku, obozów mniejszych i leżących z dala od linii kolejowej, przewieziono ich do Tokio ciężarówkami.

Za najcięższymi czterogąsienicowymi pancernami zgromadzono niemal tysiąc dwustu marynarzy i podoficerów zjednoczonej floty. Nawet nie dziesiątą część tych, którzy wyruszyli z końcem sierpnia nad Tokio. Ustawiono ich w pięćdziesięciu ośmiu szeregach, po dwudziestu w rzędzie. Do tego na czele jeńców z każdego obozu stworzono coś na kształt poczty sztandarowego. W ręce wyznaczonych przez funkcjonariuszy kempeitai „ochotników” trafiły poprzestrzelane i nadpalone bandery. Japończycy zdobyli ich w tej bitwie całe mnóstwo, lecz na ten użytek z pewnością nie wybrali najlepiej zachowanych.

Maszerując na swoje miejsce w szyku, Horodyński przyglądał się mijanym jeńcom. Nie wyglądali lepiej od jego towarzyszy. Byli brudni, obdarci i zarośnięci jak najgorsze dziady. Nie pozwolono im się obmyć ani doprowadzić do porządku. Japończycy zadbali o to, by pokonani prezentowali się jak najmniej godnie, a nawet postanowili upodlić ich do reszty, zestawiając z odpicowanymi na błysk żołnierzami Nipponu. Odbierający defiladę *tennō* miał ujrzeć nie tylko potęgę własnych armii, ale także mizериę zwyciężonego wroga.

O tym, że parada się rozpoczęła, Andrzej nie wiedziałby, gdyby nie usłyszał stłumionych odległością pisków wydawanych przez gwizdki

porządkowych, które spowodowały, że ludzkie masy drgnęły, a niewidoczne z jego miejsca czoło kolumny ruszyło, kierując się krokiem marszowym ku centrum świętującego miasta. Wśród jeńców także zapanowało poruszenie, lecz zanim plac przed nimi opustoszał, musiała minąć kolejna godzina, pod której koniec stojący przed kadetem Niemiec obrócił głowę, by rzucić przez ramię:

– Na dany znak zróbcie to, co my. Podaj dalej.

– Co? – zapytał wyrwany z zamyślenia Horodyński.

– Mamy zrobić to, co ci przed nami, gdy ktoś da jakiś znak – wyjaśnił stojący obok niego Jean-François, francuski bosman, po czym powtórzył te słowa chłopakom z następnego, przedostatniego rzędu.

W tym samym momencie pancery ruszyły, wzbijając gąsienicami chmury gęstego pyłu, ale gdy tuman opadł, porządkowi wbrew oczekiwaniom jeńców nie odgwizdali wymarszu. W zwolnionym przez wozy bojowe miejscu zaczęto formować inny, równie liczny, a może i liczniejszy szyk. Setki młodych Japończyków w nieznanym nikomu grafitowoszarych mundurach ustawiały się szybko i sprawnie; każdy z nich trzymał na ramieniu długie, owinięte czymś w górnej części drzewce.

– *Solche merde* – mruknął bosman.

– Co się dzieje? – Andrzej pochylił się do niego, zauważając przy tym przebiegającego wzdłuż kolumny strażnika.

– *Unsere bannere...*

Nasze sztandary? Zanim Horodyński zrozumiał, o czym mowa, porządkowi dali sygnał do wymarszu. Japończycy potruchtali za skręcającymi właśnie w aleję pancernymi, ale trzymając się wciąż z dala od stalowych potworów, by ich nieskazitelnych mundurów nie obsypał wznoszony gąsienicami pył. Przyśpieszyli kroku dopiero na pokrytej brukiem alei, by zlikwidować powstałą lukę.

Jeńcy pomaszerowali za nimi, idąc niezbyt śpiesznym tempem wyznaczanym przez blokujące drogę pojazdy. Dreptali tak prawie kwadrans jedną z głównych arterii japońskiej stolicy, wygwizdywani

i lżeni przez jej mieszkańców, którzy wylegli tłumnie na trasę przemarszu defilady. W stronę obdartych cieni dawnych podniebnych asów leciały nie tylko wyzwiska, ale równie często zgniłe warzywa i owoce, a nawet kamienie, na szczęście tylko niewielkie. Zapełniający pobocza cywile doskonale wiedzieli, z kim mają do czynienia. Nie tak dawno temu musieli opuścić swoje domy, a potem obserwowali z bezpiecznej odległości, jak płonie niebo i ziemia za ich miastem. Być może pokazano im także, jak wyglądała po bitwie równina rozciągająca się pomiędzy Tokio a Jokohamą.

Andrzej myślał o tym wszystkim jako jeden z nielicznych. Człapiący wokół niego marynarze łypali tylko spode łbów na rozwrzeszczane tłumy. „Darzą swoje niedoszłe ofiary nie mniejszą nienawiścią, choć to my byliśmy przecież agresorami. Nie, to nie tak, zupełnie nie tak. Wysłano nas tutaj, ponieważ armie cesarstwa zbliżały się do naszych własnych domów”... Horodyński uchylił się machinalnie przed czymś brązowym i cuchnącym, co rozbryznęło się na bluzie następnego w szeregu, zwalistego Niemca, palacza z flagowca Kaiserliche Luftmarine, trzydziestolatka o oczach niebieskich jak woda w stawie i włosach barwy dojrzałego zboża. Miał na imię Franz i odzywał się tylko z rzadka, jakby niewiele miał do powiedzenia, za to harował za dwóch, zbierając nieodmiennie jedne z najwyższych ocen. Teraz także się nie odezwał, wykrzywił wargi z odrazą godną komendanta Arakiego, po czym prostując dumnie plecy, splunął na bruk. Ci z cywilów, którzy to zauważyli, z miejsca stracili rezon, lecz była to zaledwie kropla w morzu szalejącego tłumu.

Mniej więcej w połowie drogi dzielącej jeńców od trybun Horodyński dostrzegł poruszenie na niebie. Nad jego głową przemknęły z wizgiem klucze aeroplanów. Za dwu- i trzypłatowymi myśliwcami, które dla uciechy władcy i jego świty wykonywały niesamowite podniebne akrobacje, pojawiły się trzy większe maszyny. Te leciały jedna za drugą bardzo nisko i powoli, jakby były wypełnione ciężkim ładunkiem. Gdy tylko znalazły się nad końcem

maszerującej kolumny, ich luki otworzyły się na całą szerokość, ale w dół posypały się nie bomby, lecz boje dryfowe, do których doczepiono długie, barwne proporce.

Publika natychmiast straciła zainteresowanie jeńcami. Wszyscy zadzierali głowy, pokazywali sobie palcami wolno opadające, ozdobione napisami płachty. Nikt spośród maszerujących nie znał ich treści, ale nie trzeba było wielkiego myśliciela, by odgadnąć, że to celnie wymierzona propaganda. Deszcz niewielkich i bardzo lekkich boi runął na idących aleją jeńców, jakby to były prawdziwe bomby, które oni sami zrzucali wcześniej na atakowaną replikę stolicy, tyle że te pociski nie mogły wyrządzić ludziom żadnej krzywdy, jeśli nie liczyć urażenia i tak już zdeptanej dumy.

Dudnienie bębnow, w które walono gdzieś opodal, nasilało się z każdą chwilą, co musiało oznaczać, że jeńcy są już blisko głównej trybuny. Wtedy właśnie doszło do dwóch ważnych zdarzeń. Po pierwsze, na maszerujących padł złowieszczy cień, jakby na czystym do tej pory niebie pojawiła się chmura gradowa. Ciemność nasuwała się na kolumnę od tyłu, szybko pochłaniając kolejne rzędy idących. Zaskoczeni mężczyźni odwracali się, zadzierali głowy. Wielu niemal natychmiast zmyliło krok, inni całkiem się zatrzymywali, łamiąc i tak nierówny szyk. Nawet strażnicy nie zareagowali w porę, ponieważ także gapili się na niewyobrażalnie wielki okręt wojenny, który w kompletnej ciszy sunął nad miastem. Andrzej był oczywiście jednym z tych, którzy zamarli na jego widok.

Oto kolejna z cudownych broni, o której istnieniu świat dowie się już niebawem. Nad centrum Tokio przelatował pancernik o rozmiarach przekraczających ludzkie rozumienie. Był dwa razy dłuższy i szerszy od Washingtona, lecz to nie jego ogrom szokował najbardziej.

Horodyński gapił się z rozdziawionymi ustami na niezwykłą konstrukcję okrętu. Kanciasty kadłub nie miał części podburtowych jak klasyczne okręty wojenne, konwertowane w ostatnich latach z jednostek pełnomorskich. Zaprojektowano go i zbudowano z myślą

o walce w przestworzach, tak więc zamiast burt miał dodatkowe pokłady, na których rozmieszczono po trzy dziobowe wieże działowe i dwie rufowe. Z każdej sterczały po trzy długie lufy. Te armaty musiały mieć kaliber czterystu, może nawet pięciuset milimetrów! Na śródokręciu każdego z identycznych pokładów wznosiły się niezbyt wysokie nadbudówki, za którymi umieszczono pojedyncze, również niskie, elipsoidalne kominy.

W tym momencie nie unosiła się nad nimi nawet smużka dymu. Rozmieszczone wzdłuż kadłuba wirniki, a było ich po osiem na każdym łączniku między pokładami, także obracały się wolno, jakby siłą bezwładu. „Jak to możliwe?”... Zdumiony Andrzej, pchnięty silnie w plecy, a potem zdzielony pałką, ruszył machinalnie przed siebie. Nie reagował na kolejne ciosy, zupełnie jakby ich nie czuł, choć przywołujący go do porządku strażnik nie szczędził sił.

Pancernik leciał szybciej, niż maszerowali ludzie, wyprzedził ich więc stosunkowo prędko, lecz nie był to koniec zaskoczeń. Sunący niespełna sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią gigant zrównał się właśnie z główną trybuną i tam wykonał manewr, którym jeszcze bardziej zaszokował jeńców. Na ich oczach zaczął się przechylać na sterburtę. Z dziesięciu stopni zrobiło się dwadzieścia, potem trzydzieści, ale ruch obrotowy nie zwalniał. Tłumy zamarły, maszerujący jeńcy także zaczęli przystawać, ale tym razem strażnicy byli na to przygotowani. Na głowy i plecy maruderów natychmiast posypały się razy. Porządek w kolumnie został przywrócony, zanim okręt wykonał obrót o sto dwadzieścia stopni, ustawiając się bakburtowym pokładem do pionu.

– To niemożliwe – sapnął Franz. – Żaden kocioł nie wytrzyma takiego przechyłu.

– *Tu as recht* – poparł go francuski bosman. – Znakiem tego, oni tam nie mają już kotłów.

Mówił nieskładnie, ale wszyscy wokół zrozumieli, co ma na myśli. Ten okręt na pewno nie był napędzany siłą pary. Tyłu wielkich

kotłów, ilu byłoby trzeba do poruszenia takiego giganta, nie dałoby się obsłużyć jednym, nawet bardzo obszernym kominem.

– Oni napędzają go silnikami spalinowymi – rzucił ktoś zza pleców Andrzeja.

– Takich jak te od automobili? – zdziwił się ktoś inny.

– Bzdura na resorach – zawyrokował Jean-François.

– To co, na gumkę chodzi? – zakpił ten z tyłu.

– Słyszałem, że nasi inżynierowie pracują od jakiegoś czasu nad podobnym rozwiązaniem – pogodził ich idący w ostatnim rzędzie Long John, do tej pory jeszcze bardziej małowówny od Franza. – Ale to... Ten potwór wyprzedza o całe lata naszą myśl techniczną.

– To tylko jeden okręt, co z tego, że nowoczesny i potężny, skoro my... – zaczął bosman, lecz bez większego przekonania, i zaraz umilkł trącony przez towarzysza. – Co jest?

Tamten nie odpowiedział, tylko wyprostował prawą rękę. Andrzej spojrział we wskazanym kierunku, jak wszyscy pozostali, i znów musiał zbierać szczękę z ziemi. Wysoko na niebie, z dala od centrum, wisiała cała eskadra podobnych jednostek, było ich tam ze dwadzieścia, może nawet więcej. Gdy obejrzał się szybko w lewo, też zobaczył okręty. Tam leciały ich dziesiątki, pół setki na pewno, też wielkich, ale już tradycyjnych. Mrużąc oczy, jął wodzić wzrokiem od jednej floty do drugiej, potem zacisnął na moment powieki, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma omamów.

Nie potrafił powiedzieć, czy jednostki po prawej dorównują rozmiarami lecącemu nad aleją gigantowi, lecz był pewien, że zbudowano je według tego samego planu. Były to ewidentnie pancerniki nowej klasy. „Takiej sile nie oprze się żadna tradycyjna flota, nawet jeśli koalicjanci postawią wszystko na jedną kartę i przeciwstawią nowatorskim okrętom każdy statek, jaki jeszcze posiadają”, pomyślał zatrwożony Horodyński.

– Cała nadzieja w Ameryce – szepnął Franz, nie spuszczać wzroku z odlatującego pancernika.

– Reiner mówi, że nazwali go Jamato czy jakoś tak – wyrwał się ktoś z przednich rzędów.

Przyjęli tę informację milczeniem, ponieważ nie mieli bladego pojęcia, co znaczy to słowo.

– Aż dziw, że nie Amaterasu – mruknął bosman, a reszta przyznała mu rację.

– To miano pewnie trzymają dla czegoś jeszcze większego, co będzie bardziej zasługiwało, by nosić imię bogini. – Niemiecki palacz przybił ich do reszty.

Szli przez chwilę, milcząc i wpatrując się tępo w bruk. Nie reagowali na nasilające się z każdą sekundą wrzaski tłumu, dopóki ktoś z przodu nie rzucił:

– Wyrównajcie szyk i czekajcie na znak.

Wyrównali bez słowa i przekazali polecenie następnym szeregom. Moment później maszerujący przed jeńcami Japończycy zdjęli drzewca z ramion, rozsypali węzły i rozwinęli zdobyczne sztandary. Mieli ich ponad tysiąc: dywizyjne, pułkowe, batalionowe, opisane w każdym języku koalicji i nie tylko. „Tyle jednostek rozgromili w tej wojnie, choć do jej zakończenia wciąż jest daleko”, pomyślał Andrzej. Nie mieściło mu się w głowie, że koniec może być znacznie bliższy, niż mu się wydaje.

– Teraz! Marszowym, prawa, prawa, prawa! – doleciało od czoła formacji.

Szereg przed nimi wyprostował plecy, usztywnił ramiona i krok, zatem zrobili to samo, dając wzór chłopakom z dwóch kolejnych rzędów. Nie szli już gromadą, jak banda batalionowych ciur, maszerowali sprężystym krokiem, nie wypadając wcale gorzej od poprzedzających ich Japończyków. Kroczyli przed siebie dumnie, spoglądając nad głowy kolegów.

– W lewo patrz! – padła następna komenda, powtarzana przez wielu.

Wykonali karnie i ten rozkaz, odwracając głowy od trybuny. Tłum milkł stopniowo, w miarę jak kolejni Japończycy zauważali ten

afront. Strażnicy zdębieli, sięgnęli wprawdzie po gwizdki, ale nie zadęli w nie, ponieważ znajdowali się naprzeciw cesarza i jego świty. Szarpanie i bicie zaś nie na wiele się zdało. Mogli wyrwać z formacji tylko część maszerujących, a ci, których okładali pałkami, nadal patrzyli w przeciwną stronę, niż należało.

Horodyński także kroczył dziarsko przed siebie, choć czuł, że z każdym łomotnięciem buta o bruk ogarnia go większy strach. Zgnębieni przegraną i upodleni niewolą zagrali na nosie bezwzględny oprawcom, wiedzieli jednak, że przyjdzie im za to słono zapłacić. Znieważenie boskiego *tennō* nie mogło im przecież ujść płazem.

Na pomoc szalejącym strażnikom rzucili się funkcjonariusze kempeitai, którzy do tej pory chronili otoczone kordonem służb trybuny. Oficerowie dyżurni zwolnili połowę swoich podwładnych, a potem odesłali jeszcze dwudziestu, a może nawet trzydziestu kolejnych. Japończycy defilujący przed pojmanymi marynarzami nie mogli opuścić szyku, ponieważ ich zadaniem była prezentacja zdobycznych sztandarów. Maszerowali więc dalej, łypiąc za siebie w bezsilnej złości. Otoczeni wściekłymi Japończykami jeńcy zrównali się z trybuną. Z szyku wyrwano już kilkudziesięciu z nich, ale reszta niezłomnie parła naprzód, uparcie odwracając głowy od przywódców znienawidzonego wroga.

I właśnie wtedy, niespodziewanie, rozległ się wzmocniony setkami megafonów głos. Padło tylko jedno słowo wypowiedziane władczym tonem:

– *Mate!*

„Dość!”...

Strażnicy i funkcjonariusze tajnej policji zamarli, ten i ów posłał zaskoczone spojrzenie w kierunku trybuny, po czym wszyscy ukłonili się sztywno, opuścili pałki i odstępili od równie zdezorientowanych ofiar. Horodyński nie wytrzymał, zerknął na cesarza, podobnie jak większość otaczających go jeńców, i zdębiał ponownie. Odziany w odświętny mundur brodaty Mutsuhito unosił

właśnie prawą rękę, by wskazać nią maszerujących w dole ludzi. Gdy nabierał tchu, promienie słońca zatańczyły na jego licznych orderach. Moment później rozległ się tubalny śmiech, najpierw samotny, choć prędko podchwycony przez oficjeli. Zanim Andrzej zdążył zrobić dwa kroki, pół trybuny radośnie rżało, szydząc z tego gestu rozpaczy jeńców. Chichotały nawet kobiety, dotąd stojące kornie obok ojców i mężów.

– *Tennō-heika banzai!* – Słowa te przetoczyły się nad aleją niczym ryk gromu, po czym zostały podchwycone przez tysięczne tłumy.

I tak właśnie cesarz, sto dwudziesty drugi z kolei potomek Amaterasu, stłumił bunt wroga. Po raz wtóry zmusił do kapitulacji zjednoczoną flotę, a raczej te mizerne jej resztki, które od ponad dwóch miesięcy więziono na podległej mu ziemi. Odebrał upodlonym jeńcom ostatnią szansę na przeżycie chwili triumfu w najokrutniejszy sposób z możliwych – zamieniając ich protest w kpinę.

ROZDZIAŁ 2

Andrzej stał już szóstą godzinę na placu apelowym nowego obozu, który różnił się od łagru w Kanagawie tylko jednym – rozmiarami. Tam było osiem baraków, z czego tylko cztery zajęte, tutaj wokół o wiele bardziej przestronnego placu rozlokowano dwadzieścia sześć identycznych budynków, które wyglądały, jakby zostały przeniesione z podjokohamskiej wioski. Te same kryte strzechą dachy, te same pozbawione szyb okna osłonięte zbitymi z poczerniałych desek okiennicami.

Jeńcy z Kanagawy nie mieliby zatem najmniejszych problemów z aklimatyzacją, gdyby nie fakt, że zgoniono ich tutaj zaraz po defiladzie i pozostawiono bez słowa na środku placu, i to w równiutkim szyku, jakby czekali na pierwszy apel albo na wystąpienie nowego komendanta.

Tymczasem godziny mijały, a do nich nikt nie wychodził. Widzieli jedynie sylwetki żołnierzy obsadzających wieże strażnicze bądź zajmujących otwarte kabiny mechów, tych, które patrolowały pas ziemi niczyjej między dwoma ciągami ogrodzenia z drutu kolczastego.

Ledwie trzymali się na nogach. Dotarli do obozu pieszo. Szli w marznącym deszczu, jaki rozpadał się wczesnym popołudniem, gdy żegnani ponurymi spojrzeniami okolicznych mieszkańców mijali roгатki stolicy. Szli w ponurym milczeniu, ponieważ wiedzieli, że za próbę znieważenia potomka Amaterasu czeka ich surowsza kara niż szyderstwo władcy. Śmiech pod publiczność nie załatwił niczego. Nawet gdyby cesarz miał ich głęboko w poważaniu, podlegli mu urzędnicy z pewnością nie zapomną im tego afrontu. Zatem mogli być pewni zemsty, jedyną niewiadomą pozostawało, jaką przybierze ona formę.

Andrzej odczuwał równie wielki niepokój jak otaczający go towarzysze, mimo że orientował się w rozkładzie dnia. Pan Józef

wyjawiał mu bowiem, że natychmiast po zakończonej paradzie jeńcy zostaną podzieleni na dwie grupy. Do pierwszej trafią koalicjanci przetrzymywani do tej pory w Edzie i Futashiku, w sumie siedemdziesięciu trzech chłopa, którzy wylądują w Ōmori, a druga, licząca prawie tysiąc stu ludzi, zostanie poprowadzona do głównego obozu i tam rozlokowana. Tak się jednak nie stało. Wszyscy razem wyruszyli do Shinagawy, gdzie ustawieni w szyku apelowym, wyziębieni i przemoczeni do suchej nitki, czekali pośród zapadających szybko ciemności nie wiadomo na co.

Horodyński drgnął, gdy do jego uszu dotarł głośny stukot, z jakim zapalano kolejne lampy sodowe. Plac apelowy zalał kłujący w oczy, żółtawy blask. Ludzie zaszemrali, ale minuty nadal przeciekały im między palcami, jak strumyczki lodowatej deszczówki. Drzwi rozświetlonego budynku komendantury pozostały zamknięte.

– Nie wyjdą arshlochy – mruknął zrezygnowany Jean-François. – Zostawią nas tutaj na całą noc.

– Wyjdą – odpowiedział mu ktoś stojący po prawej, w formacji składającej się z mężczyzn, którzy siedzieli tutaj od samego początku. – Jutro trzeba wracać do roboty, a tej przyjemności za cholere nam nie odpuszczają.

„Ma rację, skubany”, uznał w duchu Andrzej. Zanim bosman zdążył odpowiedzieć Francuzowi, z budynku obok komendantury wypadło ponad dwudziestu porządkowych. Ich gwizdki natychmiast uciszyły szmer toczonych półgłosem rozmów. Szeregi zostały pośpiesznie wyrównane, po czym znów zapadła pełna wyczekiwania cisza.

W końcu drzwi komendantury rozwarły się na oścież i przytrzymującego je oficera minęła grupka mężczyzn. Szli nieśpiesznie, jakby wybrali się na wieczorną przechadzkę, lecz gdy wspięli się na otoczony zasiekami centralny podest, jeden krótki gwizdek oznajmił rozpoczęcie apelu.

Ten punkt programu był identyczny w każdym obozie, kaprale nie mieli więc żadnego problemu z przeliczeniem podlegających im

jeńców i złożeniem raportów. Osadzeni nie robili trudności, gdyż większość padała już z nóg. Po zakończeniu organizacyjnej części apelu zebrani skupili wzrok na Japończyku w mundurze pułkownika sił lądowych. Ten niemłody już mężczyzna stał do tej pory w bezruchu, podobnie jak towarzyszący mu tłumacze. Teraz nadeszła pora, by przemówił.

Czekało ich jednak rozczarowanie. Komendant nie raczył się odezwać. Przed mikrofonem stanął za to oficer w stopniu porucznika, ten sam, który otworzył i przytrzymał drzwi przełożonym.

– Jeńcy z obozu Ōmori – zwrócił się do stojących dalej po lewej. – Rozwiązać szyk. Mówiący po niemiecku dołączył do grupy podlegającej *gunsō* Nobu. – Wskazał podnoszącego rękę podoficera. – Mówiący po angielsku...

Gdy rozdzielił pierwszą grupę, zajął się kolejną i następną, na koniec zostawiając sobie marynarzy z Kanagawy. Horodyński i Wieriesajew przemaszerowali za swoimi kolegami na sam koniec placu, gdzie dołączyli do ponad stuosobowej rosyjskojęzycznej społeczności. Witani cichymi pomrukami krajanów zajęli wskazane miejsca w ostatnim szeregu. Wtedy to, na znak dany przez sierżanta Ishibashi, porucznik odstąpił od mikrofonu, robiąc miejsce przełożonemu. W tym samym czasie tłumacze rozbiegli się po placu i każdy stanął przy tej formacji, której językiem władał.

– Komendant Yamaguchi pragnie oznajmić, iż wasz niegodny czyn zmusił go do złożenia rezygnacji, która dosłownie przed chwilą została przyjęta... – Japończycy przekładali po kilka zdań naraz, na szczęście rozmieszczeni na tyle daleko od siebie, że nie zagłuszali się wzajemnie. – *Tennō-heika* wyraził wspaniałomyślnie zgodę na honorowe zadośćuczynienie niedopatrzania, którego wynikiem było wasze karygodne zachowanie podczas dzisiejszej parady. Komendant Yamaguchi jest niezwykle wdzięczny jego cesarskiej mości za tę ogromną łaskę, której... jako człowiek pozbawiony przez

was honoru... nie był godzien. Ceremonia rozpocznie się jutro o świcie, a wy wszyscy będziecie jej świadkami.

Znów rozległy się szmery, lecz – ku zdumieniu Andrzeja – nikt nie starał się ich uciszyć. „To miejsce naprawdę różni się od Kanagawy”, pomyślał, nie bardzo rozumiejąc, co właściwie chciał im przekazać pułkownik. Już miał o to zapytać Wieriesajewa, gdy na podest wkroczył ktoś jeszcze, na kogo nie zwrócili wcześniej uwagi. W tej sylwetce było coś znajomego...

– A niech mnie – jęknął Wikientij Wikientiewicz.

Pozostali Rosjanie nie mieli pojęcia, na kogo patrzą ani co ten widok może zwiastować.

– Nazywam się kapitan Sadao Araki i to ja będę jutro pełnił zaszczytną funkcję kaishakunina. – Zwrócił się twarzą do pułkownika. Ukłonili się sobie sztywno, formalnie, po czym mówca dodał: – Jego cesarska mość mianował mnie nowym komendantem tego obozu, nakazując jednocześnie, aby umieścić w nim wszystkich jeńców należących w przeszłości do zjednoczonej floty. Jako że mój czcigodny poprzednik był człowiekiem wielkiego serca, nie mniej głęboko ode mnie miłującym honor i ojczyznę, nakazuję niniejszym całonocne czuwanie, by uświetnić jego odejście.

Jeńcy, którzy go jeszcze nie znali, pozwolili sobie na jęk zawodu. Araki wodził po nich wzrokiem z typowym dla siebie pogardliwym uśmiechem na twarzy, a gdy tłumacze zamilkli, pochylił się nad mikrofonem, by dodać:

– Przez szacunek dla mego wieloletniego przyjaciela i mentora jestem skłonny darować tę niesubordynację, ale uprzedzam, że był to ostatni przejaw rozprężenia w moim obozie. Od tej chwili obowiązuje was milczenie. Każdego, kto złamie ciszę, spotka surowa kara. – Zamilkł, odczekał moment, ale podłamani perspektywą spędzenia nocy na placu apelowym jeńcy nie zamierzali pogarszać swojej sytuacji. Groźny ton Arakiego był wystarczająco czytelny. – Jutro zaraz po ceremonii udacie się na śniadanie, po czym zostanieie przetransportowani do strefy zbombardowanej... A teraz

mój zastępca, podporucznik Tōjō, zapozna was ze zmianami w regulaminie obozu, które wejdą w życie jutro rano.

Wieriesajew zaklął pod nosem, a Andrzej spuścił głowę. Obaj domyślali się, co zaraz usłyszą. Shinagawa zmieni się w wierną kopię Kanagawy, zwłaszcza pod względem zasad panujących za drutami. Wracali do piekła, z którego dopiero co udało im się wyrwać.

Intuicja ich nie zawiodła. Podporucznik odczytał podniesionym głosem cały szereg nowych reguł, które dotyczyły głównie systemu obostrzeń i związanych z nimi kar. Ku ogromnemu zdziwieniu Wikientija Wikientiewicza, nowy komendant nie zabronił kontaktów między barakami, które były jednak możliwe tylko przez godzinę, tuż po kolacji. Horodyńskiego to akurat nie zaskoczyło. Owo niewielkie ustępstwo mogło wskazywać, że plan emisariuszy nie został jeszcze storpedowany. Uległ być może zmianom, lecz pan Józef nadal miał coś do powiedzenia – inaczej Araki urządziłby jeńcom jeszcze gorsze piekło niż w poprzednim obozie. Że był do tego zdolny, świadczyło pojawienie się na placu apelowym grupy robotników, którzy zaczęli wznosić rząd szubienic.

休憩

To była naprawdę długa noc. Wymęczeni codzienną harówką jeńcy spali na stojąco. Do czasu, aż niebo na wschodzie zaczęło się różowić, ponad setka z nich została zrana lodowatą wodą, a drugie tyle posmakowało pałek. Strażnicy zachowywali się wyjątkowo brutalnie, co zdziwiło przebywających tu dłużej jeńców, ponieważ do tej pory nikt się na nich nie wyżywał. W Shinagawie utrzymywano dyscyplinę, ale nie bito osadzonych za każde przewinienie, dawano im także minimum swobody, choćby zezwalając na – krótkie, bo krótkie – kontakty między barakami.

Teraz każda próba otwarcia ust, nawet gdy chodziło o wezwanie pomocy do mdlejących z wycieńczenia towarzyszy, kończyła się wybuchem niepohamowanej agresji. Ludzie byli przerażeni tą

niespodziewaną odmianą, lecz cierpieli w milczeniu, nadal ciesząc się w duchu, że udało im się zaleźć wrogowi za skórę. Choć zostali publicznie wyszydzeni, to jednak cesarz i członkowie jego świty nie mieli powodów do śmiechu. Jeńcy w zdecydowanej większości uważali, że obostrzenia są tylko chwilowe, a dyndające leniwie na wietrze pętle zawieszono wyłącznie na postrach. O tym, jak bardzo się mylą, zostali poinformowani przez kolegów z Kanagawy, którzy szeptem dzielili się wiedzą na temat sadystycznych skłonności kapitana i jego zastępcy.

O północy nie było na placu człowieka, który nie wiedziałby, z kim tak naprawdę ma do czynienia. Jeńcy musieli połknąć tę żabę, ponieważ nie mieli innego wyjścia, może prócz rzucenia się na Japończyków, co jednak zakończyłoby się masakrą – znacznie gorszą od tej, która przerzedziła szeregi w Ōmori. Wielu zastanawiało się pewnie, czy bunt to aby nie jedyne sensowne rozwiązanie, lecz wtedy z najgłębszych zakamarków ich umysłów wypelzała ponownie nadzieja; złudna wiara, że jest się tym wyjątkiem, któremu wbrew wszelkim szansom uda się przetrwać.

A potem nadszedł wyczekiwany przez wszystkich świt...

ROZDZIAŁ 3

Przygotowania do ceremonii, jak nazwał zbliżające się wydarzenie komendant Yamaguchi, rozpoczęto przed piątą, gdy wokół było jeszcze ciemno. Ci sami cieśle, którzy zmontowali przeniesione z Kanagawy szafoty, zajęli się później przesunięciem mównicy i otaczających ją zasieków. Na odsłoniętym tym sposobem miejscu zbito z desek niewielki podest, który nakryto świeżymi matami.

Choć deszcz przestał padać kilka godzin wcześniej, wcale nie poprawiło to sytuacji, gdyż dla odmiany wzmógł się dokuczliwy wiatr. Jeńcy, obserwujący robotników przy pracy, nadal szczękali więc zębami, rozcierali boki zgrabiałymi rękami bądź opatulali się szczelniej łachmanami.

Andrzej miał to szczęście, że dostał od emisariuszy nowy, porządny sort mundurowy, który dopiero z czasem przestał go chronić. Ostatecznie jednak Horodyński przemókł jak każdy, kto stał pół dnia i całą noc na deszczu, tak że teraz smagane lodowatym wiatrem odzienie schło na nim powoli, odbierając całe ciepło, jakie produkował jeszcze organizm.

Yamaguchi pojawił się na placu tuż przed tym, nim słońce wychynęło zza horyzontu. Nie miał na sobie munduru, a tylko tradycyjny biały strój, na który składało się obszerne kimono, przewiązane szerokim na dłoń pasem, oraz charakterystyczne bardzo szerokie spodnie, kończące się wysoko nad kostką. Ramiona pułkownika okrywała lekka wierzchnia szata – pozbawiona rękawów i usztywniona, jakby ktoś ją mocno wykrochmalił.

Jeńcy, mimo że nie znali japońskiej tradycji, wyczuli powagę sytuacji. O krok za byłym już komendantem szedł kapitan Araki, ubrany w identyczny strój, tyle że czarny. W odróżnieniu od przyjaciela miał przy boku uchigatanę. Tę samą, z którą paradował czasem po obozie.

Przystanęli obaj przed matą, pokłonili się jednocześnie zwróceniem twarzami do wschodzącego słońca, po czym Yamaguchi uklęknął przed niewielkim ni to podeścikiem, ni to stołeczkiem, na którym przygotowujący miejsce ceremonii żołnierze ułożyli wcześniej jakiś płaski przedmiot, niemal w całości owinięty białym płótnem.

Obok na tacce z laki leżały: kartka papieru i pędzelek. Prócz zestawu do pisania na macie znajdowały się jeszcze dwie rzeczy: niewielki cebrzyk wypełniony wodą i maleńki flakon z bambusa, do którego włożono gałązkę nieznanego jeńcom roślina.

Yamaguchi pokłonił się stojącym przed nim jeńcom, sięgnął po tackę i położył ją przed sobą. Zanurzywszy czubek włosów w tuszu, zamarł na moment, jakby się zamyślił. Nie trwało to długo, po kilku sekundach nakreślił trzy kolumny zamaszystych znaków, pisząc tradycyjnie dla swojej nacji, czyli od góry do dołu i od prawej do lewej. Gdy skończył, przekazał *jisei* – wiersz śmierci, jak Andrzej dowiedział się później od emisariuszy – czekającemu cierpliwie kapitanowi. Wtedy usługujący obu przełożonym żołnierz zabrał tacę i wycofał się, cały czas zgięty w głębokim pokłonie.

Araki przeczytał ostatnie słowa przyjaciela, po czym złożył kartkę w pół i wsunął ją wystudiowanym gestem za pazuchę. Uklęknawszy, obserwował z kamienną twarzą, jak pułkownik ściąga wierzchnią część odzienia, po czym rozwiązuje pas, wsuwając jego końcówki pod kolana. Następnie pozbył się kimona, w dość dziwny sposób, wsuwając ręce w obszerne rękawy. Wtedy właśnie nadal nierozumiejący niczego jeńcy ujrzeli jego nagi tors, blady i kruchy. Starcze ciało, wciąż jeszcze sprawne, ale jakże dalekie od świetności.

Yamaguchi sięgnął po owinięty płótnem przedmiot, potem drugą ręką przełożył podeścik za plecy, jakby chciał na nim usiąść.

Kapitan, widząc to, wstał. Wysunął klingę z pochwy jednym ruchem, po czym polał ją z obu stron wodą zaczerpniętą z drewnianego cebrzyka. Gdy ciecz spłynęła, przeszedł sprężystym krokiem za plecy pułkownika. W tym momencie wielu jeńców wiedziało już, jak skończy się to przedstawienie, choć nadal nie

mogli uwierzyć, że dawny dowódca zginie z ręki następcy, na co wszystko wskazywało.

Tymczasem Yamaguchi przesunął dłonią po odsłoniętym podbrzuszu, jakby szukał konkretnego organu albo odpowiedniego miejsca. Wreszcie, usatysfakcjonowany, przyłożył do skóry koniec płaskiego przedmiotu i prostując plecy, zaczerpnął mocno tchu. Araki w tym czasie uniósł uchigatanę, stając w takiej pozie, w jakiej widuje się samurajów na znanych obrazach. Poruszył też stopami, jakby chciał zbalansować ciało, a następnie zamarł, czekając na... znak?

Jeńcy zareagowali chóralnym jękiem, gdy pułkownik przesunął rękami od lewej do prawej, pozostawiając na rytualnej bieli odzienia rozlewającą się karmazynową plamę. W tym momencie dla wszystkich stało się jasne, że w dłoniach dzierżył nóż albo sztylet i że rozplątał sobie nim właśnie brzuch. Japończyk zacisnął mocno zęby, żeby nie krzyknąć, ale i tak usłyszeli głośny charkot, którego nie był w stanie powstrzymać. Araki wziął nieco głębszy zamach, lecz nadal nie uderzał. Zakrwawione ostrze sztyletu drżało, gdy chwiejący się Yamaguchi je odwracał, by wbić ponownie i już znacznie mniej zdecydowanym ruchem pociągnąć ku górze.

Nie zdążył dokończyć pionowego cięcia. Kapitan uderzył jak błyskawica. Tak szybko, że mało kto zdążył choćby mrugnąć. Głowa komendanta zsunęła się wolno z karku, ale nie spadła na matę, jak oczekiwali tego oniemiałymi marynarze. Zawisła na nierozciętym płacie skóry, a martwy oficer zwałił się wolno na bok, obryzgując wszystko wokół krwią tryskającą z przeciętych tętnic.

Araki odczekał chwilę, potem przestąpił ostrożnie nad ciałem, uważając, by nie wdepnąć w szybko rosnącą ciemną kałużę. Przeszedł tak trzy kroki, po czym strzepnął energicznym ruchem posokę ściekającą wciąż po klindze. Czyszcząc broń wyjętą zza pazuchy szmatką, z pogardą spoglądał na oniemiałych, drżących teraz już nie tylko z zimna więźniów.

– Byliście świadkami honorowej śmierci bohatera, który wziął odpowiedzialność za popełnione błędy – oznajmił, a przygnębieni tłumacze natychmiast przełożyli jego słowa. – Nie spodziewam się po was podobnej odwagi. Ba, jestem pewien, że się nią nie wykażecie. – Przespacerował się wzdłuż pierwszego szeregu najliczniejszego, niemieckiego kontyngentu, patrząc w oczy tym jeńcom, którzy mieli podniesioną głowę. – Tak myślałem – rzucił z satysfakcją, wracając w pobliże maty. Sierzanci uprząтали ją z nabożnym szacunkiem, jakby i ta czynność należała do samobójczej ceremonii.

– Rozejść się! – zakomenderował moment później podporucznik Tōjō, ale musiało upłynąć jeszcze kilka długich sekund, zanim ktokolwiek ruszył się z miejsca.

– Horodinishiki! – Andrzej skamieniał, słysząc swoje nazwisko. – Ty zostajesz i czekasz na transport do sądu! – Kapitan Araki wskazał palcem miejsce na wprost maty, a gdy kadet tam dotarł, powłócząc nogami, podszedł do niego i wysyczał mu prosto w twarz: – Klękaj i patrz!

Plac opustoszał, wycieńczeni jeńcy zniknęli w barakach, wielu padło od razu na prycze, nie myśląc nawet o jedzeniu, byle odpocząć chwilę dłużej.

Nie wiedzieli jeszcze, że nowy komendant zmienił im rozkład dnia.

休憩

Andrzej klęczał pośrodku placu dotąd, aż ciało pułkownika ułożono na całunie i szczelnie zawinięto. Chwilę później robotnicy sprawnie uprzątnęli zakrwawione maty i rozmontowali podest. Po okrutnej ceremonii nie pozostał nawet ślad, lecz na moment przed otwarciem bramy Horodyński zobaczył coś jeszcze, co do reszty zmroziło mu krew w żyłach.

Żołnierze wynosili właśnie z budynku komendantury dwa nieforemne pakunki: jeden większy, a drugi znacznie mniejszy.

Zdumiony tym widokiem kadet przyjrzał się uważniej i zrozumiał, że patrzy na... zwłoki! Okryto je identycznymi całunami, przez które przesiąkała już krew, aczkolwiek nie na wysokości talii, lecz szyi. „To mniejsze ciało musi należeć do dzie...”, Andrzej nie dokończył myśli.

– Wstawaj! – *Gunsō* pociągnął go za bluzę.

Horodyński wykonał polecenie, choć nie od razu. Ścierpnięte nogi odmawiały posłuszeństwa, tak więc udało mu się rozprostować kolana dopiero przy trzeciej próbie – po kilku celnie wymierzonych ciosach. Poganiany szturchnięciami i kopniakami został zaprowadzony na tył ciężarówki przerobionej na więźniarkę. Pod brezentem kryły się dwa rzędy ciasnych klatek, podobnych do tej, którą przewożono go do Jokohamy. Choć wszystkie były puste, wsadzono go do pierwszej z brzegu. Wzdrygnął się, gdy zatrzasnęły się za nim żelazne kraty. Musiał siedzieć skulony, z nogami podciągniętymi pod brodę, tak mało miał miejsca.

Sen go zmorzył, zanim wóz zdążył wykręcić i ruszyć w kierunku bramy.

ROZDZIAŁ 4

Piłsudski spojrział na zegarek.

– Pora już – rzucił przez ramię.

Zaskoczony Filipowicz zerwał się z fotela. Nawet nie wiedział, kiedy zapadł w drzemkę. Dopiero co spoglądał przez okno na dachy okolicznych kamienic, górujące nad nimi posępne bryły bastionów i sunące po niebie frachtowce. Szczególnie upodobał sobie fantazyjną pagodę, za którą kryła się tarcza wyjątkowo bladego słońca. Gdy teraz wyrzwał na zewnątrz, zobaczył tę samą panoramę, tyle że skąpaną w deszczu i wszechobecnej szarzyźnie.

– Tak, już, już – mamrotał, poprawiając na sobie kamizelkę.

– Budź chłopaka! – Józef był rozeźlony, najwyraźniej też przysnął, choć zarzekał się, że tego nie zrobi.

Jeden rzut oka na tarczę zdobnego zegara uświadomił Tytusowi, że z danej Horodyńskiego godziny zrobiły się trzy. Zaklął pod nosem.

Czas naglił, nie mogli stracić całego dnia, ale co począć... Musieli odpuścić wycieńczonemu całonocnym czuwaniem dzieciakowi, zatem pozwolili mu oprzeć głowę na blacie stołu i zamknąć obciążone tonami ołowiu powieki. Na moment tylko...

Sami zasiedli opodal, przy biurku wykwaterowanego chwilowo urzędnika, gdzie zabijali czas rozmową o widzianych podczas defilady cudach techniki. Popijali przy tym tutejszą herbatę, zieloną i smakującą zupełnie inaczej niż rosyjski czaj, aczkolwiek nie aż tak źle, jak można było przypuszczać po mdłym zapachu.

Oni także mieli za sobą ciężką noc, choć nie próbowali się równać pod tym względem z jeńcami. Jeszcze minionego popołudnia usłyszeli od generała Muraty, że szef sztabu postawił mu ultimatum: albo dostarczy głowy winnych znieważenia cesarza, albo program współpracy z Polakami zostanie definitywnie zakończony, jakby jedno z drugim miało cokolwiek wspólnego.

W siedzibie rządu wrzało, pułkownik Yamaguchi nie był jedynym, który odebrał sobie życie, nie mogąc znieść hańby. Ostateczny bilans nie był jeszcze znany, lecz po korytarzach ministerstwa spraw zagranicznych krążyły plotki o co najmniej kilkunastu rytualnych samobójstwach. Na biurko sekretarza boskiego *tennō* trafiło tego dnia dziesięć razy więcej próśb o wyrażenie zgody na seppuku, jak nazywano ten honorowy, ale też barbarzyński obyczaj. Ponoć nawet sam premier wystosował taki list.

Pałac odrzucił niemal wszystkie wnioski, uznając, że wystarczy, iż za dyshonor odpowiedzą najbardziej winni. Wielu zignorowało życzenie cesarza. Mutsuhito zagroził więc reperkusjami każdemu, kto wbrew jego woli targnie się na życie. Tym sposobem udało się zażegnać kryzys polityczny, lecz nie rozwiązano najważniejszej sprawy.

Zaraz po incydencie zdecydowana większość generałów żądała krwi. Podobnie było z kręgami rządowymi. Tak potworna zniewaga wymagała podjęcia określonych działań i surowego ukarania prowodyrów tych zajęć. Na szczęście przeważył rozsądek i forsowana przez dyplomatów zimna kalkulacja. „Śmierć to ucieczka – przekonywał minister Komura. – Niech umrą, ale po tysięcznych mękach”.

Po naprawdę długich rozmowach Muracie pozwolono kontynuować akcję, z jednym wszakże zastrzeżeniem: na plan dalszy zeszło wyłuskanie oficerów z masy jeńców, priorytetem stało się zaś schwytanie prowodyrów haniebnej niesubordynacji. Niestety generał zyskał groźnego rywala. Wspierany przez frakcję nacjonalistów kapitan Araki także zobowiązał się przywieść winnych przed sąd, tyle że bardziej bezpośrednimi i brutalnymi metodami.

Wyścig właśnie się rozpoczynał, a od jego wyniku zależało znacznie więcej niż tylko los garstki jeńców. Mimo to emisariusze musieli odczekać kilka godzin, ponieważ sprowadzony do nich kadet

padał na twarz i nawet torturami nie dałoby się go zmusić do otwarcia oczu.

– Wstawaj, Andrzeju! – Filipowicz najpierw sam się ogarnął, a potem potrząsnął śpiącym chłopakiem.

– Co? – Horodyński rozejrzał się nieprzytomnie.

– Wstawaj, obmyj twarz zimną wodą... – Tytus wskazał mu stojącą na komodzie misę. – To cię w momencie otrzeźwi.

Wiedział, co mówi, gdyż sam przed chwilą zakosztował kontaktu z lodowatą cieczą. Kadet poczłapał pod ścianę i zaczął energicznie pocierać twarz i szyję wodą źródlaną, parszając przy tym głośno, na koniec zaś osuszył się starannie ręcznikiem, aż mu się skóra zaróżowiła, po czym wrócił na swoje miejsce.

– Zaraz dostaniesz coś do zjedzenia – obiecał mu Piłsudski, siadając naprzeciw i zapalając papierosa. – A teraz skup się, Andrzeju, chłopcze szczerozłoty, bo nie mamy czasu na czcze gadki. Sytuacja uległa zmianie, jak już zapewne sam zauważyłeś. Wóz albo przewóz, tyle ci powiem.

– Widziałem – szepnął Horodyński.

– Co widziałeś?

– Stary komendant wypruł sobie flaki na naszych oczach. Teraz w obozie rządzi Araki, a on...

– Tak – podchwycił Józef, wracając do interesującego go tematu. – Dzielny kapitan obiecał przełożonym, że raz-dwa wyłapie winnych, a na to, mój drogi, za nic nie możemy pozwolić. Musimy być pierwsi.

– Od tego – dodał Tytus – zależy nie tylko twój los, Andrzeju, ale cały nasz układ z Japonią. Albo dowiedziemy przydatności naszej agentury, albo premier Tarō każe nam iść precz. A wiedz, że to zatwardziały nacjonalista, zwolennik ograniczenia wpływów europejskich i ponownego wzmocnienia roli cesarza. Mianowanie Arakiego to głównie jego zasługa.

Horodyński potaknął tylko.

– Mów, co wiesz. – Piłsudski pochylił się nad stołem, nie wyciągając ćmika z ust.

- Ale o czym?
- Jak zorganizowano to... – Filipowicz szukał przez moment właściwego słowa. – Tę manifestację nieposłuszeństwa.
- Nie mam pojęcia. Dołączyliśmy do jeńców z pozostałych obozów, na takim wielkim placu, i tam właśnie ktoś podał z przodu, że mamy zrobić to, co wszyscy, na dany znak. Żadne konkrety nie padły.
- Przekazano wam to przed rozpoczęciem parady? – upewnił się Piłsudski, wpierw sztachnąwszy się mocno papierosem.
- Tak. To znaczy nie. My jeszcze nie ruszyliśmy, ale defilada zaczęła się jakiś czas wcześniej.
- Ile dokładnie czasu upłynęło?
- Nie umiem powiedzieć. W każdym razie tuż potem ruszyły pancery.
- Możemy założyć, że polecenie wydano półtorej godziny po rozpoczęciu defilady – ocenił Tytus.
- A niech to! – Zawiedziony Józef walnął pięścią w stół. Chłopak zadygotał i zaczął się usprawiedliwiać.
- Nie mam zegarka i...
- Nie na ciebie się złościę – wyjaśnił emisariusz, gasząc niewypalonego do końca papierosa. Za coś takiego za drutami czekałby go lincz. – Gdyby polecenie padło na samym początku, gdy tylko przyszłście, moglibyśmy domniemywać, że ukartowali wszystko wcześniej i że chodzi o jakąś formę konspiracji, a tak... Na dwoje babka wróżyła.
- Co dokładnie usłyszeliście? – wtrącił Filipowicz. Andrzej wyteńczył pamięć.
- „Na dany znak zróbcie to, co my. Podaj dalej”. Tak to szło.
- Bardzo niekonkretne stwierdzenie.
- Wiemy przynajmniej, że akcję zainicjowano gdzieś na czele kolumny jeńców – skonkludował Piłsudski, bawiąc się srebrną papierośnicą. – Tam znajdowali się przewodnicy...
- Albo ci, którym wyznaczono tę rolę – skontrował natychmiast Tytus. – Mogło też być tak, że jeńcy zmówili się podczas postoju.

Mieli na to dość czasu.

– Czyli wiemy, że nic nie wiemy – podsumował rozwścieczony Józef. – To mam przekazać generałowi?

– Daj spokój, Ziuk – poprosił jego towarzysz. – Powtórzmy Muracie to, co powiedział nam Andrzej.

– W jego słowach nie ma nic wartościowego!

Piłsudski znów sięgnął po papierosa. W normalnych okolicznościach palił jak smok, lecz gdy nerwy go brały, zamieniał się w buchającą dymem lokomobilę.

– Może i nie, ale Araki nawet tego nie mógł jeszcze zaraportować – zauważył przytomnie Tytus.

– Fakt.

– Posłuchaj mnie, Andrzej... – Filipowicz pochylił się nad stołem, opierając kłyście o blat. – Gdy tylko zjesz, każemy odstawić cię z powrotem. Czas jest teraz najważniejszy. Musisz się dowiedzieć, kto i kiedy zdecydował o tym, by zagrać na nosie Japończykom. Czy była to wcześniej zaplanowana akcja, czy raczej spontaniczny pomysł, na który ktoś wpadł, stojąc na placu i czekając na rozpoczęcie defilady.

– Dobrze. Nadstawię ucha, jak kazaliście...

– Wiesz, to może nie wystarczyć – wpadł mu w słowo Piłsudski.

– Ale...

– Pamiętam, co mówiłem o ostrożności. Sytuacja uległa jednak zmianie. Jeśli Araki złamie twoich towarzyszy, zanim coś wywęszysz, będzie źle. Bardzo źle. Ty skończysz na szubienicy, a my... W najlepszym razie zapakują nas na pierwszy statek odlatujący byle dalej, w najgorszym... wyślą do obozu. – Przeczesał nerwowo włosy, potem zaciągnął się potężnie papierosem. – Daj z siebie wszystko, Andrzej.

– Od ciebie i tylko od ciebie zależy dziś los wolnej Polski – dodał złowieszczym tonem Filipowicz.

Horodyński przełknął głośno ślinę.

– Ale co ja mogę? Jeśli kapitan zakáže jeńcom kontaktów, jak zrobił to w Kanagawie, niczego się nie dowiem, chyba że spiskowcy mieszkaliby w moim baraku, a na taki zbieg okoliczności trudno chyba liczyć.

– To akurat nie problem – uspokoił go Piłsudski. – Generał trzyma rękę na pulsie. Araki nie zrobi nic, co by mogło utrudnić znalezienie winnych. Dobrze wie, jak wysoką cenę przyszłoby mu zapłacić. I jeszcze jedna dobra wiadomość: Murata zakazał nowemu komendantowi zabijania jeńców.

– Naprawdę?

– Tak.

– Dlaczego?

– Żeby nie stracił przypadkiem tych, na których Japończykom najbardziej zależy. W Kanagawie nie było nikogo ważnego, trafili tam głównie marynarze z niszczycieli ze zgrupowań skrzydłowych, które strącano masowo nad zatoką. Dlatego Arakiemu pozwolono bawić się w Boga. Shinagawa to co innego. Zwłaszcza teraz, gdy nikt już nie szuka oficerów, którzy mogliby wziąć odpowiedzialność za zbombardowanie Tokio.

– Ale przecież oni pragną śmierci tych ludzi! – Horodyński przyglądał im się z rozdziawioną gębą.

– Tak, to prawda, ale... – Piłsudski urwał, nie bardzo wiedząc, jak poinformować chłopaka o decyzjach podjętych na szczeblu rządowym.

– Posłuchaj mnie, Andrzej. – Tytus przyszedł w sukurs zmieszanemu emisariuszowi. – Japończycy już dawno zrozumieli, że bitwy nad Tokio nie przeżył żaden dowódca. Dlatego z takim uporem szukali oficerów, choćby kapitanów, pierwszych oficerów z krążowników, nawet lekkich, albo chociaż poruczników z okrętów flagowych. Krótko mówiąc, kogokolwiek, kto mógłby stanąć przed sądem. Ten nalot, sam przyznasz, był odrażającą zbrodnią wojenną. Zjednoczoną flotę wysłano, by zrównała z ziemią jedno z największych miast świata. Gdyby ten plan wypalił, ofiary

w ludności cywilnej szłyby w setki tysięcy. Właśnie to cesarstwo chciało obwieścić na arenie międzynarodowej. Sadzając na ławie oskarżonych choć kilka osób odpowiedzialnych za wydawanie rozkazów, Japończycy mogliby urządzić nie lada widowisko. Oczywiście czysto propagandowe. Przypieczętowałiby nim sukces, jakim było rozgromienie koalicji. Teraz jednak zmieniły im się priorytety. Muszą jak najszybciej wykryć inicjatorów akcji na defiladzie, nawet jeśli ci okażą się zwykłymi marynarzami. Co tu dużo gadać, splunęliście cesarzowi w twarz, a on nie ściera śliny z policzka, udając, że pada deszcz. Mutsuhito ma swoją dumę. Mówiąc w skrócie: daj nam te nazwiska, a wrócimy do gry. Jeśli Araki zdobędzie je pierwszy... – Rozłożył ręce.

– Musimy za wszelką cenę zadowolić Japończyków – poparł go Piłsudski, który zdążył już ochłonąć. – Zrozum, chłopcze, to nie Europa, gdzie ludzie gardzą zramolałymi władcami. To Japonia, cholerne Imperium Wschodzącego Słońca. Odwracając głowy od boskiego *tennō*, rozwścieczyliście nie jego samego, nie tylko rząd, ale też zwykłych ludzi, dla których Mutsuhito jest nietykalną świętością. Mieliście szczęście, że ewakuowano was do obozu, zanim wieści o zniewadze obiegły całe miasto. Dzisiaj wszyscy w Japonii żądają waszych głów, od premiera po najprostszego chłopca.

– Rozumiem.

– Nie rozumiesz. – Józef pokręcił głową. – Albowiem, synku, to wszystko nic przy zagrożeniu, jakie niepowodzenie twoich działań niesie dla naszej ojczyzny. Powiedzmy sobie wprost: jeśli nie podołasz zadaniu, nie będzie wolnej Polski. Potencjalny sojusznik odwróci się do nas plecami, tak jak wy odwróciliście spojrzenia od cesarza, i zgniecie nas pod obcasem jak wszystkich zaborców. Gdy bowiem podbije już Europę, a dokona tego bez dwóch zdań, dojrzy w nas co najwyżej naturalizowanych Rosjan, Niemców, Austriaków i Węgrów. Koniec kropka.

– Zrobię co w mojej mocy – obiecał Horodyński, lecz w jego głosie próżno było szukać pewności siebie.

– Na to właśnie liczymy. – Filipowicz wstał, by otworzyć drzwi.

Do gabinetu weszła starsza kobieta w szarym kimonie. Ustawiła tacę z trzema miseczkami parującej zupy, zwanej *misoshiru*, i z również trzema nieco mniejszymi czarkami kleistego ryżu.

– *Domo arigato* – wybąkał Andrzej, gdy posługaczka ruszyła ku drzwiom, ale zaraz spuścił wzrok, widząc jej wściekłe spojrzenie.

Emisariusze nie kłamali. Zerknął więc z obawą na podany posiłek. Tytus zauważył to i zaśmiał się pod nosem.

– Spokojnie. Tutaj nic ci nie grozi. Jedzenie dostarczono na polecenie samego generała.

– Wcinaj, Andrzejku, wcinaj. – Piłsudski sięgnął po pałeczki. – Musisz jak najszybciej wrócić do obozu.

– Do obozu?

– A gdzie? – Józef spojrzał na niego znad przyłożonej do ust miseczki.

– Przecież wszyscy są teraz w strefie.

– Niestety nie – zaprzeczył Tytus. – Araki wziął sobie do serca żądania przełożonych. Dzisiaj nie pracujecie. Twoi towarzysze stoją na placu, jak wczoraj, i zastanawiają się, czy warto dalej znosić te katusze. Cholerny dziadyga wie, co robi, to trzeba mu przyznać.

Andrzej skrzywił się boleśnie. Do końca posiłku nie odezwał się słowem. Wpychał grudki kleistego ryżu do ust i zapijał je pośpiesznie łykami wodnistej zupy. Zaspokoiwszy głód, wytarł usta wierzchem dłoni.

– Mówicie panowie, że czas nagli... – odezwał się niepewnie. – Zatem chyba... jeśli się czegoś dowiem... powinienem dać wam znać jak najszybciej. Pytanie jak?

Emisariusze wymienili zakłopotane spojrzenia.

– Generał ma w obozie swojego człowieka – odpowiedział po chwili wahania Filipowicz. – Przekażemy mu, żeby dziś bacznie cię obserwowali. Trzeba tylko ustalić jakiś sygnał, którym dasz im znać, że coś już wiesz.

– To musi być coś prostego, naturalnego. Coś, co nie wzbudzi podejrzeń innych jeńców ani Arakiego – dodał Józef, zapalając trzeciego już papierosa.

– Wiem! – rzucił rozpromieniony Tytus. – Zakładam, że zaraz po powrocie dołączysz do reszty jeńców. Nasz człowiek będzie miał na ciebie oko...

– Jak go rozpoznam? – zapytał Andrzej.

– On rozpozna znak, to wystarczy.

– Jaki znak?

– To właśnie musimy ustalić... – Filipowicz rozparł się w fotelu. – Wstań.

Gdy kadet wykonał polecenie, młodszy z emisariuszy przyjrzał mu się uważnie.

– Jeśli usłyszysz coś na placu, zdejmiesz but, jakbyś chciał z niego wysypać kamyki albo piach. Jeśli dowiesz się czegoś ciekawego dopiero wieczorem, po prostu wyjdź z baraku i obstukaj but o ścianę. Tylko tak porządnie, żeby człowiek generała tego nie przeoczył.

– To... chyba dobry pomysł – po chwili zastanowienia wyraził swoje zdanie Piłsudski.

Horodyński także uznał, że taki gest nie wzbudzi podejrzeń, choć pewnie nie obędzie się bez reprimendy i kilku razy. Skinął więc głową na zgodę.

– Tak zrobię.

– Skoro wszystko mamy ustalone... – Józef odłożył tłącego się papierosa do miseczki po ryżu i wstał, by odprowadzić kadeta do drzwi. Zanim je jednak otworzył, chwycił go za ramiona i spojrzał mu prosto w oczy. – Ojczyzna na ciebie liczy – powiedział. – Po nas niech proch zostanie, ale Polska trwać musi.

Gdy Andrzej potaknął, uścisk męskich dłoni na jego barkach zelżał, jakby emisariusz chciał od niego odstąpić. Nie uczynił tego jednak. Zawahał się, po czym niespodziewanie przytulił stojącego przed nim chłopaka. Mocno, serdecznie.

Tak się pożegnali. Wystarczyło nacisnąć klawisz, by czekający w korytarzu policjanci zerwali się z ławek. Horodyński złączył potulnie ręce, by je skuto, a potem dał się pociągnąć ku wyjściu.

Starszy emisariusz odprowadził go wzrokiem, po czym westchnął ciężko.

– Myślisz, że podoła? – zapytał go Tytus.

– Taką mam nadzieję – odparł Piłsudski, biorąc papierosa w rękę.

– Nie przesadziliśmy aby?

– Z agitacją? Nie sądzę.

– Chodzi mi o nich... – Filipowicz wskazał brodą drzwi.

– To konieczne zło. Uwierz mi, wyświadczamy mu tym ogromną przysługę.

– Ale... Jesteś pewien tych ludzi? Jeśli za bardzo się przyłożą...

– Generał za nich ręczy – obruszył się Piłsudski, po tym jak przełknął ostatni łyk przestygłej zupy. – To fachowcy, policjanci. Kto jak kto, ale oni wiedzą, jak bić. Mało razy dostałeś na przesłuchaniach? – Zaciągnął się głęboko, smakując dym. – Aha, i jeszcze jedno. Dorzuc parę groszy tej kobiecie. Bardzo udatnie dzisiaj zagrała.

– A mnie się wydaje, że nie musiała specjalnie grać – odparł Tytus, nie odrywając spojrzenia od okna.

ROZDZIAŁ 5

Andrzej wypadł na ubitą ziemię. Wyciągnęli go z klatki, jakby był ładunkiem, nie człowiekiem. Nikt mu nie pomógł, choć było ich tam czterech – dwaj konwojenci i tyluż samo strażników: młody *gunsō* i asystujący mu patykowaty szeregowiec. Wszyscy przyglądali się tylko, rozmawiając między sobą półgłosem, a potem, niecałą minutę później, gdy więźniarka odjechała, podoficer podszedł do wciąż leżącego, zakrwawionego kadeta i pochylił się nad nim, ale wyłącznie po to, by splunąć mu w twarz.

– Wstaje! – rozkazał łamanym rosyjskim, widząc zaś, że jeniec nie reaguje, poprawił kopniakiem.

Horodyński przetoczył się na brzuch, dźwignął na czworaki i w tej pozycji przyjął jeszcze dwa kopnięcia, na szczęście niezbyt mocne. Wyprostował plecy, gdy udało mu się zaczerpnąć głębiej tchu.

Później było już łatwiej, stanął więc na szeroko rozstawionych nogach, próbując zapanować nad wirującym szaleńczo światem. Zanim znudzony strażnik uniósł pałkę, kadetowi udało się zrobić chwiejny krok i uniknąć kolejnego ciosu.

Japończycy odprowadzili go, nie do baraku jednak, lecz na jego miejsce w szyku. Stanął w ostatnim rzędzie obok doktora Wieriesajewa, któremu *gunsō* pokazał na migi, by zajął się towarzyszem.

– Kto ci to zrobił? – zapytał Wikientij Wikientiewicz, gdy strażnicy oddalali się wolnym krokiem, podejmując przerwany obchód.

– Polisansi – odpowiedział niewyraźnie Andrzej, po czym splunął gęstą śliną o barwie burgunda.

Lekarz niewiele mógł zrobić w takich warunkach, ale upewnił się, że większość opuchlizny na twarzy pobitego to tylko nieszkodliwe sińce, aczkolwiek co do naruszonej górnej lewej trójki, to nawet on, nie będąc dentystą, nie robił złudzeń ani sobie, ani pacjentowi. Skończyło się na radzie, by Andrzej nie pchał paluchów do ust i nie

wyrywał jej teraz, lecz zaczekał z tym do po posiłku, dzięki czemu uniknie zakażenia. Najważniejsze jednak, że ukryte pod bordową śliwą oko nie zostało uszkodzone. Żebra też były tylko stłuczone, co najwyżej pęknięte w miejscu, gdzie rozlewający się siniec miał najciemniejszą barwę.

– Do wesela się zagoi – podsumował żartobliwie Wieriesajew.

Horodyński nie docenił tej próby poprawienia mu nastroju. Wzrok wciąż miał zamglony, mniej podbite oko łzawiło nieustannie, tak że dopiero po dłuższej chwili zobaczył i zrozumiał, co dzieje się w obozie. Kapitan Araki przysiadł na niziutkim stołeczku w centralnym punkcie podestu, który zdążył już wrócić na dawne miejsce, i przyglądał się stamtąd, jak część jeńców kopie w ziemi głębokie jamy. Widok tych, które były już prawie gotowe, wydał się Andrzejowi bardzo znajomy.

– Doy chloasne – wybełkotał.

– Jakbyś zgadł, przyjacielu – odmruknął stojący przed nim matros.

– Od rana je kopujemy, na zmiany – pośpieszył z wyjaśnieniem Wikientij Wikientiewicz. – Nowy komendant przemeblowuje obóz po swojemu.

Andrzej skinął głową i zaraz stęknął. Oszołomienie mijało z wolna, wciąż jednak czuł się niepewnie. Policjanci skatowali go, choć nie dał im powodu, kazali kierowcy zatrzymać się na odludziu, wywlekli jeńca z klatki, a potem tłukli bez opamiętania. Przestali dopiero wtedy, gdy padł bez przytomności... „A może i nie”, pomyślał, obmacując bolący bok. „W każdym razie nie pamiętam, żeby ktoś mnie kopał, kiedy leżałem”.

Akcja na defiladzie naprawdę wkurzyła Japończyków. Był tego żywym dowodem. „Araki też nie odpuści, a jeńcy są już na skraju załamania. Może jeszcze nie dziś, ale za dzień albo dwa ktoś na pewno sypnie”... Powiódł wzrokiem po otaczających go mężczyznach. W ich postawie nie było już buty, długie godziny prężenia się na baczność starły ją bezpowrotnie.

„Dzień albo dwa”, powtórzył w myślach Andrzej. „Czy w tak krótkim czasie uda mi się dojść prawdy?”...

休憩

Wydawać by się mogło, że stanie na placu apelowym jest dla jeńców okazją do wytchnienia, zwłaszcza gdy porównać je z morderczą harówką w strefie, ale było to z gruntu mylne spostrzeżenie. Bezruch okazał się nawet bardziej wycieńczający, o czym wszyscy przekonali się już pierwszego dnia męczarni. Ślaniali się na nogach, choć po śniadaniu – pierwszym od założenia tego obozu, które nie zostało pochłonięte do ostatniego ziarenka rozgotowanego ryżu – ucieszyli się na wieść, że komendant odwołał roboty. Bardzo szybko jednak zrozumieli, że to nie ułaskawienie.

Ustawiono ich jak do apelu, a potem wywoływano po sześciu, rozdając narzędzia. W pewnym momencie padł rozkaz kopania dołów. Były ich dwa rzędy, po dziesięć w każdym, na dwa metry szerokich i na trzy głębokich. Ulokowano je przed szubienicami, pozostawiając po bokach przejścia na tyle szerokie, by dało się doprowadzać skazańców na szafot.

Gdy Andrzej zajął miejsce w ostatnim szeregu, doły kloaczne były już prawie gotowe, ponieważ strażnicy stali nad głowami kopiących i pilnowali, aby tempo prac nie słabło nawet na chwilę. Ponadto jeńcy zmieniali się co półtorej godziny, tak by każdy z prawie tysiąca stu odbębnił swoją turę.

Zanim niebo poczerniało do reszty, ostatnie taczki wybranej ziemi trafiły za druty i wszyscy jeńcy znów stali na baczność. Komendant obszedł plac, zaglądając uważnie do każdego dołu, niczym karbowy, który sprawdza, czy robotnicy zasłużyli na dniówkę. W końcu wrócił na podest, ale nie usiadł ponownie.

– Rozejść się! – warknął.

Tego rozkazu naturalnie nie trzeba było nikomu tłumaczyć.

休憩

Po wieczornej toalecie, na którą jeńcy dostali tym razem nieco więcej czasu, przyszedł czas posiłku. Była to jedyna pora – poza śniadaniem, które zawsze spożywali w pośpiechu – kiedy mogli w miarę spokojnie pogadać. Tego dnia jednak przy stole panowała cisza. Mało kto miał siłę strzępić sobie język, ale tu i ówdzie rozlegały się głosy.

W pewnym momencie ktoś zapytał Andrzeja:

– A ciebie gdzie tak wożą?

– Dalibyście spokój chłopakowi – oburzył się Wieriesajew. – Nie widzicie, jak wygląda?

Horodyński dotknął jego ramienia.

– Chętnie odpowiem. Nie powinniśmy mieć przed sobą żadnych tajemnic... – Wyczekiwał okazji, która rozwiąże ludziom języki, a ta właśnie chyba się nadarzyła. – Wożą mnie na przesłuchania. Mam stanąć przed japońskim sądem.

– Przed sądem? A o co cię oskarżają?

– Zraniłem jakiegoś ważnego mnicha czy mistrza...

– Kozak z ciebie. Nie dziwota, że nowy komendant zna cię po nazwisku – skomentował najbliższy siedzący jeńiec, po czym wsadził sobie do ust kolejną bryłkę ryżu. Musieli jeść rękami jak dzikusy, ponieważ nie wydawano im sztucców ani nawet pałeczek.

– Ale ja go nie... – zaczął Andrzej i umilkł szybko, zdawszy sobie sprawę, że przecież nie wie, co naprawdę wydarzyło się wtedy przy świątyni w lesie. Skupił się więc na drugiej kwestii. – Komendant zna moje nazwisko, bo po schwytaniu trafiłem do Kanagawy, skąd też mnie zabierali na przesłuchania, tyle że do sądu w Jokohamie.

– Ten, za którego mają go sądzić, to tutaj jakieś bożyszczce – wtrącił Wikientij Wikientiewicz, kładąc dłoń na ramieniu Horodyńskiego. – Dzieciak miał bark wybity, a i tak trafił na całą dobę do jednego z takich dołów, jakieśmy dzisiaj kopali. Pozwolili mi go poskładać dopiero wtedy, jak go wyciągnęli.

– Jego szczęście – mruknął ktoś z boku.

Wieriesajew zmierzył go ostrym spojrzeniem.

– Szczęście?

– Pewnie omdlał z bólu i niewiele z tego wszystkiego pamięta – dopowiedział anonimowy matros, sięgając do prawie opróżnionej miski. – Wiem coś o tym...

– Tak było – potwierdził Andrzej. – Nie inaczej.

– Na tych przesłuchaniach tak cię leją? – zainteresował się zwalisty mężczyzna siedzący naprzeciw.

– Nie. Wcześniej może nie było miodu, ale... – Horodyński pokręcił głową, jakby nie zgadzał się z własnymi myślami. – Po tej paradzie coś się zmieniło. Dzisiaj usłyszałem, że nie tylko stary komendant poczuwa się do winy – starał się naprowadzić ich na temat, który powinien wywołać dyskusję.

– I dobrze – burknął waligóra, a na jego ustach natychmiast pojawił się krzywy uśmiech.

Przynęta została rzucona. Siedzący nieco dalej zaczęli odwracać głowy, by lepiej słyszeć. Już co najmniej tuzin jeńców spoglądało otwarcie na rozmawiających, a na ich twarzach z każdą chwilą pojawiała się większe zainteresowanie. Tak, to był ten moment, który powinien teraz wykorzystać, zwłaszcza że w głowie rodził mu się właśnie świetny plan.

– Może i dobrze – odparł Andrzej, krzywiąc się z bólu. Nie musiał nawet udawać, wystarczyło przesunąć językiem po luźnym zębie. – Ale na pewno nie dla nas.

– Dlaczego? – obruszył się waligóra. – Niech się Japońce pozarzynają wszyscy co do jednego.

– Choćby dlatego, że stracimy przez to szansę na odzyskanie wolności – skontrował stanowczo Horodyński.

Teraz słuchali już wszyscy. Gdyby w tej zimnicy mogła latać jakaś mucha, jej bzyczenie wydałoby się rykiem pracującego na pełnych obrotach silnika.

– O czym ty mówisz? – zainteresował się wysoki, szczupły brunet, siedzący dwa miejsca od waligóry i mający na sobie podartą w wielu miejscach bosmankę.

– O tym, że Japończycy są wściekli, ponieważ mój proces zwrócił uwagę obserwatora z ramienia Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża – wypalił Horodyński i zaraz dodał: – Na pewno go widzieliście, to ten brodaty elegant, którego woził sam generał.

– Był u nas ktoś taki – przytaknął z głębi jakiś Rosjanin, który musiał siedzieć wcześniej w Kanagawie.

– U nas też – dodał jeniec Shinagawy.

– I w Ōmori takiego widziałem.

Kolejni mężczyźni kiwali głowami, potwierdzając słowa Andrzeja. Powoli chwyтали haczyk.

– I co z tego? – prychnął drągal, który nie spuszczał spojrzenia z kadeta. – Obserwator przyjechał i wyjedzie, a my zgnijemy na tej zasranej obcej ziemi.

– Niekoniecznie – zaprzeczył ktoś siedzący po tej stronie co Horodyński. – Przecież nie przyjechał tu na wywczas. Kto wie, może chodzi o wymianę. My także zatapiamy i strącamy ich okręty, o braniu jeńców na froncie nie wspominając.

– Właśnie – poparł go szybko Andrzej, któremu wzmianka o wymianie idealnie pasowała. – Emisariusz wyjawiał mi w przerwie między przesłuchaniami, że prowadzi rozmowy na ten temat. I to na bardzo wysokim szczeblu, z ministrami. Podobno w nasze ręce wpadło kilku japońskich generałów. Kontrofensywa, ta, którą maskowano naszą operację, okazała się na kilku kierunkach bardzo udana. – Kłamał jak z nut, ponieważ wiedział, że jego towarzysze nie mają jak sprawdzić tej informacji. W obozie pokazywano im wyłącznie japońskie kroniki filmowe, a te, jak każda propaganda, przedstawiały sukcesy armii cesarskich i nic więcej. – Niestety wczoraj przestano z nim rozmawiać.

– Tak się zawzięli? – Bosman pokręcił głową.

– Oni są jacyś inni – mruknął matros, który do tej pory nie zabierał głosu. – Kto to widział, żeby się tak publicznie rieżać?

– A słyszeliście, że żona i córka komendanta też się zabiły? – Andrzej postanowił przejść na mniej grząski grunt.

– A ty skąd to wiesz?

– Araki kazał mi rano poczekać na transport – wyjaśnił pośpiesznie. – Na pewno widzieliście, jak stałem na placu. Tylko dzięki temu zobaczyłem, jak je wynosili z budynku komendantury. Poderżnęły sobie gardła, o tak... – Przeciągnął palcem po szyi.

– Bzdury!

– Prawdę mówi. Nie wiedziałem wprawdzie, na co patrzę, ale też coś takiego widziałem, kiedy uchyliłem okiennicę. Tamtą stroną szli, na noszach je targali, całe zawinięte na biało...

– Tak było – potwierdził z przekonaniem kadet, po czym pozwolił, by dyskutowali przez chwilę o okrucieństwie obyczajów panujących na tych wyspach. Gdy temat zaczął się wypalać, dodał: – Mnie gębę przefasonowali konwojenci, nie jakieś tam najęte zbiry, tylko mundurowi policjanci. Zatrzymali się w polu, kazali wysiąść, uśmiechali się, coś tam gadali, a gdy zeskoczyłem na ziemię, zaczęli mnie tłuc i kopać. Krzyczeli coś, ale za cholere nie rozumiem tej ich diabelskiej mowy, dopiero na koniec wznieśli okrzyk, ten, który zapamiętałem z wczoraj.

– *Tenno haiku bonsai* – podrzucił któryś nie do końca poprawnie.

– Ten właśnie. – Horodyński skinął głową. – Zemścili się na mnie za to, co zrobiliśmy podczas defilady...

– Ścierwa.

– ...ale to jeszcze nic. Ten emisariusz powiedział mi, że Araki został nowym komendantem, ponieważ obiecał samemu premierowi, że wykryje prowodyrów niesubordynacji. Będą nas łamać, dopóki nie sypniemy. Nawet jeśli doprowadzi to do zerwania rozmów o wymianie jeńców, które... jak już mówiłem... były bliskie finalizacji.

– Spokojnie, tacy głupi to Japońce na pewno nie są – rzucił drągał, ale jakoś tak bez przekonania. – Swoich generałów na pastwę losu nie porzucają.

– Może i nie porzucają, ale wymienią za parę tygodni na kogoś innego. Mało to mają linii frontu? Obie strony codziennie biorą

kogoś do niewoli. – Znów się rozgadali, a Andrzej im nie przeszkadzał. O to mu właśnie chodziło, o zasianie wątpliwości i rozbudzenie nadziei. Gdy uznał, że pora dorzucić dREW do tego ognia, wymamrotał zrezygnowany: – Nowy komendant to szuja jakich mało. Wy go jeszcze nie znacie, ale Wikientij Wikientiewicz wam opowie, jakimi metodami Araki rządził w Kanagawie i ilu naszych ma na sumieniu.

Wieriesajew poprawił okulary, nabrał tchu, a potem opisał ze szczegółami każde okrucieństwo kapitana. Był nie tylko lekarzem, ale i uznanym pisarzem, dlatego zauważał więcej szczegółów niż przeciętny człowiek, co teraz procentowało. Poza tym okazał się znacznie lepszym mówcą, niż można by przypuszczać – jego opisy były bardzo plastyczne i obrazowe.

Horodyński spostrzegł, że niektórzy jeńcy bledną na twarzy. Ten i ów przełknął ciężko ślinę. Wszyscy zrozumieli, że to dopiero początek ich drogi przez mękę.

– Skoro takie z niego ścierwo, czemu nikogo jeszcze nie powiesił ani nie kazał zastrzelić? Jak to niby wytłumaczysz? – Drągał pozostał sceptyczny, widocznie miał to we krwi.

– To akurat proste – rzucił ktoś, zanim Andrzej zdążył otworzyć usta. – Nie chce przypadkiem usunąć tych, na których zależy jego przełożonym.

– Żeby ich posrało po wieczornym ryżu – mruknął inny.

– Mnie tam nie złamię – warknął bosman.

– Naprawdę? – zareagował błyskawicznie Wieriesajew. – Widziałem twardszych od ciebie drani, którzy ronili rzewne łzy na samą myśl o następnym dniu w piekle. Patrzyłem, jak ludzie z mojej załogi, przyjaciele, wyłamują się z apelowego szyku i idą na druty, żeby mieć ten koszmar za sobą. Nie czarujmy się, panowie, złamanie nas to tylko kwestia czasu.

Potakiwali kolejno, bo co innego mogli zrobić? Wikientij Wikientiewicz wygarnął im całą prawdę prosto w twarz. Byli twórcami własnej klęski.

– I nie ma dla nas ratunku? – zapytał jeniec, w którym Andrzej dopatrywał się najsłabszego ogniwa. W każdej grupie jest bowiem takie, a powodzenie jego planu zależało właśnie od tego, czy je znajdzie.

– Niby jest – zaczął z ociąganiem Horodyński – ale...

– Ale co? – zapytał hardo drągał.

– Ale nie wiem, czy chcecie o tym słyszeć – do rozmowy znów włączył się Wieriesajew, wyczuwając, że kadetowi niezręcznie byłoby wyklądać tak trudną sprawę starszym od niego matrosom.

– Mów – zażądał jeden z jeńców, którego zaraz poparło kilku następnych.

Lekarz się nie odezwał. Spojrzał za to badawczo na Horodyńskiego. Andrzej zachowywał się tak, jakby nie miał nic do ukrycia. Tego nauczyli go obaj konspiratorzy.

– Ten emisariusz, o którym wspomniałeś...

– Tak?

– On ma jakieś plenipotencje? Wiesz, kto go tu wysłał?

Andrzej wydał wargi, wypuścił powietrze z płuc. Przyszedł czas na kolejną zagrywkę.

– Wspominał coś o Genewie i jakiejś Lidze chyba...

– O Lidze Narodów?

– Tak. Właśnie tak powiedział.

– W takim razie to poważne referencje. – Lekarz zwrócił się do pozostałych. – Słuchajcie... Po tym, co zrobiliśmy, Japończycy nie odpuuszczą nam, dopóki nie ukarzą winnych. Jeśli ich nie wydamy, wszyscy prędzej czy później skończymy na tych szubienicach... – Wskazał głową ścianę, za którą znajdował się plac apelowy. – Pamiętajcie, co powiedział Araki po samobójstwie pułkownika?

Spoglądali najpierw po sobie, potem wbili wzrok z powrotem w niego. Choć padło wtedy niewiele słów, żadne nie utrwaliło się w ich pamięci.

– Kapitan nie spodziewał się po nas podobnej odwagi – podpowiedział usłużnie kadet, ciesząc się, że rozmowa idzie po jego

myśli. – O to panu chodzi, doktorze?

– Tak. – Wikientij Wikientiewicz skinął głową. – A konkretnie o zdanie: „Jestem pewien, że się nią nie wykażecie”.

– Do rzeczy, doktorze – ponaglił go któryś ze słuchaczy.

– Udowodnijmy ścierwu, że też mamy swój honor!

– Chcesz pan, żebyśmy się cięli, jak zrobił to stary komendant?

Wieriesajew spojrział na wąsatego Gruzina z politowaniem.

– Nie. Uważam, że ci z nas, którzy stoją za wczorajszym przejawem buntu, sami powinni się zgłosić.

Lekarz zasiał wiatr i zebrał burzę, zupełnie jak mówi przysłowie. Jeńcy sprzecjali się i obsobaczali go dłuższą chwilę, Andrzej zaś siedział jak trusia, przysłuchując się ich przekrzykiwaniami. Liczył, że wyłowi z tego harmideru jakąkolwiek informację na temat spiskowców. Tak się jednak nie stało.

– Panowie! – Wieriesajew wstał od stołu. – Możecie wrzeszczeć do usranej śmierci, a i tak nie zmienicie przeznaczenia. Araki połamie nas jak zapalki, jednego po drugim. I wiecie co? Będzie miał z tego uciechę. A potem... nawet jeśli nie jutro, to pojutrze albo popojutrze... ktoś w końcu pęknie i wszystko wygada. Bo jesteśmy tylko ludźmi, nie jakimiś pieprzonymi maszynami, które przecież też się psują, gdy je źle traktować!

– Wy jakoś się nie złamaliście przez tyle tygodni – zauważył bosman.

– Tak myślisz? – zakpił Wikientij Wikientiewicz.

– No...

– Gdyby ktoś z Kanagawy znał tożsamość prowodyra czy prowodyrów, już dawno stałby przed komendanturą – odpowiedział mu podniesionym głosem Wieriesajew. – Wcześniej nie sypaliśmy, ponieważ nikt nas o nic nie pytał. Nikt niczego od nas nie żądał. Katowano nas dzień po dniu bez powodu. Araki nie chciał z nas nic wydobyć. On to robił dla zabawy. Zrozumcie wreszcie, że macie do czynienia z nieludzkim sadystą.

– Tym bardziej nie widzę sensu w wydawaniu naszych – wtrącił drażal. – Stracą ich, a on będzie nas dalej torturował.

– Celna uwaga, lecz o tyle nieprawdziwa, że to my mamy asa w rękawie... – Lekarz spojrział na Horodyńskiego.

– Mnie?! – Chłopak zrobił wielkie oczy.

– Głupiś, Andriusza. Mówię o emisariuszu. Panowie, pomyślcie. Ktoś wpadł na pomysł, by dopiec Japończykom. Pomysł genialny w swojej prostocie. Upokorzyliśmy ich cesarza, ich rząd! Mało brakowało, a sam premier wyprułby sobie przez nas flaki. To ogromny sukces, ale ja proponuję wam coś lepszego, czyli załatwienie na amen najbardziej znienawidzonego oprawcy. Prawą rękę bym oddał, by móc zobaczyć, jak ścieramy mu ten wredny grymas z gęby.

– Słusznie! Pokażmy tej świni, że matrosi mają honor! – zawołał ktoś z krańca stołu.

– Ha, jeśli ta kanalia zawiedzie, możemy być świadkami, jak robi se puku. – Drażal zarechotał. Bardzo mu się spodobało określenie na ten rodzaj rytualnego samobójstwa, przybliżone im wcześniej przez jak zwykle dobrze poinformowanego Reintera.

– Marzenie ściętej głowy – mruknął ktoś.

Odpowiedział mu wybuch śmiechu, który jednak prędko ścichł.

Po chwili milczenia coraz to nowi Rosjanie przystawali na propozycję lekarza. Z tymi, którzy byli nieprzekonani, dyskutowano zawzięcie dopóty, dopóki nie zmienili zdania.

– Trzeba puścić posłańców do innych baraków – rzucił łysy mężczyzna w podartym golfie, zapewne sternik którejś z mniejszych jednostek. – Wyjaśnić reszcie, jak się sprawy mają.

– Otóż to – poparł go Wieriesajew. – Zostało trochę czasu do capstrzyku, wykorzystajmy go na przekazanie naszym towarzyszom, cośmy uradzili. Niech debatują nawet całą noc, jeśli trzeba. To nasza ostatnia szansa.

– Na co? – zdziwił się bosman.

– Na odzyskanie wolności – odparł z naciskiem Wikientij Wikientiewicz. – O ile dobrze rozumiem, negocjacje na temat wymiany jeńców przebiegły pomyślnie, po co inaczej przenoszono by nas wszystkich do jednego obozu? Dobrze mówię?

Andrzej potwierdził skwapliwie. „Trzeba dążyć temat do upadłego, jak uczyli konspiratorzy. Niech chłopcy wierzą, w co chcą, byle podjęli decyzję, a dalej się zobaczy”.

– Tak mi powiedziano. Brakowało ponoć tylko jakichś podpisów, żeby umowa została zawarta. Za tydzień możemy być znów w Europie.

– Bzdura! – warknął jakiś grubas.

– Niby dlaczego?

– Zaatakowaliśmy stolicę Japonii. Chcieliśmy zrównać ją z ziemią. Nigdy nam tego nie wybaczą.

– I tu się mylisz – odpowiedział mu lekarz, znów wyręczając Andrzeja. – Nie ma wśród nas żadnego dowódcy ani ważnej szycy, a mszczenie się na zwykłych żołnierzach za wymysły władców nie przejdzie nawet w tym dzikim kraju. Jeśli jacyś wrodzy generałowie, zapewne tutejsi arystokraci, wrócą do domu, Japończycy w trymiga pozbędą się każdego z tu obecnych.

– Fakt... To prawda... Racja... – rozległo się z wszystkich stron.

– Nie bądźcie tacy pewni siebie! Bo jeszcze się zdziwicie...

– Naprawdę? – zapytał ktoś, kogo Horodyński nie widział. – To po cholere zgromadzono nas w jednym obozie? Dlaczego zabrano nas na defiladę? Jeśli chcecie znać moje zdanie, Japończycy robią wszystko, aby uczynić z nas swoich agentów.

– O czym ty mówisz, człowieku? – zdumiał się Wieriesajew.

– O tym, że chcąc nie chcąc, będziemy szerzyć defetyzm, naoglądawszy się tutaj tego wszystkiego, czegośmy się naoglądali. Na to w każdym razie mogą liczyć.

– To się przeliczą! – Bosman splunął z odrazą.

– Dobra, dobra, ale co widzielim, tego nie odpatrzym, nie? – zgasił go ktoś.

– A co widzielim? – zadrwił w odpowiedzi obdartus. – Pokazali nam po parę meków nowych generacji, być może zrobionych tylko dla uciechy cesarza.

– A pancerniki?

– To, że jakiś okręt lata, nie oznacza jeszcze, że jest gotów do walki, zgodzicie się chyba? Poza tym reszta trzymała się dziwnie daleko. Na mój rozum, to dopiero szkielety, wydmuszki, a nie wykończone w pełni jednostki. Dranie przez jeszcze rok albo i dwa nie wprowadzą ich do służby, za to my rozniesiemy po każdym mocarstwie, że lada moment zmiażdży nas japońska potęga. To będzie miało straszliwe skutki.

– Co zatem proponujesz?

– Trzeba ludzi uświadomić. Powiedzieć, jak wygląda sytuacja.

– A jeśli źle ją interpretujemy?

– Obie strony mają interes w prowadzeniu tych negocjacji. Tak jest i basta. Ktoś ma lepszy pomysł? Proszę, słucham... – Bosman powiódł po twarzach towarzyszy buńczucznym spojrzeniem.

Spuszczali wzrok, odwracali głowy. Im dłużej zastanawiali się nad jego teorią, tym sensowniejsza im się wydawała. Poza tym z radością powitali myśl, że japońska potęga była tylko na pokaz.

– Dobra, panowie, pora kończyć to nasze głędzenie. – Wikientij Wikientiewicz wykazał się trzeźwością umysłu. Nie mieli zbyt dużo czasu, cisza nocna zbliżała się wielkimi krokami. Stało więc na tym, że prowodyrzy akcji na defiladzie mają do rana zdecydować, czy pójdą po dobroci, czy wolą, by ktoś ich wydał. – A ty, Andriusza, zapytaj jutro tego swojego brodacza, czy da chłopcom gwarancję uczciwego procesu – dodał, wiedząc, jak uspokoić sumienia towarzyszy niedoli.

Skoro prosili, Andrzej dał im nadzieję, tę samą głupią nadzieję, która utrzymywała przy życiu wszystkich więźniów na świecie, tę, której szukali i pragnęli. Dzięki niej podejmą złą decyzję, lecz on akurat był ostatnim człowiekiem, który wyprowadziłby ich z błędu.

Stawką w tej grze było bowiem coś więcej niż głowy kilku zaborców.

ROZDZIAŁ 6

– Jezus Maria, synku, co ci się stało? – Tytus, który otworzył drzwi, nie zbladł wprawdzie, ale minę miał naprawdę nietęgą.

Doprowadzony przez policjantów chłopak wyglądał jak – nie przymierzając – Coughling po walce z Fitzsimmonsem. Prawego oka w ogóle nie było widać, a siniec rozlewający się z opuchlizny zajmował połowę twarzy. Andrzej utykał też lekko i ciągle trzymał rękę przy boku, jakby każdy ruch sprawiał mu ból.

– Odplacono mi za defiladę, jak sądzę – wyjaśnił z bladym uśmiechem, ale zanim zdążył coś dodać, starszy z emisariuszy zerwał się z fotela.

– Nie stój tak, Tytku! – krzyknął. – Zawołaj no kogoś, niech chłopaka opatrzy. I dzwoń do generała. Tak, niech mi natychmiast znajdzie i pociągnie do odpowiedzialności tych cholernych drani! A ty zachodź, chłopcze, zachodź. – Przejął Horodyńskiego i poprowadził ostrożnie w głąb gabinetu. – Zaraz się tobą zajmiemy. Będzie dobrze.

– Nie trzeba, panie Józefie, naprawdę... – Zmieszany chłopak znów się uśmiechnął, choć tylko półgębkiem, by oszczędzić sobie większego bólu. – Panowie, mam dobre wieści!

– Masz dobre wieści?! – Obaj emisariusze natychmiast zapomnieli o współczuciu. – To dlaczego nie dałeś wczoraj sygnału?

– Dawałem. Mało nie porozwalałem sobie butów o framugę tuż przed capstrzykiem, ale nikt się nie pojawił.

– Przed capstrzykiem, powiadasz – zasepił się Piłsudski. – Może akurat zmiana wart była...

– Mniejsza z tym – uciszył go Filipowicz. – Wiesz już, kto za tym wszystkim stoi?

Andrzej wypiął dumnie pierś.

– Inicjatorzy zejść na paradzie chcą się oddać w wasze ręce.

Józef zamarł z papierosem wiszącym z kącika na wpół otwartych ust.

– Jak to w nasze ręce? Coś ty im nagadał? – dopytywał zaskoczony.

– Zdekonspirowałeś nas? – Filipowicz aż przysiadł na kanapie obitej tkaniną z wytłaczanym deseniem.

– Ależ skąd! – Horodyński wzruszył ramionami. Byłby się wyszczerzył, ale dziura po zębie i nachodzące na siebie siniaki skutecznie mu to uniemożliwiały. – W ręce przedstawiciela Czerwonego Krzyża pójda.

– A, chyba że tak... – Józef użył zapalniczki, zaciągnął się głęboko. – Mów, chłopcze. Mów wszystko jak na świętej spowiedzi.

Obaj z Tytusem usiedli i pochyliłi się mocno, zupełnie jak melomani nad patefonem.

– No więc... – zaczął Andrzej niepewnie.

W drodze tutaj poukładał sobie wszystko: jak zagai, jak rozwinię opowieść, jak przejdzie do klimaksu i jak skończy, lecz gdy przyszło co do czego, słowa uleciały mu z głowy. Improwizował więc, bo co miał robić, a że był bardziej podniecony niż obaj konspiratorzy razem wzięci, język mu się plątał tak mocno, że dopiero za trzecim podejściem udało mu się w miarę składnie streścić wydarzenia minionego wieczora. Nakreślił je oczywiście tak, by samemu wypaść jak najlepiej. Zmarginalizował też rolę Wieriesajewa, choć bez jego pomocy niewiele by wskórał.

Emisariusze słuchali go w ogromnym skupieniu, od czasu do czasu zadając pytania. Robili to zwłaszcza wtedy, gdy za bardzo się rozpędzał albo motał.

– ...mało co spałem tej nocy, a może i wcale... – Horodyński doszedł do kluczowego momentu. – Nigdy jeszcze tak mi się nie śpieszyło na apel. Gdyby nie panów przestrogi, pewnie stanąłbym na placu przed świtaniem – próbował zażartować, ale słuchacze nie zareagowali. – Dostałem wiadomość, ledwie padła komenda, żeby się rozejść na śniadanie. Nieznany mi Niemiec podszedł do mnie i powiedział krótko: „Załatwione. Przekaż im, niech przyjeżdżają”.

– Tylko tyle? – zdziwił się Filipowicz.

Andrzej potwierdził skinieniem głowy.

– Czyli nie znasz tożsamości tych ludzi? – dopytał Piłsudski.

– Nie.

– Szlag. A pewien jesteś, że to nie kolejne durne zagranie?

– Jakie zagranie? Winni mieli zdecydować, czy się ujawnią, i dali bardzo konkretną odpowiedź. – Horodyński nie rozumiał, skąd ta nagła rezerwa.

– Dobrze. – Józef wstał, zanim papieros wylądował w przepelnionej popielniczce. – Zróbmy tak. Ja zadzwonię do generała, przekażę mu, że być może mamy przełom...

– Jak to być może? – obruszył się kadet.

– Nie przerywaj, synku! – napomniął go emisariusz. – Poproszę, żeby jak najszybciej podesłał samochód. Pojedziemy do strefy...

– Do obozu raczej. Komendant ogłosił trzeci dzień apelowy.

– Dokręca drań śrubę – rzucił zamyślony Tytus.

– Zapowiedział też – pośpieszył z informacją kadet – że najdalej jutro przekonamy się, jak to jest wpaść w gówno po same uszy. Pośle do dołów kloacznych każdego, kto zemdleje na placu, jeśli nie wydamy mu prowodyrów. Gdyby chłopcy nie zdecydowali wieczorem...

– Rozumiem. Pojedziemy zatem do obozu, ale sami. Ty, Andrzejku, zostaniesz tutaj.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie będziemy cię potrzebowali na miejscu, a poza tym w sądzie jesteś. – Piłsudski spojrział na niego z politowaniem. – Nie sądzisz chyba, że sędzia odroczyłyby twoją rozprawę z pierwszego lepszego powodu?

– No niby tak, ale...

– Odpoczniesz sobie. – Filipowicz urwał, przyglądając się Horodyńskiemu tak, jakby dopiero go zobaczył, i odchrząknawszy, dodał: – Ktoś cię opatrzy.

– Wolałbym...

– Nie tobie decydować – ofuknął go nerwowo krążący po gabinecie Piłsudski. – Prześpij się, zjedz, co ci przyniosą, i czekaj na nasz powrót. Mam tylko nadzieję, że to nie jakaś podpucha...

– Pan jest jedyną nadzieją tych ludzi – przypomniał mu Andrzej. – Dlaczego mieliby oszukiwać?

– Choćby dlatego, że nie są w ciemną bicia i nie dali wiary twoim bajaniom o wymianie jeńców.

– Wiesz, Ziuk... – wtrącił Tytus. – W ich sytuacji nie w takie cuda bym uwierzył. Tonący brzytwy się chwyta, jak to mówią.

– Jeńcy są zdesperowani – poparł młodego emisariusza Horodyński. – Żeby pan widział, jak się nakręcali. Wystarczyło im słówko rzucić, a sami wyciągali takie wnioski, jakie żadnemu z nas nie przyszłyby do głowy.

– Obyś miał rację, synku. – Józef zatrzymał się przed telefonem.

Podniósł rękę, oblizał spierzchnięte wargi, a potem poderwał słuchawkę tak raptownym ruchem, jakby wyciągał kartofel z ogniska. Tarcza terkotała rytmicznie, gdy wybierał znajomy numer.

休憩

Należący do generała mitsubishi hayate sunął jak wichur. Murata kazał szoferowi wycisnąć, ile fabryka dała, tak więc ten nie oszczędzał ani silnika, ani zawieszania. O ile jednak ulice w Tokio były równiutkie jak stół, nawet te na trasach wylotowych, to już boczne drogi nie trzymały żadnych standardów, a gdy wóz skręcił w szutrową aleję łączącą obóz z torami i biegnącą wzdłuż nich szosą, pasażerowie poczuli się jak najprawdziwsi pionierzy z Dzikiego Zachodu. Nowoczesna maszyna przebijała klasyczny dyliżans pod każdym względem, lecz nawet największy geniusz pracujący w pierwszej firmie motoryzacyjnej cesarstwa nie był w stanie stworzyć zawieszania, które amortyzowałoby takie wyboje.

Mimo niewygód miotany po całej kabinie generał nie zastukał laską w ściankę oddzielającą pasażerów od szoferki. Sukces, który

miał w zasięgu ręki, mógł ugruntować jego pozycję nie tylko w sztabie, ale i na dworze. Cesarz bowiem wyraził się jasno: „Winni znieważenia majestatu mają ponieść surowe konsekwencje, i to jak najszybciej”.

Właśnie dlatego Araki tak bardzo dokręcał śrubę jeńcom. Gdyby nie obawa, że represje doprowadzą do przedwczesnej śmierci winnych, zapewne już pierwszego dnia kazałby stracić kilkudziesięciu marynarzy. Niewykluczone, że dzięki temu zdołałby dotrzeć do prawdy, co z tego jednak, skoro ryzyko odebrania boskiemu *tennō* zemsty było w takim przypadku zbyt duże.

Generał uśmiechnął się pod nosem. Nigdy by nie pomyślał, że ten dzieciak będzie w stanie coś osiągnąć, a tu proszę. Wystarczył jeden dzień i Horodinishiki podał mu winnych na tacy. To było tak piękne, że aż nieprawdopodobne. Murata nie dziwił się więc powściągliwości, z jaką towarzyszący mu emisariusz referował sprawę. Szczerze jednak wątpił, by ów miał rację. Do złamania jeńców brakowało już naprawdę niewiele. Schwytani wrogowie mieli świadomość, że zapędzili się w kozi róg, zatem wybór był prosty: albo zginie ich kilku, albo wszyscy zostaną zamęczeni na śmierć.

Mogli być sobie twardzi, ale nie zmieniało to faktu, że są tylko ludźmi, a każdego człowieka można złamać, jeśli ma się dość czasu i pomysłowości. Jednych pokonuje się bólem, drugich strachem. Czasami można się posunąć do bardziej wyrafinowanych metod, takich jak choćby przypisywana mylnie Chińczykom, a pochodząca z Europy tortura wodna, do której tak niewiele trzeba. Wystarczy przykuć delikwenta do krzesła i pozwolić, by woda kapała mu na głowę. Może nie jest to najszybsza droga do złamania człowieka, ale za to niemal niezawodna. Niemal, ponieważ przesadnie długa ekspozycja potrafi doprowadzić do utraty zmysłów.

Araki był bardzo inteligentnym człowiekiem. Jeśli chodzi o wiedzę na temat metod krzywdzenia bliźnich, nie miał sobie równych, co oznaczało, że nawet ze związanymi (metaforycznie) rękami podoła

zadaniu, prędzej czy później ujawniając tożsamość prowodyrów akcji. Cała sztuka polegała więc na tym, by go uprzedzić. A to, dzięki polskim konspiratorom pragnącym się wkupić w łaski Imperium Wschodzącego Słońca, miało właśnie stać się faktem.

Automobil zwolnił. To mogło oznaczać tylko jedno – obóz był już w zasięgu wzroku.

Generał zerknął na zegarek.

– Mamy dziesięć minut – rzucił do Piłsudskiego. – O tyle wyprzedziliśmy resztę konwoju.

– To wystarczy? – zainteresował się emisariusz.

– W zupełności. Proszę pamiętać: pan milczy, ja mówię.

休憩

Komendant powitał gości za bramą. Wyszedł im naprzeciw, ponieważ plac apelowy był zajęty, tym razem bowiem jeńców rozstawiono w luźnym szyku; każdego dzieliły od sąsiadów co najmniej cztery metry wolnej przestrzeni. Do tortury, jaką było stanie przez cały dzień o głodzie i chłodzie, doszło jeszcze poczucie izolacji. Kiedy ktoś mdlał, upadał. Pomocna dłoń nie mogła go podtrzymać, dopóki nie odzyska sił. Żadne usta nie podszeptają też słabszemu psychicznie, żeby nie pękał. Araki nie musiał lać nieszczęśnikom wody na głowę, by dopiąć swego.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, generale? – Kapitan pokłonił się sztywno, gdy Murata wysiadał z samochodu. Zrobił to po raz drugi, choć nieco bardziej niedbale, gdy za rywalem zobaczył brodatego gajjina.

– Jego cesarska mość żąda rezultatów – odparł chłodno Murata.

Komendant zrobił urażoną minę.

– Gdyby pozwolono mi...

– Gdyby pozwolono panu działać po swojemu – wpadł mu w słowo generał – dziś albo jutro musiałyby pan szukać kaishakunina.

Araki przełknął ten przytyk, choć pociemniał nieco na twarzy.

– Co pana sprowadza do mojego obozu, generale? – powtórzył pytanie.

– Proszę zebrać jeńców jak do apelu, chcę do nich przemówić – oznajmił Murata.

– Sam premier zaakceptował mój plan...

– Nie zamierzam tego negocjować – zapewnił go gość. – Potrzebuję tylko kilku minut, później będzie mógł pan kontynuować tę... zabawę. – Obrzucił jeńców pogardliwym spojrzeniem.

– Jak pan sobie życzy, generale. – Komendant uklonił się raz jeszcze, po czym przywołał szybkim gestem stojącego najbliżej *gunsō*. – Ogłosić zbiórkę i wezwać tłumaczy! – rozkazał.

Przenikliwe piski gwizdków wyrwały jeńców z odrętwienia. Reagowali na ten dźwięk jak psy Pawłowa. Nawet ci, którzy byli półprzytomni ze zmęczenia, powlekli się na swoje miejsca.

Murata poczekał, aż się ustawią. Nie mógł przemawiać z podwyższenia, które przeniesiono na czas pogłębionej medytacji, jak nazwał tę torturę kapitan, stanął zatem pośrodku placu, aczkolwiek na tyle daleko od dołów kloacznych, by bijący z nich odór nie raził przesadnie jego nozdrzy. Znaczna część jeńców nie miała tego przywileju; sami zresztą opróżnili po śniadaniu wszystkie latryny, przygotowując sobie miejsca przyszłej kaźni.

Emisariusz zajął miejsce po prawej stronie generała, Araki natomiast przystanął na uboczu, ale na tyle blisko, by móc szybko reagować. Widać było, że płonie z ciekawości, co też jego rywal wymyślił. Piłsudski zachował kamienną twarz, jakby nie wiedział w czym rzecz, choć kosztowało go to sporo wysiłku.

– Marynarze i oficerowie zjednoczonej floty... – przemówił Murata, gdy ostatni jeńiec stanął w szyku. Tłumacze natychmiast przełożyli jego słowa, tyle że... niezbyt dokładnie. Generał był poliglotą, gdyby nie protokół i duma, mógłby zwrócić się do stojących przed nim ludzi w ich własnych językach, od razu więc wychwycił różnicę. W przekładzie jeńcy zostali nazwani marnymi śmieciami. – Jeśli przekręcicie jeszcze jedno moje słowo, posłużycie

za przedmiot objaśnień, do czego służą te wszystkie dziury i konstrukcje. – Wskazał szafoty i kloaczne doły.

To załatwiło sprawę. Definitywnie.

– Marynarze i oficerowie zjednoczonej floty – zaczął raz jeszcze. – Jak zapewne zauważyliście, my, Japończycy, jesteśmy ludźmi honoru. Pułkownik Yamaguchi uzmysłowił wam naocznie, do czego jesteśmy zdolni, gdy spotka nas hańba. A wy swoim niegodnym czynem znieważyliście samego cesarza!

Przysłuchujący się temu wystąpieniu Araki uniósł się nagle, ale Murata był na to przygotowany i osadził go w miejscu groźnym spojrzeniem. Celowo wspomniął o urażonej dumie władcy. Chciał sprowokować reakcję znanego z ciągot nacjonalistycznych kapitana, który za nic by nie przyznał, że ktoś taki jak Mutsuhito mógł zostać obrażony przez motłoch. To krótkie, lecz zauważalne ścięcie dwóch japońskich oficerów uwiarygodniło generała w oczach jeńców jako gwaranta dotrzymania umowy. Czyż nie osadził jednym gestem najbardziej krwiożerczej bestii, jaką znali?

– W odróżnieniu od wielu moich kompatriotów – kontynuował Murata – wierzę, że i wy jesteście honorowymi ludźmi. Daję wam zatem szansę naprawienia wyrządzonych cesarstwu krzywd. Wzywam, by inicjatorzy niechlubnego zdarzenia ujawnili swoją tożsamość... teraz, przede mną i tu obecnym przedstawicielem Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża.

Komendant prychnął pogardliwie. Nie miał bladego pojęcia, co powoduje generałem, uznał więc, że to gest rozpaczycy tracącego grunt pod nogami rywala, zaraz jednak zdębiał, gdyż przed szereg faktycznie wystąpiło trzech obdartych jeńców. Francuz i dwaj Niemcy przybrali pozycję zasadniczą, jakby meldowali się na rozkaz.

– To jakaś kpina! – Posiniały na twarzy Araki doskoczył do nich, ale nawet nie drgnęli. – Co to za wygłupy? – Odwrócił się do Muraty, lecz ten tylko wykrzywił twarz w grymasie niemal identycznym jak ten, który jeńcy dotychczas oglądali na obliczu kapitana.

– Wykonuję zadanie zlecone przez jego cesarską mość, to samo, któremu pan nie umiał podołać – rzucił gardłowo. – Skuć ich i przygotować do transportu! – Wskazał strażnikom ujawnioną trójkę. – A co się tyczy pana, kapitanie... – zwrócił się do Arakiego. – Jeśli jeszcze raz odezwie się pan do mnie takim tonem, zadbam osobiście, aby został pan wcielony do kompanii karnej i wysłany na front północny! – zakończył podniesionym głosem.

Komendant nie spotulniał jednak, ruszył za oddalającymi się spokojnym krokiem przybyszami. Był pewien swoich koneksji, znacznie wykraczających poza kręgi wojskowe, aczkolwiek miał świadomość, że generała także wspierają potężni mocodawcy, a ten sukces jeszcze bardziej umocni jego pozycję w strukturach władzy cesarstwa.

– To niedopuszczalne – wycharczał przez ściśnięte złością gardło. – Premier dowie się, że wykorzystaliście złamanie przeze mnie hartu ducha jeńców, by... – Wskazał przez ramię prowadzonych za nimi trzech marynarzy, którym wszyscy pozostali jeńcy salutowali w tym momencie.

– Śmiało, kapitanie – zachęcił go kpiącym tonem Murata, przystając. – Wie pan, jaki los czeka tych, którzy ośmieszają się w oczach przełożonych. Dopiero co był pan tego świadkiem.

Ta pokazówka musiała mieć drugie dno. Generał nie posuwałby się do niezawołowanych gróźb, gdyby nie był stuprocentowo pewny swego. Ci jeńcy nie dali się złapać na lep jego chwytających za serce słów. Jedno spojrzenie na ponurego jak chmura gajjina powiedziało mu wszystko.

– Horodinishiki... – wymamrotał z nienawiścią.

– Długo to panu zajęło – skwitował lekceważąco Murata, rozkoszujący się każdą sekundą zwycięstwa. – Tak, nasz agent rozpracował tę sprawę w jeden dzień.

– Agent! – prychnął Araki.

– Owszem. Od tej chwili jeniec Horodinishiki jest oficjalnie moim agentem. Jeśli ktoś go zdekonspiruje albo choćby tknie palcem,

wyląduje w jednym z tych dołów. Rozumiemy się?

Kapitan spojrzał mu hardo w oczy.

– Skoro to pańskie osobiste życzenie... – odpowiedział takim tonem, że nierozumiejącemu tej wymiany zdań Piłsudskiemu ścierpła skóra na karku.

– Wie pan doskonale, o czym mówię. – Generał zaśmiał się chrapliwie. – Doły kloaczne. Bez żadnych wyjątków! Zrozumiano?! – Zmierzył rozwścieczonego kapitana ostrym spojrzeniem. – Może pan odejść. My poczekamy na przybycie konwoju w samochodzie. Straszny odór panuje w pańskim obozie. Powinien pan uważać, takim smrodem łatwo przesiąknąć, a ludzie w ministerstwach mają bardzo wyczułone powonienie.

ROZDZIAŁ 7

Andrzej siedział jak na szpilkach. Lekarz, którego do niego wezwano, nie należał do delikatnych, choć mógł też wyżywać się na gajinie za znieważenie cesarza. Nie, to niemożliwe. Wiedział przecież, że opatruje człowieka, który pomógł ująć sprawców tego haniebnego czynu. Na pewno nie spoglądał na bladego jeńca z odrazą, a gdy się odzywał, w jego niezrozumiałych słowach i tonie, jakim je wypowiadał, trudno było się doszukiwać złości czy pogardy.

Medyk uwinął się w pół godziny. Potem jakaś kobieta – nie ta staruszka co poprzednio, lecz jakaś inna – przyniosła posiłek. Obok zwyczajowych miseczek z ryżem i *misoshiru* była też tacka z niedużą pieczoną rybą, dwa jajka ugotowane na miękko i już obrane oraz szczypty przypraw leżące na liściach nieznanej kadetowi rośliny. Zjadł wszystko łapczywie, wychłeptał zupę, a potem jeszcze wylizał ceramikę do czysta.

Po sutym obiedzie pozostało mu już tylko czekanie. Nie mógł opuścić gabinetu ani tego nie chciał. Potrzebę, nieuniknioną po takim obżarstwie, załatwił w ciasnej toalecie mieszczącej się na tyłach gabinetu, po czym zasiadł przy oknie, by sycić wzrok panoramą miasta, które kazano mu wypalić do gołej ziemi.

Z perspektywy czwartego piętra Tokio nie przypominało niesamowicie barwnego malunku. Bajecznie kolorowe ulice niknęły pod mrowiem kapeluszy szarych dachów. Tylko tu i ówdzie Andrzej dostrzegał dowody na odmienność tej metropolii. Nad europejskimi miastami górowały dzwonnice kościołów, zwłaszcza katedr, które widywał na fotografiach w gazetach zostawianych przez letników i na rycinach zdobiących książki wypożyczane czasem od Jefrema Grigoriewicza, ulubionego nauczyciela geografii. Tutaj natomiast ku niebu pięły się fantazyjnie ukształtowane dachy świątyń, każdy węższy od poprzedniego, jakby na jednym chramie stawiano kolejny, tyle że mniejszy, dopóki nie zrobiły się tak mikre, iż brakło

w nich miejsca nawet na miniatury posągów wielbionych bóstw albo choćby jednego wiernego.

Nie tylko one wrzynały się w firmament. Industrializacja bezpowrotnie skaziła to miejsce, jak każdą inną metropolię cywilizowanego świata. Ustawione rzędami kominy fabryczne wypluwały gęsty dym, a były nie mniej wysokie niż barwne pagody, czasem nawet wyższe. Do tego miasto okalały molochoy bastionów Kręgu Śmierci, z tej perspektywy niewielkie, ale i tak górujące nad okoliczną zabudową.

Tokio zdawało się rozciągać w nieskończoność – gdziekolwiek Horodyński spojrzał, aglomeracja sięgała horyzontu, na samym widnokręgu zaś... Początkowo nie wierzył własnym oczom, lecz gdy słońce wyjrzało w końcu zza chmur, wezwał Boga nadaremno. Hen daleko pięła się ku niebu niezwykła góra, inna od wszystkich, które widział w swoim krótkim życiu. Niemal idealny stożek, mniej więcej od połowy ukryty pod śnieżną czapą. Fudzi, święta góra ognia, o której tyle się naczytał. W tym momencie przestało go dziwić, że mieszkańcy wysp oddają jej niemal boską cześć.

Nasyciwszy oczy widokiem majestatycznego wulkanu, wyszukał pośród morza szarości wielką zieloną wyspę, na której stał ukryty w gęstwinie pałac cesarski. Trzeba by wejść w głąb rozległego parku, aby dojrzeć coś więcej niż tylko zielone dachy. „Coś” to najważniejsze określenie, bo spragniony wrażeń podróżnik trafił pod wysoki mur, którego narożniki zwieńczono zdobnymi, choć poślednimi pawilonami.

Tak przynajmniej twierdził pan Filipowicz, gdy kilka dni wcześniej ucięli sobie przy posiłku krótką pogawędkę. Wtedy to Andrzej dowiedział się, że obaj emisariusze, choć są gośćmi rządu Japonii, to jednak nie mają pełnej swobody. W każdej wyprawie na miasto towarzyszyło im kilku agentów kempeitai – całkiem otwarcie, pod pretekstem, że w innym razie cudzoziemcy mogliby się zgubić w chaotycznym labiryncie uliczek. W rzeczywistości tajna

policja dbała, by nie kontaktowali się z nikim i nie zobaczyli zbyt wiele.

Nippon od zawsze strzegł zazdrośnie swoich sekretów, ostatnimi czasy zaś, już po wybuchu wojny, w tej dwumilionowej metropolii bywało niewielu białych ludzi. Większość ambasad zamknięto, w pozostałych personel został okrojony do niezbędnego minimum, a opuszczenie eksterytorialnego obiektu graniczyło z cudem. Tak przynajmniej twierdził pan Tytus.

Rozmyślenia o tych i innych sprawach zajęły kadetowi prawie trzy godziny, później zaś z nudów utonął w objęciach Morfeusza. Zasnął przy oknie, tak jak siedział, z rękami opartymi o szeroki kamienny parapet.

休憩

– Pobudka!

Andrzej zerwał się na równe nogi, gdy ktoś ryknął mu prosto do ucha. Byłby upadł, bo cofając się raptownie od okna, zawadził o przewracające się właśnie krzesło, lecz ten, kto go obudził, miał na szczęście dobry refleks.

– Aleś podskoczył! Jak ta żabka zielona. – Piłsudski, albowiem to on okazał się kawalarzem, był w znakomitym humorze, a to mogło oznaczać tylko jedno: akcja się udała.

– Już po wszystkim? – zapytał Horodyński, gdy już stanął o własnych siłach.

Zerknął na tarczę zdobnego zegara. Dochodziła szesnasta. Spał przez cztery godziny, może nawet dłużej.

– Załatwione... – Józef opadł na fotel i natychmiast sięgnął po papierosa. – Ty mu, Tytku, opowiadaj, ja muszę chwilkę odetchnąć.

– Z drugiej ręki historię ma poznawać? – zakpił jego przyjaciel, który przysiadł na skraju biurka, także uśmiechając się szeroko.

– Niech będzie – poddał się Piłsudski po pierwszym głębokim sztachnięciu. – No to słuchaj, synku... Najpierw gnaliśmy automobilem generała. Sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, jak nie

więcej. Ten jego szofer to jakiś wariat, aż strach pomyśleć, co by z nas zostało, gdybyśmy przydzwonili w słup czy inne drzewo. Potem Murata kazał zebrać jeńców jak do apelu i palnął im kazanie, rozumiesz, gadał wzniośle, jakby odwoływał się do ich sumień. Araki miał zachwyconą minę, gdy go słuchał, ale później... oj, później nie było mu już do śmiechu. Trzech jeńców się zgłosiło, wyobraź sobie, i zaraz doszło do pierwszej awantury. Żebyś ty widział, jak nasz generał przeczołgał drania. Rozgniół go na oczach wszystkich jak nie przymierzając, karaczana.

Andrzej zbladł.

– On... On teraz zemści się na nas wszy... na jeńcach znaczy – wyjąkał, poprawiając się w ostatniej chwili.

– Spokojna głowa. – Piłsudski wykorzystał przerwę, by sztachnąć się dwukrotnie papierosem. – Tą kanalią, synku, nie musisz się już przejmować. Generał wymógł na premierze, by ten utemperował komendanta. Od tego popołudnia sytuacja w obozie wraca do normalności. Tarō w naszej obecności zadzwonił do Shinagawy i nakazał zasypanie wszystkich dołów kloaczych. A teraz najlepsze: oficjalnie odstępuje się od tego projektu, ponieważ doły rozsiewają straszliwy odór, który bulwersuje osoby wizytujące obóz. – Piłsudski zaśmiał się chrapliwie. – Wyobrażasz to sobie?

Horodyński poczuł ulgę, lecz nie uśmiechnął się w odpowiedzi. Zbyt wiele cierpienia wiązało się bowiem z tym miejscem tortur, aby miał je traktować w kategorii żartu.

– Odbiegamy od tematu – rzucił Filipowicz, zerkając na zegar.

– Słusznie. Przejęliśmy skutych prowodyrów, zaczekaliśmy na konwój, który nie pędził jak my na złamanie karku, po czym zapakowaliśmy całe towarzystwo i wróciliśmy do miasta. Prosto do siedziby kempeitai.

– To my nie przebywamy na komendzie tajnej policji? – zdumiał się Andrzej.

– Skąd, to gmach ministerstwa – wyjaśnił Józef. – Ale wierz mi, wolałbyś nie gościć w budynku, o którym mowa. A w każdym razie

nie w tej części, do której nas zaprowadzono. Generał uparł się, że chce być obecny podczas przesłuchań, mnie na szczęście oszczędzono tej wątpliwej przyjemności... – przerwał, widząc, że Horodyński blednie. – Nie zrozum mnie źle, synku. Nie katowano ich tam, ja po prostu... – Znów zamilkł, zaciągnął się dymem z papierosa. – Ja po prostu zbyt wiele przeżyłem, by mieć ochotę na kolejną wizytę w... w takim miejscu.

– Rozumiem. – Andrzejowi ulżyło, choć nie do końca uwierzył emisariuszowi.

– No więc... Tych trzech, którzy się zgłosili, przepytali najlepsi fachmani od policyjnej, a nawet detektywistycznej roboty i po jakichś trzech godzinach mieliśmy już potwierdzenie, że faktycznie udało nam się dorwać prowodyrów, nie zaś jakichś przypadkowych marynarzy, którzy przyznali się do winy, by kryć prawdziwych sprawców.

Horodyński nie brał wcześniej pod rozwagę takiej możliwości, ale teraz, gdy Piłsudski o niej wspomniał, wydała mu się całkiem logiczna i prawdopodobna. Nareszcie zrozumiał, skąd wzięła się rezerwa okazywana przedtem przez tego doświadczonego konspiratora. Gdyby na późniejszych etapach śledztwa okazało się, że domniemani prowodyrzy kłamali, z pyszna mieliby się wszyscy, poczynając od generała, a na nim, marnym kadecie kończąc.

– Wtedy generał pojechał do pałacu – kontynuował opowieść Piłsudski – aby złożyć raport samemu cesarzowi. O Muracie można by wiele różnych rzeczy powiedzieć, ale naprawdę tęga z niego głowa. Daleko zajdzie, jeśli nie przeszarżuje, a to niestety nie jest wykluczone... – Józef zaciągnął się i milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad przyszłością człowieka, dzięki któremu tyle jeszcze powinno mu się udać załatwić. – Wracając do tematu, boski Mutsuhito został uszczęśliwiony, generał urósł w oczach przełożonych, a my wygraliśmy wielką sprawę.

– A wszystko to dzięki tobie, Andrzeju – podsumował Tytus.

– Zrobiłem, co panowie kazaliście. – Horodyński spłonął się, słysząc pochwałę. – Co z nimi będzie? – zapytał.

– Z kim?

– Nooo... z tymi marynarzami, którzy się zgłosili.

– Trafiają pod sąd i pewnie zostaną rozstrzelani, jak przystało na żołnierzy. – Piłsudski kłamał jak z nut.

Jeńcy już nie żyli, zabito ich w siedzibie tajnej policji zaraz po tym, gdy Japończycy zyskali pewność, że mają w rękach właściwych ludzi. Generał zawiózł do pałacu odcięte głowy, zgodnie z poleceniem premiera, który ponoć tylko przekazał życzenie cesarza. O tym, że Katsura Tarō nadinterpretował słowa władcy, przekonali się wszyscy, łącznie z nim samym, gdy tylko Mutsuhito usłyszał, jaki prezent mu dostarczono. Generał był chyba jedynym człowiekiem zamieszanym w tę akcję, któremu nie dostało się po uszach.

– Dziękuję – bąknął Andrzej.

Obaj emisariusze przyjrżeli mu się uważnie.

– Ty nadal czujesz więź z tymi ludźmi? – zapytał Tytus, poważniejąc.

– Ja...

– Dajże spokój chłopakowi. Zbyt wiele przeszedł, by mógł to wszystko pozostawić za sobą, ot tak... – Piłsudski strzelił palcami. – Na to trzeba czasu. A skoro już o tym mowa... – Spojrzał na Horodyńskiego, także wyzbywając się resztek radości. – Generał ma jeszcze jedną prośbę. Zauważ, synku, prośbę, nie rozkaz.

– Tak?

– Wyrobienie ci papierów, jak już wcześniej wspomniałem, potrwa kilka dni. Dlatego generał poprosił mnie, abym w jego imieniu zapytał, czy byłbyś tak uprzejmy i podczas ostatnich dni pobytu w obozie sprawdził, czy nie ukrywają się tam jacyś oficerowie.

– Muszę? – Kadet posłał Józefowi błagalne spojrzenie, ale odbiło się ono od kamiennej maski, w jaką zamieniła się twarz brodacza.

– Nie musisz, ale możesz – odpowiedział za przyjaciela Filipowicz.

Andrzej spuścił głowę.

– Daję ci słowo, że to ostatnie zadanie, jakiego masz się podjąć na terenie Japonii – zapewnił go Piłsudski, celowo formułując zdanie tak, by nie wykluczało szpiegowania w obozach na kontynencie, co już sobie zaplanował, postanowiwszy wykorzystywać Horodyńskiego dopóty, dopóki nie znajdzie nowych, bardziej oddanych sprawie agentów.

– Ale potem wyjedziemy stąd?

– Jak najbardziej. Polecimy na kontynent, ledwie generał dostarczy twoje papiery, co powinno nastąpić najpóźniej w poniedziałek.

– W poniedziałek... – Horodyński zmarkotniał jeszcze bardziej.

Tytus wstał i podszedł do niego.

– Tak czy inaczej musiałbyś przez ten czas siedzieć w celi. Z dwojga złego radziłbym ci powrót do Shinagawy, tam przynajmniej znasz ludzi, a ze strony Arakiego nic już wam nie grozi.

– Spożytkuj dobrze ten czas, dowiedz się jak najwięcej. Marynarze ci ufają. Kto jak nie ty uwolnił ich od tej katorgi? No sam powiedz. Naciesz się tym sukcesem. Nie naciskaj, miej tylko oczy i uszy otwarte. Może ktoś chlapnie coś przy rozmowie. Może zauważysz coś podejrzanego. I przez cały czas pamiętaj: im bardziej Japończycy będą z nas zadowoleni, tym więcej od nich wytargujemy.

– Jak to wytargujecie? – zainteresował się Horodyński.

Emisariusze spojrzeli po sobie.

– Siadaj, Andrzej – poprosił Tytus, wskazując kadetowi krzesło. – Siadaj i słuchaj.

– Przyjechaliśmy tu z prośbą o pomoc przy zorganizowaniu powstania narodowego – zaczął Józef, stając obok Filipowicza. – Takiego jak w sześćdziesiątym trzecim, lecz znacznie lepiej zorganizowanego, do czego potrzebne będą pieniądze i wyposażenie, takie choćby jak broń i amunicja dla szerokich rzesz bojowników. Bez porządnego wsparcia każdy zryw kończy się

jednakowo, o czym doskonale wiesz. Z kosami na mechy ciężko przecież szarżować.

– Ano ciężko – przytaknął Andrzej.

– Pojawiliśmy się właśnie teraz, ponieważ nadchodzi idealny moment na zorganizowanie kolejnego powstania – dodał Tytus. – Japońskie armie zbliżają się już do wrót Europy. Za kilka miesięcy wkroczą na tereny dawnej Rzeczypospolitej. Zaborcy ledwie już zipią, twoja obecność tutaj najlepszym tego dowodem.

– Ale kolejne powstanie? – wymamrotał przerażony tą perspektywą Horodyński. – Kupa narodu w nim przecież zginie...

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz? – Piłsudski pokręcił głową, po czym odpalił nowego papierosa od niedopałka. – My tym powstaniem chcemy naszą młodzież ratować.

– Andrzejku... – Filipowicz wpadł przyjacielowi w słowo. – Zaborcy biorą dzisiaj w kamasze każdego, kto jest zdolny do noszenia broni, całymi tysiącami posyłają ich na fronty. Wykrwawią nas do cna, jeśli czegoś szybko nie zrobimy, pojmujesz? Naszymi rękami chcą bronić swoich zdobyczy. Twoimi rękami.

– Dlatego przywieźliśmy do Tokio plany powstania, które obejmie swoim zasięgiem ziemie wszystkich zaborów, gdy tylko front zbliży się do naszych dawnych granic. Taki cios w plecy koalicjantów i odcięcie im dostaw w kluczowym momencie zmagania wojennych powinny osłabić potencjał obronny naszych odwiecznych wrogów. Pomyśl tylko: rozbijemy garnizony stacjonujące w polskich miastach, wysadzimy pociągi z zaopatrzeniem, najważniejsze mosty i linie kolejowe, uziemimy każdy frachtowiec, jaki zawinie do polskich portów. Stworzymy drugi front tuż za plecami walczących jednostek wroga. Od Bałtyku aż po Krym, jeśli się da.

– Naszym wrogiem, nie zapominaj, jest w tej wojnie koalicja, nie Japonia – pouczył kadeta Filipowicz. – Jeśli zdołamy rzucić zaborców na kolana i ułatwimy nacierającym wojskom zajęcie serca Europy, zyskamy dozgonną wdzięczność cesarza Mutsuhito. Dzięki naszemu poświęceniu przy okazji nowego podziału świata znajdzie się

miejsce także dla Polski. Rzeczpospolita odrodzi się jak Feniks z popiołów.

– A co najważniejsze, to my, Polacy, jako jedyny sojusznik Japonii będziemy rozdawać karty w nowej Europie. Wyobrażasz to sobie? – Piłsudski zaciągnął się głęboko, przymknął powieki, jakby rozkoszował się tą wizją albo gryzącym dymem. – Polscy namiestnicy w Berlinie, Moskwie, Paryżu i Londynie... Toż to prawie jak Polska od morza do morza.

– Czy to możliwe? – Andrzej nie posiadał się ze zdumienia.

– Jak najbardziej – entuzjastycznie potaknął Filipowicz. – Ale by tę wizję urzeczywistnić, musimy dotrzeć do obozów jenieckich na kontynencie. Tam Japończycy przetrzymują tysiące naszych, znaczy Polaków spod zaborów.

– Dziesiątki tysięcy nawet. Pewnie o tym nie słyszałeś, ale w dziewięćset czwartym parę pułków złożonych z naszych chłopców poddało się bez oddania jednego strzału... z wyjątkiem tych kilku potrzebnych do usunięcia oficerów, którzy mieli swoim podwładnym za złe, że nie chcą walczyć za ciemieńców.

– Z nich właśnie chcemy utworzyć trzon sił powstańczych – dokończył Tytus. – Uwolnimy ich, przeszkolimy, sformujemy w polskie legiony, a potem, tuż przed wybuchem powstania, przetrzucimy do Polski.

– Jak? – Osłupiały Andrzej wodził wzrokiem od jednego do drugiego emisariusza.

– Bardzo prosto. W najdogodniejszym dla nas momencie Japonia zgodzi się na wymianę jeńców. Na okręty lecące do Europy trafi kilkanaście tysięcy ludzi, z czego naszych będzie przeważająca większość. Oczywiście z lewymi papierami, żeby koalicja jak najdłużej nie miała pojęcia, co się szykuje. Gdy te okręty trafią nad Polskę, bo muszą tam trafić, przejmemy nad nimi kontrolę, skierujemy je tam gdzie trzeba i... – Zamilkł, jakby nie chciał zdradzać zbyt wielu szczegółów bądź uznał, że takie wprowadzenie wystarczy. – Tak to wygląda w ogólnym zarysie.

– Możesz pomyśleć, że jesteśmy marzycielami – przyznał Filipowicz – ale sam powiedz, czy naprawdę dużo trzeba, by nasza wizja stała się faktem? Przecież Japończycy będą potrzebowali do zarządzania odległymi prowincjami kogoś, kto nie tylko zna region i obyczaje miejscowej ludności, ale jest także pozytywnie do nich nastawiony. Sami nie dadzą rady rządzić całym światem. Nikomu przed nimi ta sztuka się nie udała, a podobne ambicje miało wielu: Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Napoleon; wszyscy oni potrzebowali na pewnym etapie pomocnych rąk, by sprawnie zarządzać swoimi imperiami. Teraz też tak będzie.

– Reszta Europy nie ma żadnego interesu, by wspomagać wspólnego wroga – poparł go Piłsudski. – Dlatego na scenie zostaniemy tylko my.

Natłok informacji i tempo ich podawania przytłoczyły Andrzeja. Wizja była jednak kusząca. Zakładając, że powstanie ogarnie cały kraj – oczywiście w rozumieniu dawnych granic Polski – jego skutki mogą okazać się katastrofalne dla koalicyjnej maszyny wojennej. Czyż przez tereny zaborów nie przechodziło gros sprzętu dla frontu wschodniego? Sam widział w Olkuszach niekończące się pociągi przewożące nowiusieńkie mechy. Czyż w Gdańsku i Szczecinie nie zmagazynowano milionów ton zaopatrzenia? Horodyński słyszał o tym od letników, którzy rozprawiali kiedyś o niewyobrażalnych rozmiarach tych składów.

– Sam powiedz, czy to nie piękna wizja? – zapytał Piłsudski, gdy cisza zaczęła się przedłużać. Uśmiechnął się, potem zaciągnął po raz ostatni. – To jak, pomożesz nam ją urzeczywistnić?

ROZDZIAŁ 8

– Patrzcie, panowie, kto wrócił.

Andrzej uśmiechnął się krzywo – tak jak pozwalał opatrunek przesłaniający pół twarzy.

– Udało się? – zapytał, ze wszystkich sił starając się wypaść naturalnie.

– Co się miało nie udać! – Witający go matros wyszczerzył poząłkłe zęby. – Nie widzisz, bracie, jaki spokój tu zapanował?

Horodyński potaknął. Plac był puściusieńki. Po szubienicach i dołach kloacznych nie został żaden ślad... choć nie, wróć, woń ekskrementów wciąż unosiła się nad obozem i pewnie jeszcze sporo czasu musiało upłynąć, zanim wywietrzeje do reszty. W każdym razie jeńcom to nie przeszkadzało, z ich punktu widzenia liczyło się tylko jedno: nowy komendant odpuścił. Co ciekawe, Araki nie pokazał się od starcia z generałem. Wsiadł w ten swój szykowny automobil i pognał w siną dal. „Pewnie walczy w siedzibie premiera o swoje, ale raczej niewiele wskóra, jeśli wierzyć zapewnieniom pana Józefa”, pomyślał kadet.

Przynajmniej do poniedziałku obóz pozostanie oazą spokoju, aby młody agent mógł się wykazać po raz drugi. Andrzej nie był tym zachwycony, to znaczy podobało mu się, że Japończycy odpuścili jeńcom, lecz markotniał na samą myśl, że ma wysledzić ukrywających się wśród nich oficerów.

Zbytńio zżył się z tymi ludźmi. Zbyt wiele wspólnie wycierpieli, by mógł ich zdradzić. Konieczność, przed jaką dopiero co stanął, to jedno. Przekonując inicjatorów do tego, by się ujawnili, oszczędził reszcie nieludzkich katuszy. Tamci trzej i tak by wpadli, jeśli nie za dzień, to za dwa, a kapitan zgnoiłby też pozostałych, taki bowiem już miał charakter.

Podpuszczenie marynarzy wymagało wmówienia im, że szanse na szybkie uwolnienie są więcej niż pewne, a to było przecież

wierutnym kłamstwem. I właśnie dlatego Horodyński czuł się tak podle. Całą drogę z Tokio do Shinagawy rozmyślał o tym, co powiedzieli mu emisariusze, o wielkiej grze, jaka toczyła się kosztem osadzonych w tym obozie ludzi. Podzielał entuzjazm Piłsudskiego – jego wizja była bardzo śmiała, ale wbrew pozorom możliwa do zrealizowania. „Mnóstwo ludzi polegnie, zanim cel zostanie osiągnięty. Z kolei jeśli powstanie nie wybuchnie, na licznych frontach wojny zginie jeszcze więcej Polaków, z tym że nic dobrego z tego nie wyniknie”.

Wspierając emisariuszy, wybrał mniejsze zło. Jak zawsze. Tak wychowała go matka. Chroniła go przed okrutną rzeczywistością, póki mogła, a on – do niedawna wszystkiego nieświadom – teraz zaczynał rozumieć jej pobudki. Horodyńscy i Garbakiewiczze – takie bowiem nosiła panieńskie nazwisko – zapłacili wystarczającą cenę za marzenie o odzyskaniu przez Polskę wolności. Matce Andrzeja zależało już wyłącznie na tym, by jedyny syn nie podzielił losu obu dziadków i ojca. By przeżyć; by zaadaptował się do nowych warunków. Dopóki w Królestwie Polskim trwał względny spokój, dopóty jej rozumowanie było słuszne, lecz gdy wojna zapukała w końcu do bram guberni...

Carscy nie spojrzeli nawet na kwity, które podtykała im pod nosy. Wyrwali go z matczynych objęć i zaciągnęli na pokład statku, którym oblatywali ujezd olkuski. Trafił do brudnej ładowni razem z dziesiątkami podobnych mu chłopaków, ale zostali rozdzieleni, zanim zdołał na dobre otrząsnąć się ze smuty.

Wielki obóz rekrutacyjny, do którego trafił, w niczym nie przypominał baraków Kanagawy, a potem Shinagawy. Na krakowskich błoniach przysiadły cztery brzuchate transportowce. Przed prowadzącymi do ich ładowni rampami rozstawiono rząd namiotów, do których – po odstaniu w długiej kolejce – trafiali zwożeni wszelkimi sposobami rekruci.

Oficerowie z komisji zadawali kilka pytań, sprawdzali rejestry, po czym wkładali w rękę niczego nierozumiejących młodzików bumagę

z przydziałem i wskazywali tylne wyjście. Tam czekali już żandarmi, którzy wyrywali świstki z dłoni oszołomionych dzieciaków i popychali je w kierunku właściwej jednostki.

Andrzej wszedł po szerokim trapie na pokład Kniazia Borysa, którym przewieziono go w towarzystwie dwu setek innych rekrutów do Gdańska, gdzie – już w bazie wojskowej – przydzielono mu sorty mundurowe. Jako jedyny z transportu zafasował marynarski strój: czarną bosmankę, grube rękawice i wełnianą czapkę. Zdziwił go taki dobór odzienia, ponieważ wiosna rozkwitała właśnie, słońeczko prażyło, a drzewa zieleniły się pięknie. Wtedy nie rozumiał jeszcze, gdzie wysyła go carska armia. Daleka północ kojarzyła mu się wyłącznie z Arctowskim i innymi dzielnymi podróżnikami.

A potem przyszedł czas Archangielska. Miasta Archaniołów, jak żartobliwie mówili o nim matrosi. Rzezonymi posłańcami Boga były rzecz jasna wielkie okręty powietrzne, które tam stacjonowały. Z perspektywy czasu Andrzej musiał przyznać, że Rosjanie niewiele się mylili, nadając im tak dumną nazwę. Podniebne giganty szerzyły iście biblijne zniszczenie na ziemi, czego naocznym świadkiem stał się niespełna pół roku po opuszczeniu domu.

Otrząsnął się z tych wspomnień, gdy poczuł dłoń na ramieniu.

– Widzę, że trafiłeś w fachowe ręce – ocenił Wikientij Wikientiewicz, przyglądając się opatrunkom.

– Prokurator kazał mnie opatrzeć. Żebym przypadkiem nie wzruszył sędziego swoim żalonym wyglądem – opowiedział historyjkę wymyśloną przez pana Filipowicza.

– Żartowniś! – Lekarz się zaśmiał.

– Prawdę mówię! – Horodyński walnął się kułakiem w pierś.

– Nie ty, on, ten prokurator. – Wieriesajew uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Chodź... – Pociągnął Andrzeja za rękę.

Kadet zwłóknął się niechętnie z pryczy. Poczłapał za starszym mężczyzną na zewnątrz, a potem jego śladem ruszył wzdłuż szeregu baraków.

– Dokąd idziemy? – zapytał, gdy mijali trzeci z kolei budynek.

– To niespodzianka – rzucił przez ramię Wikientij Wikientiewicz.

Horodyński zatrzymał się między barakami. Nie miał ochoty spotykać się z marynarzami ani słuchać podziękowań. Owszem, poddał im myśl, jak zakończyć ten koszmar, ale teraz miał ich szpiegować. Przypuszczał, w swoim mniemaniu słusznie, że za decyzją o wydaniu się w ręce wroga musiał stać jakiś ukrywający się oficer bądź oficerowie.

– Ostatnimi czasy jakoś nie lubię niespodzianek...

Zaskoczony Wikientij Wikientiewicz także przystanął i obrócił się, by spojrzeć na kadeta.

– Daj spokój, Andriusza, to nic takiego. Ot, paru naszych chce ci uścisnąć dłoń. Tak wiele ci zawdzięczamy.

– Mnie?

– A komu?

– To przecież w głównej mierze pańska zasługa, doktorze. Gdyby nie pan...

– Ja tylko ubrałem twój pomysł w słowa. Zrobiłem to dlatego, że za młody jesteś, by móc gadać z matrosami jak równy z równym. Mleko masz jeszcze pod nosem, bez urazy...

– Taki tam pomysł. – Horodyński machnął lekceważąco ręką. – Powtórzyłem tylko, co usłyszałem w sądzie.

– Być może, ale tego nam właśnie było trzeba. Rozumiesz, Andriusza? Gdybyś nie podzielił się z nami swoją wiedzą, pewnie do tej pory stalibyśmy na placu, bo chłopcy się zawzięli jak rzadko. Zrobiliby wszystko, byle nie dać satysfakcji Arakiemu, przy czym obaj doskonale wiemy, że to by się marnie skończyło. Jeszcze doba albo dwie i ktoś by się złamał, a o tym, że za pomysłem stał Werner i jego kumple, wiedziało przecież kilkadziesiąt osób. Wszyscy, którzy stali wokół nich na paradzie. A tak na marginesie – medyk spojrział na niego uważniej – wiesz, co z nimi?

Andrzej pokręcił głową.

– Do wejścia za bramę nie wiedziałem nawet, czy wszystko poszło jak trzeba – wyjaśnił. – Emisariusz nie wrócił dzisiaj do sądu.

– Szkoda – mruknął Wieriesajew. – Dobrze byłoby wiedzieć, że nie posłaliśmy ich na jeszcze gorsze tortury.

– To im raczej nie powinno grozić – odparł po chwili zastanowienia Horodyński. – Skoro emisariusz nie wrócił, to pewnie siedzi tam z nimi. On już zadba, żeby wszystko było jak należy.

Sam sobie się dziwił, z jaką łatwością przychodzi mu okłamywanie ludzi, nawet tych, których lubi. „Mam do tego smykałkę, jak się okazuje”. Ta myśl sprawiła, że ponownie zmarkotniał.

– Chodź, Andriusza – poprosił lekarz chwilę później, gdy postali już i pomilczeli. – To potrwa tylko chwilę.

– A nie możemy przełożyć tego spotkania? – zapytał z nadzieją w głosie kadet. – Nie czuję się za dobrze.

– Rozumiem. W takim razie...

Wikientij Wikientiewicz nie zdążył dokończyć zdania, ponieważ w drzwiach następnego baraku pojawił się wysoki i bardzo szczupły marynarz w angielskim mundurze, jeden z tych, którzy siedzieli wcześniej w Kanagawie.

– W czym problem? – huknął niezbyt pasującym do niego, tubalnym głosem.

Wieriesajew odwrócił się na pięcie.

– Chłopak nie czuje się za dobrze – wyjaśnił. – To pewnie skutek wstrząsu po pobiciu.

– Tańczyć mu przecież nie każemy – rzucił Anglik, zmierzwiwszy wzrokiem kadeta. – Zachodźcie.

Wypowiedział te słowa takim tonem, jakby przywykł do wydawania rozkazów, lecz to wcale nie oznaczało, że musi być oficerem. Pierwszy lepszy bosman wysławiał się w podobny sposób.

Lekarz pociągnął Andrzeja za sobą.

– To naprawdę będzie tylko chwila. Dasz radę.

Horodyński potaknął z rezygnacją. Ci ludzie robili wszystko, by sobie zaszkodzić, a los zdawał się temu sprzyjać.

Wspiął się za Wikientijem Wikientiewiczem na skrzypiące stopnie, potem przestąpił próg angielskiego baraku. Tak

przynajmniej mu się wydawało, skoro powitał ich marynarz z tego kraju. Okazało się jednak, że tkwił w błędzie. Gary, jak miał na imię starszy bosman z HMAS Renown, został tu zaproszony, by służyć za tłumacza. Jeńcy z Shinagawy stworzyli bowiem własną wersję wspólnego języka, która różniła się dość znacznie od gwary używanej w Kanagawie. Tutaj królował angielski, co już wcześniej wydało się Andrzejowi zastanawiające, zważywszy, że Brytyjczycy wcale nie stanowili najliczniejszej grupy wśród osadzonych.

Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego wspólny język tego obozu oparto na mowie Szekspira. W baraku zebrała się prawie setka ludzi, reprezentujących wszystkie kraje koalicji. Byli tu nawet marynarze z kontyngentu międzynarodowego, który włączono do zjednoczonej floty w ostatniej fazie przygotowań. Małe państwa bowiem, takie jak Szwecja, Dania, Portugalia czy Grecja, również walczyły po stronie koalicji, choć ich jednostki były nie tylko przestarzałe, ale też nieliczne, przez co do Archangielska przysłały pospołu niepełną eskadrę niszczycieli i trzy konwertowane krążowniki.

Andrzej zbaraniał, widząc tę zbieraninę między piętrowymi pryzkami, ale gdy spojrzał w głąb sali na siedzących przy stole ludzi, zrozumiał w czym rzecz.

– Podejź bliżej! – polecił wąsaty marynarz postury niedźwiedzia, odziany w podartą bluzę podoficera Kriegsluftmarine.

Andrzej wykonał polecenie. Stał naprzeciw siedzących, a było ich tam dziesięciu, każdy w innym mundurze. Głównie bosmani, ale trafił się także jeden porucznik, Szwed chyba, sądząc z wyglądu, albo Duńczyk. Co ciekawe, wciąż miał na sobie bluzę z wytartymi dystynkcjami na pagonach, zatem to na pewno nie jego szukali Japończycy.

– Siadaj.

Horodyński przełożył nogę nad ławką i usiadł naprzeciw Niemca. Wyglądali jak Dawid i Goliat. Jeden cztery razy większy od drugiego i taki masywny, że chyba nawet procą nie dałoby się go powalić.

W tym przypadku na szczęście nie chodziło o walkę, lecz o rozmowę, albowiem po cóż inaczej Gary zająłby miejsce obok Andrzeja?

– Chcieliśmy ci podziękować w imieniu tu obecnej rady obozu – oznajmił bez zbędnych wstępów piegowaty Anglik o bardzo jasnej cerze. Tłumacz bezzwłocznie przełożył jego słowa.

– Rady?

– Tak. Ktoś musiał przejąć obowiązki organizacyjne, skoro wszyscy wyżsi oficerowie zginęli. Każdy kontyngent wybrał swojego przedstawiciela, abyśmy mogli stworzyć nieoficjalne ciało, które pełniłoby rolę tymczasowego dowództwa, a także sądu koleżeńskiego.

– *Order must sein* – wtrącił ochryłym głosem Niemiec. „Porządek musi być”.

Andrzej potaknął. Nagle zrobiło mu się weselej. Nawykli do działania w określonej hierarchii jeńcy sami zorganizowali sobie struktury władzy. A to mogło oznaczać, że w ich szeregach nie kryją się żadni wyżsi oficerowie. „Ta informacja nie spodoba się emisariuszom ani tym bardziej generałowi Muracie, ale co począć, skoro tak wygląda prawda?”, uśmiechnął się do własnych myśli.

– To do nas trafiła wasza wczorajsza petycja – dodał tymczasem piegus, żeby wszystko było jasne. – I to my przekonaliśmy Wenera, Hertiego oraz Vincenta, aby się przyznali. Nie do końca wierzyliśmy w twoje zapewnienia. Informacja o wymianie jeńców wydała nam się bardziej niż nieprawdopodobna, ale mimo to postanowiliśmy ci zaufać i jak widać, była to słuszna decyzja.

– Dziękuję – powiedział Horodyński, wykorzystując moment, w którym rzecznik rady nabierał powietrza.

– Za co? – zdziwił się Niemiec.

– Za to, że jesteście. Dzięki wam uniknęliśmy masy problemów.

Nie mówił bynajmniej o wydaniu prowodyrów, choć wszyscy tak właśnie myśleli. Podziękował tym ludziom za to, że uwolnili go od przytłaczającego brzemienia. Teraz będzie mógł z czystym

sumieniem przekazać emisariuszom, że jeńcy zorganizowali się na własną rękę, ponieważ nie było wśród nich żadnego dowódcy. Gdyby w obozie przebywał jakiś kapitan, nie mówiąc o admirale, z pewnością stanąłby na czele resztek dumnej floty, a tu proszę... Sami podoficerowie wybrani przez ferajnę i rozstrzygający spory w jej imieniu.

Lepszego zakończenia tej historii nie mógłby sobie wymarzyć.

休憩

– Widzisz, Andriusza, nie było tak źle. – Wieriesajew poklepał go po ramieniu.

Opuścili wspólnie barak i ruszyli w stronę budynków, w których przetrzymywano setkę rosyjskojęzycznych jeńców. Wikientij Wikientiewicz został zakwaterowany w tym bliższym, stojącym po sąsiedzku. Tam też, przed schodami, Horodyński przystanął, by się pożegnać. Polubił medyka. To był jeden z tych dobrych ludzi, przez których tak trudno mu było zgodzić się na współpracę z Japończykami. A każda kolejna sekunda pobytu w obozie pogłębiała w nim wewnętrzny konflikt. Dlatego Horodyński robił, co mógł, by jak najszybciej wyrwać się z tego może już nie piekła, lecz czyśćca na pewno.

– Do jutra, doktorze. – Wyciągnął rękę do Wieriesajewa.

– Do jutra, Andriusza. – Lekarz uścisnął mu dłoń, ale uśmiech spłynął mu z twarzy, gdy zauważył, że kadet krzywi się, jakby ugryzł cytrynę. – Co z tobą?

– Obite żebra wciąż mi doskwierają – wyznał Horodyński.

Nie kłamał. Japoński lekarz opatrzył mu tylko twarz, a przecież nie była to jedyna część ciała, którą potraktowano brutalnie. Rano dało się jeszcze wytrzymać, ale im dalej w dzień, tym bardziej ból narastał. W tym momencie Andrzej miał problem nawet z podniesieniem ręki.

– Trzeba się temu przyjrzeć... – Wikientij Wikientiewicz przygryzł wargę. – Ale nie tutaj. Chodźmy do lazaretu.

– Dajmy temu spokój! – Horodyński nie miał ochoty na ciąg dalszy konwersacji. – Rano będę jak nowy. No, prawie. – Spróbował się uśmiechnąć, ale to był błąd.

– Właśnie widzę. Jutro znowu pojedziesz do sądu?

– Nie wiem. Nikt mnie nie uprzedza, kiedy ani dokąd zostaną zabrani. Ja tam siedzę jak na tureckim kazaniu! – poskarżył się, jak go uczono na wypadek nadmiernej dociekliwości towarzyszy niedoli.

Wieriesajew przyjrzał mu się uważnie.

– Wiesz, że wracamy do roboty? Już nam to zapowiedziano. Jeśli nie przyjadą po ciebie z samego rana, marnie to widzę.

– Tylko raz zabrano mnie ze strefy – zaprotestował kadet.

– Ale to było przed tym, zanim cię pobito.

– Dam radę.

– Bez gadania! – Medyk wskazał drogę.

Andrzej westchnął ciężko, lecz poczłapał posłusznie na drugi kraniec placu, do budynku kilka razy większego od chaty, w której spędził pierwsze dni po uwolnieniu z dołu kloacznego. Niewiele z tamtego okresu pamiętał, ale tęsknił za tymi chwilami, kiedy ból odpuszczał, a on mógł leżeć w rozkoszonym bezruchu. „Jeszcze parę dni”, pocieszył się w myślach. „W poniedziałek generał dostarczy papiery i po niewoli pozostanie tylko przykre wspomnienie”.

– Dostał pan jakieś medykamenty? – zapytał ot tak, dla podtrzymania rozmowy.

– Nie – odpowiedział lekarz. – Dobrze zatem, że w twoim wypadku ważniejszy jest porządny opatrunek.

Ambulatorium, do którego trafili, było sterylnie czyste i... puste. W żadnej z metalowych szafek nie stało choćby jedno opakowanie gazy, nie mówiąc już o ampułkach i fiolkach z lekarstwami.

Andrzej rozebrał się, sycząc co rusz, po czym stanął pod lampą. Wikientij Wikientiewicz w tym czasie podarł przyniesione z sąsiedniej sali prześcieradło. Zrobił z niego kilka szerokich na dłón

pasów, po czym zębami porozdzierał ich końce, by powiązać je w jedną, ale za to bardzo długą namiastkę bandaża.

– Podnieś ręce, o tak – pokazał, a następnie zabrał się do ciasnego obwiązywania klatki piersiowej wychudzonego chłopaka. Robił to wolno, metodycznie, cały czas pilnując, by płótno było mocno naprężone. Właśnie kończył czwarte okrążenie, gdy od strony uchylonych drzwi dobiegło pukanie. – Kogo tam licho niesie? – wymamrotał, nie przerywając pracy.

– Mogiemy? – Do ambulatorium zajrzał starszy mężczyzna w samej koszuli. Był bardzo wysoki, miał podłużną, końską twarz i wielki bulwiasty nochał. Mówił z akcentem wskazującym, że pochodzi z głębokiej prowincji.

– Co tam?

– Grigorijowi znowuż się pogorszyło – odpowiedział zwięźle przybyły.

– A żeby to... – Wieriesajew zamarł, przygryzł wargę. Zerknął na twarz stojącego z podniesionymi rękami Andrzeja, potem przeniósł wzrok na matrosa. – Rany znowu ropieją?

– Ano.

– Dawajcie go tutaj – westchnął lekarz, po czym wrócił do opatrywania Horodyńskiego. Pracował teraz szybciej, ale nie mniej uważnie. W kilka chwil zatknął koniec ostatniego pasa tkaniny pod opatrunek i cofnął się dwa kroki, by ocenić swoje dzieło. Pogładził się po brodzie, jakby patrzył w galerii na najnowszy obraz Ajwazowskiego. – To będzie musiało na razie wystarczyć. Miejmy nadzieję, że jutro wezwą cię znowu do sądu. Nie chciałbym, byś pracował w strefie w takim stanie.

Andrzej tylko kiwnął głową. Był tak ściśnięty, że z trudem oddychał, ale stwierdził, że ból – dotąd odczuwany przy każdym szybszym ruchu – nie jest już tak trudny do zniesienia.

– Dziękuję, doktorze – mruknął, wkładając koszulę. Zanim zdołał ją naciągnąć na grzbiet, do ambulatorium wszedł zgarbiony

mężczyzna z prowizorycznym opatrunkiem zakrywającym mu pół twarzy.

Horodyński jęknął, gdy nowo przybyły podszedł bliżej. W ostrym świetle lampy zobaczył, że skóra na jego głowie jest dziwnie pomarszczona. Nie, nie pomarszczona... Ten człowiek był poparzony tak potwornie, jakby wpadł prosto w gorejące płomienie. Tam, w górze, nie było o to trudno, a w dole...

Cóż, niewykluczone, że trafił w środek piekła, które sam zgotował tej ziemi.

– Siadajcie, Grigoriju. – Medyk zasłonił Andrzejowi widok, zanim ten zdążył przyjrzeć się uważniej rannemu. – Zaraz się wami zajmę. Możesz już iść, Andriusza – dodał, zerkając przez ramię.

– Dobrze... – rzucił Horodyński i sięgnął po kurtkę.

Przystanął w korytarzu tylko na moment, by podciągnąć opadające spodnie. Już miał ruszyć dalej, gdy nagle zza uchylonych drzwi dobiegł głos rannego.

Andrzej zamarł w pół ruchu, jakby ktoś go zamroził na kość. Czekał w kompletnej ciszy na kolejne słowa, a kiedy wreszcie padły, poczuł w całym ciele mrowienie; włoski na przedramionach zjeżyły się, jakby je ktoś naelektryzował.

Znał ten głos, znał go doskonale...

Zawrócił i wszedł do ambulatorium, ściągając na siebie zdziwione spojrzenie Wieriesajewa.

– Zapomniałeś czegoś? – zapytał lekarz trzymający w prawej dłoni przesiąknięte ropą i krwią płótno.

– Nie.

Horodyński zatrzymał się przed siedzącym na zydlu przygarbionym matrosem. Spojrzał na niego i zadrzał. Wykrzywione w odrażającym grymasie usta zniekształcały zdrową część twarzy, choć nie tak bardzo jak poparzenia, które sięgały od potylicy aż po świeżo złamany nos, zmieniając prawe lico tego człowieka w kawał niewyrobionego ciasta – wystarczyło jednak zerknąć w załzawione niebieskie oko, by wszystko stało się jasne.

Bijący ze spojrzenia rannego strach zdławił rodzący się dopiero uśmiech Andrzeja, a ledwie dostrzegalny, przeczący ruch głowy dopowiedział resztę.

– Co ty wyprawiasz? – Wikientij Wikientiewicz odciągnął chłopaka od pacjenta, lecz widząc, że sprawia mu ból, natychmiast go puścił. – Oszalałeś?

– Przepraszam – bąknął Andrzej, cofając się pośpiesznie. – Odniosłem wrażenie, że to ktoś z mojej załogi...

– Niemożliwe! Grigorij był palaczem na Aurorze. I to od zawsze – poinformował go zdeorientowany lekarz. – Nawet nie stacjonował w Archangielsku. Dołączył do nas już na Nowej Ziemi.

– Teraz rozumiem, że się pomyliłem. Przepraszam pana najmocniej... – Ukłonił się poparzonemu, płytko, tak jak pozwalał ciasny bandaż. – A tak się ucieszyłem, że ktoś jeszcze zdołał ocaleć... – dodał, wycofując się rakiem.

Wikientij Wikientiewicz odprowadził go wzrokiem, cały czas kręcąc głową, a gdy drzwi zamknęły się za kadetem, z zakłopotaniem spojrzął na trzymany w ręce opatrunek.

休憩

„Niewiarygodne”, pomyślał Andrzej, maszerując przez tonący w ciemnościach plac apelowy. Serce waliło mu jak młot, a usta same układały się w uśmiech. Stiepan Osipowicz przeżył. Zapłacił bardzo wysoką cenę za ocalenie, to fakt, ale nie poległ jak kilkanaście tysięcy ludzi, których poprowadził nocą do bitwy. Jego kości nie spoczną w jakimś leju na wypalonej ziemi...

Andrzej zatrzymał się w pół kroku. Przepelniająca go radość wyparowała w momencie. Właśnie dotarło do niego, że przypadkiem trafił na człowieka, którego tak desperacko chcieli dopaść Japończycy. To przecież nie jakiś tam zwykły oficer, kapitan niszczyciela, lecz jeden z siedmiu admirałów, którzy dowodzili flotą podczas feralnego ataku.

休憩

Tej nocy znowu nie zmrużył oka. Nie dlatego, że doskwierały mu ściśnięte płótnem żebra. Ból wprawdzie nie zniknął całkowicie, ale wystarczyło pozostać w bezruchu, by nie dawał się tak bardzo we znaki. Mimo to godziny mijały, a sen jak nie przychodził, tak nie przychodził.

Tuż przed zmierzchem wszystko wydawało się takie proste. Raport ujawniający istnienie rady obozowej nie mógł nikomu zaszkodzić. Andrzej pogadał więc z kilkoma jeńcami – a nie było w Shinagawie człowieka, który po tym, co dla nich zrobił, zbyłby go milczeniem – i dowiedział się wszystkiego na temat wybranych osób. Członkowie rady przeszli weryfikację, gdyż nie tylko mieli czyste bumagi, ale też byli znani kolegom z własnej załogi bądź marynarzom służącym na innych jednostkach tej samej eskadry. Nie było więc cienia wątpliwości – nie krył się między nimi żaden oficer.

Horodyński zaklął pod nosem. Gdyby nie dał się zaprowadzić do lazaretu, opuściłby obóz z czystym sumieniem. Zdałby emisariuszom szczegółowy raport, następne wieczory spędziłby zaś w czterech ścianach, symulując zmęczenie lub powołując się na doskwierające mu przeciwieństwo bóleści. A w poniedziałek...

„Co robić?”...

To pytanie wracało jak bumerang, ilekroć zbłądził myślami w bardziej przyjemne rejony. Poznał największą tajemnicę obozu. Dowiedział się, że Makarow żyje. Był zobligowany do przekazania tej wiadomości Piłsudskiemu, lecz...

Stiepan Osipowicz w niczym już nie przypominał dumnego dowódcy rosyjskiego kontyngentu zjednoczonej floty. Był zmaltretowanym starcem, który na pewno nie zamierzał sięgać po władzę nad ocalonymi. Strach w jego jedynym oku nie był udawany. Wiceadmirał struchlał, zrozumiał, że został rozpoznany. Jego prawdziwej tożsamości nie znał tutaj nikt, ewentualnie była tylko garstka wtajemniczonych. Na przykład ten dryblas z kartoflowatym nosem, który go zaanonsował...

Ta myśl nie dawała Andrzejowi spokoju. Czy to możliwe, że dawni podwładni nie rozpoznali w rannym jeńcu swojego dowódcy?

Owszem, przy tak rozległych poparzeniach nie przypominał dumnego brodatego admirała, ale głos mu się przecież nie zmienił... Gdy Horodyński się nad tym zastanawiał, przyszło mu do głowy, że tak naprawdę tylko nieliczni matrosi mieli okazję rozmawiać ze Stiepanem Osipowiczem tak jak on, od serca. Poza tym flotę sklecono z jednostek należących do rozmaitych związków taktycznych, oddelegowując na Daleki Wschód okręty dotąd operujące na pozostałych frontach tej wojny. To mogło tłumaczyć, dlaczego zdecydowana większość ocalonych nie miała bladego pojęcia, kim jest rzekomy palacz z Aurory, zwłaszcza że wcześniej słyszeli go wyłącznie przez megafony albo radio.

Andrzej miał to szczęście, że tuż przed bitwą stał z wiceadmirałem na skrzydle mostka. To właśnie tam z dumnego oficera wyszedł na moment wystraszony człowiek, który – tak jak teraz – nie wiedział, czy dożyje rana. Gdyby nie ten moment słabości, kadet prawdopodobnie też nie wychwyciłby podobieństwa w przepełnionym bólem i cierpieniem głosie.

„Co robić?!”...

Zbliżał się świt i czas decyzji, a Horodyński nadal był rozdarty. Makarow jako jeden z nielicznych nigdy nie potraktował go obcesowo, a w chwili próby zachował się nawet jak ktoś bliski. Wydanie go w ręce katów, czym musiał się skończyć sfingowany proces, zdawało się wysoce niewłaściwe, niegodne wręcz, i to nawet jeśli przemawiała za tym czynem racja stanu.

Zaraz... Przecież pan Józef dostał już to, na czym najbardziej mu zależało. Japończycy – po tym, jak podał im na tacy prowodyrów zajścia na defiladzie – wyrazili zgodę na wizytację obozów znajdujących się na kontynencie. Wydanie przeciwnikowi wiceadmirała niewiele więc zmieni, może co najwyżej poskutkować przychylniejszym spojrzeniem na egzotycznego sojusznika. Horodyński musiał sobie odpowiedzieć na pytanie, czy pochwała lub

order warte są zdrady porządnego człowieka? „Na pewno nie”, zdecydował.

Jeśli wszystko zostanie po staremu, nikt nie ucierpi, no, może z wyjątkiem Japończyków, którzy nie upieką dwu pieczeni na jednym ogniu. Makarow był dobrze zakonspirowany – skoro przez dwa miesiące z hakiem nikt nie zdołał go namierzyć, poradzi sobie i dalej. A gdyby nawet został w końcu schwytany, nikt nie mógłby zarzucić skromnemu kadetowi, że nie odkrył jego tożsamości podczas kilkudniowej inwigilacji. Ranny wiceadmirał ukrywał twarz pod opatrunkiem i stronił od ludzi, co w jego stanie było bardziej niż zrozumiałe – jednym słowem miał prawo wymknąć się czujnemu spojrzeniu agenta.

Co więcej, Makarow nikomu nie przewodził. Nie stanowił więc zagrożenia dla Japończyków. Ani teraz, ani w przyszłości, o ile dane mu będzie wylizać się z tak potwornych ran. Na samo wspomnienie rozległych poparzeń, do tego wciąż się jątrzących, Andrzej dostawał gęsiej skórki. Pozbawionemu dostępu do leków wiceadmirałowi nie pozostało wiele życia. Świadczyła o tym mina Wieriesajewa tam, w ambulatorium.

A skoro tak...

ROZDZIAŁ 9

– Rada obozowa?

Piłsudski wpatrywał się w listę dziesięciu nazwisk, jakby to były nie słowa, lecz japońskie hieroglify czy jak tam zwać te ichnie znaczki.

– Zasięgnąłem języka, już po tym, jak stanąłem przed członkami tego ciała – wyjaśnił pośpiesznie Andrzej – i dowiedziałem się tyle, że wszyscy przeszli proces weryfikacji. Mają czyściuteńkie papiery. Do tego sporo ludzi znało ich wcześniej. Kupa jeńców to przecież marynarze pochodzący z załóg niszczycieli, które stanowiły trzon zgrupowania operującego na prawej flance. Tylko te jednostki wycofywały się nad wodami zatoki. Szczęściarzy z innych formacji, takich jak ja, na palcach jednej ręki można zliczyć.

– Tak... – Józef spojrzał na Filipowicza. – Co o tym sądzisz, Tytku?

– To chyba zamyka sprawę. – Młodszy z emisariuszy wzruszył ramionami. – Gdyby w Shinagawie byli jacyś oficerowie, z pewnością nie uznaliby zwierzchności swoich dawnych podwładnych. Albo przynajmniej próbowaliby nimi sterować, a czegoś takiego nie da się robić niezauważenie.

– Też tak sędzę. – Piłsudski złożył kartkę z listą nazwisk. – Zaraz sporządzę raport i każę go doręczyć do sztabu generalnego.

Horodyński oblizwał spierzchnięte wargi.

– Czy mógłbym mieć prośbę? – zapytał.

– Słucham. – Zmierzający w stronę biurka Józef przystanął i spojrzał przez ramię.

– Jeden z jeńców okazał się szczególnie pomocny. To prosty człowiek, palacz z Aurory – wyjaśniał Andrzej. – Cudem tylko przeżył zniszczenie swojego okrętu. Doznał potwornych oparzeń...

– I? – ponaglił go emisariusz.

– Czy mogliby panowie załatwić słoiczek maści dla niego? Nawet niewielki. Przemyciłbym do obozu. Przykro patrzeć, jak jątrzą mu

się rany na twarzy. – Spuścił wzrok. Zdawał sobie sprawę, o jak wiele prosi. Dla tych dwóch mężczyzn wszyscy Rosjanie byli wrogami i zasługiwali wyłącznie na najgorsze. – On naprawdę bardzo mi pomógł... – dodał błagalnie.

Piłsudski zerknął na Filipowicza, jakby wypatrywał jakiegoś znaku.

– Zobaczę, co da się zrobić – obiecał, po czym odwrócił się i pomaszerował za biurko, gdzie od razu wziął się do pisania.

– Ty wciąż czujesz więź z tymi ludźmi. – Tytus pokręcił głową. – A to nasz wróg przecież. Gdyby nie było tej wojny, a my spróbowalibyśmy wywalczyć niepodległość albo chociaż zyskać większą autonomię, strzelaliby do nas jak do kaczek. Zrozum to wreszcie, chłopcze.

– To tylko prosty palacz. On do nikogo nie strzela.

– Tak ci się tylko wydaje... – Filipowicz zamilkł nagle, ale nie miało to nic wspólnego z natarczywym dzwonkiem telefonu, który właśnie się rozległ. Spojrzał uważniej na siedzącego obok kadeta. – To takie buty – mruknął, gdy Piłsudski odebrał.

– Buty? Co za buty?

– To tylko taki zwrot retoryczny – wyjaśnił rozbawiony emisariusz. – Ten twój palacz został ranny podczas eksplozji kotła, zgadza się? Tak samo jak twój ojciec?

Andrzej spuścił wzrok, jakby przyłapano go na gorącym uczynku. Nie musiał nic mówić, emisariusz sam sobie wszystko dopowiedział. Skoro tak, niech mu będzie.

– Ja...

– Nie tłumacz się. Wiem, co teraz czujesz. Załatwię ci tę maść, ale musisz mi obiecać, że na tym koniec. Potraktuj ten dobry uczynek jako spłatę zaciągniętego u wroga długu honorowego.

– Tak zrobię. Dziękuję. – Horodyński wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Naprawdę dziękuję.

– Panowie! – Piłsudski odłożył słuchawkę, po czym zreferował treść rozmowy. – Generał serdecznie nam dziękuje i pragnie...

uhonorować naszego młodego przyjaciela. W nagrodę chce mu pokazać prawdziwe oblicze swojej ojczyzny, a przy tym przybliżyć historię kryjącą się za tym wszystkim. Tak powiedział. Słowo w słowo. Niczego nie przeinaczyłem.

– Znaczy że co? – Tytus był wyraźnie zdezorientowany.

– Znaczy, że trzeba Andrzejkowi znaleźć jakieś godne odzienie. Idziemy, panowie, ni mniej, ni więcej, tylko do tutejszego teatru.

– A co z moim powrotem do obozu? – zapytał niezbyt przytomnie Horodyński.

– Tak ci śpieszno do tej katowni? – zaśmiał się starszy z emisariuszy, ale jakoś tak brzydziej, jakby to pytanie go uraziło.

– Trudno mi będzie wytłumaczyć nocną nieobecność. – Andrzej próbował wybrnąć z niezręcznej sytuacji, wiedząc, że nie może im powiedzieć, jak bardzo mu zależy na dostarczeniu leku dla wiceadmirala.

– Dzisiaj rozprawa się przeciągnie, więc wylądujesz w miejscowym areszcie. Proste jak drut! – Józef miał na wszystko radę. – No, zbierajmy się, panowie, czas nagli. Trzeba nam się wyszykować.

Filipowicz przyjrzał się krytycznym okiem chłopakowi.

– Wzrostu jesteście podobnego, coś wykombinujemy.

休憩

Automobil generała zatrzymał się przed niezbyt okazałym budynkiem o jasnej wąskiej fasadzie i dziwnym, zwieńczonym półcylindrycznie szarym dachu, którego zakrzywione krawędzie były jedynym japońskim akcentem całej bryły architektonicznej. Nawet zdobiąca fronton płaskorzeźba wydawała się europejska w stylu, tak więc – gdyby nie egzotyczne otoczenie – można by pomyśleć, że emisariusze stoją przed halą targową w którymś z niemieckich miast.

Po obu stronach zadaszono wejścia łopotwały na wietrze jaskrawoczerwone proporce, na których wykaligrafowano ten sam

napis – jaki, tego Andrzej niestety nie wiedział, ponieważ zrozumienie skomplikowanych japońskich zawijasów przekraczało jego możliwości. Domyślał się jednak, że to tytuł sztuki, do której obejrzenia zostali zaproszeni.

Do teatru, mieszczącego się w jednej z centralnych dzielnic Tokio, przybyli dwoma pojazdami. W generalskim mitsubishi zmieścili się trzej goście honorowi, a drugi, skromniejszy wóz dostarczył na miejsce grupę tłumaczy. Każdy Polak dostał bowiem towarzysza, aby nie uronić ani słowa z niezwykle ważnego, jak twierdził Murata, przedstawienia.

Wysiadając z samochodu, Horodyński nie krył ekscytacji. To miał być jego pierwszy kontakt z kulturą Kraju Kwitnącej Wiśni. Nie wiedział wtedy jeszcze, że od razu zostanie rzucony na głęboką wodę.

Kabuki było do niedawna sztuką dla mas, niemniej cesarz i premier starali się podnieść rangę tej sztuki do wymiaru narodowego. Między innymi z tego powodu generał zaprosił gości z dalekiej Europy właśnie tutaj, do Kabuki-za, pierwszego teatru w Tokio mieszczącego się w Ginzie, bajecznie kolorowej dzielnicy rozrywki.

Kadet i emisariusze przystanęli na chodniku w otoczeniu tłumaczy i paru agentów kempeitai, którzy na nich czekali, oczywiście po cywilnemu, czyli w rozmaitej barwy prostych kimonach. Murata, zapewne w geście solidarności z gośćmi, pozostał wierny mundurowi, tyle że przypiął do niego wszystkie swoje odznaczenia i przepasał się szarfą, jakby udawał się na jakąś uroczystość.

– Zapraszam do środka. Przedstawienie za moment się zacznie! – Murata wskazał ręką ciemność za uchylonymi drzwiami.

Zagraniczni goście trafili na miejsce w ostatniej chwili, zgodnie z zaleceniem ministerstwa. Mieli wejść do teatru, gdy widownia będzie już zapełniona, aby jak najmniej postronnych osób

zauważyło ich obecność. Generał wynajął jedną z bocznych łóż, gdzie nie powinni rzucać się w oczy.

Andrzej ruszył za idącymi dziarskim krokiem kompanami, lecz zamarł, gdy za jego plecami rozległo się głośnie dzwonięcie. Obejrzał się szybko i zobaczył nadjeżdżający pomarańczowy wagonik. Pojazd ten poruszał się po szynach, ale nie ciągnęły go konie ani inne zwierzęta.

Murata dostrzegł reakcję gościa.

– *Toden!* – rzucił z dumą. – *Elekutriku* – dodał, wskazując laską dziwne pałaki sięgające drutów rozpiętych nad ulicą.

Horodyński przyglądał się z otwartymi ustami, jak wypełniony ludźmi tramwaj mija teatr. Nigdy wcześniej nie widział podobnego wehikułu.

– Chodźże, Andrzej! – ponaglił go Piłsudski, który zdążył się napatrzeć na motoryzacyjne cuda stolicy.

休憩

Zasiedli w wielkiej sali, która z grubsza przypominała europejskie odpowiedniki, choć tutaj widzowie z parteru nie siedzieli na składanych krzesłach, lecz klęczeli na równo rozmieszczonych, płaskich, aczkolwiek zapewne miękkich i wygodnych poduszkach. Na deskach sceny w podobnej pozycji klęczało kilkunastu mężczyzn w identycznych kimonach. Większość miała przed sobą coś, co przypominało małe bębenki, a dwaj ściskali w dłoniach dziwaczne gitary z długimi gryfami. Poza nimi na scenie nie było nikogo, tyle że ledwie rozległy się pierwsze dźwięki melodii, w podłodze otworzyła się zapadnia przypominająca z wyglądu luk bombowy i widownia ujrzała grupkę aktorów wyłaniających się z czeluści.

Tak rozpoczął się prawie trzygodzinny spektakl, przedstawiający wydarzenia najbardziej znanego japońskiego eposu, który ostatnimi czasy przyćmił nawet przesławną *Heike monogatari*.

– Oto *Ballada o Szponach Smoka* – objaśnił półgłosem tłumacz, nachylając się do ucha Andrzeja.

Pieśń poprzedził wysoki, płaczliwy jęk uderzonych strun, do którego tchnienie później dołączył modulowany z wyczuciem głos recytatora, o wiele czystszy i silniejszy, niż można by sądzić na podstawie mikrej postury artysty.

Zebrani, słuchając z ukontentowaniem następujących po sobie fraz, mogli się zanurzyć w opowieści, w której bogini po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zstąpiła na ziemię, by zmienić losy świata.

A było to tak...

W dwudziestym ósmym roku epoki Meiji, za panowania cesarza Mutsuhito, Maresuke Nogi, nieustraszony generał, któremu z woli ówczesnego władcy odmówiono prawa do seppuku, przez co musiał żyć z hańbą po stokroć gorszą niż śmierć, poprowadził armię Nipponu ku wielkiemu zwycięstwu, gromiąc raz po raz siły cesarstwa Chin. Gdy po bitwie pod Tianzhuangtai jego oddziały ruszyły na stolicę wroga i mieszczące się w niej prastare Zakazane Miasto, cesarzowa wdowa Cixi, przerażona widmem rychłej utraty życia, a nade wszystko władzy, wysłała swojego najbardziej zaufanego doradcę do Tybetu, by zaoferował legendarnym strażnikom smoków układ – uznanie kultu czterech żywiołów za jedyną oficjalną religię Państwa Środka w zamian za ocalenie cesarstwa przed niechybną zgubą.

Mnisi przyjęli ofertę władczyni, zbudzili więzione od stuleci bestie i poprowadzili je na drugi kraniec cesarstwa, gdzie w bitwie godnej stu innych poematów współczesna technika zmierzyła się ze starożytną magią. Tego dnia dwie maszerujące na Pekin armie Nipponu zostały starte w proch, lecz nawet to przytłaczające zwycięstwo nie zapobiegło upadkowi tronu Cixi.

Nakarmione dziesiątkami tysięcy dusz smoki odzyskały pełnię dawnej mocy i uwolniły się spod jarzma zbyt pewnych

siebie strażników. Najpotężniejszy z nich, wielki jak góra tęczowy gigant zwany Panem Wszystkich Żywiołów, rozniósł w perzynę Zakazane Miasto, pożarł marionetkowego cesarza, manipulując nim ciotkę i setki dworzan, po czym ogłosił się Jedynym Władcą Państwa Środka i Reszty Świata.

Tak nastał czas podbojów. Cztery pozostałe smoki, czerwony Pan Ognia, biały Pan Lodu, czarny Pan Moru i błękitny Pan Błyskawic, poprowadziły armie byłego cesarstwa, do których wcielono miliony mężczyzn i kobiet, najpierw na południe, a potem, po podbiciu reszty kontynentu i setek wysp, skierowały się na zachód. Największe państwa i królestwa Azji upadały jedno po drugim, najliczniejsze armie kładły się pokotem jak ścinana sierpem trzcina; nie było potęgi, której nieprzeliczone masy żołnierzy nie mogłyby pokonać nawet bez pomocy bestii. Te z czasem coraz rzadziej opuszczały swą nową siedzibę – krater powstały w miejscu Zakazanego Miasta.

Triumfalny pochód Armii Smoczej trwał trzy lata, do chwili, gdy Jedyny Władca Państwa Środka i Reszty Świata wskazał czerwonym jak krew szponem kolejną ofiarę, czyli niezłomny archipelag na wschodzie.

Trzy tysiące wielkich okrętów przybiło do plaż zatoki Hakata w prefekturze Fukuoka, tam gdzie siedemset lat wcześniej dobre kami zesłały boski wiatr i zatopiły – dwukrotnie! – floty Kubilaja, wnuka samego Czyngis-chana.

Tym razem jednak wróg wylądował bez przeszkód, sześćset pięćdziesiąt tysięcy uzbrojonych po zęby Chińczyków w okamgnieniu zajęło równinę i leżące na niej wyludnione miasteczka, nie napotykając niemal żadnego oporu. Dowodzący obroną wybrzeża generał Shima Azai rozmieścił bowiem swoje wojska nieco dalej, w otaczających zatokę górach.

Nie był to z jego strony akt tchórzostwa – nie był to nawet jego pomysł. Jak głosi legenda, drugiego dnia po klęsce armii Maresuke Nogiego przed medytującym w Tokio młodym, ambitnym oficerem wylądował Yata no Karasu, trzynogi kruk, ten sam, który przed tysiącami lat był posłańcem boskiego Jimmu, ukochanego potomka Amaterasu. To on przekazał nowemu wybrańcowi bogini słońca dokładne instrukcje, gdzie i kiedy nastąpi inwazja oraz jakich środków należy użyć, by skutecznie powstrzymać wroga.

Shima Azai jeszcze tego samego ranka powiadomił dwór cesarski o wizycie posłańca bogini. Mutsuhito jednak, człowiek na wskroś nowoczesny i wielki reformator, odniósł się sceptycznie do relacji nieznanego mu bliżej dowódcy niższego stopnia, niemniej kruk przewidział jego reakcję. W trakcie wizyty zdradził generałowi, że ziemia pod pałacem zadrży za trzy dni w samo południe, skutkiem czego runie znajdujący się w głębi ogrodów ulubiony pawilon władcy Nipponu. Warto więc, by boski tennō darował sobie ceremonię parzenia herbaty, którą zaplanowano w feralnym miejscu o tej właśnie godzinie.

Przepowiednia wypełniła się co do joty, a już kwadrans po ustaniu drgań Shima Azai otrzymał wszystkie pełnomocnictwa pozwalające mu na pozyskanie siły roboczej oraz środków niezbędnych do zbudowania gigantycznej sieci wykutych w skałach umocnień, którymi w ciągu trzech kolejnych lat otoczył zatokę Hakata i miasteczka znajdujące się na wybrzeżu.

Prace trwały do ostatniej chwili i choć nie zakończono ich przed dniem inwazji, powstałe umocnienia mogły pomieścić dwa razy więcej ludzi i sprzętu, niż liczyła najzasobniejsza podówczas w żołnierzy armia cesarstwa, wyznaczona, jakżeby inaczej, do obrony północnego wybrzeża wyspy Kiusiu. To także był element boskiego planu.

Mrowie najeźdźców szturmowało strome granie, tysiąc dział ostrzeliwało skaliste zbocza, lecz pomimo trwających dnie i noce ataków wróg nie zdołał się posunąć o choćby jedno ri. Czas mijał, straty rosły, ale głównodowodzący chińskich sił, admirał Pei Wei, wciąż miał nadzieję, że obejdzie się bez przyzywania smoków. Wiedział bowiem doskonale, czym kończy się niepokojenie kapryśnych bestii. Niestety nie było innego wyjścia. Za cenę trzydziestu sześciu tysięcy poległych żołnierzy zdołał odwlec własną egzekucję o cały tydzień, ale dziesiątego dnia szturm – po kolejnym ataku na wykute w skałach szanie, który jak wszystkie poprzednie zakończył się masakrą atakujących oddziałów – zdruzgotany admirał kazał dać sygnał do odwrotu. Gdy działa wreszcie umilkły, polecił skrybom wysłać na kontynent gołębie pocztowe, aby zniosły do Pekinu raport o braku postępów i prośbę o nadprzyrodzone wsparcie.

Dzień później obserwatorzy dostrzegli tuż nad horyzontem maleńką plamkę, która rosła w ich oczach przez kolejne minuty, by w końcu przybrać kształt majestatycznego smoka o bajecznie tęczowych łuskach. Zgodnie z przepowiednią sam Jedyiny Władca Państwa Środka i Reszty Świata opuścił zwęglone ruiny Zakazanego Miasta, aby dać nauczkę tym, którzy go zawiedli, i złamać opór krnąbrnych wyspiarzy.

Smoki – najpotężniejsze, nie licząc bogów, istoty, jakie kiedykolwiek stąpały po ziemi. Zrodzone przed eonami najdoskonalsze narzędzia wojny mające służyć szalonemu demonowi z krainy, która wkrótce potem zniknęła w falach oceanu. Istoty tylko na poły magiczne, aczkolwiek niemal nieśmiertelne, z pewnością niezdolne zginąć z ręki człowieka – nie bały się nikogo ani niczego. Zawistny renegat, który powołał je do życia, chciał stworzyć broń absolutną, samodoskonalącą, czerpiącą siłę z energii duchowej pokonanych ofiar, albowiem boga można zabić tylko na dwa

sposoby: unicestwić go metafizycznie za sprawą nadprzyrodzonych mocy bądź wytrzebić jego wyznawców. Bestie potrafiły jedno i drugie. Gdy wszakże zabrakło ich stwórcy, z czasem, pozbawione kontroli, stały się potężniejsze od sił, którym miały służyć. Niespodziewany kataklizm na skalę kosmiczną dał im bowiem wolność, z której skwapliwie skorzystały w nadziei, że zatopiony kontynent pogrzebał na zawsze ich tajemnicę i dwie słabości. Pierwszą było bezwzględne posłuszeństwo temu, kto posiadzie ów sekret i zmusi je do złożenia hołdu. O drugiej dowiecie się za chwilę.

Pozbawione pana bestie rozpoczęły bezwzględną walkę o dominację nad światem, tym zwykłym i tym nadprzyrodzonym. Zwróciły się przeciwko wszystkim bogom i demonom swojej ery. Najznamienitsze panteony ucierpiały za sprawą nieokiełznanej smoczej furii; czeźli wszechpotężni stwórcy mnogich cywilizacji, ci, którzy nie mogli i nie powinni umrzeć. Wszakże wszystko, co dobre, ma kres. Jak proroczo zapowiedziała to święta księga wyznawców okrutnego boga, który padł ofiarą smoków tuż przed ich własną klęską: pycha zawsze kroczy przed upadkiem.

Zaślepienie własną mocą bestie zostały w końcu przechytrzone, i to przez pomniejsze tybetańskie bóstwo. Zwabiło je ono do podziemnej pułapki i tam uwięziło na niemal dwa tysiąclecia. Lecz smoki, istoty mądre i cierpliwe, wyciągnęły nauczkę z tej porażki. Gdy zadufany człowiek pozwolił im w końcu opuścić więzienie, posłusznie rozgromiły wskazane zastępy wroga, sycąc się ich energią życiową, później zaś, odzyskawszy moc utraconą w niewoli, skierowały swój gniew przeciw sługom dawnego ciemńcy i sprowadziły na nich jeszcze gorszą śmierć. Mogły to uczynić, gdyż ten, który znał ich tajemnicę, zginął przed eonami, a pilnujący pułapki mnisi nie mieli pojęcia, co tak

naprawdę niewoliło potężne bestie. To dlatego przed ich uwolnieniem nie zażądali złożenia wiążącej przysięgi.

Odtąd smoki dążyły uparcie do tego, by zdobyć władzę nad całym światem i zemścić się na każdym przedwiecznym, jaki ocalał z pradawnej wojny. Pięć lat wystarczyło, by z trzydziestu ostatnich bóstw zostały tylko dwa: Igwe, ukrywający się gdzieś w przestrzeni bóg nieba czarnoskórych Ibów, i przebiegła bogini słońca skośnookich wyspiarzy.

Tęczowy smok, najpotężniejszy z piątki, władający żywiołami ognia, lodu, moru i błyskawic, przybył więc do Nipponu, by złamać opór sług Amaterasu, przedostatniej nadprzyrodzonej istoty, która stała na jego drodze do zawładnięcia czymś więcej niż tylko tą planetą.

Admirał Pei Wei został przykładowie ukarany, podobnie jak wielu jego oficerów. Jedyne Władca Państwa Środka i Reszty Świata sam stanął na czele swoich armii, by poprowadzić je do decydującego szturmu. Tamtego dnia na obrońców Kiusiu spadła nie tylko lawina stali, ale też strumienie piekielnego ognia, potoki lodu zimniejszego od bezbrzeżnej pustki kosmosu, strugi śmiertelnośnego morowego powietrza i wyładowania energii, przy których najpotężniejsze gromy zdawały się ledwie iskierkami.

Na nic to się jednak nie zdało. Skalne fortece zostały zbudowane tak, by chronić kryjących się w ich wnętrzu rozproszonych ludzi. Gdy płomienie zamieniały litą skałę w magmę, obrońcy wycofywali się w głąb labiryntu schronów, po czym – ledwie rozjuszona bestia obrała nowy cel – wracali pośpiesznie na opuszczone wcześniej szanice albo zajmowali pozycje na niezniszczonych jeszcze bastionach i stamtąd odpierali ataki. Do wieczora padła tylko jedna, podrzędna linia obrony, lecz sukces ten okupiono niemal sześćdziesięcioma tysiącami ofiar.

Jedyny Władca Państwa Środka i Reszty Świata nie był głupcem – szybko pojął, że Amaterasu przygotowała tę pułapkę, by ośmieszyć go w oczach żołnierzy i pokazać, że potęga smoków jest niczym w obliczu jej boskiej przebiegłości. Postanowił więc zmienić taktykę. Nie mógł ściągnąć na wyspy kolejnych armii, ponieważ te podbijały dla niego piaszczyste domeny Lewantu i bezkresne, pokryte zmarzliną równiny północnej Azji. Natomiast mobilizacja kolejnego miliona zbrojnych zajęłaby wiele tygodni, nie mówiąc już o czasie potrzebnym na przerzucenie takich sił za morze. Zwycięstwo musiało być miażdżące i natychmiastowe, w innym razie ludzkość zaczęłaby wątpić w rodzący się dopiero mit niepokonanych smoków.

Pozostało tylko jedno rozwiązanie: tęczy smok musiał przechytrzyć boginię słońca.

Jedyny Władca Państwa Środka i Reszty Świata wzniósł się więc wysoko w niebo i stamtąd obrzucił wzrokiem cały ufortyfikowany łańcuch górski, który blokował drogę jego oddziałom. Dzięki oczom, które widziały inaczej niż ludzkie, zdołał dostrzec wiele interesujących szczegółów. Niemal od razu przyznał, że Amaterasu nie ustępuje mu sprytem, a na wojennym rzemiośle zna się lepiej niż ci żałośni gromowładni Olimpu czy Asgardu. Była też przebieglejsza od swojego odpowiednika z odległej krainy, przezabawnego Huitzilopochtli, który umierał każdego dnia o zmierzchu i odradzał się bladym świtem – przynajmniej dopóty, dopóki na jego drodze nie stanęły smoki.

Amaterasu musiała mieć jednak także słabe punkty, jak każde z zadufanych w sobie bóstw. Wystarczyło je tylko odkryć i zrozumieć.

Wkrótce Jedyny Władca Państwa Środka i Reszty Świata domyślił się, że słabością Amaterasu są żałośni ludzie, jej wyznawcy. Smoki nie dbały, ile tego plugastwa postrada życie

w trakcie podbojów, liczyło się tylko ostateczne zwycięstwo nad wrogiem. Bogini słońca natomiast robiła wszystko, by ocalić swoich żołnierzyków, wiedziała bowiem, że gdy ich zabraknie, gdy skończą się motywowane strachem modły, ona sama zacznie tracić nadprzyrodzoną moc.

Smoczy wzrok, przed którym niewiele może się ukryć, wypatrzył grootę pod odległym szczytem najwyższej góry. Z jej czeluści równinie nad zatoką przyglądało się kilkunastu paradnie wystrojonych wojowników. Jedyne Władca Państwa Środka i Reszty Świata zaśmiałyby się, gdyby był człowiekiem. Oto najśłabszy punkt! Generałowie armii broniącej wybrzeża, jej najtęższe głowy, dowódcy, po których utracie armia Nipponu pójdzie w rozsypkę.

Pycha kroczy przed upadkiem... Mając tę sentencję w pamięci, tęczy smok złożył skrzydła i pomknął niczym pocisk w kierunku pierwszej linii skalnych umocnień, markując kolejny atak. Znowu użył wszystkich żywiołów, by wesprzeć szturm mocno wykrwawionych oddziałów. Znowu krążył po niebie, siejąc zniszczenie i śmierć. Stopniowo zbliżał się także do oddalonego o całe ri masywu, skąd wrodzy generałowie obserwowali jego poczynania.

W końcu nadeszła odpowiednia chwila. Wzbił się w niebo, lecz zamiast ponownie spaść na szańce, poszybował ku grocie. Dotarł do celu w okamgnieniu. Mógłby spopielić tych ludzików, którzy zdążyli się tylko poderwać z miejsc, mógłby jednym tchnieniem moru pozbawić ich życia albo zamrozić na całe eony lodowym powiewem... Wybrał jednak inne, bardziej satysfakcjonujące rozwiązanie.

Dowodzący obroną taishō i jego przybocznicy siedzieli w korytarzu wykutym w litej skale, lecz nie na tyle daleko od jego wylotu, by bestia nie zdołała ich pochwycić.

Tęczy smok przypadł do niemal pionowej ściany. Jego łapa zanurzyła się błyskawicznie w mrocznej czeluści, długie

paluchy zakończone krwawoczerwonymi szponami zacisnęły się na ciałach ludzi.

Miał ich, tym jednym ruchem pozbawił wroga...

Góra zadrżała w posadach, gdy eksplodowało sześćset beczek najsilniejszego prochu, jaki można było wyprodukować w wyspiarskim cesarstwie. Masyw skalny, poprzecinany setkami korytarzy niczym gigantyczna termitiera, zapadł się na sporym odcinku, miażdżąc i więząc łapę na niemal całej długości.

Jedyny Władca Państwa Środka i Reszty Świata zaczął szaleć z wściekłości, zrozumiałwszy, że został schwytany w kolejną pułapkę, lecz złość szybko ustąpiła przerażeniu, gdy poczuł znajome mrowienie, które sprawiło, że po raz pierwszy od bardzo dawna zawładnął nim pierwotny strach.

Amaterasu wiedziała!

Być może nawet stała za wszystkim, w tym za wydarzeniami sprzed tysiąca lat. Pomniejszy demon, który wskazał smokom drogę do rzekomego Serca Światów – co zresztą przypłacił własnym życiem, konając w niewysłowionych męczarniach przez całe stulecia – był zbyt głupi, żeby w pojedynkę opracować i zrealizować plan usunięcia niepokonanych dotąd metafizycznych zabójców. Ktoś musiał się nim posłużyć, ktoś potężny, ktoś, kto poznał pilnie strzeżoną tajemnicę twórcy najdoskonalszej broni. Ktoś, kto odkrył, że jedyną materią zdolną osłabić, a w konsekwencji nawet zabić smoka jest bardzo rzadki i z pozoru bezużyteczny dla człowieka metal.

Tym kimś musiała być Amaterasu. Ona też wskazała Shimie jedyne źródło, z którego mógł pozyskać ów surowiec. Do kopalni w pobliżu wioski Ishikawa w prefekturze Fukuoka ściągnięto w kilka dni dwa tysiące więźniów – oni to właśnie za cenę życia i potwornych zwyrodnień dzień i noc

wydobywali rudę, z której powstawała broń mogąca zagrozić smokom.

Przygotowując pułapkę, taishō Shima nakazał górnikom wykuwającym korytarze w górze Sefuri stworzenie sztucznej groty, na tyle wąskiej i głębokiej, by smok mógł wsunąć do niej wyprostowaną łapę. W sklepieniu owej jaskini wydrążono dziesiątki pionowych sztolni, które następnie zaczopowano od dołu warstwą wypalanej gliny, a później ostrożnie wypełniono – dzięki sieci znajdujących się poziom wyżej korytarzy – sproszkowanym urobkiem z Ishikawy.

Wstrząs spowodowany eksplozjami miał doprowadzić do osunięcia się części nadwątłego pracami górniczymi masywu i uwięzienia bestii w potrzasku. W tym samym momencie krucha glina uwolni zabójczy ładunek, a ten, dzięki prawom fizyki, posypie się w dół i przez rany wniknie do krwi smoka, osłabiając go i przerażając perspektywą niechybnej śmierci.

Shima wiedział, że ściągnięcie w to miejsce bestii będzie wymagać od niego najwyższego poświęcenia. Bogini wyjawiała mu bowiem, że jedną z nadprzyrodzonych cech broni stworzonej przez przedwiecznego maga jest umiejętność czytania w myślach ofiar. Mając to na względzie, musiał postawić na szali własne życie, a że był człowiekiem honoru, uczynił to bez wahania. Gdy zameldowano mu o pojawieniu się smoka, przekazał adiutantowi testament, w którym opisał dokładnie, co należy uczynić, po czym popełnił seppuku. Dowodzenie przejął jego zastępca, który podobnie jak reszta sprowadzonych ostatnio ze stolicy oficerów armii Kiusiu nie miał pojęcia o charakterze pułapki. Nowy taishō zasiadał więc każdego ranka w grocie, by z wysokości obserwować przebieg starć w dolinie. Wydawał rozkazy, debatował, planował jak rasowy strateg, choć był niczym więcej niż przynętą na smoka.

Jedyny Władca Państwa Środka i Reszty Świata dał się w końcu przechytrzyć. Zaatakował, pragnąc upokorzyć Amaterasu oraz jej najwierniejszych wodzów, i tym samym przypieczętował swój los. Gdy miliony ton skały osunęły się na jego łapę, stał się więźniem górskiego masywu. Pozostając w cielesnej formie, nie mógł odlecieć, nie mógł też cofnąć zmiażdżonej kończyny, na którą wciąż sypał się zabójczy proszek odbierający siły i wysysający życie.

Jakiś czas potem na szczycie góry, ponad głową szalejącego smoka, pojawił się mężczyzna w przepysznym kimonie. Bestia nie spopieliała go, ponieważ wiedziała, że przychodzi jako emisariusz. Negocjacje trwały krótko, bo i nie było o co się spierać.

Gdy smok wyryczał ostatnie słowo przysięgi, człowiek zniknął za granią, by dać rozkaz czekającym w ukryciu żołnierzom. Wystarczyło jedno skinienie ręki, by odpalono znów setki lontów. Płomyki zniknęły w szczelinach skalnych i niespełna minutę później potężne eksplozje wykruszyły kamienie pod zawalonym tunelem. Wielka bestia, która zniknęła na moment w tumanie pyłu i dymu, wyrwała się w końcu na wolność.

Oslabiony działaniem tajemnego proszku dawny Jedyny Władca Państwa Środka i Reszty Świata opadł ku dolinie między ufortyfikowanymi górami, z dala od linii frontu. Tam, nie niepokojony przez obrońców, w akcie desperacji odgryzł sobie kawał zmiażdżonej łapy, by jak najszybciej pozbyć się skażonych tkanek. Przypalił ranę własnym ogniem, po czym wzbił się w niebo, aby dać swoim armiom sygnał do odwrotu.

Zdziesiątkowani Chińczycy poczuli ulgę, gdy pozwolono im złożyć broń. Do niewoli trafiło ponad czterysta tysięcy żołnierzy Armii Smoczej, w tym ponad sto tysięcy lżej i ciężiej rannych. Tych pierwszych ustawiono w kolumny i popędzono do przygotowanych wcześniej obozów jenieckich. Tych

drugich – zgodnie z warunkami zawartej ugody – spędano przed zapadnięciem zmroku i pozostawiono pośrodku równiny, na polach uprawnych rozciągających się między górami a miastem Fukuoka.

Po wykonaniu zadania japońscy żołnierze wycofali się pośpiesznie za góry, skąd kolejnego ranka większość ze śpiewem na ustach pomaszerowała w głąb Wyspy Dziewięciu Krain, do macierzystych koszar.

Następca Shimy, generał Takeda, dotrzymał danego bestii słowa, albowiem miał pewność, że niegdysiejszy Jedyny Władca Państwa Środka i Reszty Świata także nie złamie zawartej umowy. Tęczowy smok, osłabiony podstępny atakiem, był nieświadom jednego – poza Ishikawą w całym Nipponie nie znalazłaby się choćby grudka owej tajemniczej substancji, a w dodatku chorujący i mrący masowo więźniowie ogołocili tamtejszą kopalnię do ostatniego momme cennego metalu, aby umożliwić przygotowanie pułapki. Ilość tajemniczego pierwiastka, którą dysponowali obrońcy Kiusiu, mogła znacznie osłabić bestię, ale raczej by jej nie zabiła. Smoki jednak nie mogły złamać danego słowa, gdyż to naraziłoby je na pewną śmierć. Tak zabezpieczył się ich stwórca, mag do cna szalony, lecz mimo wszystko świadom, jaką potęgę przywołuje na świat.

Takeda wykorzystał niewiedzę bestii i grożąc otwarciem kolejnych szybów – Shima zapewnił go w testamencie o ich istnieniu, aby smok nie wyczytał prawdy w myślach człowieka, który przystąpi do negocjacji – wymusił na cierpiącym, przerażonym smoku złożenie wymyślonej przez Amaterasu przysięgi. Od tej pory bestie miały służyć boskiemu tennō i jego następcom, a za ich pośrednictwem znieawidzonej bogini słońca. W zamian wszystkim pięciu smokom darowano życie, a także zaoferowano możliwość kontynuowania podbojów, aczkolwiek już w imieniu Nipponu.

Gdy nastał świt, żołnierze tych nielicznych oddziałów kempeitai, którym kazano wrócić na pole niedawnej bitwy, zobaczyli na równinie otaczającej zatokę stosy potwornie zdeformowanych ciał. Wymordowani pod osłoną nocy ranni wyglądali jak wykopane z grobów mumie: spękana poszarzała skóra, potrzaskane kości, nierzadko brakujące członki.

Jedyny Władca Państwa Środka i Reszty Świata pochłonął dusze dziesiątków tysięcy jeńców, by zregenerować siły i zaleczyć rany – jako istota dalece spokrewniona z gadami wiedział, że odgryziona kończyzna z czasem odrośnie – po czym zgodnie z umową odleciał do Zakazanego Miasta, by oczekiwać na rozkazy nowego pana. Jego łapa pozostała w wąwozie, tam gdzie ją zostawił, przy jedynej drodze łączącej Fukuokę z resztą wyspy. Tam też znaleźli ją powracający ku zatoce żołnierze, którzy rychło się przekonali, jak zabójczą moc mają smocze szpony.

Każdy obrońca wybrzeża chciał mieć pamiątkę tych dni, choćby jedną łuskę, którą mógłby się pochwalić najbliższemu, a potem przekazać potomkom, by pamięć o legendarnej bitwie i jego udziale w niej trwała po kres czasu. Ludzie pognali więc w pole na wyścigi z obnażonymi bagnetami w dłoniach, by uszczknąć choć kawałek truchła, zanim jako zwycięskie trofeum trafi na cesarski dwór. Lecz wystarczyło, że któryś dotknął przypadkiem jednego z trzech sterczących w niebo krwawych pazurów, by zdrowe młode ciało w mgnieniu oka przeobraziło się w obłazące ze skóry, wyschnięte na wiór zwłoki. Sześciu śmiałków zginęło, zanim reszta pojęła, że w obciętej łapie bestii wciąż drzemie magia i niepojęta siła.

Taishō Takeda nakazał zabezpieczyć zdobycz, lecz nie wysłał jej do pałacu, tylko zgodnie z ostatnią wolą Amaterasu, wyrażoną w testamencie Shimy, przekazał łapę

najlepszemu płatnerzowi, by ten oprowił truchło i wyrwawszy pazury, zrobił z nich najbardziej zabójcze klingi, jakie widział świat. Dzieła tego podjął się mistrz Miyamoto Kanenori. Niestety jego także dotknęło fatum ciężące nad szczątkami bestii. Wystarczył jeden jedyny błąd, by zmęczony starzec podążył za swymi trzema uczniami, którzy zbyt lekceważąco potraktowali ostrzeżenia. Po śmierci tak poważanego płatnerza trudno było znaleźć chętnych do dokończenia dzieła, i to mimo wielkiej sławy, jaką zyskałby potencjalny śmiałek. Dopiero miesiąc później młody, ale za to bardzo ambitny mistrz Junsai Hayama Enshin przystał na propozycję taishō, wspartą obietnicą otrzymania dworskich zaszczytów. Postawił wszakże jeden warunek: nikt nie będzie go poganiał jak nieszczęsnego Miyamoto. Takeda zgodził się, choć niechętnie. Cesarz, wciąż nie mogąc się pogodzić z niepowetowaną stratą, także nie protestował.

Trzy miesiące później taishō otrzymał zaproszenie do pracowni Junsai, gdzie pierwszy ujrzał trzy nieziemskie uchigatany o lśniących klingach barwy świeżej krwi. Szpony, mimo oddzielenia od ciała i kilkumiesięcznej obróbki, nie utraciły magicznej mocy. Twardsze od stali rozłupywały najgrubsze pancerze i bez trudu roztrzaskiwały broń wykonaną przez najlepszych płatnerzy w historii. Wystarczyło zaledwie jedno muśnięcie, a ofiara traciła nie tylko życie, ale i duszę.

Takeda zawiózł szable cesarzowi, a gdy ten ujrzał ich niebiańskie piękno i poznał nadprzyrodzoną moc, postanowił, że muszą trafić w ręce najwierniejszych i najbardziej zaufanych spośród jego walecznych wasali. Podjął tę decyzję, nie mając pojęcia, że oferuje im nie nagrodę, lecz przekleństwo. Dość szybko okazało się bowiem, że Szpony Smoka, jak nazwano karmazynowe daishō, trzeba nieustannie karmić energią życiową ofiar. Powiernicy tej

broni musieli więc regularnie zabijać, czy chcieli tego, czy nie chcieli, w przeciwnym razie sami podupadali na zdrowiu, gdyż broń wysysała z nich dusze, doprowadzając przy tym do szaleństwa. Wystarczyło raz dobyć tego oręża i odebrać nim życie, by człowiek na zawsze stał się niewolnikiem niezrozumiałej prądawnej mocy.

Gdy świat usłyszał o klęsce smoków, władcy największych europejskich potęg zjednoczyli się w krucjacie przeciw skośnookim armiom, które na południowych frontach docierały już do wyżyn Iranu, a na północy zajęły niemal połowę syberyjskiej tundry. Siły, które szykowały się do tej wojny od chwili, gdy wygasł ogień trawiący Zakazane Miasto, ruszyły do frontalnego ataku. Setki okrętów powietrznych uderzyły na zdezorientowanych żołnierzy Państwa Środka. Wieści o klęsce i odwrocie z Nipponu dotarły do walczących na pierwszej linii oddziałów lotem błyskawicy, powodując panikę, która szerzyła się jeszcze szybciej. W ciągu miesiąca od rejterady Pana Wszystkich Żywiołów jego armie zostały zepchnięte niemal do linii Wielkiego Muru. Nigdy wcześniej i nigdy później żadna kampania nie przebiegała w takim tempie.

Do przelomu doszło dopiero zimą, gdy nowi dowódcy zdołali zapanować nad chaosem. Smocze Armie, czy też raczej to, co z nich zostało, zostały przeformowane i zasilone kolejnymi milionami rekrutów, po czym ruszyły do zdecydowanego kontrnatarcia. Tym razem jednak nie udało im się osiągnąć aż tak oszałamiających sukcesów. Europejczycy, nadal zjednoczeni, stawiali atakującym zaciekle opór, ale nieodmiennie ustępowali, każdego dnia tracąc choćby jeden przyczółek. Trzeba było czterech długich lat, by dowodzeni przez japońskich generałów żołnierze „odzyskali” zagarnięte wcześniej terytoria.

Gdy wróg stanął u bram Europy, zdesperowani koalicjanci zebrali w sekrecie największą flotę, jaką widział ten świat, lecz oni również zostali przechytrzeni przez znającą przyszłość Amaterasu. Raz jeszcze bogini zeszła trójnogiego kruka, aby wyjawiał cesarzowi, jak może ocalić Tokio. Jako że Mutsuhito nie wątpił już w prawdziwość zsyłanych wizji, przygotowania do obrony rozpoczęto kilka chwil po odlocie niebiańskiego posłańca. Na nadmorskich pustkowiach stworzono wierną kopię najludniejszej metropolii świata, zapalając ponad milion papierowych i gazowych latarni, aby zmyliły obserwatorów nadlatującego na skrzydłach burzy wroga. Dzieła zniszczenia dokończyły przywezwane przez cesarza smoki, które po raz pierwszy od bitwy nad zatoką Hakata opuściły krater Zakazanego Miasta.

Żaden z wrażeń okrętów nie przetrwał tego starcia, choć przybyło ich nad Tokio ponad trzysta, i tak koalicja przegrała epicką podniebną bitwę, która stała się początkiem jej końca.

– Niesamowite! Tyle mogę powiedzieć – oświadczył podniesionym głosem Piłsudski, gdy widowia zaczęła pustoszeć.

– Dziękuję. – Murata pokłonił się sztywno. – Teatr kabuki to tylko jedna z wielu dziedzin sztuki, z których jesteśmy niezwykle dumni. Sam cesarz zaangażował się we wprowadzenie jej na salony.

– Nie dziwi mnie to – odparł Józef. – Nic a nic.

Filipowicz przyglądał się tej wymianie zdań z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, ale Andrzej był zbyt młody i niedoświadczony, by pamiętać o takich drobiazgach, jak grzeczność, dyplomacja i kurtuazyjne skrywanie emocji. Wyruszając do teatru, nie spodziewał się, że przez bite trzy godziny będzie słuchał rzępolenia i śpiewu, który nijak nie pasował do jego wyobrażeń o muzykalności. Na szczęście starsi mężczyźni nie zwracali na niego uwagi.

– To oczywiście tylko początek atrakcji, jakie przygotowałem dla panów tego wieczora – rzucił zadowolony z pochwał generał Murata. – Teraz zapraszam na skromną kolację.

– Oby dorównała uczcie zmysłów, której dopiero co byliśmy świadkami. – Piłudski przepuścił Japończyka, a później pośpieszył za nim, jakby nie mógł się już doczekać obiecanych przysmaków.

– Przepraszam, panie generale... – odezwał się milczący do tej pory Andrzej. – Czy mógłbym zadać panu pytanie?

Emisariusze obrzucili go gniewnymi spojrzeniami, lecz Murata uśmiechnął się tylko, gdy jeden z tłumaczy przełożył słowa kadeta.

– Śmiało, młody agencie – zachęcił chłopaka.

– Dlaczego Amaterasu nie wyjawia wam każdego sekretu wroga? Nie ostrzegła przecież cesarza przed defiladą, nie pomogła też w ujawnieniu prowodyrów.

– Dobre pytanie – odparł Murata, po czym dodał: – Niestety nawet generałowie są tylko ludźmi, więc nie umiem na nie odpowiedzieć.

Zastępca szefa sztabu należał do grona ludzi, którzy znali całą prawdę – także te szczegóły, które pominięto w pieśni, nie zamierzał jednak dzielić się swą wiedzą z kimś takim jak ci gaijinowie.

– Niezbadane są ścieżki Pa... ni – wtrącił Filipowicz, poprawiając się w ostatnim momencie.

– Otóż to. Bogowie są bytami, których motywacji nigdy nie pojmujemy. Wiem tyle, że Amaterasu wspiera nas w godzinie najcięższej próby. Uczyniła to przed chińską inwazją i przed waszym nalotem. Myślę, że takie drobiazgi, jak niesubordynacja jeńców, są do tego stopnia nieistotne z jej perspektywy, iż nie zwraca na nie niebiańskiej uwagi, chociaż... – Popadł w zamyślenie. – Może to wszystko, aż do najdrobniejszego szczegółu, jest częścią jej boskiego planu?

Tą ostatnią uwagą zmartwił Horodyńskiego, który nie zadał pytania z czystej ciekawości. Oglądając przedstawienie, zaczął się bowiem zastanawiać, czy siła wyższa może obserwować jego poczynania, w tym te ostatnie...

ROZDZIAŁ 10

Lokal wybrany przez Muratę mieścił się w rozległym pawilonie zaledwie trzy przecznice od teatru, ale i tak udali się tam automobilem. Tylko agenci ochraniający gości potruczali wąskim chodnikiem, przeciskając się przez tłumy spragnionych rozrywki mieszkańców stolicy.

Skromność nie była słowem pasującym do wystroju miejsca, w którym zasiedli. Restauracja należała do najdroższych w tej dzielnicy, zatem nie roiło się w niej od rozkrzyczanych gości z gminu. Tylko połowa z kilkunastu niskich stolików była zajęta, a ludzie oddawali się jedzeniu w nabożnym skupieniu, jakby przebywali w świątyni, nie jadłodajni.

Generała i jego towarzyszy usadzono w głębi sali, za zdobnym przepierzeniem, na niewielkim podwyższeniu. Jak się okazało, był to jedyny stół, przy którym nie trzeba było klęczeć na japońską modłę. Pod niskim blatem kryły się bowiem głębokie otwory, w które siedzący na poduchach Europejczycy opuścili nogi. Ze swych miejsc mogli przyglądać się dyskretnie pozostałym gościom, unikając jednocześnie ich wzroku, ale tylko Andrzej zerkał co rusz przez otwory koronkowej płaskorzeźby; generał i emisariusze mieli ciekawsze rzeczy do roboty niż obserwowanie jedzących za pomocą pałeczek ludzi.

Murata, wznosząc czarkę grzanej sake, uśmiechnął się szeroko.

– Mam dla was doskonale wieści, panowie – powiedział po francusku.

Tym, że kadet go nie rozumie, zupełnie się nie przejmował. Filipowicz wziął więc na siebie rolę tłumacza i od czasu do czasu wyłuszczał Andrzejowi pokrótce wybrane kwestie.

– Zamieniamy się w słuch. – Piłsudski, rozanielony faktem, że w końcu pozwolono mu zapalić, także tryskał radością.

– Sztab generalny nie wyraził zgody na wizytowanie obozów znajdujących się na kontynencie... – Murata przerwał, widząc nerwową reakcję słuchaczy. Spodziewał się jej jednak, dlatego z szelmowskim uśmiechem szybko dodał: – Poszliśmy o krok dalej. Aby usprawnić proces rekrutacji, rozpoczęto już relokację jeńców, którzy spełniają wszystkie wymogi. Zbierzemy ich w kompleksie obozów, które są już wznoszone opodal Sapporo.

– Tutaj? Na wyspach? – Piłsudski odezwał się dopiero po chwili, gdy zdołał pozbiierać szczękę z podłogi. Upuszczonego papierosa podał mu usłużnie Andrzej.

– Tak.

– Dlaczego? – drążył temat emisariusz.

– Naprawdę uważa pan, że operację zakrojoną na tak szeroką skalę udałoby się zachować w całkowitej tajemnicy? Na podbitych dopiero co terytoriach, gdzie ludność jest nam wroga i gdzie może roić się od szpiegów?

Obaj emisariusze pokręcili głowami. Ulokowanie jeńców na terenie Imperium Wschodzącego Słońca wydawało się najsensowniejszym rozwiązaniem, zwłaszcza że to armia japońska zorganizuje transport kandydatów na powstańców.

– Poza tym musimy brać pod uwagę tych, których odrzucicie. Może nie będzie ich wielu, ale... – Generał nalał sobie kolejną porcję sake, zanim dodał: – Na kontynencie musielibyśmy ich likwidować, nie mogliby przecież wrócić do macierzystych obozów.

– To prawda – przyznał ostrożnie Filipowicz. – O ilu jeńcach mówimy?

– Na tę chwilę mam potwierdzone trzy tysiące sześćset nazwisk.

– Tylko tyle?

– Będzie ich więcej – zapewnił generał – ale to musi potrwać.

– Sądziłem, że w grę wchodzi bardziej imponujące liczby.

Murata spoważniał.

– Po pierwsze, plotki o całych dywizjach poddających się Polaków były mocno przesadzone. Największy oddział, który dobrowolnie

złożył broń, liczył stu osiemdziesięciu dwóch ludzi.

– Czyli niepełne dwie kompanie?

– Zgadza się – potwierdził generał. – Po drugie, wspomniane dezercje miały miejsce na przełomie dziewięćset trzeciego i dziewięćset czwartego roku. Nie powinno więc panów dziwić, że ci ludzie już dawno zostali przerzuceni na dalekie południe wraz z resztą jeńców, którzy...

– Na dalekie południe, czyli gdzie? – przerwał mu Filipowicz.

– Malaje.

– Dlaczego, u licha? – nie wytrzymał Piłsudski.

– Utrzymanie tak wielkich mas ludzkich kosztuje, proszę o tym nie zapominać – odpowiedział spokojnie Murata – a my wzięliśmy do niewoli prawie pół miliona żołnierzy koalicji.

– Jak bardzo jest tam źle? – zainteresował się Andrzej, któremu Filipowicz wyłuszczył w kilku słowach, o czym mowa.

Japończyk skupił wzrok na kadecie, ale nie spoglądał na niego nienawistnie jak Araki. W jego oczach dało się dostrzec coś jakby zadumę.

– To obozy pracy – odparł po dłuższym zamyśleniu. – Z tym że problemem jest nie rygor, a warunki klimatyczne. Spory odsetek, jeśli nie większość, posyłanych tam ludzi zapada niestety na choroby tropikalne. Nie chciałby pan chyba mieć w swoich szeregach żołnierzy chorych na malarię albo cholere? – dokończył, przenosząc wzrok na starszego z emisariuszy.

– No... raczej nie – przyznał strapiony Piłsudski, po czym przełknął nalaną mu wcześniej, wciąż gorącą sake.

– Proszę mi wierzyć, że nasze dowództwo bardzo wnikliwie przeanalizowało pański wniosek. Od samego początku jesteśmy otwarci na współpracę...

– Skąd więc... – wpadł mu w słowo Tytus.

– Opóźnienia, na które tak się panowie ostatnio skarżyli, powstały właśnie z tego i jeszcze jednego powodu – wyjaśnił generał.

Murata kłamał jak z nut, ale oni nie mogli o tym wiedzieć. Tak naprawdę ponad sto czterdzieści tysięcy jeńców – w tym niemal osiem tysięcy potencjalnych kandydatów na legionistów – zostało wydanych na pastwę smoków zaledwie dzień po nalocie. Ofiary były konieczne, ponieważ wszystkie smoki doznały mniejszych lub większych obrażeń. Rozgromienie zjednoczonej floty było nie lada wyczynem nawet dla nich, szczególnie że bestie walczyły w swej materialnej, znacznie słabszej formie. Najtęższe głowy w sztabie kombinowały potem dzień i noc, co zrobić, by nie zaprzepaścić szansy na osłabienie wrogich mocarstw – ponieważ właśnie w tych kategoriach postrzegano ewentualne powstanie na terenie rozebranej Polski.

Dopiero przed dwoma dniami ktoś łebski zaproponował połowiczne rozwiązanie problemu, polegające na zamydleniu oczu emisariuszom poprzez wydanie im zgody na szkolenie rekrutów sprowadzanych do jednego tylko obozu, dzięki czemu udałoby się zapobiec odkryciu przez nich skali masakry. Dowódcy wszystkich liniowych jednostek otrzymali także rozkaz uważniejszego przyglądania się brany do niewoli jeńcom i przekazywania posiadających polskie korzenie żołnierzy lokalnym agenturom kempeitai, które miały być odpowiedzialne za ich szybkie i sprawne przerzucanie na wyspy.

– Jakiż jest ten inny powód? – zainteresował się Filipowicz.

– Dowództwo zamierza skoordynować działania frontowe z terminem wybuchu powstania.

Generał znów się uśmiechnął, widząc uniesione brwi obu emisariuszy. Dotąd Polacy zawsze musieli się dostosować do postępów na frontach. Ta zmiana rozwiązywała im rękę. A przynajmniej na to się zanosilo.

– Chce pan powiedzieć, że zamierzacie przerwać ofensywę, dając nam czas na zorganizowanie powstania?

– Na pewno będziemy skłonni do spowolnienia działań frontowych. Zatem odpowiedź brzmi: tak, zamierzamy dać wam

wystarczająco dużo czasu na zakończenie przygotowań do insurekcji.

– To... – Piłsudzki zaniemówił. – To wspaniała wiadomość. Nie zawiedzie się pan na nas. Myślę, że przykład tutaj obecnego Horo... dinishikiego jest najlepszym dowodem na naszą zdolność do współpracy.

– Wiem. – Murata wychylił kolejną czarę sake, po czym uśmiechnął się melancholijnie. – Skoro rozmawiamy z pełną otwartością, przyznam się panom, że ten dowód lojalności nie był wcale warunkiem koniecznym... Moi przełożeni zlecili wam to delikatne zadanie, gdyż potrzebowali czasu na podjęcie ważnych decyzji.

Andrzej, który zastrzygł uszami na dźwięk swego zniekształconego nazwiska, a teraz został wtajemniczony przez Filipowicza w machinacje Japończyków, zareagował spontanicznie.

– To znaczy, że całe moje szpiegowanie było niepotrzebne?

– Nie powiem, że wydanie nam trójki prowodyrów nie pomogło waszej sprawie, ale na pewno nie był to czynnik decydujący – odparł generał. – Przy okazji poznaliśmy pańską ogromną determinację i skuteczność – zwrócił się do zamyślnego Piłsudskiego. – Musi pan wiedzieć, że wszyscy poprzedni emisariusze z pańskiej ojczyzny, a było ich w Tokio już kilku, nieodmiennie wieszali na panu psy.

– Domyślam się... – Józef machnął ręką. – Dmowski srowski i cała reszta szemranego towarzystwa. Wszyscy chcą rządzić, ale każdy jest mocny tylko w gębie, a gdy przychodzi co do czego...

– I właśnie dlatego wybraliśmy pana – wpadł mu w słowo Murata. – Oni tylko dużo gadali o własnych potrzebach, a pańskie pomysły, choć z pozoru fantastyczne, mają szansę powodzenia.

Zadowolony Piłsudski otwierał już usta, by podziękować za komplement, lecz został uciszony przez młodszego kolegę, który wskazał kelnerów niosących kilka półmisków. Na stole przed każdym z gości wylądowała spora ryba, tyle że dziwnie podana. Ułożono ją całą, z łbem i ogonem, została przy tym obrana ze skóry

od skrzeli po tylne płetwy, a pocięte na paski mięso spoczęło na kawałku liścia razem z plasterkami imbiru, jakąś zieloną pastą i kilkoma innymi przyprawami.

– Cóż to za specjał? – zapytał Filipowicz, sięgając po pałeczki.

– Mam nadzieję, że nie to wasze fuku. – Starszy z emisariuszy pochylił się nad talerzem.

– Fugu – poprawił go rozbawiony Japończyk. – Nie. Nie zamówiłem tej specjalności naszej kuchni, ponieważ nie chciałem wprowadzić panów w zakłopotanie ani zawstydzić ewentualną, aczkolwiek całkowicie zrozumiałą odmową. Spróbujecie panowie *ikizukuri*, najświeższego mięsa rybiego, jakie można gdziekolwiek zjeść. – Mówiąc to, chwycił pasemko lśniącego opalizującego mięsa, zanurzył je na moment w sosie sojowym, po czym nabożnie włożył do ust.

Uczynili podobnie, naśladowując każdy ruch gospodarza.

– Całkiem smaczne, nie powiem – kiwnął głową Piłsudski, gdy przełknął już pierwszy kąsek – ale chyba trochę za bardzo trąci surowizną.

– Może dlatego, że to najprawdziwsze sashimi, czyli ryba podana na surowo – odparł rozbawiony tym komentarzem generał.

Obserwował uważnie gości, ale znów tylko Andrzej okazał jakieś emocje. Nie była to jednak odraza, jak można by się spodziewać. Na człowieka, który jadł wykopane z ziemi robaki, surowość podanego mięsa nie zrobiła wielkiego wrażenia, zwłaszcza że było naprawdę smaczne. Ignorując więc toczącą się konwersację, pochylił głowę i z zapalem pochłaniał kolejne plastry surowego mięsa.

– Wie pan, generale – odezwał się w pewnym momencie Filipowicz – mamy w Polsce podobny specjał. Surowe wołowe mięso, drobno mielone, podaje się je z siekanym kiszonym ogórkiem, paroma przyprawami i surowym żółtkiem. Tatar się to cudo nazywa. Pewnie od tataraku, rośliny takiej – dodał pośpiesznie, żeby nie doszło do nieporozumienia.

– Chętnie bym go kiedyś spróbował – wyraził zainteresowanie Murata, trudno powiedzieć, czy tylko przez grzeczność.

Gdy Horodyński sięgał po kolejny plasterek, ryba na talerzu nagle poruszyła okiem, a potem... otworzyła pyszczek.

– Jezusie! – jęknął chłopak, odskakując. – Toto żyje!

Przeżuwający mięso Piłsudski poczuł, że rośnie mu ono w gardle. Filipowicz przyglądał się trzymanemu w pałeczkach sashimi z na wpół otwartymi ustami.

– Na tym właśnie polega sekret *ikizukuri* – wyjaśnił niezrażony Murata. – Kucharz obdziera ze skóry i częściowo patroszy żywą wciąż rybę, po czym wykrawa z niej najlepsze kawałki mięsa, które układa na oczyszczonym uprzednio korpusie, i tak podaje, by gość miał żywy dowód na świeżość potrawy.

– Wyrafinowane – mruknął Józef, przełykając z trudem. – Prawie jak ten wasz teatr.

Filipowicz miał wyraźny problem z zaakceptowaniem faktu, że zaserwowany posiłek wciąż dycha.

– Połykaj w całości, Tytku – poradził mu Piłsudski i zaraz zademonstrował, jak to zrobić. – Tataro nigdy żeś nie jadł?

– Jadłem, ale on nie łypał na mnie wrednym ślepiem.

Ta uwaga rozbawiła Horodyńskiego, ponieważ – tak samo jak pytanie – została wypowiedziana po polsku. Parsknął cicho, wyobrażając sobie skośnookiego wojownika, spoglądającego groźnie z półmiska na człowieka, który go pożera.

休憩

– Koniaku. Królestwo za koniak! – Piłsudski ruszył w stronę kufrów, ledwie drzwi za jego plecami zostały zamknięte.

Agenci kempeitai odprowadzili emisariuszy i towarzyszącego im chłopaka do Hotelu Cesarskiego, zbudowanego piętnaście lat wcześniej jeszcze na fali wznoszenia budynków w europejskim stylu. Co ciekawe, z jego okien można było zobaczyć aleję Hibiya, gdzie nie tak dawno maszerowali krnąbrni jeńcy biorący udział

w defiladzie. Z tego miejsca właśnie przemarsz wojsk obserwowali obaj emisariusze, którym stanowczo zakazano zbliżyć się do trasy przemarszu. Tę akurat restrykcję w pełni rozumieli, ponieważ pokaz militarnej siły Imperium Wschodzącego Słońca ściągnął do stolicy najbardziej nacjonalistyczne środowiska, a jak powszechnie wiadomo, w tłumie fanatyków nietrudno o karygodny incydent.

Józef wyciągnął z kufra na wpół opróżnioną flaszkę, nalał sobie i Tytusowi, potem spojrzął na stojącego pośrodku luksusowego apartamentu Andrzeja.

– Nie... – powiedział do siebie, kręcąc głową. – Zdrowie nasze, Tytku – dodał, przechylając szkło i opróżniając je jednym haustem.

Filipowicz poszedł za jego przykładem.

– Tobie naprawdę podobało się to diabelne pitolenie? – zapytał moment później, zdejmując marynarkę.

– Mówisz o tych ich jasełkach? – Józef opadł ciężko na krzesło. – Powiem tak: gdyby przedstawienie miało jeden akt więcej, wyrwałbym broń siedzącemu obok mnie kempeitajusiowi i zastrzeliłbym na miejscu tego zapiewającego drania. Jemu kury szczać prowadzić, a nie na scenę się pakować! Gdyby nie powinność, tobym wyszedł stamtąd po pięciu minutach, daję słowo! – Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek i szybko go przechylił. – Brzuchy sobie przy ludziach otwierają i jeszcze żywe ryby żrą. Naród może wspaniały, ale ludzie kurwy.

ROZDZIAŁ 11

Trzy dni minęły jak z bicza strzelił. Andrzej wrócił do obozu, na jedną noc tylko – policjanci odwieźli go pół godziny przed capstrzykiem, by zdążył spotkać się z lekarzem i przekazać mu maść dla wiceadmirala, a potem odebrali zaraz po apelu porannym, dzięki czemu miał czas na pożegnanie z pozostałymi jeńcami.

Następne dwie doby Horodyński przesiedział w hotelu, głównie mocząc się w wannie – sprowadzonej, jak większość wyposażenia, z Niemiec – i odsypiając tygodnie nieludzkiej harówki. Tylko rano i po południu chadzał z emisariuszami na wspólne posiłki.

Generał sprowadził do Hotelu Cesarskiego krawca, zgarbionego i niemal łysego starca w grubych okularach, który mimo swej pozornej ślamazarności okazał się istnym mistrzem. Dostarczone w poniedziałek rano spodnie i koszule pasowały idealnie, choć ich krój był... nieco orientalny. Darowanemu koniowi w zęby się jednak nie zagląda, tak więc Andrzej nie wybrzydzał. Materiał był porządny, gruby, a przerobiony płaszcz Filipowicza i jeden z jego szalików dopełniały ciepłego stroju. Tylko buciory Andrzej sobie zostawił, bo nie były jeszcze znoszone, a zapewniały wygodę.

Po ostatnim, sutszym niż zazwyczaj śniadaniu wszyscy trzej rozsiedli się w hotelowym hallu, gdyż pokoje zostały już zdane, a od umówionej pory wyjazdu dzielili ich jeszcze kwadrans. Emisariusze zamówili więc po herbacie, po czym rozmawiając półgłosem, zagłębili się w lekturze dostarczonych im poprzedniego wieczora dokumentów. Horodyński natomiast – którego szczegóły techniczne współpracy interesowały najmniej – przyglądał się z zaciekawieniem elementom wystroju, gustownie łączącym sztukę Orientu z architekturą europejską. Zdobiący sufit fresk tak go zaintrygował, że podobnie jak zaczytani towarzysze nie zauważył zbliżającego się do ich stolika generała.

– Panowie! – Murata powitał ich i dosiadł się bez zbędnych ceregieli. – Właśnie otrzymałem bardzo ważny meldunek – oświadczył grobowym tonem. – Twierdza Sachalin poddała się przed godziną.

Filipowicz nie wyglądał na wstrząśniętego, ale Piłsudski zbladł.

– Nie może być...

– Rosjanie zarzekali się, że będą bronić wyspy do ostatniego człowieka, lecz w świetle ostatnich wydarzeń nie mieli najmniejszych szans – dodał generał. – Jednostki broniące bastionów na Półwyspie Szmidta złożyły broń o szóstej rano czasu lokalnego. Wszystkie bez wyjątku.

– Jakich wydarzeń? – wydukał wciąż niemogący dojść do siebie Józef.

Andrzeja zdziwiła ta nerwowa reakcja emisariusza na komunikat o niezbyt ważnym dla sprawy zwycięstwie Japonii. Nie znał całej prawdy o swoim mocodawcy, ale ta sytuacja miała właśnie ulec zmianie.

– Epidemia tyfusu – rzucił zwięźle Murata, nie wdając się w szczegóły, które były nader ciekawe: otóż choroba dziesiątkująca szeregi obrońców nie wzięła się znikąd.

– A niech to... – Piłsudski sięgnął po papierosa.

Generał tym razem nie protestował, czym zaskoczył zarówno Tytusa, jak i Horodyńskiego.

– Przekazałem generałowi Nozu, by podległe mu jednostki nie przeprowadzały czystek – powiedział Japończyk. – Sztab Czwartej Armii otrzymał także dokładne instrukcje, kogo mają szukać żołnierze.

Tym oświadczeniem zdumiał wszystkich, szczególnie jednak najstarszego z Polaków.

– Pan wie o moim bracie? – wymamrotał Józef.

– Sprawdzenie pana należało do moich obowiązków. Nie wspomniał pan wprawdzie o zsyłce Bronisława na Sachalin, ale znalezienie tej akurat informacji nie było trudne. Jego prace

o Ajnach są szeroko znane i komentowane w naszych kręgach naukowych. Może pan być zatem spokojny. Nie zostanie potraktowany jak reszta jeńców. Zrobimy wszystko, by go odnaleźć i ocalić.

Murata pominął drobny szczegół. Brat emisariusza miał być gwarantem współpracy japońsko-polskiej, choć może właściwiej byłoby nazwać go zakładnikiem.

– Dziękuję. – Piłsudski zdołał w końcu zapalić papierosa drżącymi rękami.

– Nie ma za co. – Generał pozwolił sobie w końcu na błady uśmiech. – My dbamy o naszych sojuszników.

– Jak dobrze się składa, że mamy panów w komplecie!

To zdanie padło po japońsku i zostało natychmiast przetłumaczone na rosyjski. Zaskoczeni emisariusze i towarzyszący im przedstawiciel sztabu generalnego obejrzel się równocześnie i... zdębieli. Andrzej zmartwiał moment wcześniej, ponieważ rozpoznał ten głos.

– Kapitan Araki?... Jak pan śmie przerywać poufną rozmowę? – zapytał Murata, mierząc groźnym spojrzeniem uśmiechniętego komendanta i stojących za nim tajniaków.

Było ich ośmiu, otoczyli stolik szczelnym kordonem, jakby się obawiali, że któryś z siedzących przy nim mężczyzn może próbować ucieczki.

– Przyszedłem po swoją własność – rzucił komendant, wskazując palcem wpatzonego weń w niemym przerażeniu Andrzeja.

W drugiej ręce kanalia trzymała słoiczek, ten sam, który kadet otrzymał trzy dni wcześniej od Filipowicza.

– Chyba pan się zapomina! – Generał podniósł głos.

– Zamierza pan stanąć w obronie zdrajcy? – Araki uśmiechnął się jeszcze szerzej i bardziej jadowicie.

– O czym pan mówi?!

– To pan nic nie wie? – kpił w żywe oczy komendant, mszcząc się za wszystkie wcześniejsze upokorzenia. – Tak się złożyło, że dzisiaj

rano znalazłem w swoim obozie dobrze zakamuflowanego oficera.

– Jaki to ma związek z nami? – W pytaniu nie pobrzmiwała już taka hardość jak przedtem.

– I to nie byle jakiego – kontynuował spokojnie kapitan, jakby nie usłyszał słów Muraty. – Uwierzy pan, jeśli powiem, że cały czas mieliśmy pod samym nosem jednego z pięciu autorów planu nalotu na Tokio?

– Co takiego?! – Generał zerwał się z fotela.

– Nasz młody przyjaciel to prawdziwy as wywiadu. Nie tylko zdołał go wytropić, ale zadbał także, by nie działa mu się krzywda. – Araki postawił na stoliku opróżniony do połowy słoiczek maści na oparzenia.

Filipowicz spurpurowiał na twarzy. On już wiedział w czym rzecz. Tylko Piłsudski przyglądał się tej scenie, błędząc wciąż myślami wokół brata, nawet on jednak w końcu spojrzał groźnie na struchlałego chłopaka.

– Powiedz, że to nieprawda! – zażądał podniesionym głosem. – Powiedz, że o niczym nie wiedziałeś!

– Ja... – bąknął Andrzej, czerwieniejąc na twarzy i spuszczając wzrok.

Wchodząc mu w słowo, generał ostro zapytał:

– Kogo schwytaliście?

– Dowódcę rosyjskiego kontyngentu zjednoczonej floty, wiceadmirała Makarowa – oświadczył z dumą Araki. – Pałac został już o tym powiadomiony. Jego cesarska mość osobiście wydał polecenie pojmania osób, które pomogły ukrywać tego zbrodniarza wojennego. Wszystkich bez wyjątku – dodał z naciskiem.

– Tak jak w przypadku dostarczenia mu głów prowodyrów? – Murata próbował jeszcze kontrować.

– Nie. – Komendantowi nawet nie drgnęła powieka. – Tym razem premier nie musiał ubarwiać słów jego wysokości.

Horodyński z trudem przełknął ślinę. Tłumacze nie przełożyli ostatej wymiany zdań pomiędzy Japończykami, lecz sam jej ton

wystarczył, aby poczuł strach. Ostatnie złudzenia stracił, gdy padła bezpośrednia wzmianka o Makarowie... Gdyby nie ciężkie dłonie, które spoczęły na jego ramionach, zerwałby się z fotela i spróbował ucieczki, prosto w obce i wrogie mu miasto.

– Ty... Ty zdraziecka szumowino! – Wykorzystując moment ciszy, Piłsudski pochylił się ku kadetowi. – Jak mogłeś nam to zrobić?! No jak?!!

Filipowicz, wciąż bliski apopleksji, spojrzał błagalnie na Muratę, a potem na komendanta.

– Nie mieliśmy z tym nic wspólnego, przysięgam – wyszeptał. – Horodyński poprosił o maść dla jakiegoś starego matrosa, który pomógł w ujawnieniu prowodyrów zejść na defiladzie.

– Wiem, wiem – zbył go Araki. – Myślał, że jest sprytniejszy od nas wszystkich, ale nie wziął pod uwagę jednego: że nie tylko on marzy o odzyskaniu wolności. Medyka zastanowiło zainteresowanie chłopaka prostym palaczem z innego okrętu. Wydało mu się to wysoce podejrzanym, zaczął więc obserwować uważniej wspomnianego jeńca i co odkrył? Wyobraźcie sobie, że rzeczony marynarz okazał się wiceadmirałem we własnej osobie, dowódcą, który ukrywał się dzięki aktywnej pomocy kilku innych, choć już mniej prominentnych oficerów. Co ciekawe, wszyscy zadenuncjowani przeszli wstępną weryfikację, ponieważ mieli przy sobie oryginalne dokumenty, oczywiście podające fikcyjne nazwiska. Wygląda na to, że koalicyjna wierchuszka zabezpieczyła się na wypadek ewentualnej wpadki. Każdy wysoki oficer miał przy sobie komplet takich papierów. Nigdy byśmy ich nie wytropili, gdyby nie dociekliwość tego lekarza.

Andrzej z trudem przełknął ślinę. W głowie mu się nie mieściło, że został zdradzony przez Wieriesajewa. Jedyne go człowieka w obozie, któremu choć odrobinę ufał. Emisariusze dobrze mu radzili podczas jednego z pierwszych spotkań: „Nawet rodzonemu bratu ani największej miłości nie powierzaj swoich tajemnic”. Powtórzył tę formułkę ze sto razy, wykuł ją na pamięć, ale gdy przyszło co do

czego, postąpił jak pierwszy lepszy dureń i zepsuł wszystko. Wszystko!

– Sprzedałeś nas, gnido! – Piłsudski byłby splunął, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. – Dlaczego? Dlaczego?!

– On... – Andrzej miał problem z wykrztuszeniem reszty zdania. – On był tak strasznie poparzony...

– To przecież nasz... twój... wróg!

– Nie walczył przeciwko nam. Jest podróżnikiem, akademikiem...

– Akademikiem?! – wybuchnął Józef. – Wiesz, czym zajmował się naukowo twój były dowódca? Słyszałeś o głowicach Makarowa? Nie? Zatem pozwól, że cię oświecę. Twój zasługujący na litość, strasznie poparzony wiceadmirał wynalazł nowy rodzaj pocisku artyleryjskiego, skuteczniej przebijający pancerze. Bóg jeden wiedziałby, gdyby wciąż żył, ile matek przez niego opłakiwało swoich synów. Taki to z niego dobrotliwy staruszek!

Andrzej zwiesił głowę. Tego o Makarowie akurat nie wiedział, ale gdyby nawet, pewnie i tak postąpiłby tak samo.

– On... Ja... – dukał.

– Zamilcz, kanalio! Przez takich jak ty jęczymy wciąż pod butem zaborcy. Oby Japończycy potraktowali cię, jak na to zasługujesz. Ty jesteś jak... jak ta dziwka, co każdemu dupy daje! – Odwrócił się do Arakiego. – Musicie zrozumieć...

– Niczego nie musimy, ale bez obaw – przerwał mu upojony sukcesem komendant, po czym wskazał palcem Andrzeja. – Przyjechałem tutaj tylko po niego. Wam się tym razem upiekło, panowie – ostatnie słowo wypowiedział z taką odrazą, jakby mówił o robactwie, nie ludziach. – Dowództwo ma wobec was inne plany, więc na razie nie tkniemy was palcem, lecz on jest mój!

Józef przeniósł wzrok na generała. W jego spojrzeniu widać było błaganie.

– Ten... incydent nie powinien rzutować na naszą dalszą współpracę – zapewnił go po chwili wahania Murata – aczkolwiek

trudno będzie odbudować nadszarpnięte tym aktem zdrady zaufanie.

Araki nie czekał na koniec tej rozmowy. Zrobił już swoje.

– Idziemy, Horodinishiki!

Agenci kempeitai jednym szarpnięciem postawili Andrzeja na nogi. Nikt nie zaprotestował, gdy odciągali go od stolika.

– Co ze mną zrobicie? – Słowa z trudem wydobywały się ze ściśniętego gardła kadeta.

– Najpierw odpowiesz za napaść na czcigodnego mistrza Kanō, a potem, o ile nie zostaniesz skazany na śmierć, trafisz w przepiękne miejsce, przy którym Kanagawa wyda ci się oazą niebiańskiego spokoju i dobrobytu. I wiesz co? Ja też tam będę. Osobiście zadbam, byś żył jak najdłużej, oczywiście ze świadomością, że już nigdy nie odzyskasz wolności. Pasuje?

Araki uklonił się z przesadną kurtuazją generałowi, po czym uniósł dłoń, dając znak tajniakom. Oddalili się wszyscy, wlekąc za sobą oszołomionego kadeta.

* Miary rosyjskie wyjaśniono w dodatku na końcu książki (odsyłacze zapisane cyframi arabskimi kierują do właściwej grupy miar: długości, powierzchni, masy, objętości) – przyp. red.

MIARY ROSYJSKIE

[1] Rosyjskie miary długości:

1 cal = 0,0254 m

1 werszek = 0,04445 m

1 stopa = 0,3048 m

1 arszyn = $2 \frac{1}{3}$ stopy = 0,7112 m

1 sążeń = 2,134 m

1 wiorsta = 1 066,8 m

1 mila = 7 467,6 m

Rosyjskie miary powierzchni:

1 sążeń kwadratowy = 4,5522 m²

1 ósmina = 3 641,8 m²

1 dziesięcina skarbowa = 10 925 m²

Rosyjskie miary masy:

1 łut = 0,0128 kg

1 funt = 0,4095 kg

1 pud = 16,38 kg

1 berkowiec = 163,8 kg

Rosyjskie miary objętości:

1 sztof = 1,230 l

1 wiadro = 12,3 l

1 anker = 36,898 l

1 beczka = 492 l

Zgasić Słońce. Szpony Smoka

Copyright © by Robert J. Szmidt 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020

Redakcja – Urszula Gardner

Korekta – Bożena Sęk

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Rysunek na okładce – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2020

ISBN EPUB: 978-83-8129-592-5

ISBN MOBI: 978-83-8129-591-8

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie książki Zgasić Słońce:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Próchno, Gabriela Matlak, Aldona Liszka, Szymon Gagattek, Tomasz Czernich

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

Administracja i finanse: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Koza

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

Spis treści

Strona tytułowa

CZĘŚĆ PIERWSZA. Nalot

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

CZĘŚĆ DRUGA. Niewola

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

CZĘŚĆ TRZECIA. Szpieg

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

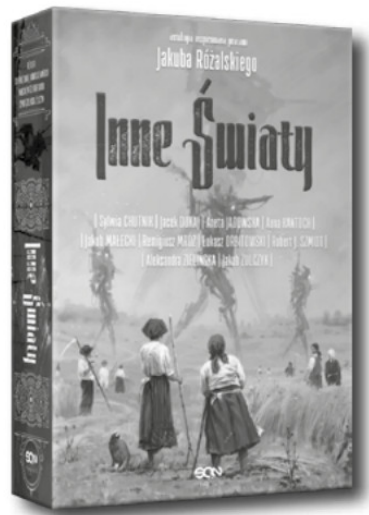
Rozdział 11

Miary rosyjskie
Strona redakcyjna



DZIESIĘCIU CZŁOWYCH POLSKICH PISARZY I JEDEN ARTYSTA

Mistrzowie słowa i dziesięć całkowicie odmiennych opowieści.
Co je łączy? Fascynacja obrazami jednego z najbardziej docenianych polskich
artystów współczesnych. Niesamowite obrazy
Jakuba Różalskiego i ich nieoczywisty przekaz budzący niepokój,
często grozę, znajdują odzwierciedlenie w historiach stworzonych
przez znakomitych autorów.



**RÓŻNORODNE, NIEZWYKŁE I JEDYNE W SWOIM
RODZAJU. KAŻDY ZNAJDZIE COŚ DLA SIEBIE**

Szukaj w dobrych księgarniach

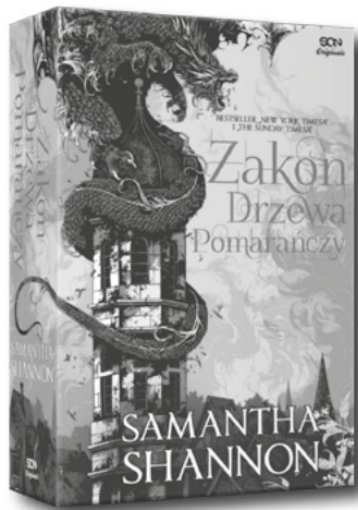


10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

POCHŁANIAJĄCA OPOWIEŚĆ, PEŁNA BARWNEGO ŚWIATA SMOKÓW

Opowieść, od której sama Samantha Shannon nie mogła się oderwać w procesie twórczym. Długa i wciągająca bez reszty, barwna, z niesamowitym, wyjątkowym klimatem. Smoki, morskie duchy i intrygująca historia o władzy.



**1104 STRONY NIEZIEMSKO DOBREJ LITERATURY,
O CZYM PO SUKCESIE CZASU ŻNIW
NIE TRZEBA PRZEKONYWAĆ.**

Szukaj w dobrych księgarniach

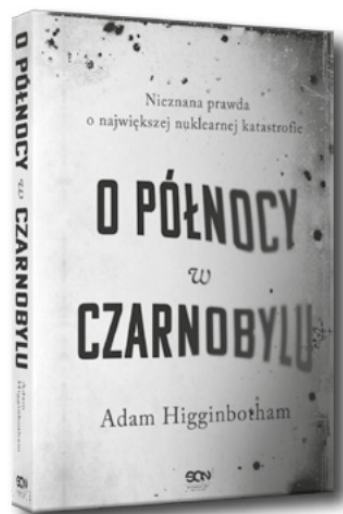


10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

ŚLEDZTWO, PROPAGANDA, TAJEMNICA I MITY

Nikołaj Fomin nie miał pojęcia o energii jądrowej i fizyce nuklearnej – tej ostatniej uczył się na kursie korespondencyjnym. Anatolij Diatłow trzymał się swoich tez nawet wtedy, gdy zostały bezceremonialnie obalone. Wiktor Briuchanow, pierwszy dyrektor, chciał zrezygnować ze swojej funkcji, ale podanie zostało podarte na jego oczach. Nikt nie wiedział, że do budowy elektrowni kazano użyć materiałów, które nawet nie były produkowane w ZSRR, a wcześniejsze nuklearne wypadki i incydenty kwalifikowano jako ściśle tajne. Prawda nigdy nie ujrzała światła dziennego – aż do teraz.



**PRZEJMUJĄCY REPORTAŻ,
KTÓRY CZYTA SIĘ JAK THRILLER.**

Szukaj w dobrych księgarniach



10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
W 2020 roku obchodzimy okrągłe
urodziny, to już 10 lat razem!

Jesteście czytelnikami *sine qua non*,
warunkiem koniecznym istnienia
dobrych książek, a Wydawnictwo
SQN istnieje dzięki ludziom takim
jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce
spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL **labotiga**.pl